

# TOM CLANCY

OP-CENTER  
CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA



## WOJNA ORŁÓW

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika  
Tekst Jeff Rovin

Powieści Toma Clancy'ego  
Bez skrupułów Czas patriotów

Czas zdrady Czerwony królik Czerwony Sztorm Dziel i zdobywaj Kardynał z Kremla Linia kontroli  
Misja honoru Morze ognia Polowanie na „Czerwony Październik”

Stan zagrożenia Tęcza Sześć Zębów tygrysa

# **OP-CENTER CENTRUM SZYBKIEGO REAGOWANIA**

WOJNA ORLÓW

Seria Toma Clancy'ego i Steve'a Pieczenika Tekst Jeff Rovin Przekład Jacek Złotnicki

&

# AMBER

Tytuł oryginału

Tom Clancy's Op-Center

War of Eagles

Redakcja stylistyczna Anna Tłuchowska

Redakcja techniczna Andrzej Witkowski

Korekta Renata Kuk Barbara Opiłowska

Ilustracja na okładce Copyright © Wydawnictwo Amber Opracowanie graficzne okładki Studio Graficzne Wydawnictwa Amber Skład

Wydawnictwo Amber Druk

Finidr, s.r.o., Český Tešín

Copyright © 2004 by Jack Ryan Limited Partnership and S&R Literary, Inc. OP-CENTER™ is a trademark of Jack Ryan Limited Partnership and S&R Literary, All rights reserved.

For the Polish edition

Copyright © 2006 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 83-241-2516-7 978-83-241-2516-6

Warszawa 2006. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o. 00-060 Warszawa, ul. Królewska 27 tel. 620 40

13,620 81 62

[www.wydawnictwoamber.pl](http://www.wydawnictwoamber.pl)

## ROZDZIAŁ 1

Charleston, Karolina Południowa Poniedziałek, 4.57

Jesse Wheedles pochodził z Athens w stanie Georgia. W młodości odbył już służbę wojskową w bazie marynarki wojennej w Charlestonie, gdzie był „specjalistą od zarządzania kantyną”. Określenie to precyzyjnie oddawało sens jego zajęcia, a Wheedlesa rozpieszczała duma z tego stanowiska. Był kimś więcej niż zwykłym kucharzem, więcej niż pakowaczem przygotowującym gotowe zestawy posiłków dla marynarzy. Wheedles czuł się prawdziwym artystą. Musiał dopilnować, aby każdy, kto usiadł w jego kantynie, bez względu na rangę i upodobania, zjadł

najsmaczniejszą zupę, najbardziej gorące danie główne i najwspanialszą kawę i ciasteczka w całej Marynarce Wojennej Stanów Zjednoczonych.

Na znak swoich zdolności kulinarnych przechowywał papierową serwetkę ze słowami WYŚMIENITE ŻARCIE!, które własnoręcznie skreśliła podsekretarz Sabrina Brighton.

Wheedles zastanawiał się czasem, jak potoczyłoby się jego życie, gdyby został w marynarce. Po odejściu do cywila przejął rodzinną przydrożną jadłodajnię, przegrywając konkurencję z fast foodami i barami kawowymi. Wytrzymał dziesięć lat, po czym ojciec sprzedał parcelę firmie deweloperskiej, zysk podzielił między trzech synów i dał sobie spokój z robotą.

Wheedlesowi przypadło dziewięćdziesiąt tysięcy dolarów, które stracił, inwestując w firmę internetową.

Teraz były szef kantyny zajmował się czymś innym, a i stara baza marynarki wojennej zmieniła oblicze. Istniała prawie dziewięćdziesiąt pięć lat, odkąd prezydent Theodore Roosevelt podczas wizyty z okazji dwustulecia 5

Charlestonu zdecydował, że to miejsce lepiej nadaje się na port wojenny niż Beaufort. Na początku pomysł nie wzbudził entuzjazmu mieszkańców miasta, ale zamknięcie bazy przyjęli z żalem.



Południowcy potrafią wybaczyć, ale nie zapomnieć.

Historia stacjonowania wojsk w tej okolicy była długa i znacząca. Podczas rewolucji amerykańskiej to tu miało miejsce największe oblężenie przez Anglików. Upadek Charlestonu spowodował najwyższe straty w oddziałach amerykańskich i w efekcie pozostawił południowe kolonie w rękach Korony.

Dumny port był następnie jedną z najważniejszych dróg zaopatrzenia konfederatów, tu mieścił się suchy dok okrętu podwodnego „H.L. Hunley” oraz macierzysta baza jednostek pancernych łamiących blokadę.

Na terenie bazy znajdował się Fort Sumter - punkt zapalny wojny secesyjnej.

Wojenna historia Charlestonu, pisana krwią i ranami, była zbyt ważna, aby mogła ją przekreślić zimna i sucha komputerowa kalkulacja.

Ale tak właśnie się stało.

Obiekt został zamknięty w 1996 roku w ramach programu restrukturyzacji. Dla miasta był to dzień żałoby. Obawiano się, że brak floty wojennej oraz likwidacja czterech tysięcy miejsc pracy spowoduje upadek portu, co pociągnie na dno cały Charleston. Z pomocą przybyły jednak instytucje federalne i przedsiębiorstwa komercyjne, które usadowiły się w zabudowaniach bazy i zapobiegły spowolnieniu gospodarczego pulsu miasta. Restrukturyzacja uratowała też kulejącą karierę trzydziestosiedmioletniego Jesse'a Wheedlesa. Dzięki byłemu dowódcy, który obecnie zasiadał w radzie odbudowy portu, Jesse otrzymał posadę szefa porannej zmiany w nowej restauracji Teddy R's na nabrzeżu, zaopatrującej załogi frachtowców i tankowców przybywające lub opuszczające port z porannym pływem.

Była to dla niego wymarzona praca, bo mógł robić to, co lubił i potrafił najlepiej.

Uwielbiał przyjeżdżać przed świtem, by włączyć grill i doprowadzić do wrzenia fryturę. Rozkoszował się uczuciem dosłownego rozgrzewania dnia i smakiem nocnego morskiego powietrza. Inaczej niż w marynarce wojennej, gdzie każdy musiał wyglądać schludnie, regulaminowo i tak samo, goście jego restauracji stanowili wyjątkowo barwną gromadę. Nie tylko wyglądali i mówili, ale nawet pachnieli inaczej. Wheedles cenił sobie ową odrobinę Bułgarii czy Hongkongu, Wenezueli czy Wielkiej Brytanii w swoich progach. I cieszył się, że kiedy wychodzi z pracy o drugiej po południu, wciąż jeszcze daleko było do wieczora, miał więc czas dla żony i bliźniaków.

6

Jednego tylko nie mógł przewidzieć: tego, że pewnego dnia w mrokach porannego przedświtku jeden ze statków eksploduje, niszcząc port, restaurację Teddy R's i jego samego.

ROZDZIAŁ 2

Sierżant Al Graff, służący od ośmiu lat w patrolu portowym policji miejskiej w Charlestonie, stał za sterem łodzi patrolowej. Jego partner, funkcjonariusz Randy Molina, przez noktowizyjne gogle obserwował ujście rzeki Ashley, wypatrując niewielkich jednostek. Przez kilka ostatnich miesięcy handlarze narkotyków z Karaibów podpływali do południowo--wschodniego wybrzeża i spotykali się z miejscowymi dilerami, którzy przerzucali towar na ląd łodziami wiosłowymi. Graff i Molina jak dotąd nikogo nie przyłapali i mieli nadzieję, że wreszcie im się uda.

Faceci na łódkach nie byli dobrymi pływakami, zwłaszcza jeśli oberwali przypadkowo wiosłem w głowę.

Był ciepły poranek, wiał lekki, zachodni wiatr. Graff miał właśnie zawrócić w stronę lądu, kiedy kilometr za nimi nastąpił wybuch. Odwrócili się gwałtownie. Dziwna poświata oświetliła dachy domów dzielnicy nadbrzeżnej i strzelistą iglicę wieży kościoła św. Filipa. Falująca i kłębiąca się chmura wznosiła się coraz wyżej i wyrzucała z siebie żółtawe i oślepiająco białe warkocze dymu i pary. Opadały łukiem na ziemię w postaci gorących, postrzępionych smug, coraz cieńszych i gasnących. Po chwili fala uderzeniowa wybuchu dotarła do łodzi i mocno nią zakołysała.

Molina wywoływał przez radio straż przybrzeżną, a jednocześnie usiłował się połączyć z dyspozytorem policji, aby wezwać posiłki. Graff skierował motorówkę wprost na purpurową, rosnącą chmurę. Było jasne, że eksplodował frachtowiec. W

płomieniach Graff dostrzegł zarys kadłuba, z którego wyciekało paliwo, podsycając pożar. Paliwa nie było zbyt dużo. Statek niedawno zawinął do portu i nie zdążył

zatankować przed kolejnym rejssem, ale to, co zostało, wystarczało, żeby wszystko wokół płonęło.

Po kilku minutach nadleciały dwa policyjne śmigłowce i zrzuciły pianę gaśniczą, otaczając pożar pływającą barykadą, żeby nie dopuścić do rozprzestrzenienia się ognia na inne statki. Portowcy uruchomili potężne węże pożarnicze, chroniące przed wtórnym podpaleniem przez spadające

7

płonące szczątki budynki i drewniane nadbudówki stojących w pobliżu statków.

Wyglądało na to, że uszkodzone zostały tylko dwa domy w dzielnicy nadbrzeżnej: sklep płytowy Southern Bells oraz restauracja Teddy R's. Zdaniem Graffa główny impet wybuchu przyjął na siebie budynek restauracji.

Wozy północnego batalionu miejskiej straży pożarnej przybyły kilka minut później.

Ich załogi przystąpiły do polewania pozostałych domów. Rozpoczęto też natychmiast akcję pomocy ofiarom z frachtowca i obu płonących budynków. Zaraz po strażakach pojawiła się grupa antyterrorystyczna, złożona z funkcjonariuszy policji miejskiej i agentów federalnych. Korzystając z przenośnego laboratorium, eksperci z Jednostki Ra-towniczo-Gaśniczej nr 3 poszukiwali śladów skażenia radiologicznego, bakteriologicznego i chemicznego. Ich koledzy z policji przeszukiwali i

zabezpieczali inne statki. Drogówka zablokowała ulice, by uniemożliwić ucieczkę sprawcom, a wywiadowcy kierowali funkcjonariuszy do budynków, z których w prostej linii widać było płonący statek. Dawało to szansę zatrzymania zbrodniarzy, gdyby przyczyną pożaru był na przykład pocisk z granatnika.

Była to jedna z wielu podobnych, dobrze skoordynowanych i sprawnie prowadzonych akcji, bez niepotrzebnej rywalizacji między służbami. Każdy dokładnie wiedział, co ma robić, i wykonywał obowiązki z niewzruszoną odwagą.

Graff i Moliną mieli dwa zadania. Jednym była obserwacja wybrzeża, na wypadek, gdyby zamieszanie wywołali przemytnicy w celu odwrócenia uwagi policji, drugim -

poszukiwanie rozbitków, którym udało się przeżyć.

Szybkie okrążenie obszaru zasięgu wybuchu nie dało rezultatu. Nie znaleźli nikogo żywego. Widzieli za to kawałki ciał i osmalonych kończyn oraz nieskazitelnie czystą, białą kość, kołyszącą się na pomarszczonej powierzchni rzeki. A także strzępy ubrań, które nie zatонуły wraz ze statkiem, i skłębione, splamione świeżą krwią kępy włosów. Graff nie dysponował odpowiednim sprzętem do zabezpieczania materiału dowodowego, ale zarejestrował na zdjęciach to, co zobaczyli.

Fotografie wykonane aparatem cyfrowym, wyposażonym w nadajnik satelitarny, były automatycznie transmitowane do komendy miejskiej policji, terenowego biura FBI w Columbi i centrali w Waszyngtonie. Tam porównywano je ze zdjęciami z bazy danych. Szczątki ludzkie i strzępy ubrań poddawano drobiazgowej analizie, poszukując przynależności etnicznej

8

i kulturowej ofiar oraz starając się ustalić charakterystyczne cechy eksplozji. Gdyby była ona wynikiem celowego działania, badania laboratoryjne miały ustalić rodzaj użytego materiału wybuchowego. Jeśli udałoby się odnaleźć choćby fragment pojemnika, w którym podłożono ładunek, naukowcy mogliby wyizolować komórki naskórka sprawcy. Nie można było w ten sposób określić jego tożsamości, ale na pewno przynależność etniczną.

Graff beznamiętnie sporządzał dokumentację katastrofy. Nie wiedział, kim byli zabici i co robili na statku czy w porcie. Odkąd terroryzm na dobre zagościł w świadomości Amerykanów, podstawowym obowiązkiem Graffa stała się obrona portu, miasta i kraju. Do pracy miał stosunek obojętny, cechowało go jednak głębokie poczucie odpowiedzialności. Fotografując, usiłował sobie przypomnieć, czy podczas dwóch pierwszych godzin służby nie wydarzyło się coś podejrzanego - jakieś światła na wodzie, dziwne dźwięki dochodzące z frachtowca, podejrzanym ruch na pogrążonej w mroku kei.

Molina poinformował go, że „poławiacze pereł” przypłyną za kwadrans. Chodziło o łódź policyjną, wyposażoną w sieci, i chłodnie służące do przechowywania materiału dowodowego. Graff kiwnął głową, nie przerywając zdjęć. Każde ujęcie wykonywał

dwukrotnie, raz w podczerwieni i raz z lampą błyskową. Po ich złożeniu kryminolodzy będą mogli

skomponować obraz ludzkich szczątków w kolorze naturalnym, co umożliwi precyzyjne określenie koloru skóry ofiar.

Gdy podpłynęli do otworu zięjącego we wraku, Graff zobaczył coś, co naruszyło ochronną warstwę zawodowej obojętności, a zatopionej jednostce, a może samej eksplozji, nadało określony kontekst.

Była to dziecięca bransoletka z koralików, unosząca się na pomarszczonej powierzchni wody. Bransoletka wciąż tkwiła na drobnej rączce małej dziewczynki.

## ROZDZIAŁ 3

Waszyngton Poniedziałek, 7.33

Paul Hood nie spodziewał się tego telefonu. Siedział właśnie nad filiżanką kawy i batonikiem energetyzującym, kiedy sekretarka połączyła rozmowę od Lorraine Sanders, szefowej kancelarii prezydenta Dana Debenporta. Sześćdziesięcioletni dyrektor Centrum Szybkiego

9

Reagowania został zaproszony na śniadanie do Gabinetu Owalnego w Białym Domu.

Mimo to zjadł batonik. Porcelana w Białym Domu jest stara i delikatna, im mniej będzie miał z nią kontaktu, tym lepiej.

Chyba nie chodziło o kryzys. Takich spraw nowy prezydent nie omawiałby przy jedzeniu, poza tym limuzyna podjechałaby już w trakcie rozmowy. Nie szło też o wizytę towarzyską, wówczas bowiem zaproszenie otrzymałby nieco wcześniej niż na dziewięćdziesiąt minut przed terminem. Nie mogło to być spotkanie zapoznawcze, ponieważ Debenport doskonale znał Hooda. Jako senator był przewodniczącym kongresowej Komisji Kontroli Wywiadu, która nadzorowała budżet Centrum Szybkiego Reagowania. Z faktu, że miejscem spotkania jest Gabinet Owalny, wynikało, że chodzi o śniadanie robocze. A termin też nie był przypadkowy. Biały Dom musiał już wiedzieć, co wydarzyło się rano.

Jako oficer wywiadu Hood potrafił rozpoznać stadium, zwane przez analityków strefą mroku. Zewsząd docierały informacje, że coś się dzieje, ale wciąż było ich zbyt mało, aby wiedzieć, o co naprawdę chodzi. Pewien oficer łącznikowy między Centrum a FBI porównał kiedyś ten stan do rozwiązywania krzyżówki, składającej się tylko z porzucanych beładnie haseł bez żadnej przesłanki, jak je poukładać.

Właściwie to opis całego amerykańskiego wywiadu, pomyślał, który jest nadmiernie zapalczywy, wykorzystuje potężne siły wojskowe, by zmiażdżyć wroga, zamiast precyzyjnym podstępem wywieść go w pole. Wystarczy zniszczyć całą krzyżówkę i już nie trzeba sobie zawracać głowy, co wpisać poziomo, a co pionowo.

A może chodziło o coś, o czym Hood jeszcze nie wiedział. Wkrótce dowie się wszystkiego, poza tym jest zbyt zmęczony, żeby się nad tym głowić. Nie tylko śpiący, ale wyczerpany z energii i odarty z wyobraźni. Minęło dziewięć długich, trudnych miesięcy od chwili, gdy wybuch elektromagnetyczny

nieomal zupełnie zniszczył

Centrum Szybkiego Reagowania. Hood i jego ludzie nie tylko pracowali bez wytchnienia nad odbudową organizacji i ochroną interesu narodowego, ale także wprowadzali udoskonalenia i szukali źródeł oszczędności, by odtworzyć Centrum mimo ogromnych cięć budżetowych.

Przed Hoodem stało też poważne zadanie osobiste. Musiał znaleźć sposób, by znów pokochać swoją pracę. Centrum nie było po prostu miejscem, lecz samym sercem amerykańskiego systemu zarządzania kryzysowego. Był z nim związany od chwili jego powstania, kiedy zadania instytucji były

10

legalne i oczywiste, a możliwości praktycznie nieograniczone. Nie opuścił jej, gdy pojawiły się straty w Korei, Rosji i Hiszpanii. To dziwne. Triumfy, których było przecież niemało, zawsze miały krótki żywot. W końcu od zawodowców oczekiwano sukcesu. Porażki, choć rzadkie, zapadały w pamięć na długo. Wystarczy wspomnieć ofiary śmiertelne rozformowanego już oddziału szturmowego Striker czy zabójstwo Marthy Mackall, odpowiedzialnej za kontakty z politykami.

Hood pozostał na stanowisku nawet wówczas, kiedy pół roku temu z przyczyn oszczędnościowych zwolniono jego zastępcę, generała Mike'a Rodgersa.

Jedno było pewne - naprawdę się starał. Świadczyło o tym jego rozbite małżeństwo.

Zarazem czuł, że Centrum napawa go smutkiem, jak dziecko, które się kocha i wychowuje, a ono nie spełnia pokładanych w nim nadziei i oczekiwań.

Nie zauważył, że nadchodzi moment wypalenia. Rodgers to dostrzegł. Przed odejściem generał poradził Hoodowi, aby zapoznał się z historią polowania Brytyjczyków na niemiecki pancernik „Bismarck” podczas II wojny światowej. Hood wszedł do sieci i szybko zrozumiał radę Rodgersa. W maju 1941 roku rozpoznanie lotnicze poinformowało brytyjskie dowództwo, że nowoczesny, szybki i potężny okręt stoi w porcie w Grimstadfjord w Norwegii. Nie wolno było dopuścić, by wymknął się na pełne morze. Mimo niedostatku sprzętu i ludzi lotnictwo obrony wybrzeża i marynarka wojenna rzuciły przeciwko „Bismarckowi” wszystkie zdolne do walki samoloty i okręty. Ich załogi nie spoczęły, dopóki po sześciu dniach wróg nie poszedł na dno.

Działania, jakie prowadzono, konieczność podejmowania szybkich decyzji, straty w ludziach i stan permanentnego napięcia doprowadziły uczestników akcji do psychicznego wyczerpania.

Rodgers, w przeciwieństwie do Hooda, dostrzegał takie zagrożenie w odbudowie Centrum. Trzeba było skłonić ludzi, by pracowali za dwóch, a nawet za trzech, nauczyli się obsługi nowego sprzętu, bez możliwości zwrócenia się o pomoc do współpracowników, których po prostu nie było. No cóż, Rodgers zdobył

doświadczenie na polu walki. Znał obezwładniający wpływ nagłych strat, poniesionych w boju. Hood zajmował się wyłącznie polityką. To specyficzna odmiana walki, gdzie odniesione obrażenia można łatwo wyleczyć albo zignorować.

Rodgers patrzył na świat jak naukowiec i to właśnie najbardziej cenił w nim Hood.

Szef wywiadu Centrum, Bob Herbert, całkowicie odmiennie postrzegał

rzeczywistość. Jego bronią

11

był język. Na samym początku odbudowy Herbert ukazał Hoodowi jego przyszłość w sposób tak dobitny, jak potrafi tylko pozbawiony wrażliwości politycznej gbur z Missisipi.

- Wiesz, co może sprawić szokujące wydarzenie - powiedział. - W jednej chwili masz zamęt w głowie, a jednocześnie wyostrzony wzrok i widzisz świat w zupełnie innej perspektywie. Szok to czysta destrukcja. Łamie ducha, niszczy ciało i na długo odciska się na psychice. Będiesz słyszał ten wybuch i czuł jego podmuch codziennie, do końca życia.

Podobnie jak Rodgers, szef wywiadu wiedział doskonale, jakie mogą być skutki eksplozji. Sam stracił żonę i władzę w nogach wskutek ataku bombowego na Ambasadę Amerykańską w Bejrucie w 1983 roku. Miał też całkowitą rację co do spustoszeń czynionych przez niespodziewaną sytuację. Parę lat temu w Niemczech Hood spotkał swoją byłą sympatię, Nancy Jo Bosworth. Wielka miłość sprzed lat dosłownie zawróciła mu w głowie. Dotychczasowe życie przestało się liczyć, wydawało się krępujące i niespełnione. Trzeba było wstrząsu - wzięcia zakładników w gmachu ONZ, wśród których znalazła się jego córka Harleigh - oraz kilku kolejnych lat małżeństwa z Sharon, aby zakończyć ten romans. Rozstanie było bolesne, ale teraz przynajmniej miał więcej czasu na przygotowanie się do możliwie gładkiego awaryjnego lądowania.

Uderzenie impulsu elektromagnetycznego było czymś całkowicie odmiennym. W

mgnieniu oka zasoby Centrum Szybkiego Reagowania przestały istnieć. To nie sama eksplozja spowodowała konieczność całkowitej przebudowy Centrum. Siła zaburzeń elektromagnetycznych uzmysłowiła Hoodowi i jego współpracownikom, jak krucha jest nowoczesna technologia, skoro jeden odpowiednio wyposażony człowiek potrafił

dokonać takich zniszczeń. Zrozumieli, jak ważne jest zwiększenie szybkości działania baz danych amerykańskiej agencji bezpieczeństwa, aby jak najlepiej chronić naród. Ta konieczność w znacznym stopniu spowolniła proces odbudowy Centrum.

Jednak prace zostały już zakończone. Mimo zmęczenia Hood czuł, że dopiero teraz rozpocznie się prawdziwa praca. Z jednej strony pragnął się do niej zabrać jak najprędzej, z drugiej - z niechęcią myślał o następnym punkcie harmonogramu, jakim było poranne poniedziałkowe spotkanie z kadrą kierowniczą Centrum.

Dziwne i sprzeczne myśli przelatywały mu przez głowę. Centrum Szybkiego Reagowania wykonało niewątpliwie kawał dobrej roboty, ale zawsze polegała ona na naprawianiu szkód, nigdy na zapobieganiu. Działania Cen-12

trum przypominały wylewanie wody z przeciekającej łodzi. Mimo skutecznego działania woda wciąż

wlewała się do środka.

I to właśnie budziło niewytłumaczalną, irracjonalną złość Hooda. Nic podobnego nie zdarzało się, kiedy był burmistrzem Los Angeles. Owszem, czasem denerwował go zbiurokratyzowany urząd miasta, ale nigdy nie odczuwał wściekłości. Tyle że wówczas jego współpracownikami byli głównie zawodowi politycy - egoistycznie nastawieni, bardziej zainteresowani walką o awans i władzę niż wypełnianiem obowiązków. Ludzie zatrudnieni w Centrum byli zupełnie inni. Nic dziwnego - byli gotowi umrzeć za swoją pracę. To oddanie i poświęcenie pracowników sprawiało, że Centrum miało duszę i wrażliwość, które były przyczyną zmartwienia Hooda.

Centrum nie mogło być chore. Stworzono je po to, by stanowiło trwałą jakość w zmieniającym się świecie i podejmowało nowe wyzwania, mając do dyspozycji ekspertów ze wszystkich dziedzin oraz najnowsze zdobycze techniki.

Pracownicy Hooda byli najlepsi z najlepszych i oddani, ale potrzebowali wsparcia.

Choć otrząsnęli się już po eksplozji, od ponad pół roku nie potrafili jednak pracować równie wydajnie jak wcześniej.

Właściwie Hood nie rozmawiał o tym z nimi. Cieszyli się hałaśliwie, gdy genialny Matt Stoli naprawił elektronikę i zainstalował upgrade'y. Wszystkie umiejętności poświęcono pozyskaniu informacji i danych wywiadowczych z innych agencji, dzięki czemu mogli powrócić do kontrolowania krajowych i międzynarodowych punktów zapalnych.

A mimo to Hoodowi chciało się wyć. Zatrudniona w agencji psycholog Liz Gordon powiedziałaaby pewnie, że ma syndrom przeniesienia, polegający na przelewaniu na Centrum odczuć związanych z nieudanym małżeństwem. Hood uważał, że żona go zawiodła. Nie wykazała zrozumienia dla jego pracy i troski o swoich ludzi i naród.

Być może faktycznie Hoodowi pomieszały się uczucia. Nie zmieniało to jednak faktu, że Centrum chyliło się ku upadkowi, a jego szef odczuwał gniew i zniechęcenie.

W dodatku coraz trudniej było przeciwdziałać temu procesowi. Coraz mniej było rąk do pracy, coraz mniej pieniędzy. I dziś Hood miał ochotę wstać i uciec gdzieś daleko.

Zamiast tego wypił kawę, poinformował swego asystenta, Bugsa Beneta, dokąd idzie, i ruszył do windy. Benet uniósł się zza biurka w swoim boksie:

- Kiedy pan wróci?

13

-

Nie wiem. Przekaż Ronowi, żeby zaczynał beze mnie.

-

Tak jest. Powodzenia.

Centrum mieściło się w piętrowym budynku na terenie bazy lotniczej Andrews. W

czasie zimnej wojny niepozorny gmach z fasadą w kolorze kości słoniowej służył

jako kwatera dla załóg samolotów, należących do sił szybkiego reagowania na wypadek ataku atomowego. W razie uderzenia nuklearnego na Waszyngton ich zadaniem była ewakuacja najważniejszych osobistości do tajnych bunkrów ukrytych głęboko pod ziemią w Górach Błękitnych w stanie Maryland. Po upadku Związku Radzieckiego zadanie przeprowadzenia ewakuacji przydzielono jednostkom z bazy lotniczej w Langley, a budynek w bazie Andrews otrzymało nowo powstałe Centrum Szybkiego Reagowania. Na dwóch piętrach mieściły się komórki działające jawnie, takie jak księgowość, kadry, a także wydział monitorujący oficjalne kanały informacyjne, którego zadaniem było wyłapywanie zarzewia konfliktów na podstawie pozornie niewinnych wydarzeń. Chodziło o takie sytuacje, jak bankructwa rządów Trzeciego Świata i niepłacenie żołdu ich armiom, zderzenie okrętu podwodnego z obcym kutrem rybackim czy jachtem turystycznym, który mógł nie być wcale kutrem ani żaglówką, lecz statkiem szpiegowskim, przechwycenie dużego przemytu narkotyków, co burzyło czarnorynkową równowagę w niektórych rejonach świata, i inne wydarzenia, które potencjalnie wywoływały efekt domina.

Piwnice dawnego budynku sił szybkiego reagowania zostały całkowicie przebudowane.

Zlikwidowano pokoje dla załóg lotniczych. W uzyskanych pomieszczeniach analizowano sytuację na podstawie danych wywiadowczych i podejmowano decyzje co do taktyki działania Centrum Szybkiego Reagowania. Tam można się było dostać jedynie windą, do której dostępu bronił przez całą dobę uzbrojony wartownik.

Hood kiwnął głową strażnikowi. Co tydzień wymieniano tych rumianych młodzieńców na nowych, aby uniemożliwić przekabacenie któregoś z nich przez jakiegoś agenta obcego wywiadu. A jednak osoba, która podłożyła bombę generującą impuls elektromagnetyczny, dysponowała wszelkimi uprawnieniami. W dzisiejszych czasach, kiedy bystry dzieciak z komputerem może spowodować awarię sieci energetycznej lub telefonicznej czy włamywać się do banków i obiektów wojskowych, hasła i elektroniczne karty wstępu stały się przeżytkiem z dawnej epoki.

Hood zszedł na parking. Robiło się coraz cieplej, dodawało mu to sił. Wiedział, że to głównie efekt promieniowania asfaltu, ale wolał myśleć, 14

że to słońce. Oto cudowny wiosenny poranek, gdy zapach kwiatów rosnących wzdłuż ogrodzenia jest silniejszy od smrodu paliwa, dochodzącego z pasów startowych.

Miał nadzieję, że cały dzień będzie ciepły i przyjazny. W Waszyngtonie pogoda potrafi zmieniać się nieoczekiwanie.

ROZDZIAŁ 4



Swoją karierę Morgan Carrie widziała zawsze jako klasyczną sytuację: raz na wozie, raz pod wozem.

Carrie została pierwszą kobietą generałem Stanów Zjednoczonych rok temu, kiedy miała pięćdziesiąt trzy lata. Promocja odbyła się bez rozgłosu. Władze wojskowe chciały awansować kobietę, ale bez zwracania niczyjej uwagi. Jak stwierdził jej mąż, doktor Albert Carrie, neurochirurg ze szpitala uniwersyteckiego w Georgetown:

„Chcieli rozbić szybę, ale bez szkła”. Nie przejmowała się tym. Kiedy była mała i bawiła się w wojnę z dwoma starszymi braćmi, zwykle odgrywała rolę sanitariuszki, a tylko czasami bo-jowniczką francuskiego ruchu oporu, mademoiselle Marie. A ona zawsze chciała być oficerem i dopięła swego. Teraz przewyższała stopniem obu braci służących w marynarce.

Jako generał wywiadu objęła nadzór nad Agencją Bezpieczeństwa Narodowego w administracji nowego prezydenta. Dotychczas Carrie pracowała w sekcji wywiadu sztabu wojsk lądowych, popularnie zwanej G2, przy czym ostatnich pięć lat jako jej szef. Sekcja zajmowała się wszelkiego rodzaju działalnością wywiadowczą, kontrwywiadem i operacjami dotyczącymi bezpieczeństwa narodowego. Carrie przewyższała kwalifikacjami mężczyznę, który objął nadzór nad organizacją koordynującą prowadzącą działania chroniące amerykańskie systemy informacyjne i źródła danych oraz zajmującą się wywiadem zagranicznym. Ale generał Ted Dreiser był lotnikiem, a właśnie w lotnictwie służył niegdyś nowy wiceprezydent Bruce Perry. Już.

Przynajmniej tak jej się wydawało.

Poprzedniego dnia o ósmej wieczorem w jej domu w Alexandrii w stanie Wirginia zadzwonił telefon. Wezwano ją na krótkie spotkanie z prezydentem, 15

w którym mieli także uczestniczyć wiceprezydent oraz przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, Raleigh Carew. Powiedziano jej tylko, że prezydent chce jej zadać pewne pytanie.

Jako znawczynie historii amerykańskiego wywiadu wiedziała, że prezydenci z reguły nie zadają pytań abstrakcyjnych. Jak kamień wrzucony do wody, zainteresowanie prezydenta uruchamiało falę rozchodzącą się w górę i w dół hierarchii danej służby. Czasami pozornie proste pytania pociągały za sobą daleko idące skutki. W 1885 roku prezydent Grover Cleveland wezwał generała R.C. Druma do swojej rezydencji i spytał go o budynki i instalacje wojskowe w innych państwach. Generał ze wstydem przyznał, że nie dysponuje tego rodzaju informacjami, ale obiecał je zdobyć.

Błyskawicznie zorganizował Wydział Informacji Wojskowej, złożony z jednego oficera i czterech inspektorów, który wkrótce zatrudnił pięćdziesięciu dwóch oficerów, dwunastu inspektorów i szesnastu współpracowników. Wydział ten zajmował się gromadzeniem danych dotyczących topografii i wojsk innych krajów oraz opracowywaniem instrukcji szpiegowskich dla współpracowników. Materiały uzyskane przez Wydział Informacji Wojskowej na Kubie, Samoa i w Meksyku uratowały życie wielu tysiącom Amerykanów podczas wojny z Hiszpanią w 1898

roku.

Osobisty kierowca generała Carrie zawiózł ją do Zachodniego Skrzydła. Spotkanie trwało zaledwie dziesięć minut. Zgodnie z zapowiedzią prezydent zadał tylko jedno pytanie. Na udzielenie odpowiedzi otrzymała czas do rana. Pytanie dotyczyło nieco szerszego zagadnienia, niż się spodziewała, ale pocieszała się, że ma na odpowiedź o pięć godzin więcej niż generał Drum.

Generał Carrie wstała przed mężem, prawdziwym rannym ptaszkiem. Zwykle między piątą a wpół do siódmej rano oddawał się lekturze czasopism medycznych. Doktor Carrie miał sześćdziesiąt cztery lata, był absolwentem Szkoły Medycznej na Uniwersytecie Johnsa Hopkinsa i zwolennikiem poglądu, że o skuteczności lekarza nie decyduje liczba specjalizacji, podobnie jak o skuteczności generała - liczba jednostek, którymi dowodzi. Cała sztuka polega na tym, by mieć te najlepsze i najbardziej pożądane. I doktor Carrie je zdobywał.

Zgodnie z poleceniem prezydenta generał Carrie udzieliła pisemnej odpowiedzi przed siódmą rano. List został przesłany faksem do Białego Domu i Pentagonu. Oryginał

miał zostać dostarczony do rąk własnych adresata w ciągu dnia. W ten sposób prezydent Debenport uzyska potrzebną mu odpowiedź, a w teczce personalnej generał Carrie przybędzie kolejna informacja.

16

Kwadrans po siódmej zadzwoniła do Carrie szefowa kancelarii wiceprezydenta.

Powiedziała, że za piętnaście ósma po generał Carrie przyjedzie nowy, cywilny, kierowca. W zalakowanej kopercie dostarczy jej dalsze instrukcje. Będzie miała dwa dni na przygotowanie się do kolejnej konferencji z prezydentem.

Wszystko działo się bardzo szybko i mogło przyprawić o zawrót głowy. Jak zwykle w takich wypadkach, mąż, z którym przeżyła trzydzieści osiem lat, pomagał jej utrzymać równowagę duchową z takim samym spokojem i pewnością, z jakimi trzymał skalpel.

Nieoznakowana granatowa limuzyna zatrzymała się na podjeździe dokładnie o siódmej czterdzieści pięć. Doktor Carrie zawiadomił szpital, że nieco się spóźni, chciał dodać żonie otuchy przed spotkaniem. Wysoka, wysportowana kobieta przytuliła się do jego piersi. Położył dużą dłoń na jej krótko obciętych, siwych włosach. Morgan Carrie otrzymała Brązową Gwiazdę za służbę w 312. Jednostce Ratowniczej w Chu Lai w Wietnamie - tam poznała swego przyszłego męża - a podczas wojny w Zatoce Perskiej kierowała specjalnymi operacjami wywiadu na tyłach wroga. Ale kiedy mąż ją przytulał, czuła się jak alabastrowa figurka, delikatna i krucha, a nie dowódca uzbrojonych kobiet i mężczyzn. Lubiła to uczucie. Kiedy mąż siadał obok niej na sofie i oglądał włoskie opery na DVD, z pewnego siebie chirurga przeistaczał się we wrażliwego chłopca z drżącymi rękami. Rzecz jasna, nie dotyczyło to seksu, który obojgu sprawiał ogromną satysfakcję.

Doktor ucałował swoją panią generał w czoło i życzył jej powodzenia. Ze zwykłego miejsca koło drzwi Carrie wzięła skórzaną aktówkę. Były w niej tylko długopisy, notatnik i oryginał napisanego wcześniej listu. Spodziewała się, że kiedy wróci, teczka nie będzie już pusta. Pani generał ruszyła na spotkanie jasnego poranka.

Kierowca stał obok samochodu i trzymał otwarte drzwi. Przedstawił się jako Angel Jimenez i poinformował, że w barku na tylnym siedzeniu ma mrożoną herbatę.

-

Skąd wiedziałeś, że to mój ulubiony napój? - zapytała.

-

Zapytałem i w końcu ktoś udzielił mi odpowiedzi - odparł młodzieniec.

-

Kto?

-

Tak naprawdę, generale, nikt tego nie wiedział. Musieli zapytać pani wojskowego kierowcę.

-

Rozumiem - uśmiechnęła się. - Dobra robota.

-

Dziękuję, generale.

Carrie wsiadła do wyglądającego obco samochodu.

2 - Wojna ortów

17

- Na siedzeniu leżą materiały dla pani - powiedział kierowca.

Podniosła papierową teczkę i rozerwała czerwony pasek pieczęci. Przez wiele lat jeździła cutlassem, saturn sprawiał wrażenie ciasnego. Skórzane siedzenie wydawało się zupełnie niewyrobione, ale wiedziała, że przyczyną wyraźnie twardszej jazdy jest pancerna płyta podłogowa i grube, kuloodporne szyby. Nie czuła się zagrożona, rozumiała jednak, że to konieczne środki ostrożności.

Generał Carrie otworzyła teczkę, opatrzoną stemplem Poufne. W środku znalazła kilka szarych kopert, w każdej znajdowały się dane personalne członka nowej jednostki, nad którą miała objąć

komendę. Przerzuciła je, szukając znajomych nazwisk. Tak jak się spodziewała, znalazła tylko dwa - Bob Herbert i Stephen Viens.

Znała Boba i jego nieżyjącą już żonę Yvonne z Bliskiego Wschodu, Viensa z wieloletniej pracy w Narodowym Biurze Rozpoznania. Obaj byli zawodowcami, ale dochodziły ją słuchy, że Herbert stał się jeszcze bardziej nieprzewidywalny niż dawniej.

Wszystko jedno. Prezydent Debenport powierzył jej zadanie przebudowy Centrum Szybkiego Reagowania, tak by umożliwić ściślejszą kontrolę nad jego działaniami.

Jeśli Herbert się nie sprawdzi, wymieni go na kogoś innego.

Przeglądała akta, by zapoznać się z personelem, z którym miała się dzisiaj spotkać.

Były oficer łącznikowy do współpracy z politykami, obecnie zastępca dyrektora Ron Plummer. Oficer łącznikowy do współpracy z FBI Darrell McCaskey. Dyrektor do spraw technicznych Matt Stoli. Psycholog Liz Gordon. Z krótkich opinii Paula Hooda i jego byłego zastępcy Mike'a Rodgersa wynikało, że każde z nich to silna osobowość, w języku wojskowym oznaczało to kawał sukinsyna.

Hood akceptował to i nawet zachęcał, by tacy byli. Rodgers nie. Carrie bardziej odpowiadała ta postawa.

Niełatwo przyjdzie ich okiełznać, ale była to okazja, na jaką Carrie czekała przez wszystkie lata służby. Nie miała zamiaru jej zmarnować. Nie reprezentowała sobą tylko nowej pozycji kobiety w wojsku. To ona musiała wprowadzić wojskowe standardy do organizacji. Było to przytłaczające, ale jednocześnie niesłychanie mobilizujące zadanie. A sukces zależał od tego, czy będzie pamiętać, co powiedział

jej ojciec, redaktor naczelny gazety z Pittsburgha, kiedy zaciągnęła się do wojska: „W

tej pracy nie chodzi o to, aby cokolwiek udowadniać komuś czy sobie samej, kotku.

Tu jest służba dla twojego narodu".

Zaczęła dokładniej przeglądać materiały, gdy samochód włączył się łagodnie do ruchu na stołecznej obwodnicy.

18

## ROZDZIAŁ 5

Waszyngton Poniedziałek, 8.29

Kiedy Hood dotarł do Zachodniego Skrzydła, panował tam podejrzany spokój.

Na korytarzach i w gabinetach Białego Domu nigdy nie było takiego zamieszania, jakie pokazywano w serialach telewizyjnych - ludzi miotających się w pośpiechu graniczącym z paniką. Po przejściu przez kontrolę służby bezpieczeństwa i przywitaniu z pierwszym doradcą prezydenta, Hood poczuł się jednak tak, jakby go zamknięto w przezroczystej bańce. Wzrok mijających go ludzi zbliżał się i nagle ześlizgiwał z niego, jak piasek z piłki plażowej. Może to tylko wyobraźnia. Albo początki paranoi. W stolicy był to normalny sposób bycia.

Hood został zaprowadzony prosto do Gabinetu Owalnego. Szefowa kancelarii Lorraine Sanders rozmawiała z prezydentem, oparta o biurko. Debenport zaprosił

gestem Hooda, pani Sanders znikła w sąsiednim pokoju. Po chwili wróciła, a za nią pojawił się mężczyzna w białej marynarce, pchający dwupoziomowy, mosiężny barek na kółkach, którego koła głośno skrzypiały.

Prezydent wstał i podał Hoodowi rękę. Debenport był średniej budowy ciała, miał spadziste ramiona, przerzedzone włosy koloru słomy i ukradkowy uśmiezek.

Wyglądał jak prowincjonalny pastor. Ze swoimi umiarkowanymi poglądami i spokojnym, opanowanym charakterem stanowił absolutne przeciwieństwo swego rosłego i energicznego poprzednika, który znalazł się na krawędzi załamania psychicznego, z którego wyciągnęło go Centrum. Hood i jego agencja odegrali też kluczową rolę w wyborze Debenporta, likwidując zagrożenie ze strony skorumpowanego niezależnego kandydata, Donalda Orra. To właśnie podczas tego starcia Centrum zostało zaatakowane niszczącym impulsem elektromagnetycznym.

-

Należał do Roosevelta - powiedział prezydent, wskazując brodą barek. -

Podobno nie pozwalał oliwić kółek. W ten sposób jego własny wózek inwalidzki wydawał mu się cichy i bardziej dostojny.

Hood wierzył, że tak było. Z takich drobiazgów buduje się wielkość i charyzmę.

-

Usiądź. - Prezydent wskazał czerwony skórzany fotel.

Hood usiadł. Prezydent zaczekał, aż pani Sanders usiądzie, zanim sam zajął miejsce.

Dla każdego z poprzednich prezydentów byłaby to demonstracja 19

siły, zgodnie z powiedzeniem „im większy wzrost, tym większa władza”. W wypadku byłego senatora z Karoliny Południowej chodziło tylko o dobre wychowanie.

Przy kawie i cięście prezydent spytał Hooda o dzieci. Kolejna uprzejmość, pomyślał

Hood, dopóki kelner nie wyszedł, nie mogli przecież poruszać kwestii związanych z bezpieczeństwem państwa. Odpowiedział, że Harleigh i jej młodszy brat Alexander mają się doskonale.

-

Trudno uwierzyć, że minęły już dwa lata od ataku na budynek ONZ - wtrąciła pani Sanders, wysoka kobieta o surowym i zaciętym wyrazie twarzy. - Byłam wtedy zastępcą dyrektora do spraw Nowego Jorku w Departamencie Stanu. Razem z FBI opracowywaliśmy plan wysłania nurków z oddziału antyterrorystycznego po dnie East River, kiedy pan i generał Rodgers uwolniliście zakładników.

-

To zasługa Mike'a - odparł Hood. - Ja starałem się tylko uratować córkę.

Głos lekko mu się łamał. Bywali z Rodgersem w różnych tarapatach i Hood wiele zawdzięczał generałowi. Ale nie rozmawiali ze sobą od sześciu miesięcy, odkąd Rodgers został szefem pracującej na rzecz wojska firmy Unexus, międzynarodowego przedsięwzięcia z kapitałem australijskim, brytyjskim, rosyjskim i amerykańskim.

Kelner wyszedł, zamykając drzwi. Debenport upił łyk kawy i pochylił się do przodu.

-

Paul, zaprosiłem cię, bo chciałbym cię prosić o przysługę - powiedział. -

Proszę, żebyś zajął się realizacją mojego projektu.

Prezydent miał talent do przypisywania sobie autorstwa różnych pomysłów, co zdecydowanie utrudniało rozmowę, jeśli nie chciało się go urazić.

-

Potrzebuje pan tylko mnie czy całego Centrum? - spytał Hood.

-

Ciebie - odparł Debenport. Entuzjastyczny ton w jego głosie zabrzmiał jak klepnięcie po plecach. - Zostaniesz specjalnym wysłannikiem prezydenta.

Stanowisko to wiąże się z uczestnictwem w międzynarodowych działaniach wywiadowczych, bez powiązania z konkretną organizacją, ale z dostępem do zasobów wszystkich agencji. Twój gabinet mieściłby się piętro niżej, meldunki składałbyś bezpośrednio mnie, za pośrednictwem pani Sanders, a nie przez sekretariat.

Hood pomyślał, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy dużo się wydarzyło, ale teraz jego umysł doznał przeciążenia od nadmiaru informacji. W pewnym momencie stwierdził, że trzyma w ręku

kawałek placka cytrynowego, ale nie pamiętał, kiedy po niego sięgnął.

20

-

Jestem zaszczycony, panie prezydencie. - Tylko tyle udało mu się wykrztusić.

-

A więc wchodzisz w to? - naciskał prezydent.

-

Proszę o czas na zastanowienie, panie prezydencie. To byłaby dla mnie wielka zmiana.

-

Jesteś mi potrzebny od zaraz - stwierdził Debenport. - Muszę mieć kogoś, komu całkowicie ufam. Chciałbym, żebyś to był właśnie ty.

-

A co z Centrum?

-

To już nie twoja sprawa - uciał bezceremonialnie prezydent.

-

Jak to?

-

Pokieruje nim generał Morgan Carrie, była szefowa wywiadu. - Prezydent pochylił się w stronę Paula. - Nominacja ze skutkiem natychmiastowym.

W tej chwili jego głos brzmiał twardo jak stal. Hood pamiętał ten ton z czasów, kiedy Debenport przewodniczył kongresowej Komisji Kontroli Wywiadu. Zniknął gdzieś prowincjonalny wikary, ustępując miejsca człowiekowi dysponującemu ogromną władzą.

-

Czyli albo zgodzę się na przeniesienie, albo zostanę zwolniony.

-

Ależ nie, Paul. - Prezydent się zachnął. - Możesz sam złożyć rezygnację. Twoja decyzja wejdzie w życie dziś o godzinie ósmej trzydzieści. Powiesz, że od dawna zamierzałeś postawić Centrum na nogi, a potem się wycofać.

-

Nie chcę utrudniać, ale muszę spytać, czy pan naprawdę potrzebuje mnie tutaj, czy raczej chce się mnie pozbyć z Centrum?

-

I jedno, i drugie. Sztabowi nie podobają się niektóre decyzje finansowe mojego rządu. Muszę uzdrowić sytuację.

-

Oddając im Centrum?

-

Prawdę mówiąc, tak. - Prezydent usiadł głębiej w fotelu. - Nie jesteś ' aaiwny, Paul. Wiesz, jak to działa. Twoje nowe stanowisko to mój pomysł

6a zachowanie równowagi. Potrzebny mi ktoś do współpracy z Centrum , pa stopie koleżeńskiej, a jednocześnie utrzymujący bliskie stosunki z pra-,ęownikami innych agencji wywiadu w kraju i za granicą.

-

Osobisty doradca do spraw wywiadu.

| W randze ministra, ale bez tytułu - potwierdził prezydent. - Nie bocz W końcu to awans, s -s- Oczywiście, panie prezydencie. Czy nie będzie to kolidować z działa-prowadzonymi przez Agencję Bezpieczeństwa Narodowego?

21

-

Poznałeś już generała Carew - powiedział Debenport i spojrzął na panią Sanders. - Jak to o nim mówi wiceprezydent?

-

Powiedział, że generał ma żelazne jaja.



-

Właśnie - przytaknął prezydent. - Wiceprezydent Perry wie, co mówi. Służyli razem w Wietnamie. Najważniejsze, że Carew nie ma tajemnic przed Departamentem Obrony.

-

To nie jest odpowiedź na moje pytanie - zauważył Hood. — Jak Carew zareaguje na moją obecność?

-

Spodoba mu się tak samo, jak generałowi Rodgersowi praca w cywilu - odparł prezydent. - Ale będzie musiał się z tym pogodzić. Będziesz się z nim kontaktował tylko wtedy, kiedy ci będą potrzebne informacje z NSA. Nie będziesz mu podlegał.

-

Rozumiem. A co ze współpracownikami?

-

W budżecie przewidzieliśmy dwóch asystentów, którzy będą urzędować poza Białym Domem - poinformowała pani Sanders. - Uznaliśmy, że pańskie komputery i telefony powinny zostać zlokalizowane tam, gdzie panuje niniejszy tłok. Wybraliśmy część odnowionej sutereny w Winder Building przy Siedemnastej ulicy 600.

-

Tam są biura pełnomocnika rządu do spraw handlu - zauważył Hood.

-

Tak.

-

A te piwnice... Czy to nie tam trzymano jeńców podczas wojny secesyjnej?

-

Mówiłam przecież, że zostały odnowione - zauważyła pani Sanders.

-

Słusznie - zgodził się Hood. Miał zatem zamienić jedną piwnicę na drugą. -

Zaangażowaliście już tych ludzi?

-

Nie - roześmiała się pani Sanders. - Ich wybór pozostawiamy panu.

-

W tym biurze nie zrobimy nic za twoimi plecami - zapewnił Debenport. - No i co? Potrzebuję własnego człowieka w wywiadzie. Paula Hooda.

Niech go diabli porwą, pomyślał Hood. Niech go diabli porwą za to, że potrafi wyjście awaryjne przedstawić tak, żeby wyglądało na celowe działanie. Był także wściekły dlatego, że w razie odmowy straci źródło utrzymania, a musiał przecież płacić alimenty żonie i łożyć na utrzymanie dzieci. Nie mógł pozwolić sobie na to, żeby urażona duma przeszkodziła mu w wypełnianiu tych obowiązków.

-

Zgadzam się na przeniesienie - powiedział.

-

Dziękuję - odparł prezydent i wstał. Zabrzmiało to szczerze i Hood poczuł się nieco lepiej, choć uległ szantażowi. Zresztą prezydent ma ra-

22  
cję. Taki jest Waszyngton i Hood powinien się cieszyć, że dostał kopniaka w górę -  
awansował do administracji rządowej.

Wciąż jeszcze nie docierało do niego, że nie wróci już do Centrum, że ciężar

-

i przywileje - kierowania agencją zostały zdjęte z jego barków. Przeciwnie niż po rozwodzie tym razem nie doznał żadnej ulgi, która mogłaby zrównoważyć nagłe poczucie pustki. Zmusił się, żeby o tym nie myśleć. Musi się zająć swoją nową pracą.

Na tym powinien się skupić. Wstał z miejsca równocześnie z szefową kancelarii. Pani Sanders poinformowała nowego specjalnego przedstawiciela prezydenta, że zaprowadzi go do jego gabinetu i wróci około trzeciej, po zorganizowaniu i wyposażeniu biura w Winder Building. Hood podziękował jej, wiedząc, że prezydent może ich słyszeć. Co prawda pochodził z Los Angeles, ale także odebrał dobre wychowanie.

Idąc korytarzem, zauważył, że pierwotny wewnętrzny sprzeciw powoli znika.

Zamiast niego pojawiło się delikatne napięcie uwagi. Może działo się to tylko w jego wyobraźni, a

może w jego chodzie czy postawie pojawiły się ledwie zauważalne symptomy dostępu do władzy. ,  
Postanowił się tym nie przejmować. Wczoraj był

dyrektorem Centrum, dziś jest specjalnym przedstawicielem prezydenta.

A jutro podczas śniadania może zostać postawiony w stan oskarżenia. Byli już blisko miejsca, gdzie  
znajdowało się skromne biuro wiceprezydenta, gdy Hood poczuł, że wibruje jeden z jego telefonów  
komórkowych.

-

Był to noszony na prawym biodrze, bezpieczny aparat STU-III, przez któ-ly rozmawiał o sprawach  
dotyczących działalności Centrum. Wyłuskał komórkę z uchwytu przy pasku i sprawdził numer  
rozmówcy.

Schował telefon z powrotem, nie odbierając połączenia. Czuł się trochę nie w porządku, ale było to  
jedyne słuszne posunięcie. Bob Herbert miał mu zapewne dużo do powiedzenia, ale o wiele lepiej  
porozmawiać z nim, ' kiedy już ochłonie.

## ROZDZIAŁ G

Durban, Republika Południowej Afryki 14 Poniedziałek, 3.10

ftykańskie Złote Wybrzeże już od pewnego czasu niezastulzenie nosi roją nazwę.

- Obecnie zaszczyt bycia najbogatszym, przynoszącym największe zyski cieją rozwijającym się  
regionem Czarnego Łądu przypada wschodniemu 23

wybrzeżu RPA, którego najważniejszym miastem jest Durban. Ze względu na podzwrotnikowy  
klimat, z wysokimi temperaturami i obfitymi opadami, tereny te doskonale nadawały się pod uprawę.  
Poczynając od połowy XIX wieku, trzydzieści lat po założeniu tu przez Brytyjczyków pierwszego  
portu, znaczne obszary ziemi przeznaczono pod uprawę trzciny cukrowej. Roślina ta była łatwa do  
pielęgnacji i transportu, zapotrzebowanie na cukier duże, tak więc produkcja przynosiła znaczne  
zyski.

Ponad sto pięćdziesiąt lat później trzcina cukrowa w dalszym ciągu odgrywała znaczną rolę w  
rolnictwie RPA, a Durban stał się największym portem cukrowym na świecie. Rozwijała się także  
turystyka. Duże odcinki wybrzeża przekształcono w popularne na świecie ośrodki wakacyjnego  
wypoczynku. Wzdłuż plaż Złotej Mili, gdzie lato trwało cały rok, rozciągnięto siatki przeciw  
rekinom, zbudowano baseny ze zjeżdżalniami, wesołe miasteczka, centra handlowe, wykwiłne  
restauracje, nocne kluby i pięciogwiazdkowe hotele, a wszystko to dwa kroki od oceanu.

Już od końca XIX stulecia, kiedy zbudowano linię kolejową, łączącą regiony położone w głębi lądu z  
portem, robotnicy z całego kontynentu, a także z dalekich Indii, zaczęli ściągać do pracy na  
plantacjach trzciny cukrowej. Pojawili się także inwestorzy z innych krajów, tworząc

międzynarodową mieszankę, niespotykaną w innych miastach w Afryce. Niektórzy z nich wykorzystywali port i jego urządzenia do intratnego przemytu dóbr. Ludzie tacy jak niesławny baron narkotykowy Yakuba Balwon wysyłali przez Durban heroinę, a pieniądze prali w filii londyńskiego banku Windsor Global Securities Bank. Inni sprzedawali rophynol, powodujący uzależnienie środek uspokajający, znany lepiej jako „pigulka gwałtu”.

Ze względu na międzynarodowy charakter Durbanu oraz to, że miasto zapewniało utrzymanie zarówno czarnej, jak i białej ludności, omijały je gwałtowne rozruchy na tle rasowym, pustoszące inne rejony kraju. Miejscowi robotnicy, bez względu na kolor skóry, nie żyli oczywiście w takim luksusie, jak właściciele plantacji, inwestorzy czy turyści, ale też nie klepali biedy, a kiedy przyszedł koniec apartheidu, zmiany przebiegły bez większych niepokojów. Jediną zauważalną różnicą była liczba Brytyjczyków i Afrykanerów, sprzedających swoje przedsiębiorstwa w porcie i jego otoczeniu biznesmenom z Indii, Niemiec, Francji i Chin.

Niezmiennie od lat były natomiast silosy cukrowe. Wielkie zbiorniki pełne brązowego cukru stały obok siebie rzędami w całej okolicy. Kiedyś te pięćdziesięciometrowe wieże budowano z kamieni i cegieł, obecnie były to stalowo-aluminiowe konstrukcje z ceramicznym pokryciem, utrzymują-

24

ł stałą temperaturę. Ich wierzchołki połączone były pomostami, dzięki czemu robotnicy wyposażeni w ubijaki - urządzenia przypominające młot pneumatyczny, ale z zaokrąglonym grotem - mogli przemieszczać się między nimi i ubijać ich zawartość.

Silosy wyskalowane były w tonach, a nie w metrach sześciennych, dlatego nawet jeśli były już wypełnione, można było wpakować do nich więcej cukru. Powietrze wokół zbiorników pachniało watą cukrową. Mimo podwójnych klap, wewnętrznych i zewnętrznych, kostropate granulki wypadały na ziemię i chodniki. Podobnie jak mrówki, pojedyncze drobiny znaczyły tyle, co nic, ale dwudziestopięciotonowa góra cukru robi-^ ogromne wrażenie. Silosy były podobne do siedmiu filarów mądrości, ęzczonych przez wyznawców wielu lokalnych kultów. Mieszkańcy RPA mazali zbiorniki za strażników dobrobytu. Stanowiły one ekonomiczne ezieczenie regionu, inwestorów i robotników, i-i? Największe składy trzciny cukrowej mieściły się wzdłuż nabrzeża May-i, Pracujący tu robotnicy, głównie z Kenii i Nigerii, musieli mieć mocne j, bo podczas chodzenia trudno je było oderwać od lepkich chodników, iana trwała dziesięć godzin, z dwoma piętnastominutowymi i jedną odzinną przerwą na szybki posiłek z torebki. Ich zadanie polegało na ilnowaniu, aby surowe słodkie łodygi z ciężarówek i wagonów kolej o-\*eh trafiały do przetwórnicy, a cukier do silosu na statkach zgodnie z har-"nogramem i przy jak najmniejszych ubytkach.

'Móshood Azwe, dwudziestodwulatek urodzony w Durbanie, nie przej-wał się rozsypanym wokół „słodkim złotem”. Silosy przyciągały owa-ale walające się wszędzie lepkie grudki sprawiały, że owady trzymały z dala od jego twarzy.

ięki temu mógł sprawnie kierować ciężarówkami pod elewatory, służące napełniania silosów. Wywrotki podjeżdżały tyłem do zsyków wyposażonych w filtry, wyłapujące resztki trzciny i inne śmieci, które dostały się cukru w przetwórnicy, tej godzinie ruch nie był zbyt wielki. Dużo więcej działało się rankiem, i upał i wilgoć uszkodziły niezaladowany cukier. Azwe myślał wlaś-pójściu z

kumplami do gospody Joao, kiedy podjechała ta wywrot-Nie była oznakowana znajomymi emblematami przedsiębiorstw Gama iipany lub KwaZulu-Natal Shipping Associates, które zajmowały się Mtem cukru do silosów. Na przyczepę niedbale narzucono brezen-ya płachtę, mającą chronić trzcinę przed słońcem. Nie było potrzeby jej mowania.

Powinna sama opaść przy przesypywaniu cukru do zsypu.

25

Azwe stał na rampie otaczającej z trzech stron betonowy podjazd w pobliżu środkowej sekcji sześciu silosów. Gestem ręki powstrzymał kierowcę. Nie wolno mu było wydać pozwolenia na rozładunek bez sprawdzenia listu przewozowego.

Podbiegł do kabiny kierowcy i zeskoczył z rampy na podjazd. Nie podparł się dłonią, żeby się nie pobrudzić pokrywającym rampę trudnym do usunięcia, lepkiem osadem o konsystencji kleju.

Azwe był wysoki, oparł więc rękę o boczne lusterko i zajrzał do kabiny przez otwarte okno.

-

Poproszę dokumenty - mówił nieco gładzącym akcentem, charakterystycznym dla tubylców zamieszkujących te rejony na setki lat przed przybyciem Europejczyków.

Kierowca był młody i wyglądał na Malgasza. Odwrócił się do drugiego mężczyzny siedzącego w szoferce, który podał mu papiery wyciągnięte ze schowka.

-

Dziękuję. - Azwe spojrział na dokumenty. Ze zdziwieniem przerzucał kolejne kartki. Były to strony z południowoafrykańskiego wydania magazynu „Time”.

-

Co to ma być? - spytał z oburzeniem, podnosząc wzrok na kierowcę.

I już nic nie zdążył zrobić, kiedy pocisk z wyposażonej w tłumik beretty wywiercił okrągłą, czerwoną dziurkę w jego czole. Westchnął cicho i osunął się na ziemię między przednim kołem ciężarówki a ścianą rampy. Ciałem wstrząsały drgawki, krew tryskała z przestrelonej czaszki. Azwe miał otwarte oczy i mrużył je nieregularnie, gdy spadały na nie krople krwi. Po chwili zamknął powieki i znieruchomiał.

Kierowca wyskoczył z szoferki i przeszedł nad dziwacznie wykręconym ciałem robotnika na tył ciężarówki. Pasażer też opuściłabinę. Podeszedł do wiszącej na grubym kablu skrzynki sterowania podnośnika i nacisnął niebieski guzik. Kierowca wskoczył na skrzynię wywrotki, wyciągnął spod płachty turystyczną lodówkę i zdjął

wieko. Pojemnik był wypełniony kostkami C-4. Wyjął z kieszeni detonator, nastawił

na cztery minuty i wcisnął w jedną z kostek materiału wybuchowego. Następnie postawił pojemnik na podnośniku.

Razem z drugim mężczyzną szybko wyciągnęli jeszcze cztery lodówki i otworzyli je.

W każdej znajdowało się sześć kostek C-4. Tym razem nastawili detonatory na pięć sekund po pierwszej eksplozji.

Po załadowaniu materiałów wybuchowych na podnośnik odesłali go do wnętrza silosu. Najpierw jechał poziomo pod rampą, potem pionowo do górnego otworu zsykowego, przez który zawartość trafiała do środka.

26

Zamachowcy wrócili pośpiesznie do ciężarówki. Od kilku dni obserwowali silosy z motorówki i z pobliskiego centrum handlowego przy Victo-ria Street. Akcja została zaplanowana na nie dłużej niż trzy minuty, żeby wystarczyło im czasu na bezpieczną ucieczkę. Zniszczeniu miał ulec nie tylko silos, ale także kamery przemysłowe i dyżurka, w której nagrywano kasety VHS. Po sprawcach nie powinien zostać żaden ślad, dzięki któremu dałoby się powiązać kogokolwiek z tą sprawą. Prowadzący dochodzenie mieli znaleźć porzuconą ciężarówkę, berettę z zatartym numerem i podarty numer magazynu „Time”.

Sto sekund po odjeździe zamachowcy byli już poza łańcuchem otaczającym silos.

Wkrótce potem nastąpiła eksplozja C-4. Wybuch wyrzucił w powietrze pokrywę silosu, jakby to była zabawka. Kawałki metalu i płytek ceramicznych opadły na zewnątrz, wraz z wielkimi grudami zbrylonego cukru. Postrzępione płachty blachy rozleciały się we wszystkich kierunkach i unosiły w powietrzu, połyskując w promieniach popołudniowego słońca. Pierwsza eksplozja sprawiła, że pozostałe pojemniki potoczyły się do sąsiednich silosów. Kiedy wybuchły, zniszczyły ściany zbiorników i zasypały ich wnętrza tonami odłamków. Huk eksplozji zwielokrotniony echem przetoczył się przez port. Dały się słyszeć suche trzaski potężnych odłamków, uderzających w drugi szereg wież. Odrywały ich pokrywy i zrzucały je do morza. Na ścianach wszystkich sześciu silosów pojawiły się pęknięcia, niektóre delikatne jak włos, inne głębokie jak rozpadliny. Pierwsze rozpadły się trzy najpoważniej uszkodzone silosy po stronie południowej, rozrzucając cukier i elementy konstrukcji po ziemi i sąsiednich budynkach. Na skutek uderzenia niewielkie pęknięcia w północnych silosach pogłębiły się i w kilka sekund doprowadziły do ich zawalenia.

Po niecałej minucie charakterystyczne dla nabrzeża Maydon wieże zamieniły się w sześć hałd gruzu, nad którymi unosiły się kłęby dymu, pachnącego jak przypalony marcepan. Choć nie było większych ognisk pożaru, pojawili się strażacy i przystąpili do poszukiwania ofiar. Przedstawiciele policji prowincji KwaZulu-Natal rozpoczęli dochodzenie. Silosy nie były dokładnie strzeżone, ponieważ ich zniszczenie nie mogło przynieść nikomu żadnych korzyści.

Aż do dziś.

27

## ROZDZIAŁ 7

Waszyngton Poniedziałek, 9.11

TWfic tak nie drażni zawodowego oficera wywiadu, jak brak informacji.

A szef wywiadu w Centrum Szybkiego Reagowania był rozdrażniony do granic możliwości.

Pracownicy przemykający przed otwartymi drzwiami gabinetu Boba Herberta nie mogli nie zauważyć, że z czterdziestoosmioletnim oficerem dzieje się coś niedobrego. Ich szybkie, pytające spojrzenia i prowadzone półgłosem rozmowy sprawiały wrażenie, że wiedzą, iż w Centrum coś się stało, ale nikt nie wiedział

dokładnie co. Mogli usłyszeć jakieś plotki od Bugsa Beneta albo zauważyć nowo przybyłą osobę, kiedy przechodziła przez hol. Nikt jednak nie miał pojęcia, co to znaczy.

Nie wyłączając Herberta.

Szef wywiadu siedział za biurkiem w swym nowiutkim, supernowoczesnym wózku inwalidzkim. Trudno było cokolwiek wyczytać z jego twarzy. Wyglądał na człowieka doskonale opanowanego. Ale jego spokój był pozorny, stanowił bowiem kruchą skorupę, pływającą po wzburzonym morzu emocji. W środku Herbert aż się gotował

ze zdenerwowania.

Do pracy przyszedł pół godziny przed czasem, po całej nocy doglądania instalacji oprogramowania w niewielkiej, ale znakomitej sekcji wywiadu Centrum Szybkiego Reagowania. Razem z kolegami niecierpliwie oczekiwał inauguracji po sześciu miesiącach ciężkiej pracy całego zespołu nad odbudową systemu. Tymczasem stało się zupełnie inaczej.

Kilka minut po tym, jak Herbert minął wartownika - od którego system otrzymał

informację, że szef wywiadu jest obecny, i rozesłał ją do komputerów pozostałych dyrektorów sekcji - zadzwonił Bugs Be-net z wieścią, że ktoś obcy siedzi w gabinecie Paula Hooda. Generał, w dodatku kobieta. Naturalnie dysponowała wszelkimi uprawnieniami, by zjechać na dół, miała też kartę identyfikacyjną, która dawała jej dostęp do gabinetu Hooda. Kazała Benetowi zwołać zebranie kierownictwa na godzinę dziesiątą w sali konferencyjnej Centrum. A potem zamknęła drzwi gabinetu.

-

I tyle ją widziałem - powiedział Benet. - Od razu dzwonię do ciebie.

-

A gdzie jest Paul? - spytał Herbert.

-

W Białym Domu - odpowiedział Benet.

28

To nie zapowiadało niczego dobrego. W Waszyngtonie stosowano dość niezwykle metody zdejmowania ludzi ze stanowisk i mianowania następców. Tak to właśnie wyglądało.

-

Próbowałaś się z nim skontaktować?

-

Nie. Rozmowa byłaby rejestrowana. - Benet ściszył głos. - Jeśli Paul został

zdymisjonowany, poziom jego uprawnień mógł ulec zmianie. Nie chciałbym zostać oskarżony o przekazywanie danych operacyjnych osobie postronnej.

Tak rzeczywiście mogło być. Kompletna paranoja. Herbert poprosił o połączenie z panią generał.

Usłyszał w słuchawce kobiecy głos. Generał Morgan Carrie przedstawiła się jako nowy dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania i powiedziała, że porozmawia z Herbertem i resztą kolegów na spotkaniu kierownictwa. Kiedy zapytał o Paula Hooda, wyjaśniła, że nie ma żadnych informacji na jego temat i będzie się z nim widzieć za czterdzieści pięć minut. Po czym odłożyła słuchawkę.

Herbert usiłował zadzwonić do Hooda, ale jego komórka nie odpowiadała.

Rozdrażnienie Herberta szybko zmieniło się we wściekłość. Zadzwonił Darrell McCaskey i Herbert powiedział mu, co się dzieje. Liz Gordon poradziła, żeby namierzyć Hooda GPS-em.

-

Jeśli został zwolniony, to nie wiadomo, do czego może się posunąć

-

powiedziała.

-

Paul nie jest człowiekiem, który targnąłby się na swoje życie. - Herbert się skrzywił.



-

Właśnie na kogoś takiego trzeba najbardziej uważać. Z kamiennym spokojem wyprowadzi cię z każdej opresji, a potem nie wie, co ze sobą zrobić - zaproponowała Liz. - Jak żołnierz wracający z frontu. Robota skończona, przestaje działać siła napędowa, czas się wycofać. Ale nie to mnie najbardziej martwi.

-

Tylko co? - Herbert był prawie przekonany, że u Liz Gordon nastąpiło typowe przeniesienie i że mówi o swoich własnych odczuciach - jest zdenerwowana, zdezorientowana i sama nie potrafi dać sobie rady.

-

Może wyładować złość na tym, co postrzega jako przyczynę cierpień

-

wyjaśniła Liz.

-

Na prezydencie?

-

Raczej na Centrum - odparła. - Może pójść do gazet i się poskarżyć albo odwiedzić starego kumpla i zdradzić mu jakieś tajemnice. W ten sposób wpakuje się w poważne kłopoty.

29

-

Nie, Paul jest na to zbyt opanowany - nie zgodził się Herbert.

-

Tak sądzisz. - Zabrzmiało to jak stwierdzenie, a nie pytanie. - Pamiętasz, jak go poruszyło przypadkowe spotkanie dawnej dziewczyny?

-

Liz, to była miłość jego życia.

-

A czym dla niego jest Centrum? To ono jest jego życiem.

Miała rację, ale Herbert uważał, że jej obawy to zwykła psychologiczna gadanina.

Nie będzie pilnował Paula Hooda ani przydzielał mu ogona. Po spotkaniu kierownictwa powinni jednak wrócić do tej sprawy. Cała nadzieja w tym, że generał

Carrie będzie miała jakieś informacje o swoim poprzedniku albo że Hood do tej pory sam się z nimi skontaktuje.

Musi wiedzieć, że będą się o niego martwić.

Zadzwoił jak zwykle nieulegający emocjom Matt Stoli, by spytać, czy pogłoski o nowym dyrektorze są prawdziwe oraz w jaki sposób, zdaniem Herberta, wpłynie to na pracowników i operacje. Herbert odparł, że nie wie, ale poczuł perwersyjną ulgę, że ktoś martwi się o całe Centrum, a nie tylko o ludzi. Dzięki temu przypomniał

sobie, że czy mu się to podoba, czy nie, ma do wykonania robotę polegającą na służbie dla narodu. Była już za dwie dziesiąte. Czas zrobić jakieś rozpoznanie.

Oczywiście zakładając, że nadal ma tę pracę.

## ROZDZIAŁ 8

Waszyngton Poniedziałek, 10.40

pierwszy rzut oka sala konferencyjna zrobiła na generał Carrie wra- w żenie pomieszczenia surowego i mato przytulnego. Drewniana wykładzina była ciemna, światło wiszących jarzeniówek zimne, a prostokątny stół zajmujący prawie cały pokój ciężki i pusty.

Tank zawdzięczał swoją nazwę zainstalowanym w ścianach zabezpieczeniom przeciwko jakiegokolwiek emisji fal elektromagnetycznych z zewnątrz pomieszczenia.

Ściany pokoju stanowiły zaporę dla transmisji radiowych, dlatego podsłuch przy użyciu elektronicznych pluskiew i zewnętrznych anten generował tylko szum i zakłócenia. Chronione były także linie telefoniczne i sieć komputerowa. Urządzenia z tego pomieszczenia jako jedyne w całym Centrum przetrwały impuls elektromagnetyczny. Dzięki temu służyło ono jako tymczasowy punkt dowodzenia w czasie odbudowy.

30

Generał Carrie wybrała to pomieszczenie, ponieważ było bezosobowe. W gabinecie dyrektora było dość miejsca, ale na biurku stały fotografie dzieci Paula Hooda, a na ścianach wisały zdjęcia przedstawiające byłego dyrektora w towarzystwie różnych osobistości. To mogło ich rozpraszać. Poleciała Benetowi spakować rzeczy i odesłać je Hoodowi.

To zawsze ludzie nadają wyraz pomieszczeniom, pomyślała. Jeśli zgodnie z opiniami w ich teczkach personalnych są błyskotliwi i pomysłowi, prostota tego miejsca nie ma żadnego znaczenia. W sali konferencyjnej o najwyższym współczynniku bezpieczeństwa stały komputery, ale nie będzie

potrzebowała żadnego z nich.

Weszła dokładnie o wyznaczonej godzinie i kiwnęła głową zebranych o nieznanym jej, powściągliwych twarzach. Wielokrotnie już przewodniczyła zebraniom i prowadziła liczne odprawy. Uczestniczący w nich politycy czy oficerowie czuli się często skrępowani bądź rozbawieni tym, że prowadzi je kobieta, i traktowali poruszane sprawy jako mniej ważne, niż gdyby przedstawiał je mężczyzna.

Zwłaszcza biały mężczyzna. Carrie była pewna, że czarnoskórzy i latynoscycy oficerowie spotykali się z podobną rezerwą jak ta, której ona zawsze doświadczała.

Teraz jednak w twarzach pięciu mężczyzn i jednej kobiety siedzących przy podłużnym stole dostrzegła jedynie niepokój. Częściowo była to zapewne obawa o własną przyszłość, a częściowo o los Hooda.

General Carrie rozpoznała szefów najważniejszych sekcji, widzianych wcześniej na fotografiach. Po lewej siedział Matt Stoli, dyrektor techniczny Centrum. Obok niego zajął miejsce prawnik Lowell Coffey, a za nim Darrell McCaskey. Bob Herbert ulokował się przy przeciwległym krańcu stołu, mając po lewej dyrektora Rona Plummera, za którym siedziała Liz Gordon.

Obok komputera na miejscu przewodniczącego stała karafka z wodą. General nałła trochę wody do szklanki i spytała, czy ktoś jeszcze ma ochotę. Niektórzy podziękowali, reszta zachowała milczenie. Jak zwykle nie usiadła. Woląca stać, nie dlatego, żeby wydać się wyższą, ale aby zwiększyć zasięg głosu. Nie miała przecież klasycznego, szczekliwego barytonu, charakterystycznego dla oficerów sztabu generalnego. Skrzyżowała ręce z tyłu, nad pośladkami, i rozejrzała się po sali.

- Jestem general Morgan Carrie. Z rozkazu prezydenta dziś rano o godzinie ósmej trzydzieści objęłam stanowisko dyrektora Centrum Szybkiego Reagowania. Niestety, nie dysponuję żadnymi informacjami na temat byłego dyrektora Hooda. Może ktoś z państwa z nim rozmawiał?

31

Spuścili wzrok. Kilkoro pokręciło powoli głowami.

-

Będę wdzięczna za jakąkolwiek informację na temat pana Hooda.

-

Nie zawsze się zgadzaliśmy, ale on jest naszym przyjacielem, generale -

powiedział Bob Herbert.

Carrie spojrzała na niego.

-

Miło mi to słyszeć, panie Herbert. To już jakiś punkt zaczepienia.

-

Nie dlatego o tym wspomniałem - odparł Herbert. - Kiedy generał Mike Rodgers sześć miesięcy temu został odwołany, Paul Hood był z nami szczerzy. Było mu przykro i głupio. Dobrze wiedział, że nikomu z nas to się nie podobało. Nasz zespół nigdy nie opierał się na informacjach, które zostały dla nas „przygotowane”.

Zawsze zdobywaliśmy je sami. Chcemy upewnić się, co się stało z Paulem, jak do tego doszło i z jakiego powodu.

-

A jeśli nie udzielę odpowiedzi? - spytała generał Carrie. W głosie Herberta wyczuła groźbę. Nie znosiła gróźb, podobnie jak protekcyjnego traktowania.

-

Proszę to sobie wyobrazić jak odpowiednik porzucenia żołnierzy podczas bitwy - powiedział Herbert. - Jeżeli pytania pozostaną bez odpowiedzi, będzie pani dowódcą, ale nie zdobędzie ani szacunku, ani zaufania.

-

To moja sprawa - stwierdziła ostrym tonem. - Pańskim obowiązkiem jest wykonywać swoją robotę, a nie moją.

-

Do moich obowiązków należy doradzanie dyrektorowi. - Herbert był

niewzruszony. - Właśnie to zrobiłem, generale Carrie.

Carrie rozplotła ręce i oparła się o stół. W corocznej ocenie pracowników Hood napisał o Herbercie, że szef wywiadu lubi prowokować. Określił to jako:

„zachowanie najczęściej pożyteczne, choć nierzadko irytujące”. Przekonała się właśnie, że wcale nie przesadzał.

-

Ma pan dla mnie jeszcze jakieś rady, panie Herbert? - spytała.

-

W tej chwili nie, generale.

-

Doskonale. Teraz więc ja coś panu poradzę. Istnieje granica między doradzaniem a krytyką i pan ją naruszył. Czasami wystarczy jedno zdanie lub słowo, czasami nawet ton głosu. Jeżeli jeszcze raz przekroczy pan tę granicę w mojej obecności, będę mogła bardzo dokładnie opowiedzieć całemu zespołowi, co się stało z byłym szefem wywiadu Centrum.

Zawiesiła na chwilę głos, aby zobaczyć, jakie reakcje wywoła jej wypowiedź. Czuła się jak Meduza - patrzyło na nią sześć nieruchomych, jak 32

wykutych w kamieniu twarzy. Jedna z nich należała do Herberta. Właściwie wcale nie sprzeciwiała się temu, co powiedział. W wojsku informacje przesyła się odpowiednimi kanałami, a nie wyciąga spod ziemi. Centrum, będące cywilną agencją, działało bardziej agresywnie, raczej za pomocą ostrych cięć niż subtelnych posunięć. Będzie musiała przywyknąć do tego rodzaju metod. Ale zrobi to na własnych warunkach.

-

Będę rozmawiała ze wszystkimi indywidualnie, w miarę czasu i możliwości.

Zacznę od Boba. - Zmierzyła go wzrokiem. - Może uda nam się cofnąć taśmę i zacząć wszystko od nowa.

Herbertowi zadrgały mięśnie policzków. Szybko pochylił głowę, jak łapacz dający znaki. Uznała to za sygnał przyzwolenia. Lowell Coffey i Liz Gordon się uśmiechnęli. Próba wyciągnięcia ręki do Herberta w wykonaniu pani generał zyskała ich aprobatę. Albo została uznana za stratę czasu.

Niedługo sama się przekona.

-

Tymczasem poproszę o pomoc - podjęła generał Carrie. Starła się, by zabrzmiało to pojednawczo, ale bez żadnych oznak słabości. Otworzyła teczkę i spojrzała na wydruk. - Na komputerze znalazłam alarmową wiadomość od sekcji monitoringu, piętro wyżej. Chodzi o dwie eksplozje, które miały miejsce dziś rano.

Jedna o piątej rano w Charlestonie w Karolinie Południowej, druga też około piątej czasu miejscowego w Durbanie w RPA. Sekcja twierdzi, że wydarzenia te mogą mieć ze sobą coś wspólnego. Według policji miejskiej w Charlestonie statek wysadzony w powietrze w tamtejszym porcie przewoził nielegalnych imigrantów z Chin. W Afryce wybuch zniszczył silos do cukru, należący do chińskiej firmy. Monitoring uważa, że druga eksplozja nastąpiła zbyt szybko jak na odwet, ale mogą to być pierwsze oznaki jakiegoś większego konfliktu. - Popatrzyła przez stół. - Co o tym myślicie?

-

Według posiadanych przez nas informacji prawie od roku Chińczycy coraz bardziej angażują się w Afryce - powiedział Ron Plummer. - Byli zamieszani w diamentowe operacje w Botswanie.

-

Czy to się wiązało z atakami na katolików? - spytała Carrie.

-

Tak. Uznaliśmy wówczas, że jakaś frakcja w rządzie chińskim może skorzystać na destabilizacji w tym rejonie - dodał Plummer.

-

Złożyliśmy oficjalne zapytanie w tej sprawie przez naszą ambasadę w Pekinie -

dorzucił Coffey. - Ambasador otrzymał odpowiedź od przewodniczącej komitetu do spraw międzynarodowego bezpieczeństwa Narodowego Kongresu Ludowego.

Zdecydowanie zaprzeczyła, jakoby Pekin oficjalnie angażował się w jakąkolwiek działalność na kontynencie afrykańskim

3 - Wojna ortów

33

z pominięciem ambasady, a jednocześnie odżegnała się od odpowiedzialności za działania osób prywatnych.

-

Zwykle Chiny otwarcie przyznają się do zaangażowania w jakimś rejonie świata - zauważył Plummer. - Jeżeli roszczą sobie do czegoś prawa, tak jak do złóż ropy naftowej na wyspach Spratly, całkiem otwarcie kładą na tym rękę.

-

Co w tym przypadku nie ma większego znaczenia - rzekł Coffey. -

Przewodnicząca Komitetu Bezpieczeństwa w liście nie wykluczyła udziału osób prywatnych zarówno z rządu, jak i postronnych.

-

Chodzi panu o szarą strefę - domyśliła się Carrie.

-

Nie tylko - zaprzeczył Plummer. - Wielu bogatych Chińczyków inwestuje za granicą ze względu na większą swobodę prowadzenia interesów niż w ChRL.

-

Nielegalni imigranci sprowadzani do pracy to jednak szara strefa, jak słusznie pani zauważyła - dorzucił Darrell McCaskey. - Przerzut kosztuje średnio dwieście patyków od łebka. Na miejscu zostają przywiązani do pracodawcy i pracują jako prostytutki lub niewykwalifikowani robotnicy, dopóki nie spłacą tej kwoty. Ponieważ połowę zarobku wysyłają rodzinom do Chin, praktycznie pozostają niewolnikami do końca życia. FBI od lat bawi się z nimi w chowanego. W tej chwili zaczyna przegrywać, ponieważ środki zostały przesunięte do Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, a trzeba jeszcze tropić nielegalnych imigrantów z Malezji, Filipin i Bliskiego Wschodu.

-

Być może powinniśmy zmienić metody postępowania - stwierdziła pani generał.

-

Co pani ma na myśli? - spytał Herbert.

Szef wywiadu mówił dość wyzywająco, a nie głosem człowieka pokonanego. Carrie zastanawiała się, czy Bob Herbert zna takie słowa jak „klęska” lub „pokora”.

-

Monitoring twierdzi, że Amerykanie chińskiego pochodzenia stanowią cztery procent populacji - stwierdziła Carrie. - Większość z nich mieszka w dużych aglomeracjach, takich jak Nowy Jork, San Francisco i Filadelfia. Nie zależy nam na tym, by obszary te stały się zarzewiem konfliktu. Trzeba by się dokładnie przyjrzeć, czy przypadkiem nie szykuje się tam jakaś wojna. Kto ma coś do powiedzenia na ten temat?

-

Zależy, gdzie mamy zamiar prowadzić działania - powiedział Herbert. - Nasi dwaj współpracownicy, Dave Battat i Aideen Marley, znają Afrykę. Ktoś z naszych lokalnych pracowników może skoczyć do Charlestonu.

-

To jest odrabianie zaległości. Myślałam raczej o podjęciu kroków wyprzedzających. Czy mamy kogoś w Pekinie?

-

Kilku miejscowych - odparł Herbert. - Kontaktujemy się tylko przez pośredników.

-

Powtórka z Wietnamu i Korei - rzucił Plummer.

-

Tak. Wszyscy wiemy, jak to się skończyło - stwierdziła ze smutkiem Carrie. -

Może nadszedł czas na zmianę dynamiki działania.

-

Czy pani walczyła w Wietnamie? - spytała Liz.

-

Tak. Dlaczego pani pyta?

-

Po raz pierwszy oderwała pani wzrok od stołu. Tak, jakby patrzyła pani w przeszłość.

Carrie poczuła się odarta z prywatności, ale uznała, że nic złego się nie stało. Dzięki temu zespół dowiedział się czegoś o jej przeszłości, co mogło pomóc zyskać w ich oczach nieco szacunku, o którym mówił Herbert. Liz Gordon wyglądała na zadowoloną, co pozwalało przypuszczać, że właśnie w tym celu zadała pytanie.

Carrie znów pochyliła się do przodu.

-

Niech pan pogada z zespołem, Bob, i przygotuje materiały. Zrobimy sobie roboczy lunch w moim gabinecie. Przedyskutujemy pańskie pomysły i może uda nam się obrać drogę postępowania.

Herbert pokiwał głową, tym razem na zgodę.

Pani generał zamknęła teczkę z dokumentami i wypła łyk wody.

-

Jeśli nikt nie ma nic więcej do dodania, dziękuję państwu za poświęcony mi czas i udział w spotkaniu. Na koniec chcę państwa zapewnić, że nigdy nie zapomnimy ani nie umniejszymy zasług



tych, którzy byli tu przed nami - Paula Hooda, Mike'a Rodgersa, a przede wszystkim tych, którzy poświęcili coś więcej niż swój czas i zdolności. Myślę o Marcie Mackall, podpułkowniku Charliem Squiresie i bohaterach z oddziału Striker.

Darrell McCaskey uderzył w stół pięścią lewej ręki. Pozostali powtórzyli ten gest szacunku i uznania. Bob Herbert też.

I nagle tank stał się dla generał Carrie tak przytulny, jak własna sypialnia.

## ROZDZIAŁ 9

Pekin, Chiny Poniedziałek, 22.46

Słynny dwudziestowieczny przewodniczący Komunistycznej Partii Chin, Liu Shaochi, powiedział kiedyś, że kraj ten nigdy nie będzie miał idealnego przywódcy.

Jest na to zbyt wielki, a jego ludność zbyt zróżnicowana.

35

Jeżeli ktoś będzie się mienił takim przywódcą-pisał dalej polityk filozof - udaje, jak świnia wpychająca sobie szalotki do nosa, żeby wyglądać jak słoń.

Krępy, łysawy premier Le Kwan Po, pochodzący z odległej prowincji Xizang Zizhiąu leżącej nad granicą z Nepalem, nie do końca zgadzał się z poglądem, że Chinami rządzić się nie da. Choć faktycznie, bycie przywódcą kraju, którego poszczególne prowincje miały zupełnie odmienną historię i potrzeby, wymagało niezwykłych umiejętności i sprytu. Pod koniec XIX wieku, za panowania ostatniej cesarskiej Chin, Tzu-hsi, doszło do gwałtownych rozruchów przeciwko cudzoziemcom, znanych jako powstanie bokserów. Zorganizowali je członkowie tajnego stowarzyszenia Pięść w Imię Sprawiedliwości i Pokoju, założonego w 1898 roku, którego celem było wyrwanie Chin spod obcych wpływów. Cesarzowa zaakceptowała nowoczesne udogodnienia, wprowadzone przez Brytyjczyków, Rosjan, Japończyków i Amerykanów, takie jak telegraf i kolej, ale sprzeciwiła się napływowi misjonarzy i mieszanii do wewnętrznej polityki Chin. Trudno było utrzymać równowagę między tymi metodami postępowania.

Pewnego dnia schwytano i oskarżono o zamordowanie brytyjskiego biznesmena, zdążającego do ambasady, jednego z bokserów. Ofiara została śmiertelnie pobita we własnym powozie, chiński woźnica zbiegł na widok napastnika. Jeden z doradców Tzu-hsi twierdził, że winowajca powinien zostać stracony. Inny ostrzegał, że taki wyrok tylko rozjuszy spiskowców. Cesarzowa zezwoliła na egzekucję, ale nie za zabójstwo cudzoziemca. W swym dekrete stwierdziła, że z winy owego człowieka jeden z jej ministrów pokłócił się z drugim, zaburzając spokój poranka. Za tę właśnie zbrodnię skazaniec miał ponieść śmierć.

Le Kwan Po zastanawiał się nad złożonością gestów i pozorów, gdy jego samochód ruszał spod budynku rządowego przy Chaoyangmen Nandajie 2 w pekińskiej dzielnicy Chaoyang. Jego życie obfitowało w tego rodzaju ostrożne manewry. Na przykład miał dwa samochody: wyprodukowane w

Chinach linyang antelope i dużo wygodniejszego volkswagena polo, złożonego w niemieckiej montowni w Szanghaju. Antylopy używał do poruszania się po Pekinie, polo zaś służyło mu do wypadów za miasto, gdzie nikt go nie widział.

Bez przerwy trzeba zachowywać pozory, pomyślał. Zadowalać nacjonalistów, a jednocześnie zostawiać coś dla ewentualnych zagranicznych inwestorów.

36

W samochodzie nie było nikogo poza premierem i kierowcą. Zwykle jechała z nimi jego asystentka i osobista sekretarka. Ale tego wieczoru wołał być sam. Chciał się zastanowić nad niepokojącymi wydarzeniami dnia.

Popatrzył przez okno na oświetlone pomniki i pałace przy placu Tien-anmen. Noc była gorąca i deszczowa. Duże krople spływały po szybach samochodu, rozmywając światła miasta - bardzo odpowiednio w dniu, w którym nic nie było jasne i wyraźne.

Kierowca prowadził niewielką limuzynę wąskimi bocznymi uliczkami. O tej porze i przy tej pogodzie nie było na nich riksów i rowerów, zapełniających je w ciągu dnia.

Samochód szybko zbliżał się do pekińskiej rezydencji Le Kwan Po, mieszczącej się na ostatnim piętrze jednego z apartamentowców ekskluzywnego kompleksu Cheng Yuan Towers. Oficjalnie premier miał jeszcze jeden dom na przedmieściach Pekinu, u stóp góry Shouan, koło parku Xiangshan. Tam udawał się na weekend. W ciągu tygodnia wołał jednak nie opuszczać centrum, dzięki temu mógł wychodzić do pracy w ostatniej chwili i żył w zgodzie z wielkomiejskim rytmem Pekinu.

Mógł obserwować tych, którzy walczyli o jego stanowisko albo starali się go usunąć za pomocą intryg i nacisków. Premier lubił spokój wiejskich okolic, ale malowniczy świat pół uprawnych należał w Chinach do przeszłości. Przyszłość to była kosmopolityczna stolica oraz miasta takie, jak Szanghaj, pełen studentów i biznesmenów, z których wielu pochodziło z bogatego Tajwanu, będącego potencjalnym wrogiem. I oto kolejne zadanie dla akrobaty, zręczniejszego niż którykolwiek z artystów Opery Pekińskiej - jak rozwiązać problem Tajwanu. Chińska gospodarka rosła w siłę dzięki inwestycjom zza cieśniny. Zarazem jednak coraz bardziej słabł strumień pieniędzy dla armii, płynących z budżetu przez wiele lat dzięki zagrożeniu ze strony Moskwy i Tajpej. Zawodowi wojskowi na najwyższych szczeblach dowodzenia nie byli tym zachwyceni. Mniejsza liczba stanowisk to ograniczenie możliwości awansu. Niezadowolenie ogarniało coraz niższe stopnie hierarchii. Chociaż Le Kwan Po znał historię cesarzowej sprzed stu lat, nie miał jej mądrości i doświadczenia. Nigdy nie toczył wojen, nie zwalczał rywali, nie miał do czynienia z nienawiścią, skierowaną przeciwko kręgom, z których się wywodził, oraz wszystkiemu, co reprezentował. Nie musiał też samemu knuć intryg przeciwko panującemu. Był zwyczajnym, zawodowym politykiem o konserwatywnych poglądach, synem nauczycielki i urzędnika rady miejskiej z małego miasteczka.

Ojciec rozpoczął swoją karierę urzędniczą w wieku dwudziestu jeden lat i regularnie awansował na kolejne stanowiska w mieście, okręgu i prowincji, aż 37

wreszcie wszedł do władz centralnych. Le Kwan Po nie został premierem dzięki doświadczeniu w pracach rządu, ale dlatego, że w przeciwieństwie do swych kolegów nie popełnił żadnego poważniejszego błędu. Doszedł tak wysoko, bo jego zalety zostały zauważone i poparte odpowiednimi sojuszami oraz współpracą z określonymi służbami.

W odróżnieniu od bezlitosnej cesarzowej premier nie miał tak nieograniczonych możliwości działania. Musiał liczyć się ze zwierzchnikami

-

prezydentem i wiceprezydentem, całym gabinetem, złożonym z ambitnych i dysponujących wielką władzą ministrów, a w końcu z Narodowym Kongresem Ludowym, którego członkowie tworzyli liczne grupy nacisku, zarówno lokalne, jak i personalne.

Obecny konflikt między Czou Szinem, szefem tajnej Jednostki 8341 Centralnego Korpusu Bezpieczeństwa, oraz bohaterem Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin, generałem Tam Li, toczył się poza orbitą wpływów premiera. Zgodnie z raportem otrzymanym z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa

-

Guojia Anquan Bu, w skrócie Guoanbu - obaj rywale rozpoczęli dziś w dwóch odległych od siebie zagranicznych portach bratobójczą wojnę. A to zaledwie część problemu. Tam Li należał do tych oficerów, którzy nie kryli rozczarowania brakiem wzrostu nakładów na wojsko. Jeśli połączy się obie te sprawy, generał może się stać poważnym zagrożeniem dla kraju.

Jak w czasach feudalnych, kiedy za każdą znamienitą osobistością stały całe wieki nienawiści. Nawet gdyby ktoś taki chciał doprowadzić do zgody, nie pozwoliłyby mu na to cienie przodków.

Takie brzemie to poważna sprawa, rozmyślał premier.

Przed wiekami łatwiej było bronić rodowego honoru. Lokalny władca otaczał się podobnie myślącymi ludźmi, a ze względu na duże odległości do konfrontacji dochodziło niezbyt często. Dzisiaj ludzie o całkowicie odmiennych poglądach i dążeniach przebywali i działali tuż obok siebie. Zazwyczaj potrafili pracować wspólnie dla dobra kraju.

Ale nie zawsze.

Deszcz bębnił o dach samochodu. Premier sięgnął do wewnętrznej kieszeni białego płaszcza, wyciągnął papierośnicę i zapalił. Poprawił się na siedzeniu. Gdyby kiedykolwiek Chinom udało się odwrócić złą passę i rozszerzyć wpływy na cały świat, premier chciałby, aby Chińczycy nauczyli się produkować samochody dorównujące jakością bmw i mercedesom, a także, by umieli wytwarzać tak dobre papierosy, jak camele.

Nie wiedział, jak zachować się wobec konfliktu dumnych, nieustępliwych i wpływowych członków rządu. Nie była to sprawa, o której powi-38

nien poinformować prezydenta czy wiceprezydenta. Rozwiązywanie sporów między urzędnikami państwowymi, nawet tych, które mają wydźwięk międzynarodowy, należy do kompetencji premiera. I powinien sobie z tym radzić.

Le Kwan Po bardzo by chciał, aby dla utrzymania pokoju wystarczyło poświęcić jakąś nieznaczącą jednostkę, tak jak to uczyniła cesarzowa w przypadku bokserów. W gruncie rzeczy ruch ten jedynie odsunął w czasie to, co i tak było nieuniknione, za to spowodował wybuch gwałtownych rozruchów. Obce mocarstwa wysłały wojska do Chin, aby zgnieść nacjonalistyczne powstanie. Cesarzowa nie próbowała ich powstrzymać, raczej cieszyła ją związki z Zachodem.

Ale Chiny nie poszły za nią.

Dynastia upadła wkrótce po śmierci Tzu-hsi. Nacjoniści nienawidzili jej do tego stopnia, że rozbili cesarski grobowiec, zrabowali kosztowności i zbezczeszili szczątki władczyni. Silne nastroje antycesarskie pomogły dojść do władzy doktorowi Sun Jat-senowi i Czang Kai-szekowi, którzy opowiadali się za republiką w stylu zachodnich demokracji, co tylko rozjątrzyło rany i wywołało chaos polityczny i ideologiczny.

Dopiero objęcie przywództwa przez Mao Tse-tunga i partię komunistyczną w 1949 roku na trwałe przywróciło porządek w państwie.

To był wspaniały czas, wyczekiwany od stuleci. Le Kwan Po przypomniał sobie ojca, czytającego na głos nowiny z gazet, drukowanych w maleńkiej drukarni w ich rodzinnej wiosce Gamba. Druk składał wieczorami wujek przyszłego premiera, na co dzień pracujący w kamieniołomach, znajdujących się dosłownie w cieniu Mount Everestu.

Młody Le dobrze zapamiętał radość w głosie ojca, gdy czytał o zakończeniu wojny domowej, wyniszczającej kraj skrwawioną długotrwałą walką z Japonią. Był wręcz oszołomiony zwycięstwem komunistów nad republikanami, którzy śmieli nazywać się nacjonalistami. Spodziewał się, że dzięki temu ciężko pracujący robotnicy będą mogli zapewnić utrzymanie swojej małej rodzinie i żyć nowocześnie, na wysokim poziomie.

Kiedy nowy reżim zamknął gazetę, wujek Le Kwan Po zaczął składać nowy tygodnik

- „Zasady Działania Rad Ludowych”. Młody chłopak był dumny, że może chodzić do szkoły otwartej przez komunistów w Gamba i właśnie on został wybrany do odczytania na głos przed całą klasą pierwszego wydania.

Starsi członkowie obecnego gabinetu - a do nich zaliczał się premier - pamiętali, co to znaczy nieporządek i chaos. Nie chcieli dopuścić do 39

powrotu tamtych czasów, czy to w rezultacie studenckich demonstracji na placu Tiananmen, czy w wyniku sporów między wpływowymi ministrami. Premier wypuścił dym przez nos. Pomyślał o fałszywym słoni, o którym mówił Liu Shaochi.

Będzie musiał jakoś przekonać zwaśnione strony, że jest wszechmocnym smokiem.

To jedyny sposób, by porzucili spory i zjednoczyli siły.

Le Kwan Po nie wiedział, w jaki sposób tego dokonać. Wiedział tylko jedno.

Musi coś zrobić. I to szybko.

## ROZDZIAŁ 10

Pekin, Chiny Poniedziałek, 23.18

(Izou Szin, siedemdziesięcioletni, niewysoki dyrektor ściśle tajnej Jed-

nostki 8341 Centralnego Korpusu Bezpieczeństwa, siedział w swoim gabinecie na czwartym piętrze dawnej siedziby Komunistycznej Partii Chin, w cieniu Zakazanego Miasta, obok pałaców despotów, rządzących krajem przez całe stulecia.

Pięciopiętrowy budynek z cegły wzniesiono w latach trzydziestych XX wieku, na miejscu Yuan Chung, jednego z najstarszych banków w mieście. Komuniści zburzyli pawilonową budowlę, aby pokazać, że stare odchodzi i zaczyna się nowa era. To właśnie w gabinecie Czou Szina powstawały plany wojny z Czang Kai-szekiem i stąd padł rozkaz rozpoczęcia działań. Budynek miał ściany z cegieł, miedziane sufity oraz rury, wydające przeciągłe dźwięki, gdyż nie mogły sprostać rosnącemu zapotrzebowaniu. Jedna ze ścian miała kilka niewielkich okien, ale wewnątrz zawsze było sporo cienia. Dyrektor włączył ogrzewanie, nie tylko po to, aby odegnać chłód deszczowej nocy, ale by ich monotony szum zagłuszył ewentualne urządzenia podsłuchowe.

Czou oczekiwał na najnowsze dane wywiadowcze od agenta w Tajpej. To, co planował, było bardzo niebezpieczne. Ale jak się okazało tego dnia, beczynność również była groźna.

Czou skracał sobie oczekiwanie przeglądaniem danych, które nazywał „brukowymi”, bo pozyskiwano je z ulicy. Pochodziły od płatnych informatorów, agentów obstawiających bary, restauracje, hotele i hale dworcowe, ze zwykłego podglądania i podsłuchiwania oraz z inwigilacji elektronicznej. Furgonetki CKB jeździły ulicami Pekinu, podsłuchując rozmowy te-40

lefoniczne i przechwytyjąc rosnące ilości danych komputerowych, przekazywanych drogą bezprzewodową. Mimo iż Korpus zatrudniał ludzi, którzy zajmowali się wyłącznie przesiewaniem danych, w ciągu roku ilość materiałów na jego biurku zwiększyła się dwukrotnie. Nie wyobrażał sobie, co będzie za dwa, trzy lata. Być może tak jak CIA będą zmuszeni reagować tylko na wyrażenia kluczowe, takie jak

„zamach terrorystyczny” czy „zagrożenie bombowe”, rezygnując z kontrolowania reszty przekazów.

Wiele lat temu lista zadań Korpusu była krótka. Pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy Czou rozpoczął pracę w Korpusie, głównym zadaniem Jednostki 8341 była osobista ochrona Mao Tse-tunga i innych przywódców partii komunistycznej. Ale elitarny oddział Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin był czymś więcej niż jednostką ochroniarzy, zajmował się także utrzymywaniem siatek szpiegowskich o międzynarodowym zasięgu, których zadaniem było wykrywanie spisków na życie przewodniczącego i pozostałych. Czou, wcześniej wojskowy telefonista, należał do zespołu, który wykrył elektroniczne urządzenie podsłuchowe, zainstalowane w klamce drzwi gabinetu przewodniczącego Mao. W ramach awansu został

przeniesiony do jednostki zajmującej się zwalczaniem elementów wywrotowych i przydzielony do śledzenia ewentualnych przeciwników przewodniczącego Mao.

Jednostka 8341 miała spory udział w aresztowaniu słynnej Bandy Czworga w 1976

roku, która sposobiła się do przejęcia władzy po śmierci Mao. Potem oddział

oficjalnie rozwiązano. Następca Mao, Teng Hsiao-ping, kładł nacisk na

„dekomunizację” państwa i jego instytucji. Zatwardziali komuniści, tacy jak Czou, przetrwali zmiany. W przeciwieństwie do poprzednich przywódców, Teng uznał, że należy spełniać życzenia prostego ludu, a nie tylko elit. Wicepremier wkrótce na nowo zatrudnił ludzi, których sam wcześniej zwolnił, oraz odbudował rozwiązane organizacje. Najszybciej zaś odrodziła się ta, która była odpowiedzialna za jego osobiste bezpieczeństwo.

Obecnie Jednostka 8341 odpowiadała za wykrywanie antyrządowych spisków. Jej sfera działania rozciągała się na całe Chiny i Tajwan. Od czasu rozruchów na placu Tiananmen w 1989 roku niewielu dysydentów odważyło się wystąpić oficjalnie przeciwko władzom. Działalność podziemna była wciąż dość żywa, ale nie stanowiła zagrożenia i ograniczała się do grupki filozofów, zbankrutowanych przedsiębiorców, zagranicznych podżegaczy i wyjętej spod prawa młodzieży, zapatrzonej w modne, zachodnie ciuchy. Żadna z tych grup nie przedstawiała najmniejszego zagrożenia dla rządu. Jedyne potencjalnym źródłem problemów była armia, w której lekkomyślna, ambitna osoba mogła przejąć władzę nad tysiącami żołnierzy.

41

Osobą taką był generał Tam.

W odróżnieniu od premiera, z którym właśnie się spotkał, Czou nie miał ani cierpliwości, ani litości dla ludzi, którzy zdradzali kraj i filozofię wyznaczoną przez przewodniczącego Mao. Le Kwan Po był mediatorem. Jego celem było doprowadzenie do równowagi i kompromisu. Czou lubił premiera i uważał go za patriotę. Ale Le pragnął, żeby Chiny pozostały zjednoczone za wszelką cenę, nawet gdyby miały poddać się obcym wpływom i odejść od komunizmu.

W tym istotnym punkcie Czou zupełnie nie zgadzał się z premierem. Dyrektor aż zadrżał ze złości, gdy wspomniał ukochaną małżonkę przewodniczącego Mao, która przystąpiła do zdradzieckiej Bandy Czworga. Wraz z trzema współnikami zmusiła dowództwo wojskowe do pomocy w czystkach,

mających na celu wykorzenienie maoistowskiej ideologii. Rewolucja komunistyczna była ruchem głęboko ideowym.

Jej idee były słuszne i potrzebne. W latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku armia na rozkaz Mao strzegła praw ludu do życia w zgodzie z tymi ideami. Jiang Qing chciała to wszystko zepsuć. Wykorzystała okrutną Czerwoną Gwardię do przeforsowania własnych pomysłów. Rozwiązania wprowadzane na bagnietach zwykle nie wytrzymują próby czasu. Prowadzą do ucisku, a uciskani zwykle zwracają się przeciwko władzy.

Tę prostą prawdę Banda Czwojga uświadomiła sobie podczas długotrwałego, transmitowanego przez telewizję procesu, który odbył się w Pekinie.

To samo wkrótce uświadomi sobie generał Tam Li.

Rozległ się brzęczyk komputera. Dyrektor zamknął białą, papierową teczkę i schował

ją do szuflady. Popatrzył na monitor. Pojawił się na nim znak zachęty do podania hasła. Wpisał chińskie znaki, odpowiadające słowom „orzeł” i „szpon”, a potem odczekał chwilę na ściągnięcie pliku.

Na półce w swoim gabinecie Czou miał zbiór smoków z kości słoniowej. Bardzo lubił te figurki i kolekcjonował je od dziecka. Trzymał je jednak w biurze także po to, by wywieść w pole przeciwników. Każdy, kto chciałby włamać się do jego komputera, szukałby haseł związanych ze smokami. Nikt nie wpadłby na to, że może chodzić o innego potężnego drapieżnika.

Czou miał przed sobą raport jednego ze swych agentów z Tajwanu. Dyrektor CKB

czekał na tę informację. Generał Tam Li rozpoczął realizację planu mającego zniweczyć zamiary człowieka, który usiłował go śledzić. Wydawało mu się, że przemoc i zagrożenie własnej osoby skierują wzrok Czou Szina w inną stronę.

42

To, co zrobił Tam, nie było zwykłym błędem, ale błędem krytycznym.

0

czym miał się przekonać za niecałą godzinę.

## ROZDZIAŁ 11

Tajpej, Tajwan Poniedziałek 23.49

fBrzydziestodwuletni Lo Tek wiódł wspaniałe życie. Zawdzięczał to M swobodzie, jaką się cieszył, i szacunkowi, który go otaczał. Nie bez znaczenia była zadziwiająca prostota świata, w którym żył.

Naprawdę nazywał się Huijing Wong, ale współpracownicy ochrzczili go Lo Tek\*, ponieważ z uporem odmawiał korzystania z najnowszych elektronicznych środków łączności. Lubił aurę tajemniczości, a trudno działać pod osłoną ciemności z tymi dzisiejszymi świecącymi zabawkami. Większość dni

1

nocy spędzał na swym trzydziestometrowym keczu z doświadczoną, trzyosobową załogą, żeglując po wodach Morza Żółtego i Południowochińskiego.

Prawie całą nawigację prowadził w sposób tradycyjny, kierując się przede wszystkim wiatrem i światłem gwiazd. Uważał, że skoro przodkom to wystarczało, on też sobie poradzi. Miał na pokładzie komputer i odtwarzacz DVD, ale wykorzystywał je tylko w celach rozrywkowych. Łączność zapewniała jedynie radiostacja nadawczo-odbiorcza.

Lo Tek rzadko schodził na ląd. Na morzu znajdował uchodźców. Mężczyźni, kobiety i dzieci usiłowali przedostać się z jednego miejsca do drugiego. Przede wszystkim uciekali z Indonezji i Chin na Tajwan i próbowali dotrzeć do Hongkongu i Japonii.

Co roku ponad połowa z piętnastu tysięcy desperatów ginęła w morskich odmętach z powodu przeciążenia łodzi, nienadających się do morskich podróży, niesprzyjających warunków atmosferycznych, braku wody i żywności albo w wyniku napadów piratów, którzy ograbiali ich z nędznego dobytku, gwałcili i zabijali kobiety, zatapiali dżonki. Spośród tych szczęśliwców, którzy przeżyli morską podróż, cztery tysiące chwytała i zawracała straż przybrzeżna. Innych aresztowali lub sprzedawali skorumpowani policjanci portowym alfonsom. W tym ostatnim wypadku chodziło najczęściej o młode kobiety, czasem młodych chłopców. W każdym razie nikt ich już więcej nie widział.

*Lo Tek odpowiada brzmieniem angielskiemu wyrażeniu „low-tech”, czyli*

*„nienowoczesny, staromodny”.*

43

Mniej więcej tysiącowi ludzi udawało się dotrzeć do brzegu. Spośród nich najwyżej dwustu udawało się znaleźć jakieś zajęcie. Resztę czekał los złodziei, skazańców i w końcu śmierć.

Lo Tek zajmował się zatem bardzo specyficznym procederem. Jego ludzie

„pomagali” uchodźcom spełnić ich marzenia, organizując transport morski. Łodzie z

„towarem” trafiały do Lo Teka, który wybierał najładniejsze młode kobiety i sprzedawał je do luksusowych burdeli na Tajwanie, w Tajlandii i Hongkongu. W

zamian za ich milczenie Lo Tek zapewniał pozostałym pasażerom dotarcie do punktu przeznaczenia.



W zamian za przepuszczanie łodzi płynących z Chin Lo Tek sownie opłacał

przedstawiciela chińskiej armii. Generał Tam Li od wielu lat stanowił podporę tego interesu, bywał też częstym gościem na keczu.

Lo Tek nie miał żadnych wyrzutów sumienia w związku ze swym zajęciem.

Chińczycy już w zamierzonych czasach handlowali żywym towarem, była to więc profesja usankcjonowana wielowiekową tradycją. Biorąc pod uwagę statystyki, większość z dziewcząt byłaby martwa w ciągu najbliższych dni lub tygodni. Lo Tek nigdy osobiście ich nie wykorzystywał, zostawiając szkolenie młodego narybku portowym prostytutkom. Uważał, że wyświadcza młodym damom przysługę, umieszczając je tam, gdzie będą miały zapewniony dach nad głową, wyżywienie i regularną opiekę medyczną. Ponadto będą miały możliwość zarobienia pieniędzy i wysłania ich rodzinom, a przecież właśnie w tym celu opuściły domy.

Schodząc na ląd, Lo Tek lubił odwiedzać kluby, z którymi prowadził interesy.

Traktowano go tam zawsze z najwyższymi honorami. Podejmowano wykwintnymi daniami i napojami, organizowano spotkania z dostarczonymi przez niego kobietami.

Był to spory sukces jak na osieroconego, wiejskiego chłopaka, który sprzedał swoją siostrę bliźniaczkę żołnierzom i Szanghajskim robotnikom portowym, inkasując za każdym razem po dziesięć fenów. Nadal zresztą przysyłał jej połowę z zarobionych pieniędzy, za które prowadziła sierociniec w Szanghaju.

Klub Dach Świata, mieszczący się na szczycie Barre Crowne Tower, był legalnym lokalem. Można tu było zjeść, obejrzeć występy artystów i potańczyć. Tylko wybrani goście wiedzieli, jak poprosić o dodatkową usługę. Piętro niżej znajdowały się eleganckie pokoje dla panów, którzy dysponowali czasem i pieniędzmi na to, co klub określał jako „terapię specjalną”. Droga do tych pokoi prowadziła wyłącznie przez windę, dostępną tylko dla wybranych.

Po dwóch tygodniach w morzu Lo Tek czuł, że zasłużył na bardzo specjalną terapię.

W tym czasie dostarczył trzydzieści kobiet klientom z obrze-44

za Pacyfiku, w tym jednemu prywatnemu kolekcjonerowi z Filipin, który uwielbiał

wysokie i bardzo młode osoby towarzyszące. Kiedy Lo Tek dotarł na miejsce, portier wpuścił go do wieżowca i zaanonsował jego przybycie. Na czterdziestym piętrze serdecznie powitał go kierownik klubu.

-

Dlaczego pan nas nie uprzedził? - spytał, uściskawszy gościa. -

Zarezerwowalibyśmy dla pana całą salę.

-

Nigdy nie wiem, kiedy będę miał wolną chwilę.

-

Proszę o chwilę cierpliwości. Specjalnie dla pana zorganizujemy wszystko w ciągu pół godziny - zapewnił kierownik.

-

Dziękuję.

Po kręconych schodach zeszli do głównej sali nocnego klubu. Kierownik nazywał się Chin Teng. Był chudy, nosił grube szkła, a jego czoło pokrywały krople potu. Lo Tek pomyślał, że facet powinien mieć metabolizm myszy. Bardzo by mu się to przydało przy tej ciągłej bieganiu i skakaniu przy gościach.

W klubie panował mrok. Pośrodku sali znajdował się półokrągły bar, wokół niego nieregularnie rozstawione wysokie stoły. Za barem, na podwyższeniu, zainstalowano parkiet do tańca. Wielkie okna sięgały od podłogi do sufitu i pokrywały ściany niemal połowy okrągłego pomieszczenia. Roztaczał się przez nie widok na całe miasto oraz zamglone światła portu. Ze względu na wczesną godzinę klub był prawie pusty. Klienci pojawiali się przeważnie między północą a pierwszą nad ranem i bawili się do świtu. Disc jockey pracujący w kabinie nad parkietem grał azjatycką konfekcję popową. Lo Tek dobrze widział ochroniarzy, którzy przez przyciemnione szyby obserwowali, czy goście odpowiednio się zachowują. Na parkiecie tańczyły dwie pary, trzech mężczyzn i kobieta siedziało w barze, a dwóch młodych ludzi nad butelkami piwa w boksie w końcu sali, z dala od okien. Chyba mieli ciężki dzień.

-

Życzy pan sobie coś do jedzenia lub do picia? - spytał kierownik.

-

Poproszę sok pomarańczowy, świeżo wyciśnięty, bez lodu.

-

Służę. - Kierownik wskazał mu boks w rogu, w pobliżu okna.

Lo Tek zagłębił się w obitej skórą kanapie. Przywykł do kołysania morskich fal i czuł się trochę nieswojo na stałym lądzie.

Zabójczo urodziwa młoda kelnerka w krótkiej czarnej spódniczce przyniosła mu wodę, orzeszki i olśniewający uśmiech, który odwzajemnił. Była jeszcze jedna różnica między pobytem na morzu i na

ładzie - tutaj nie patrzył na kobietę pod kątem ceny, którą mógłby za nią uzyskać, po prostu widział w niej człowieka. Kierownik przyniósł mu napój i oddalił

45

się, by, jak powiedział z porozumiewawczym uśmiechem, „dopilnować reszty zamówienia”. Lo Tek z przyjemnością pociągnął łyk soku, który przywrócił życie wyschniętym ustom. Napił się jeszcze i rozejrzał dokoła. W zamyśleniu złożył

serwetkę w małą żaglówkę. Origami stanowiło jego hobby, doskonałe ku uciechu i odwróceniu uwagi najmłodszych dziewcząt, goszczących przez krótki czas na pokładzie jego keczu.

Widział, jak dwaj mężczyźni w boksie zostawili na stoliku kilka banknotów i wyszli.

Żaden z nich nie miał ze sobą teczek ani aktówki, co sprawiało dość dziwne wrażenie.

Zauważył też, że butelki po piwie owinęły szczelnie serwetkami, tak jakby nie chcieli zostawiać odcisków palców.

Zastanawiał się, czy to faktycznie coś znaczy, czy to tylko jego podejrzliwa natura.

Taka była ostatnia myśl handlarza żywym towarem, zanim cały lokal eksplodował, wraz z bębenkami jego uszu. Bombę podłożono w teczce pod stolikiem i zdalnie odpalono. Składało się na nią sześć kostek trotylu, połączonych taśmą samoprzylepną. W materiał wybuchowy wetknięto detonator. Przed umieszczeniem kostek w teczce wypełniono ją... cukrem. Oczywiście z Durbanu.

Wybuch rozrzucił wokół małe krysztalki cukru, które wyglądały jak robaczki świętojańskie. Stolik rozleciał się, wybuch startł na proch ludzi i sprzęty, podmuch rozrzucił szczątki z siłą huraganu. Na ściany bryzgnęła krew zmieszana z alkoholem, bo podmuch spowodował wtórną eksplozję butli z dwutlenkiem węgla na zapleczu baru. Z dołu słychać było jęki i nawoływania. Taneczny parkiet nocnego klubu zapadł

się, miażdżąc ludzi na trzydziestym dziewiątym piętrze. Chwilę później krzyki rozległy się na ulicy. Ogromne panoramiczne okna klubu spadły na dół. Odłamki szkła leciały jak grad, bębniąc o dachy, karoserie samochodów i chodniki.

Poskręcane stołki barowe, szkło z rozbitych butelek i szklanek znalazły się pod przeciwległą ścianą. Powyginane na wszystkie strony ramy okien wisiały nad ulicą. Z

niektórych wciąż odpadały duże kawałki szkła. Przez otwory okienne zaczął

wydobywać się ciemnoszary dym. Wiatr niósł go nad port, dodając kolejny obłok do pochmurnego, nocnego nieba. Przechodnie, których dosięgnął zabójczy deszcz szkła, upadli na chodnik. Lżej ranni wili się z bólu, ugodzeni większymi odłamkami leżeli bez ruchu.

Piekło trwało zaledwie pięć sekund. Potem zapadła cisza, przez którą przebiły się syreny samochodów służb alarmowych, zdążających ze wszystkich stron na miejsce wypadku. Na ziemię opadały kartki papieru i obłoki pyłu z izolacji i pokruszonych cegieł. Część z lżejszych śmieci do-46 leciała aż do zatoki. Wśród nich znalazła się papierowa łódeczka Lo Teka. Spadła do wody i wkrótce poszła na dno.

## ROZDZIAŁ 12

Waszyngton Poniedziałek, 13.01

Kiedy Hood usiadł za biurkiem w nowym gabinecie, do środka weszła młoda dziewczyna, z pozoru niewiele starsza od jego córki. Z miłym uśmiechem wyjaśniła mu zasady pracy na nowym komputerze. Mindy - tak miała na imię - pochodziła najwyraźniej z teksańskiej arystokracji pieniądza, sądząc po akcencie i kostiumie od Armaniego. Sumiennie rozejrzała się dookoła, a potem objaśniła mu, jak powinien wprowadzić osobiste hasło.

- System zapisuje informacje o każdej witrynie, którą odwiedzi pan w Internecie -

poinformowała smukła stażystka. - Prezydent zalecił nam rozwagę w poruszaniu się po sieci.

Hood już słyszał pochodzącego z Południa prezydenta, gdy wypowiadał się na ten temat głosem pełnym pobożności i troski. W ustach młodej stażystki, z przekonaniem powtarzającej słowa szefa, zabrzmiało to bardzo dojrzałe. Hood mówił zresztą to samo ludziom w Centrum, tyle że jemu wystarczały dwa słowa: „Zero pornografii”.

Mindy objaśniła mu obsługę aparatu telefonicznego i wręczyła kartę otwierającą drzwi toalety. Cały czas zachowywała się bardzo profesjonalnie. Po wyjściu dziewczyny Hood został sam za zamkniętymi drzwiami. Pani Sanders miała przyjść o trzeciej. Chciała porozmawiać o zasadach funkcjonowania nowego biura. Zapewniła go zawnazasu, że wszelkie decyzje leżą wyłącznie w jego kompetencjach i po zakończeniu wstępnych ustaleń zachowa pełną niezależność.

Dopóki wszystko będzie szło tak, jak chcecie, pomyślał. W przeciwnym razie specjalny wysłannik prezydenta zostanie wylany i ktoś inny zajmie jego miejsce.

Taka jest normalna kolej rzeczy w stolicy.

Hood z trudem obejmował myślą to, co właśnie się wydarzyło. Rozejrzał się dookoła i uśmiechnął smutno. Tylko jeden element nie zmienił się od wczoraj - nadal nie miał

okna. Dysponował jedynie drzwiami, przez które mógł wyjść.

Poczuł się samotny, chociaż o kilka metrów dalej pracowali inni ludzie. Zajmował

wysoką pozycję w hierarchii władzy, a zarazem czuł się 47

zadziwiająco bezsilny. Trudno mu będzie odzwyczaić się od otrzymywanych co godzinę raportów z mieszczącej się piętro wyżej sekcji monitoringu. Martwił się brakiem kogoś takiego jak Bob Herbert czy Darrell McCaskey, z kim mógłby się naradzić.

To nieprawda, Hood upomniał się w myślach. Powinien zadzwonić do Boba Herberta.

Krótką chwilę przypominał sobie, jak radzić sobie z aparatem telefonicznym. Musiał nacisnąć 9, wprowadzić kod swojego wydziału, a następnie wybrać numer docelowy.

W Centrum robiło się to nieco inaczej.

-

Cześć, Paul. Co się z tobą dzieje, do jasnej cholery? - spytał Herbert w odpowiedzi na powitanie Hooda.

-

Same zmiany.

-

Jasne. Na wyświetlaczu widzę, że dzwonisz z Białego Domu - zauważył Herbert.

-

Jestem nowym specjalnym wysłannikiem prezydenta - wyjaśnił Hood.

-

Wysłannikiem? A dokąd, jeśli można wiedzieć? - spytał Herbert.

-

Dokądkolwiek. Nadal zajmuję się zapobieganiem międzynarodowym kryzysom.

-

Spodziewałeś się tego? Czy w ogóle spodziewałeś się jakichkolwiek zmian, wliczając w to zmianę wartownika przed Centrum?

-

Nie - przyznał Hood.

-

Ja też nie. A jesteśmy doświadczonymi pracownikami wywiadu.

-

Atak zawsze nadchodzi z najmniej oczekiwanej strony - przypomniał Hood.

-

Czyżby właśnie o to chodziło? - zastanawiał się Herbert.

-

Jak to?

-

Użyłeś słowa „atak”. Sądziłem, że wszyscy jesteśmy po tej samej stronie.

Hood poczuł się, jakby dostał cios nadgarstkiem w skroń. Herbert ma rację.

Faktycznie, nie podoba mu się to, co się stało, i właściwie nie wie dlaczego. Przecież nie każdy dostaje „kopa” do Białego Domu. Powinien być zadowolony, tymczasem odczuwał tylko złość. Może dlatego, że teraz ma kogoś nad sobą. Dotychczas nigdy tak nie było, ani gdy był burmistrzem Los Angeles, ani doradcą finansowym, ani szefem Centrum Szybkiego Reagowania. Chociaż kongresowa Komisja Kontroli Wywiadu przyglądała się działalności i finansom Centrum, Hood jej nie podlegał.

Nie musiał tłumaczyć się przed nikim. A teraz musiał odpowiedzieć sobie szczerze na bardzo istotne pytanie: czy uważa prezydenta za przeciwnika?

48

Nie. Jeżeli już, to raczej Lorraine Sanders, zdecydował. Uderzyła go jej wyjątkowa skłonność do obrony własnego terytorium.

-

Jak reszta przyjęła zmiany? - spytał Hood.

-

Nie wiem - odparł Herbert. - Chyba dość obojętnie. Mieliśmy rano odprawę i wszyscy siedzieli cicho. Właściwie z nikim jeszcze o tym nie rozmawiałem.

Zastanawiałem się nad sprawą, o której nas poinformowano.

-

Możesz mi o tym opowiedzieć? - spytał Hood. Chciał jak najszybciej zająć się tym, na czym się znał najlepiej. Roztrząsanie spraw osobistych nie poprawiało mu samopoczucia, przeciwnie, przygnębiało go coraz bardziej.

-

Jasne - odrzekł Herbert. - Zachowałeś dotychczasowe uprawnienia dostępu do informacji?

-

Tak - potwierdził Hood. Herbert nie żartował. Trochę go to zmartwiło, ale i teraz nie bardzo wiedział dlaczego. Przecież Herbert wykonuje swoje obowiązki i działa zgodnie z procedurą, którą on sam wprowadzał.

-

Ktoś usiłuje storpedować zagraniczne interesy Chińczyków - wyjaśnił Herbert.

- Tego samego dnia doszło do trzech incydentów. Generał Carrie chce wiedzieć, czy są one ze sobą powiązane i czy powinniśmy się przejmować tą sprawą.

-

A powinniście? - spytał Hood.

-

Za wcześnie na ocenę - odparł Herbert. - Policja z Charlestonu donosi o znalezieniu w porcie szczątków chińskich pasażerów na gapę. Godzinę temu eksplodowała bomba w nocnym klubie w Tajpej. Specjalni goście korzystali w nim ze specjalnej terapii.

-

Terapeutkami były zapewne panienki - domyślił się Hood.

-

Sam widzisz, że coś się klei - potwierdził Herbert. - Nie wierzymy, że obiektem ataku są uciekinierzy z Chin. Podejrzewamy, że chodzi raczej o tych, którzy im to umożliwiają, pomagają w ucieczce i czerpią korzyści z ich sprzedaży w Tajpej albo w Stanach Zjednoczonych. Darrell właśnie skończył rozmawiać z kolegą, który pracuje w policji miejskiej w Tajpej. Sekcja antyterrorystyczna mieści się na posterunku Xihu, dlatego zjawili się na miejscu zdarzenia już po kilku minutach.

Znaleźli ciężko rannego człowieka, zidentyfikowanego jako Huiling Wong, podejrzanego o stręczytelstwo. Facet zmarł w drodze do szpitala, ale w porcie znaleziono jego łódź.

-

Znaleźli jakieś telefony, komputery?

-

Nie. Gość nie używał tego rodzaju gadżetów. Przezywali go nawet Lo Tek.

Wszystkie interesy załatwiał osobiście, ewentualnie ze statku za pomocą bezpośredniej łączności z drugim statkiem lub z lądem.

4 - Wojna orłów

49

-

Sprytnie.

-

Policja portowa odszukała jego radiooperatora. Mają nadzieję, że czegoś się od niego dowiedzą.

-

Myślisz, że to Huiling był celem zamachu? - spytał Hood.

-

Nie. Załatwiliby go łatwiej na łodzi. Prawdopodobnie znalazł się w klubie przypadkiem i dostał to, na co zasługiwał.

-

A więc chodzi o interesy - stwierdził Hood.

-

Najprawdopodobniej, ale Ron i generał Carrie uważają, że może to być wojna zastępcza. Jestem skłonny zgodzić się z tym poglądem.

Te słowa zabolaly go o wiele bardziej niż policzek. Kiedy Herbert w jednym zdaniu wymieniał Rona Plummera i generał Carrie, zabrzmiało to tak, jakby jego była żona opowiadała o swoim nowym kochanku. Hood z przykrością zdał sobie sprawę, że siła, o której nic nie wiedział, oderwała go od kolegów i zajęć stanowiących treść jego dotychczasowego życia. Już prowadzenie rozmowy przychodziło mu z trudem, nie mówiąc o zachowaniu obojętnego tonu.

-

Czemu tak uważasz? - spytał matowym głosem.



-

Z Chińskiej Republiki Ludowej ucieka niezwykle wysoki procent nielegalnych emigrantów - wyjaśnił Herbert. - W liczbach bezwzględnych zdecydowanie wyprzedza inne kraje. To właśnie na tych uchodźców najwyraźniej polował Wong.

Nie mogliśmy zdejmować ludzi z dżonek na pełnym morzu bez cichego pozwolenia chińskiej marynarki wojennej. Inaczej długo nie popływałby łajbą tej wielkości, nie wzbudzając żadnej reakcji. Musiały go namierzyć wszystkie radary rozstawione wzdłuż linii brzegowej. Wong zapewne się opłacał.

-

Komu?

-

Jeszcze nie wiem - powiedział Herbert. - Może jednak uda się nam zdobyć tę informację. Do zamachów w Charlestonie i Tajpej trzeba dodać wysadzenie w powietrze silosów cukrowych w RPA. Według doniesień prasowych z Durbanu jednym z udziałowców tamtejszej cukrowni jest Tonkin Investments Corporation, grupa finansowa wietnamskich przewoźników morskich, mająca ścisłe powiązania z członkami chińskiego rządu. W szczególności zajmują się oficjalnymi przedsięwzięciami rządowymi, prowadzonymi przez Czou Szina, wiceprzewodniczącego Fundacji Zjednoczonego Frontu Pomocy, działającej pod egidą Komunistycznej Partii Chin. Fundacja zarządza pieniędzmi przeznaczonymi dla rodzin żołnierzy, którzy walczyli o utrwalenie władzy przez komunistów. Czou jest też jednym z najbardziej nieprzejednanych aparatczyków. Był niegdyś pomoc-

50  
nikiem Mao, a przez pewien czas dowodził Jednostką 8341 Centralnego Korpusu Bezpieczeństwa.

-

Słyszałem o nich - mruknął Hood. - Działają bardzo dyskretnie.

-

Wiem. Ich zadaniem jest szpiegowanie politycznych i ideowych przeciwników Komunistycznej Partii Chin w kraju i za granicą. Czou dysponuje bardzo szczegółowymi dossier studentów, radykałów, rekinów czarnego rynku i plutokratów.

-

To jakby odwrotność Edgara J. Hoovera - podsunął Hood.

-

Otóż to - zgodził się Herbert. - Dysponuje także odpowiednimi środkami, by przeprowadzić atak na handlarzy nielegalnymi emigrantami.

-

Po co?

-

W obronie własnej albo ze złośliwości. Zyski z tego procederu mogłyby posłużyć finansowaniu konkurencyjnej frakcji w Pekinie. A może zadarł z jakimś ministrem czy generałem. Ciekawe jest zgranie w czasie poszczególnych wydarzeń.

Do pierwszych dwóch eksplozji, w Charlestonie i Durbanie, doszło niemal jednocześnie.

-

Sądziś, że wysadzeniem silosów ktoś próbował wyprzedzić atak na emigrantów?

-

Tak jest. Za to do wybuchu w Tajpej doszło znacznie później. Możliwe, że był on odpowiedzią na zamach w Durbanie.

-

To nie jest wojna zastępcza - zauważył Hood. - Raczej zwaśnieni bogowie wzajemnie obrzucają się gromami.

-

Wiem, bez oglądania się na straty - potwierdził Herbert. - W każdym razie Maria zna człowieka z Interpolu, który ma regularny kontakt w państwowej służbie bezpieczeństwa w Tajpej, a oni rozmieścili swoich ludzi w Pekinie. Usiłujemy się dowiedzieć, kto stoi na najwyższym miejscu listy wrogów Czou, przeznaczonych do odstrzału. Może to ten sam przeciwnik, który potrafił przeprowadzić kontruderzenie w Durbanie, a teraz przeczaił się i czeka.

Maria Corneja, żona Darrella McCaskeya, oficera łącznikowego Centrum z FBI, pochodziła z Hiszpanii. Odeszła z Interpolu i wraz z nowo poślubionym mężem przyjechała do Stanów. Nie prowadziła jednak spokojnego życia gospodyni domowej, lecz zatrudniła się w Centrum, gdzie zajmowała się kontaktami z Interpolem i współpracującymi z nimi służbami.

-

Na kogo stawiamy? - spytał Hood. - Na alfonsa kapitalistę czy na reżimowego szpiega, który troszczy się o wojenne wdowy?

Pytanie było retoryczne, tak też potraktował je Herbert.

51

-

Tak czy inaczej, nie da się uniknąć ofiar - westchnął szef wywiadu.

-

Mam nadzieję, że potrafisz zminimalizować straty - powiedział Hood.

Na chwilę zapadła cisza. Hood wiedział, że oto nadszedł kolejny bolesny moment.

Zwykle dopiero w tym miejscu rozpoczęłaby się dyskusja. Tymczasem wszystko wskazywało na to, że rozmowa zbliża się do końca.

-

Dysponujesz jakimiś środkami do wykorzystania w tej sprawie? - spytał

Herbert.

-

Zobaczę, co się da zrobić - odrzekł Hood. - Do licha, Bob, dopiero uczę się korzystać z tego telefonu.

-

Nie przydzielili ci asystenta?

-

Owszem, dwóch, ale mam ich sobie znaleźć. - Hood wzruszył ramionami.

-

No proszę. To postęp w stosunku do Centrum.

-

Niezupełnie. Nie bardzo wiem, gdzie ich szukać.

Kolejna chwila milczenia trwała jeszcze dłużej. Herbert nie przepadał za pogaduszkami i Hood wyczuł, że szef wywiadu nienaturalnie przeciąga rozmowę.

-

Chyba musimy kończyć - odezwał się wreszcie.

-

Przepraszam, właśnie sprawdzałem rozmowy oczekujące na połączenie -  
usprawiedliwił się Herbert. - Jedną chyba powinienem odebrać.

-

Oczywiście. Przyjrzę się bliżej tym chińskim zawirowaniom i odezwę się później.

-

Dzięki, Paul. Powiedz mi jeszcze, miałeś ostatnio jakieś wieści od Mike'a?

-

Nie rozmawiałem z nim od jego odejścia z Centrum. Czemu pytasz?

-

Bo właśnie do mnie dzwoni - odparł Herbert.

## ROZDZIAŁ 13

Waszyngton Poniedziałek, 13.13

WA^itaj, Mike! - Herbert odebrał połączenie. - Co słysząc w samym Iw sercu Unexusu?

-

Firma prosperuje świetnie, ja też nie narzekam - odparł Rodgers. Kompania, w której pracował Rodgers, miała siedzibę w Arlingtonie w stanie Wirginia, niedaleko Pentagonu. Ostatnio rozmawiali ze sobą mie-52

siąc wcześniej, podczas kolacji w Watergate. Restauracja Sześćset należała do ulubionych lokali Herberta, zarówno ze względu na miejsce, jak i doskonałe menu.

Sam hotel stanowił pomnik arogancji prezydenta, świadczący jednak o tym, że w Stanach Zjednoczonych wciąż panuje demokracja. Ta myśl wpłynęła kojąco na Herberta. Przypomniały mu się wartości, w których obronie on sam zapłacił wysoką cenę.

-

Masz do zrobienia jakiś szybki, brudny interes i potrzebujesz natychmiastowej pomocy czy

wystarczy, że oddzwonię do ciebie za godzinę?

-

Jedno i drugie - roześmiał się Rodgers. - Masz jakieś doniesienia na temat Chin?

Herbert, który bawił się nitką odstającą od mankietu koszuli, nagle zamarł w bezruchu.

-

Czemu pytasz?

-

Mamy wystrzelić w kosmos razem z Pekinem bardzo ważne urządzenie -

powiedział Rodgers. - Chcę się upewnić, że zamach w Tajpej to odosobniony przypadek.

-

A masz jakieś powody sądzić, że tak nie jest? - spytał Herbert.

Na krótko zapadła cisza. Herbert się uśmiechnął. Rodgers znał zasady. Szef wywiadu pracował przede wszystkim dla Centrum. Ich zadanie to składanie puzzli, a nie oddawanie innym poszczególnych elementów. Nawet jeśli prosi o to zaufany przyjaciel. W wypadku Herberta nie chodziło o pilnowanie swojego podwórka, ale o rozumienie profesjonalizmu.

-

Dobrze, ja zaczynam - zgodził się Rodgers. - Unexus zbudował dla Chińczyków satelitę telekomunikacyjnego, który ma zostać wystrzelony w czwartek.

Premier poprosił szefa ośrodka lotów kosmicznych Xichang o informację na temat przedsięwziętych środków ostrożności. Dyrektor Lung twierdzi, że nigdy wcześniej coś takiego się nie zdarzało.

-

Czy to pierwsza praca, którą z nimi realizujecie?

-

Tak, ale to chyba nie my budzimy niepokój premiera - wyjaśnił Rodgers.

-

Czy ten satelita telekomunikacyjny będzie wykorzystywany wyłącznie do celów cywilnych? - spytał Herbert.

-

Tego nie wiemy - odparł Rodgers.

-

Zasada wiarygodnego zaprzeczenia - rzucił Herbert.

Rodgers zignorował tę uwagę.

-

Premier poprosił, żeby raport o stanie zabezpieczeń przekazać mu przez kuriera bezpośrednio do rąk własnych. Zwykle tymi sprawami zajmuje się Guoanbu.

53

-

Ministerstwo Bezpieczeństwa Państwa - odpowiedział Herbert.

-

Pominięcie go przy takiej okazji jest zupełnie nie do pomyślenia - stwierdził

Rodgers. - Dyrektor Lung otrzymał także instrukcję, aby jednemu z zaproszonych gości bez przerwy towarzyszył pracownik Xichang.

-

Któremu? - spytał Herbert.

-

Generałowi Tam Li z Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin.

-

A wojskowi mieli uczestniczyć w wystrzeleniu satelity?

-

Tylko w roli obserwatorów - zapewnił Rodgers. - Mamy nadzieję na dalszą współpracę z nimi i nie wiem, czy wolno mi powiedzieć coś więcej.

-

Czy istnieją jakieś przesłanki pozwalające uznać generała Tam Li za zagrożenie? - dążył Herbert.

-

Właśnie dlatego dzwonię - odrzekł Rodgers. - Premier prawdopodobnie tak właśnie uważa.

-

Kiedy premier zażądał dostarczenia planu zabezpieczeń?

-

W sobotę rano czasu lokalnego - poinformował Rodgers. - Możesz coś do tego dodać?

-

Czy informacja ma być przeznaczona wyłącznie dla ciebie, czy zostanie przekazana premierowi Chińskiej Republiki Ludowej? - Pytanie smakowało jak piołun. Mike Rodgers był dobrym i lojalnym oficerem, ale miał teraz nowych pracodawców.

-

Naprawdę musisz o to pytać, Bob?

-

Niestety muszę, Mike. Jesteś starym, dobrym przyjacielem, ale także osobą prywatną, współpracującą z rządem obcego mocarstwa, a być może także z jego strukturami wojskowymi. Mój przełożony nie darowałby mi takiego spoufalenia z wrogiem.

-

Powiedz Paulowi, że jestem tym samym człowiekiem, co kiedyś.

-

Paul Hood już nie jest moim szefem.

Rodgers potrzebował dłuższej chwili, aby przetrwać tę informację.

-

Co ty wygadujesz? - spytał.

-

Sam chciałbym wiedzieć. - Herbert wzruszył ramionami. - Kiedy przyszedłem rano do pracy, okazało się, że Centrum ma nowego dyrektora. Ze skutkiem natychmiastowym. Nazywa się generał Morgan

Carrie. Znasz ją osobiście?

-

Słyszałem o niej - odrzekł Rodgers. - Pierwsza kobieta, która dochrapała się trzech gwiazdek.

-

To ta - potwierdził Herbert. - O ile wiem, Paul otrzymał „zaproszenie” do pracy dla prezydenta w zupełnie nowym charakterze.

54

-

Klasyczny chwyt okupacyjny - stwierdził Rodgers.

-

Słucham?

-

Niemcy, kiedy zdobywali miasteczko, natychmiast ustanawiali w nim marionetkowe władze, wybrane spośród mieszkańców - wyjaśnił Rodgers.

-

Nowi rajcy i ich rodziny byli łagodniej traktowani, a w zamian wykonywali za hitlerowców najbrudniejszą robotę. Na przykład organizowali poszukiwania i aresztowania członków ruchu oporu. Po wyciśnięciu do ostatniej kropli zwykle ich wykańczano.

-

Przykro mi, Mike, ale nie widzę żadnego związku.

-

Komisja Kontroli Wywiadu zmusiła Paula do wprowadzenia cię w Centrum, a potem obróciła się przeciwko niemu - powiedział Rodgers.

-

To prawda, ale nie porównywałbym pracy w Zachodnim Skrzydle do wyroku śmierci - mruknął Herbert.



-

A Paul jest zadowolony?

-

Raczej wygląda na to, że niezbyt pewnie czuje się na nowym gruncie

-

przyznał Herbert.

-

Niczego innego nie powinien się spodziewać - oświadczył Rodgers.

-

Jeżeli od początku nie jest się częścią zespołu, nie ma szans, żeby się do niego dostać. Można to nazwać śmiercią polityczną.

-

Trudno mi się z tym zgodzić. Poza tym nie sądzę, żeby Paul w ogóle się tym przejmował. Jego obchodzi tylko praca.

-

Ależ, Bob, na tym właśnie polega praca w Białym Domu - oznajmił Rodgers. -

Nieważne zresztą, czy chodzi o Downing Street 10, o Kreml, Pekin czy Hawanę.

Problem polega na tym, by zdobyć sympatię grupy, którą tworzą ludzie mający znaczenie i władzę. Gdybym ot tak, zadzwonił sobie do CIA, sądzisz, że połączono by mnie z kimś na twoim szczeblu?

-

Mam nadzieję, że nie. Jesteś patriotą, to fakt, ale tylko cywilem.

-

No widzisz. Chodzi o dojście.

-

I zaufanie - przypomniał Herbert. - Dzięki dojściom zostaniesz połączony z Bobem Herbertem. Ale

informacje uzyskujesz dzięki zaufaniu. Bez względu na to, jaki jest mój - nasz - osobisty stosunek do Paula Hooda, nie można mu zarzucić nieuczciwości czy braku odpowiedzialności.

-

To prawda - zgodził się Rodgers. - Podobnie prawdą jest, że Robert A. Lee brzydził się wojną. Nie uchroniło to jednak kraju od trwającego cztery lata straszliwego rozlewu krwi.

Rozmowa zaczynała zmierzać w kierunku, który nie odpowiadał Herbertowi. Nigdy na ten temat nie rozmawiali, bo obaj bali się dopuścić do głosu uprzedzeń, które czuli. Ale one i tak były, wśliznęły się kuchennymi

drzwiami. Herbert nie umiał zaaprobować cięć finansowych wprowadzonych przez Hooda ani zwolnienia Mike'a Rodgersa ze stanowiska wicedyrektora. Ale te sprawy i odczucia nie powinny pojawić się w tej chwili.

-

O tym, co było, możemy pogadać nad filiżanką kawy - odezwał się do Rodgersa. - Tymczasem powiem ci wszystko, co wiem na temat Chin. Nie ma tego zbyt wiele, ale nadal zajmuję się tą sprawą. Generał Carrie jako pierwszy punkt dnia zrobiła dziś rano zebranie. Przedstawiła się i poleciła nam przyjrzeć się dwóm, a teraz już trzem incydentom związanym z Chinami. Chodzi o statek, który eksplodował w porcie Charleston, silos cukrowy wysadzony w powietrze w Durbanie w RPA oraz wybuch bomby w ekskluzywnym burdelu w Tajpej, po którym ludzkie szczątki znajdowano w wodach zatoki.

-

Sądysz, że te wydarzenia są ze sobą związane?

-

W przypadku zamachów w porcie i w burdelu w tle kryje się współczesne niewolnictwo - powiedział Herbert. - Natomiast w zniszczonej cukrowni miał udział arcyszpieg Czou Szin.

-

Słyszałem o nim - przypomniał sobie Rodgers. - To prawdziwy beton.

-

Owszem. Wiesz o nim coś bliższego?

-

Raczej nie. Jego nazwisko wielokrotnie powtarza się w białej księdze wypadków na placu Tiananmen.

-

Pamiętasz go tylko stamtąd?

-

Tak - potwierdził Rodgers.

-

Dlaczego?

-

Urządził sobie polowanie z policją w roli nagonki, wskazując w tłumie wybranych ludzi, których chciał przesłuchać - wyjaśnił Rodgers. - Nazywali go Orzeł, bo jak drapieżnik wyszukiwał ofiary z góry, stojąc na balkonie, i porywał je z placu.

-

Nic nie rozumiem - skrzywił się Herbert. - Dlaczego nieprzejednany komunista inwestuje pieniądze w kapitalistyczne przedsięwzięcia?

-

Najtęższe umysły z Unexusa zastanawiały się nad tym, kiedy zaczęliśmy robić interesy z Chinami - powiedział Rodgers. - Istnieją analogie dotyczące inwestycji bliskowschodnich, kolumbijskich i japońskich. To, co my uważamy za czysty kapitalizm, dla Pekinu oznacza metodę sprawowania władzy. Pomyśl, w jaki sposób obcy kraj może wywierać wpływ na Stany Zjednoczone? Przez zakup nieruchomości, przejmowanie firm, a także pranie pieniędzy w bankach. Napędza w ten sposób naszą gospodarkę. Pomaga zwyciężyć w wyborach ubiegającym się o mandat. Zaczynasz się zastanawiać, w jaki sposób obce rządy zdobywają pieniądze na 56

takie ekstrawaganckie przedsięwzięcia? Otóż inwestują w to, czego ludzie będą zawsze potrzebowali - cukier, tytoń, diamenty lub złoto.

-

Jest w tym jakiś pokrętny sens - przyznał niechętnie Herbert. - Pod warunkiem że sam nie staniesz się ich celem.

-

Wiesz równie dobrze jak ja, że wielu uświadomionych agentów i przedstawicieli piątej kolumny dało się uwieść wygodnemu życiu i pęczniejącemu portfelowi. To zawsze był problem dla obcych mocarstw,

usiłujących przeniknąć do Stanów Zjednoczonych. Dlatego często próbowali werbować ideologów lub socjopatów, ale tego rodzaju osobnicy zwykle wyróżniają się w tłumie.

-

W porządku. Rozumiem, dlaczego Czhou inwestował w cukrownię -przyznał

Herbert. - Nie bardzo się orientuję, czy zamach był wymierzony w silos, całą inwestycję, czy może w samego Czhou.

-

Ja też tego nie wiem - powiedział Rodgers. - Chciałbym tylko przestać się martwić o naszego satelitę.

-

Przewidujecie, że Chiny staną się w przyszłości jednym z waszych ważniejszych partnerów?

-

Mamy taką nadzieję. Ale nie o tym teraz myślę.

-

A o czym?

-

Ten satelita jest wyposażony w RTG - powiedział Rodgers.

Herbert odchrząknął. RTG, czyli radioizotopowy generator termoelektryczny - małe poręczne źródło energii, wykorzystujące naturalny rozpad plutonu 238. Co prawda materiał promieniotwórczy był zamknięty w szczelnym, ołowiano-ceramicznym pojemniku, który powinien przetrwać katastrofę lub eksplozję, zawsze jednak istniała możliwość jakiegoś wypadku. A to oznaczałoby rozsypanie śmiertelnie niebezpiecznego, radioaktywnego pyłu na dużym obszarze.

-

Czy ten podzespół wyprodukował Departament Energetyki? - spytał Herbert.

Zanim zarzucono konstrukcję raket napędzanych plutonem, wszystkie RTG używane w amerykańskich lotach kosmicznych powstały pod nadzorem Departamentu Energetyki.

-

Nie. Sami go zbudowaliśmy.

-

A więc w przyszłości Unexus ma zamiar oferować energię jądrową.

-

Naprawdę nie wolno mi rozmawiać na ten temat.

-

Rozumiem. To bardzo źle, że nie nawiązałeś bliższych stosunków z premierem

- rzekł Herbert. - Powinieneś jemu zadać te pytania.

-

Jak sądzisz, czy Paul byłby skłonny poświęcić temu nieco czasu? - zapytał

Rodgers. - Mówiłeś, że szuka sobie roboty, a Biały Dom na pewno 57

dysponuje kanałem komunikacyjnym z premierem Chin, do którego my nie mamy dostępu.

-

Świetny pomysł. Zadzwoń do niego - poradził Herbert.

-

Tak zrobię - odrzekł Rodgers.

Szef wywiadu nie chciał dzwonić do Hooda i zaczynać od słów: „właśnie rozmawiałem z Mikiem i zastanawialiśmy się razem...” To by wyglądało na współczucie. O wiele większy ciężar gatunkowy będzie miało przerwanie półrocznego milczenia przez Rodgersa.

-

Ja tymczasem sprawdzę, czego jeszcze dowiedzieli się Darrell i nasi zamorscy przyjaciele - powiedział Herbert. - Miejmy nadzieję, że premier po prostu stał się bardzo ostrożny.

Rodgers podziękował, po czym umówili się na kolację w przyszłym tygodniu.

Herbert rozłączył się, przepelnięty dziwnym uczuciem. Oto tkwił na swoim stanowisku w Centrum, wypełniał swoje obowiązki, tymczasem faceci, którzy odeszli z firmy, a zwłaszcza jeden z nich, zajmowali pozycję, która pozwalała im na rozpętanie ogólnoświatowej zawieruchy.

Naturalnie, uczciwa praca nie jest najlepszą drogą do sukcesu, pomyślał. Powinien odejść z

państwowej służby i olać przyjaciół. Wówczas jednak musiałyby odrzucić zasady, w których obronie zginęła jego żona, a on sam stracił obie nogi.

Do diabła z tym. Bob Herbert podniósł słuchawkę i zadzwonił do Darrella McCaskeya.

Miał coś jeszcze do zrobienia.

## ROZDZIAŁ 14

Pekin, Chiny Poniedziałek, 2.27

Premier Le Kwan Po wracał do domu, do żony, na późną przekąskę złożoną z herbaty i moreli. Od dziecka uwielbiał maczać owoce w herbacie. Apartament w Pekinie był

przywilejem związanym z piastowanym stanowiskiem. Jedynym luksusem premiera były bardzo cierpkie mongolskie morele.

Płynęła z nich także nauka. Subtelny smak pozwolił mu poznać radość mieszania kilku elementów, dzięki czemu powstawała nowa jakość. Dowiedział się, że różne proporcje składników mogą dać odmienne rezultaty. Przekonał się też, że dwa elementy mają zawsze wyższość nad jednym.

58

Jedynie, nad czym wciąż się zastanawiał, to sposób, w jaki przekonać o tym Czou i Tam Li.

Premier zasiadł za stołem w małej, służącej za jadalnię wnęce, stanowiącej część kuchni, naprzeciwko żony Li-Li. Pod nimi rozciągał się Pekin. Deszcz przestał padać, uliczne latarnie lśniły jak świece w mglistą noc.

Li-Li była przystojną kobietą o owalnej twarzy, okolonej siwymi włosami spiętymi w kok. Miała na sobie czerwony jedwabny szlafrok i odpowiednią apaszkę. Palila papierosa. Po zjedzeniu moreli Le Kwan Po także zapalił. Przez całe dorosłe życie Li-Li była jego najlepszym, najbardziej zaufanym przyjacielem i doradcą. Miała tę specyficzną, spokojną mądrość, charakterystyczną dla osób wychowywanych w świątyni. W jej wypadku była to siedemnastowieczna świątynia Qingshui Yan, w prowincji Fujian. Owdowiała matka Li-Li przygotowywała posiłki dla kapłanów, akolitów i pielgrzymów. Mieszkały w ciasnym pokoiku w przybudówce. Ktoś mógłby nazwać ich życie nudnym, dla Li-Li było to życie pełne zadumy. Swego przyszłego męża poznała, gdy znalazł się w okolicy wraz z oddziałem żołnierzy.

Górski oddział kwaterował w świątyni przez prawie trzy tygodnie, ścigając niedobitki Kuomintangu, nacjonalistów ukrywających się w ostępach. „Żołnierz i panna”, jak nazywała ich jej matka, szybko pojęli, że oboje kochają dwie rzeczy. Pierwszą z nich były góry. Uwielbiali znaleźć się tak wysoko, że mogli patrzeć na słońce i chmury leżące u ich stóp. Podziwiali dostojeństwo ogromnych, ostro zakończonych szczytów oraz górskie rośliny, które przebijały się korzeniami przez skały i kwitły w najtrudniejszych warunkach. Li-Li zdumiewała się, że małe, delikatne pnącza potrafią rozsadzić kamień. To samo uczyniła rewolucyjna ideologia Mao w 1919

roku. Przewodniczący nie pracował i nie studiował w Europie, jak inni przywódcy komunistyczni. Przystawał z prostymi chłopami i to pośród nich dojrzewiała idea nowej formy władzy. Zasiał maleńkie ziarenka w żyznej glebie chińskiej klasy robotniczej, a one dały plon w postaci potężnego narodu.

Zaczął się więc od połączenia dwóch elementów, podobnie jak to było z morelami i herbatą.

Drugą rzeczą, którą uwielbiali Li-Li i Le Kwan Po, były ożywione dyskusje. Ona, zawsze ufna i spokojna, była zarazem głęboko przekonana o swoich racjach.

Niektórzy nazywali to ciasnotą poglądów. Być może u źródeł jej uporu leżał fakt, że wychowywała się w środowisku, gdzie panowały zasady niepodlegające dyskusji. Le Kwan Po prezentował swoje poglądy w sposób bardziej wyważony, potrafił spojrzeć na sprawę z wielu stron.

59

Premier omawiał z żoną zasadnicze różnice, dzielące dwóch adwersarzy. Li-Li uważała, że mąż powinien podkopać pozycję ich obu poprzez działania zakulisowe.

-

Zniszcz to, na czym się opierają, a doprowadzisz do ich upadku - doradzała. -

Musisz tylko pozbawić ich doradców, sojuszników i powierników.

-

Nie ma potrzeby podejmować tak drastycznych kroków - odparł pobłaźliwie.

-

Istotnie - zgodziła się. - Obecna sytuacja tego nie wymaga. Ale nie robisz tego wyłącznie po to, by powstrzymać tych ludzi. Chodzi o przyszłość. Osłabiając ich siatki spiskowców, zniechęcisz innych do podobnych działań.

-

Strach ich nie powstrzyma - odparł Le. - Nawet przeważającej sile można się przeciwstawić, jeżeli nie od razu, to po jakimś czasie. Trwałą zmianę może spowodować jedynie zdrowy rozsądek.

-

Już kiedyś o tym rozmawialiśmy - przypomniała mu żona. - Teraz jednak gra idzie o wyższą stawkę. Naprawdę uważasz, że potrafisz nakłonić ich obu do kompromisu?

Le kiwnął głową.

-

Pragną władzy, ale poza tym chcą jednak pozostać przy życiu.

-

Mówiłeś, że strach nie pomoże.

-

Nie chodzi o pojedynczą pogrózkę, ale o permanentny stan zagrożenia -

wyjaśnił Le. - To wielka różnica.

Li-Li głęboko zaciągnęła się papierosem.

-

W jaki sposób możesz zagrozić ich bezpieczeństwu? Nie możesz ich zdymisjonować ani zdegradować.

W tej właśnie chwili na komórkę premiera zadzwonił minister spraw zagranicznych De Ming Wang z wiadomością o eksplozji w Tajpej. Le nie był zachwycony nowiną, a zwłaszcza tym, że przekazał mu ją De Ming. Szef dyplomacji miał wielką ochotę na stanowisko premiera. Zwykle opóźniał ujawnienie informacji, aby sprawić wrażenie, że jego rywale są nieskuteczni. A jeśli już decydował się przekazać wieści, oznaczało to manewr mający na celu postawienie kogoś w trudnej lub niezręcznej sytuacji.

-

Trzy incydenty jednego dnia - podsumował De Ming. - Musimy niezwłocznie opanować sytuację.

Bez względu na motywy, jakimi się kierował, miał rację. A to sprawiało, że stał się niebezpieczny.

60

-

Co ten Czou wyprawia? - spytał Le. - Kluby na Tajwanie goszczą podejrzane indywidua...

-

Ten był bardzo elitarny. Pracowały w nim dziewczyny z prowincji Guangdong.

I ten frachtowiec rano też wioził robotników z Guangdong.



To jeszcze niczego nie dowodziło. Ale też nie stanowiło dobrego znaku.

-

Zajmę się tym - powiedział premier.

-

W jaki sposób mogę panu pomóc? - spytał De Ming zatroskanym głosem.

Le zapalił papierosa, wydmuchnął obłok dymu i zastanawiał się przez chwilę.

Sytuacja była delikatna. Jeśli De Ming weźmie bezpośredni udział w negocjacjach, może sabotować pojednawcze działania premiera. Jeżeli nie będzie uczestniczył w rozmowach, a one zakończą się fiaskiem, zgłosi na forum Narodowego Zgromadzenia Ludowego wniosek o wotum nieufności dla premiera. Le uznał, że lepiej trzymać wroga blisko siebie.

-

Skontaktuję się z Czou i z Tam Li i umówię spotkanie - powiedział wreszcie. -

Chciałbym, aby pan w nim uczestniczył.

-

Naturalnie. Kiedy odbędzie się to spotkanie?

-

Poinformuję pana - odparł ostrożnie Le. Złożył telefon i postukał weń palcami, spoglądając na siedzącą naprzeciwko żonę. Powiedział jej, co się wydarzyło. - Ta wojna zmusza innych do opowiedzenia się po jednej ze stron - zakończył relację. -

Muszę jakoś zareagować.

-

Jesteś wzburzony. Powinieneś poczekać do rana, wtedy się z nimi skontaktujesz - powiedziała Li-Li z troską.

-

Nie mogę dopuścić do tego, by sytuacja się zaostrzyła.

-

Jesteś zmęczony. - Żona nie dawała za wygraną. - Jak mówił Mao, półprzytomna armia nie może zwyciężać.

-

Przeciwnicy także są zmęczeni.

-

Nie tak, żeby się nie zorientować, co to jest.

-

A co to jest?

-

Desperacja, a nie siła. Zaczekaj. I każ czekać ministrowi spraw zagranicznych.

Le Kwan Po pokręcił głową.

-

Istnieje zasadnicza różnica między desperacją a zdecydowaniem. Muszę się dowiedzieć, czy któryś z nich stoi za zamachami.

-

Dlaczego mieliby się przyznawać? - spytała Li-Li. - Wcześniej nie chciałeś wywierać na nich nacisku.

-

Ale teraz nie mam wyboru. Szef dyplomacji wykorzysta to przeciwko mnie.

61

-

Czyli jednak jesteś zdesperowany.

Le zaciągnął się szybko papierosem i sięgnął po telefon.

-

Mam powód - odpowiedział.

-

Co im powiesz podczas spotkania?

-

Spróbuję perswazji.

-

Proszę, jeśli już musisz, zadzwoń do nich, ale umów się na jutro - nalegała Li-Li. - Jeżeli dziś zasiądziecie do rozmów, niczego nie powiedzą albo zaczną się nawzajem obwiniać. Przypadnie ci jedynie rola mediatora.

-

A jutro?

-

Będiesz miał przewagę - odparła. - Zaczną się zastanawiać, dlaczego nie spotkałeś się z nimi od razu.

-

I słusznie. Sam nie widzę w tym żadnego sensu - zaprotestował Le.

Premier nie lubił psychologicznych gier. Osiągnął sukces w polityce dzięki bezstronności. Był bez reszty oddany partii, ale jednocześnie potrafił przyznać, że to, co było dobre w XX wieku, niekoniecznie sprawdzi się w XXI.

Ale to Li-Li miała rację. Tym razem miał do czynienia z zupełnie odmiennymi okolicznościami. Czou i Tam Li od dawna walczyli o pozycję i wpływ, ale jak dotąd nie posunęli się do morderstw i wzajemnych ataków na swoje dobra.

Czy milczenie jest dobrą taktyką? - myślał. Premier szanował swoją żonę. Jak przekuć milczenie w doskonałą broń? - pytał sam siebie. Milczenie jest jak glina.

Każdy może nadać mu taki kształt, jaki zechce. Le zastanawiał się, czyjego żona miała rację, twierdząc, że przeciwnicy uznają to za przejaw siły. A może racja jest po jego stronie i uznają to za objaw słabości? Popatrzył na żonę. Ich spojrzenia się spotkały. Widział jej miłą twarz przez wijący się papierosowy dym i ulotną mgiełkę pary znad filiżanek herbaty. Niewzruszony wzrok, wąskie usta tworzące wyraźną, choć delikatną linię. Le wcale nie był pewien, o czym teraz myśli. Pewnie krytycznie o pośpiechu.

Zakładasz najgorsze, a przecież ona milczy, pomyślał. To znaczy, że milczenie istotnie odgrywa swoją rolę, zgodnie z tym, co mówiła. Nie zapomnij, że znasz ją dobrze i znasz jej reakcje,

przestrzegł się w myślach.

Niestety, ludzie, z którymi miał do czynienia, mogli poczytać sobie jego milczenie za brak stanowczości. Musiał stanąć z nimi twarzą w twarz. Zgniół niedopałek w popielniczce i podniósł telefon. Przewiął długą listę numerów zapisaną w pamięci komórki.

62

-

Dzwonisz do nich - stwierdziła żona.

-

Tak.

-

Kiedy się spotkacie?

-

Natychmiast - odpowiedział.

-

Użyjesz perswazji?

-

Przynajmniej na początku.

Li-Li zdusiła papierosa.

-

Nie posłuchają. Co zrobisz, jeśli perswazja zawiedzie?

Le Kwan Po popatrzył na nią, zanim wybrał pierwszy numer.

-

Trzy różne państwa ucierpiały dziś z powodu tajemniczych zamachów. Jako premier Chin mogę przekazać tym państwom pewne informacje. Na przykład nazwiska osób, które zorganizowały zamachy. Nie muszę brudzić sobie rąk.

Na ustach Li-Li zakwitł uśmiech.

Podoba mi się ten sposób myślenia - powiedziała i dyskretnie wyszła z ciasnej kuchni, aby nie naruszać mężowskiej prywatności.

## ROZDZIAŁ 15

Arlington, Wirginia Poniedziałek, 14.44

Od czasu służby w Wietnamie Mike Rodgers utrzymywał, że każda operacja składa się z dwóch faz. Pracując w Centrum jako zastępca Paula Hooda, a zarazem dowódca elitarnego zespołu szybkiego reagowania Striker, generał utwierdził się w prawdziwości tego poglądu. Zresztą sprawdzał się on także w Unexusie.

Pierwszy etap to faza startowa. Bez względu na to, czy chodziło o akcję wojskową, program badawczy czy działalność gospodarczą, ruszenie z miejsca wymagało sporego wysiłku. Trzeba było mieć pomysł i umieć go dobrze sprzedać. Kiedy już udało się wystartować, następowała faza korekcyjno-stabilizacyjna. Możliwe były tylko niewielkie poprawki. Sprawa żyła już własnym życiem. Na tym etapie twórca mógł jedynie dbać o to, aby nie nastąpiła jakaś katastrofa lub samounicestwienie.

W technologii kosmicznej i programach naukowych pomocnicze silniki sterujące znajdowały się po przeciwnych stronach, co zapewnia utrzymanie wszystkiego w równowadze. W jakimkolwiek innym, nienaukowym, przedsięwzięciu zastosowanie przeciwstawnych sił zwykle nie gwarantowało

63

pozytywnych rezultatów. „Operacja chińska”, jak mówił Rodgers, weszła właśnie w fazę korekcyjno-stabilizacyjną. Naukowcy mieli specyficzne wymagania, europejscy i amerykańscy inwestorzy - potrzeby, a teraz Chińczycy mieli obawy. Wybuchaly konflikty, jak choćby pomiędzy inżynierami, specjalistami od napędu, którzy musieli mieć dostęp do rakiety nośnej, a Chińczykami, którzy nie chcieli ich wpuścić na teren wyrzutni bez nadzoru chińskich naukowców, mających własne zdanie na temat tego, co należy zrobić.

Z kolei Rodgers nie miał nic do powiedzenia na temat procedur bezpieczeństwa, chociaż zajmował się właśnie tym problemem. Do pomocy przydzielono mu pięćdziesięcioletnią Ju-Jin Jun, tłumaczkę mającą najbardziej osobliwe pochodzenie ze wszystkich ludzi, z którymi dotąd się zetknął. Była córką Koreanki podejrzewanej o szpiegowanie na rzecz Północy i wielokrotnie zgwałconej przez południowokoreańskich śledczych. Miała wówczas piętnaście lat. Po dziewięciu miesiącach urodziła córeczkę, Ju-Jin. Dziewczynkę wychowywano w przeświadczeniu, że umiejętność porozumiewania się ma kluczowe znaczenie dla pokoju na świecie - i przeżycia. Mandaryński i kantoński to zaledwie dwa z dwudziestu siedmiu dalekowschodnich dialektów i języków, jakie znała. Niska i krótko ostrzyżona siedziała naprzeciwko Rodgersa w jego gabinecie na najwyższym, piątym piętrze budynku Unexusa. Sama jej obecność zapewniała mu poczucie łączności ze światem w stopniu, jakiego wcześniej nigdy nie zaznał. Sporo dało mu także spotkanie z jej matką, Ji-Wu. Starsza pani mieszkała razem z córką i często podwoziła ją do pracy. W 1955 roku przeprowadziła

się do Seulu i samotnie wychowywała małą, nocami sprzątając biura, a nad ranem halę dworca autobusowego Sangbong, aby zarobić na jej wykształcenie. Ji-Wu troskliwie pielęgnowała owoc osobistej tragedii. Bob Herbert mógłby się od niej uczyć pokonywania przeciwności losu.

Ja też, przyznał w myślach Rodgers. Testosteron zwykle bierze górę nad spokojem ducha i dobrymi intencjami.

Generał wstał zza przykrytego matowym szkłem biurka. Podeszedł do małej lodówki z nierdzewnej stali, stojącej w najciemniejszym kącie gabinetu, i wyciągnął z niej butelkę imbirowej lemoniady. Nosił koszulę z podwiniętymi rękawami, ciasno zawiązany czarny krawat i spodnie od garnituru. Starannie wyprasowana marynarka wisiała na drewnianym wieszaku za drzwiami. Zawsze wkładał ją, gdy drzwi były otwarte albo kiedy uczestniczył w wideokonferencji. Bez munduru czuł się dziwnie bezbronny. Emerytowany generał przyjął tę pracę po zakończonej niepowodze-64

niem kampanii prezydenckiej senatora Donalda Orra z Teksasu, w której uczestniczył. Klęskę tego kandydata przypieczętowało zabójstwo brytyjskiego magnata komputerowego, Williama Wilsona. Założyciel Unexusa, przemysłowiec Brent Appleby, był dobrym znajomym Wilsona. Szczerść i opanowanie Rodgersa, wykazywane podczas procesu, zrobiły na nim doskonałe wrażenie. Poprosił więc kończącego służbę generała, aby objął kierownictwo nowego projektu. Rodgers zgodził się, co przypieczętowali uściskiem dłoni na schodach sądu federalnego Dystryktu Kolumbii na placu Madisona.

Generał wrócił za biurko z pełną szklanką i korkową podstawką. Poza zwykłymi, codziennymi kłopotami przybył mu dodatkowy dylemat. Zastanawiał się, czy wypada mu zadzwonić do Paula Hooda. Rodgers znalazł się wśród wyznaczonych do zwolnienia z Centrum na skutek redukcji etatów. Chociaż Hood nie odpowiadał za cięcia, generał uważał, że dyrektor nie zrobił nic, aby zatrzymać go w Centrum.

Rozumiał nawet jego postawę. Paul Hood miał przed oczami szerszy obraz, myślał

już o przyszłości Centrum Szybkiego Reagowania po poważnych cięciach budżetowych. Oddział Striker został rozformowany po udanej, ale kosztownej interwencji w Kaszmirze. Od tej pory nie było w Centrum roboty dla generała wojsk lądowych. Ale zrozumieć, nie znaczy wybaczyć. Teraz wymienili Hooda. Być może stanowisko w Białym Domu będzie dla niego lepsze, ale forma złożenia mu tej nagłej oferty na zasadzie „wóz albo przewóz” nie mogła wpłynąć kojąco na jego samopoczucie. Rodgers nie odczuwał złośliwej satysfakcji. To leżało raczej w naturze Boba Herberta. Nie zamierzał jednak traktować Hooda jak przyjaciela. Nie zasłużył

na to.

Nie mając nic pilniejszego do roboty, zadzwonił wreszcie do Białego Domu. Centrala połączyła go z odpowiednim numerem wewnętrznym, dzięki czemu Rodgers dowiedział się, że Paul podlega bezpośrednio pod Gabinet Ovalny. Oznaczało to poziom obsługi na szczeblu ministerialnym. Ktoś musiał osobiście przynieść do centrali informację o jego numerze, zamiast przesłać ją e-mailem, na który przez wiele godzin nikt nie zwróciłby uwagi. Nazwisko Paula Hooda zostało umieszczone naprzeciwko stanowisk telefonistek, aby wiedziały kim jest, gdzie jest i jak należy go tytułować.

Wszędzie wokół niego widać ślady działalności prezydenta, pomyślał Rodgers. W

przeciwieństwie do Centrum, gdzie człowieka oceniano pod względem umiejętności, tutaj kariera Hooda ściśle zależała od przełożonego. Bez względu na to, co zrobi, może zostać awansowany albo złożony w ofierze na jedno skinienie Dana Debenporta.

5 - Wojna orłów

65

-

Mówi Paul Hood.

-

Chryste, Paul, nie masz nawet sekretarki?

Minęła dobra chwila, zanim Hood skojarzył, skąd zna ten głos.

-

Mike?

-

We własnej osobie - potwierdził Rodgers. - Bob powiedział mi, gdzie cię szukać.

-

Dobrze zrobił. Bardzo się cieszę. Gadaj, jak sobie radzisz?

-

Wyśmienicie - zapewnił generał. - Bardzo dobrze wyszedłem na tej zmianie.

-

Wyobrażam sobie. Unexus to nie byle co.

-

Oczywiście.

-

A jakie to uczucie pierwszy raz znaleźć się w sektorze prywatnym?

-

Czuję się doskonale, podobnie jak twoje konto bankowe - zaśmiał się Rodgers.

- A jeśli chodzi o zmiany...

-

No właśnie. U mnie też zaszła zmiana. Duża i niespodziewana - przerwał

Hood.

-

Ale wszystko w porządku?

-

Utknąłem w przedsionku władzy bez sekretarza. Podobno aż dwóch ma na mnie czekać w moim drugim biurze w innym miejscu. Mam nadzieję, że tam w gabinecie będzie okno.

-

Byłoby miło - rzucił Rodgers. Przez krótką, ulotną chwilę pomyślał: „chrzanić twoje okno” i wyrzwał przez panoramiczną szybę własnego gabinetu, sięgającą od podłogi do sufitu. W oddali widać było pomnik Waszyngtona, biały kamień lśnił na tle bezchmurnego błękitu nieba.

-

Bob mówił, że podoba ci się nowe zajęcie - podjął Hood.

-

Nadal walczę z zamorskimi potęgami, ale tym razem bez rozlewu krwi. -

Rodgersa irytowały kolejne banały, wypowiedane podczas tej rozmowy. Po sześciu miesiącach milczenia nie sposób jednak pominąć tej fazy pseudokoleżeńskich pogaduszek.

-

To co mi możesz powiedzieć o nowym stanowisku?

-

Na razie niewiele. „Nowe” to jest dość ściśle określenie. To zajęcie zostało wymyślone pięć albo sześć godzin temu.



-

A jak należy cię tytułować?

-

Dość wyszukanie, jak na mój gust. Jestem specjalnym wysłannikiem prezydenta.

-

A dokładnie co to oznacza? - dociekał Rodgers.

-

No cóż, sam mam pewne wątpliwości - przyznał Hood. - Mówiąc bardziej opisowo, mam być „konsultantem do spraw międzynarodowego 66

wywiadu, niezwiązanym z żadną agencją, ale z dostępem do informacji, którymi dysponują wszystkie z nich".

-

A co z dostępem do kanałów politycznych, bezpośrednio przez prezydenta?

-

Chodzi ci o kontakt z głowami państw? - spytał Hood.

-

Tak. Konkretnie chciałbym wiedzieć, czy masz dostęp do premiera Chin?

-

Nie wiem. Czy to należy do środków dostępnych konsultantowi do spraw międzynarodowego wywiadu?

-

Należy - upewnił go Rodgers.

-

Chodzi o wpływ na sektor prywatny czy państwowy?

-

Tam - państwowy, tu - prywatny.



Mówiąc „tu”, masz na myśli Unexusa.

-

Tak.

Może lepiej, żebyś mi to przekazał drogą służbową? - zastanowił się Hood.

Nigdy nie robił uników i nie bał się o własny tyłek, i tym razem nie o to mu chodziło.

Chyba naprawdę nie wiedział, na czym polega jego nowa praca, nie mówiąc o uprawnieniach, jakimi dysponował; Co zresztą było całkowicie zrozumiałe, bo pracował na nowym stanowisku dopiero od tego ranka.

Rodgers opowiedział mu o Le Kwan Po, centrum lotów kosmicznych Xichang oraz o pominięciu Guoanbu przez premiera. Hood słuchał tego z rosnącym zdziwieniem. W

przeciwieństwie do amerykańskich, chińskie agencje wywiadowcze dzieliły się informacjami między sobą i ministerstwami, których dotyczyły.

-

Chcesz wiedzieć, czy premier dysponuje jakimiś konkretnymi informacjami lub przesłankami, że wasz satelita może być celem ataku? — zapytał Hood.

-

Ich satelita. My jesteśmy tylko podwykonawcami - poprawił go Rodgers.

-

To prawda. Przepraszam. Użyłem skrótu myślowego.

-

Jestem trochę przeczulony na tym punkcie - wyjaśnił Rodgers. - Kiedy byłem generałem, oni byli moimi wrogami.

-

A nie są nimi w dalszym ciągu? - spytał Hood. - Czy Korea Północna finansuje swój program nuklearny z własnych środków?

-

Wiesz, Paul, mam teraz nowy gabinet. Z oknem - dodał Rodgers. - Stąd wszystko wygląda inaczej. Nic na to nie poradzę.

Ta uwaga niczego nie wносиła, oddawała raczej stan jego umysłu. Generał wciąż patrzyłby na wszystko z perspektywy zawodowego oficera, gdyby Hood nie zmusił

go do zmiany pracy. Uznał, że lepiej będzie zignorować swój wybuch.

-

Do startu pozostały jeszcze trzy dni - mówił dalej. - Mam nadzieję, że premier jest tylko przesadnie ostrożny. Ale wolałbym wiedzieć to na pewno.

-

Co na to Bob? - spytał Hood.

-

Ma zamiar coś wywęszyć. Ale sam dobrze wiesz, jak to jest z tą naszą agenturą.

Podobnie jak większość agencji wywiadowczych, Centrum Szybkiego Reagowania zrezygnowało z osobowych źródeł informacji i oparło się przede wszystkim na wywiadzie elektronicznym. Wszystko jest w porządku, dopóki przeciwnicy korzystają z telefonów komórkowych i e-maili albo przemawiają publicznie w miejscach, gdzie zainstalowano aparaturę rejestrującą obraz i dźwięk. W przeciwnym razie analogowe rybki wymykają się z cyfrowej sieci.

-

Za kilka minut będzie tu Lorraine Sanders - powiedział Hood. - Mógłbym z nią pomówić, sprawdzić, co o tym myśli.

-

To bystra babka - stwierdził Rodgers. - Pomaga ci zintegrować się z systemem.

-

Tak. Za jej pośrednictwem będę składał meldunki prezydentowi - odparł Hood.

Rodgers osłupiał.

-

Będzie miała prawo kwestionować twoje posunięcia?

-

Nie. Tylko prezydent, bo to jemu będę składał meldunki.

-

Skoro jednak szefowa kancelarii kontroluje obieg informacji...

-

Terminowe przekazywanie informacji należy do jej obowiązków - przerwał

ostro Hood. - Mike, czy nie powinniśmy jeszcze o czymś porozmawiać?

-

Nie, a czemu tak sądzisz? - zdziwił się Rodgers.

-

Bo to już drugi prztyczek, jaki otrzymałem od ciebie w ciągu ostatnich dwóch minut.

-

To nie było zamierzone - zapewnił go generał. - Przykro mi, jeśli tak to odebrałeś.

-

Nic nie jest proste, Mike. Ani to, że tu jestem, ani to, że z tobą rozmawiam...

Ani jedno, ani drugie. Sześć miesięcy milczenia - nie chciałem, żeby tak się stało.

68

-

W porządku, Paul - odparł Rodgers. - Ale powiedz mi: jeśli nie chciałeś tych sześciu miesięcy milczenia, czemu, do cholery, nie złapałeś za telefon?

-

Może się wstydziłem? Może byłem skrupowany? A może trochę zły, bo zostałem na uboczu, a ty wciąż trzymasz się głównego nurtu?

-

Mogłeś mi to powiedzieć.

-

Rozmawialiśmy po twoim odejściu. To niczego nie zmieniło. Nie podobał mi się sposób załatwienia tej sprawy. Trudno, żeby komukolwiek to się podobało. A potem po prostu wstydziałem się, bo tyle czasu już minęło...

-

A teraz? - spytał Rodgers.

-

Czy tobie łatwo było do mnie zadzwonić?

-

Nie.

-

No to sam wiesz. Posłuchaj, zaraz przyjdzie pani Sanders, będę chciał z nią porozmawiać o twojej sprawie. A potem zadzwonię do ciebie.

Rodgers się rozłączył.

Określenie „targany sprzecznościami” było zbyt delikatne, by oddać jego aktualny stan ducha. Wyglądało na to, że awans Hooda był w rzeczywistości degradacją. W

zasadzie generał współczuł mu, ale ta gorsza, nieustępliwa część jego duszy nie podzielała tych uczuć. A najbardziej zadziwiający fragment ich rozmowy nie miał z tym wszystkim nic wspólnego. Ważne było, że mówiąc o Herbercie i jego ograniczonym dostępie do źródeł osobowych, użył sformułowania „nasza agentura”.

Choć minęło już sześć miesięcy, nadal myślał o Centrum tak, jakby wszyscy do niego należeli. Pracując wspólnie, Hood, Herbert i Rodgers przeszli razem więcej niż niejednego człowieka przez całe życie. Śmierć współpracowników, kryzysy rodzinne, walka z czasem, aby nie dopuścić do wybuchu wojen domowych czy rozpętania atomowego piekła. Może Centrum nie było tylko miejscem pracy, ale także pewną ideą? Może nieco sztywną, jak przyzwyczajenie Rodgersa do munduru, nawet jeśli miała to być tylko marynarka. Może już na zawsze będą stanowić zespół, choć pracują w różnych miejscach, na przeciwnych krańcach świata.

A może w przypadku Mike'a Rodgersa i Paula Hooda miało sprawdzić się to, co powiedział kiedyś pewien mądry człowiek na temat rozwodu? Rozejście się wcale nie oznacza braku porozumienia, przeciwnie, świadczy o tym, że ludzie właśnie zaczęli się rozumieć.

Spośród wszystkich osób poznanych w Centrum Szybkiego Reagowania generał

Carrie najbardziej przypadła do serca Liz Gordon. Siedziały teraz naprzeciw siebie w fotelach, po tej samej stronie biurka. Carrie sądziła, że w ten sposób rozmowy wstępne nabiorą bardziej intymnego charakteru, niż gdyby miały odbywać się w bardziej urzędowej formie. Liz była jedyną osobą, która przesunęła fotel tak, by siedzieć twarzą do nowej przełożonej. Pozostali woleli pozostać pod pewnym kątem.

Jedyna pozwalała też sobie bez pytania prezentować własny punkt widzenia na różne sprawy. Zarazem tylko ona nie starała się mówić wyłącznie tego, co nowa dyrektorka życzyłaby sobie usłyszeć. Rozmawiały na temat Paula Hooda i jego wpływu na organizację, a potem przeszły do omawiania spraw dotyczących aktualnie zatrudnionego personelu.

-

Starsi pracownicy będą chcieli się pani przypodobać - powiedziała Liz Gordon po kilku minutach niezobowiązującej rozmowy. - Ale zarazem będą chowali urazę.

-

Dlatego, że przyszedłam na miejsce Paula Hooda, czy dlatego, że zajęłam miejsce mężczyzny? - spytała Carrie.

-

Z obu powodów - stwierdziła Liz. - A także dlatego, że dostała pani stanowisko, na które większość z nich ostrzyła sobie zęby.

-

Zasłużyłam na tę posadę - odparła Carrie i stuknęła palcem wskazującym w blat biurka. - Zasłużyłam też na swoje trzy gwiazdki, a to nie udało się dotąd żadnej kobiecie.

-

To jeszcze nie wszystko - tłumaczyła Liz. - Jest pani kobietą, a zarazem generałem. Znam Boba, Darrella, Lowella, Rona i Matta. Znam ich doskonale.

Przynajmniej dla dwóch pierwszych, których wymieniłam, pani awans to jedynie ukłon w stronę naszej płci, a nie prawdziwe osiągnięcie.

-

To ich problem, nie mój - obruszyła się Carrie. - Sądzi pani, że dla mnie nie będą pracować równie sumiennie, jak dla Hooda?

-

Jak już mówiłam, będą chcieli uzyskać dobrą ocenę, aby zachować pracę. Na pewno czują się teraz, jakby byli w okresie próbnym.

-

Są w okresie próbnym - rzuciła Carrie.

Przerwał im telefon od Boba Herberta, który zapoznał Carrie z treścią swojej rozmowy z Rodgersem. Powiedział też, że Rodgers rozmawiał

70

z Hoodem i zadzwonił do Herberta, aby mu o tym powiedzieć. Hood obiecał, że spróbuje wyciągnąć jakieś informacje z chińskiego premiera.

Carrie podziękowała Herbertowi i odłożyła słuchawkę. Wyczuła w jego głosie dziwną mieszankę niechęci i lizusostwa, choć złożony szorstkim tonem meldunek był

dokładny w najdrobniejszych szczegółach.

-

Żadnemu z nich nie grozi zwolnienie i nie obchodzi mnie to, czy mnie lubią, czy nie - powiedziała do Liz. - Ale żeby zagwarantować im pracę, muszę wiedzieć, że mogą na nich liczyć.

-

Może pani. Bob i Darrell są ambitni do przesady i zawsze chcą być najlepsi, będą więc pracować ponad siły...

Rozmowę przerwał nagle brzęczyk interkomu.

-

Słucham? - zgłosiła się Carrie.

-

Generale, panowie Darrell McCaskey i Matt Stoli pragną się z panią zobaczyć -  
powiedział Bugs Benet.

-

Dziękuję. Proszę ich wpuścić.



-

Wychodzę. - Liz uniosła się z fotela.

-

Dziękuję pani za informacje, Liz. Skończymy kiedy indziej naszą rozmowę.

-

Czekam z niecierpliwością.

Minęła się w drzwiach z McCaskeyem. Carrie zauważyła, że mężczyzna rzucił Liz krótkie, przelotne spojrzenie. Jak żołnierz, który idzie na przesłuchanie, patrzy na tego, który wychodzi - pękłość? Powiedziałeś im coś, 0

czym powinienem wiedzieć?

Trwało to tylko mgnienie oka. McCaskey przyjął postawę służbową. Matt Stoli wszedł tuż za nim. Carrie nie spotkała się z nim dotąd sam na sam. Absolwent MIT

był zaniedbanym indywiduum o nieobecny spojrzeniu. Sprawiał wrażenie człowieka, który porusza się po świecie instynktownie, a jego umysł żyje w jakimś odległym, o wiele ciekawszym miejscu. Na wskazującym palcu trzymał płytę CD.

Carrie wstała i weszła za biurko. Nie chciała wysłuchiwać oficjalnego meldunku, siedząc w fotelu.

-

Chyba coś mamy - powiedział McCaskey. Stał przed biurkiem i nie miał

zamiaru siadać. - W klubie był facet obserwowany przez Interpol i

policję w Tajpej. Handlarz niewolników nazwiskiem Huiling Wong, zwany Lo Tek. Zginął w wyniku eksplozji. Patrol straży przybrzeżnej zaobserwował przybycie jego łodzi i do wszystkich odwiedzanych przez niego klubów posłano funkcjonariuszy policji.

-

Dlaczego nie przymknęli go po drodze? - spytała Carrie.

71

-

Nie było dowodów - wyjaśnił McCaskey. - Agenci w klubach mieli urządzenia podsłuchowe i usiłowali przyłapać go, jak mówi coś, co dałoby im pretekst do aresztowania.

-

I co powiedział? - Carrie spojrzała na płytę CD.

-

Nic - odparł McCaskey. - Agenci byli jednak wyposażeni w szerokopasmowe, cyfrowe urządzenia, wychytujące wszystkie dźwięki w pomieszczeniu i przesyłające je do centrali, gdzie odfiltrowano nieistotny szum.

-

To jedyna metoda nagrania konkretnej rozmowy bez stosowania parabolicznych talerzy - dorzucił Stoli.

-

Agenci zginęli w wybuchu, ale to, co zdołali przechwycić, zostało przesłane do niewielkiego ruchomego modułu, umieszczonego w pobliżu klubu - powiedział

McCaskey. - Dzięki znajomościom w Interpolu udało się nam załatwić kopię nagrania.

Stoli podniósł do góry palec, na którym tkwiła płyta.

-

Eksplozja zniszczyła wszystko w promieniu stu metrów od epicentrum

-

mówił dalej McCaskey. - Zamachowcy znali zasięg wybuchu, na pewno oddalili się na odpowiednią odległość. Musieli jednak pozostać nie dalej niż trzysta pięćdziesiąt metrów, aby uruchomić sterowany radiem zapalnik bomby. Matt dokonał

drobiazgowego akustycznego przeszukania w tym zakresie odległości i zdołał

wyizolować bardzo słabo słyszalny, akustyczny sygnał, towarzyszący wysłaniu impulsu radiowego do zapalnika.

-

Namierzyliśmy rozmowę dwóch kolesi na klatce schodowej, generale

-

włączył się Stoli. - Ciężko dyszeli, poruszali się bardzo szybko i mówili po kantońsku.

-

A więc prawdopodobnie pochodzili z kontynentu - zauważyła Carrie.

-

Co udało się wam usłyszeć?

-

Zanim wybuch zniszczył urządzenia podsłuchowe, zdołaliśmy zarejestrować ich imiona - powiedział Stoli i po raz pierwszy lekko się uśmiechnął. - Ważniejsze jednak, że mamy czyściutkie, wyraźne odciski głosów.

-

Na klatce schodowej nie było w tej chwili nikogo innego - uzupełnił

McCaskey.

Podobnie jak odciski palców, odcisk głosu jest charakterystyczny dla danego człowieka. Stoli położył krążek na biurku.

-

Przekazaliśmy sonogramy Interpolowi i policji w Tajpej - ciągnął McCaskey. -

Zmobilizowali tam wszystkie zespoły wywiadu elektronicznego, także te wojskowe.

Podzielili miasto na sektory i sprawdzają każdą rozmowę prowadzoną przez telefon komórkowy. O tej porze nie ma ich zbyt wiele.

72

-

Nawet nie muszą słuchać, o czym mowa - wyjaśnił Stoli. - Mają tylko wychwycić częstotliwości zgodne z naszymi sonogramami.

-

Wiem, miałam już do czynienia z fonoskopią- powiedziała Carrie.

-

Przepraszam - wycofał się Stoli.

-

A więc mamy chińskich zamachowców na Tajwanie - oznajmiła. -Czyżby wynajęci zawodowcy?

-

Być może. Zakładamy jednak, że to jakieś odrzuty z wojen gangów, nadające się tylko do rozwalania burdeli i handlu żywym towarem - powiedział McCaskey. -

Szeregowi gangsterzy, wykonujący rozkazy przywódców. Jeżeli to prawda, mamy do czynienia z najgorszym z możliwych scenariuszy, bo przywódcy mogą być grubymi rybami z Pekinu. Trudno będzie ich dopaść.

-

Może - stwierdziła Carrie. - Pamiętacie, jak Jack Manion poradził sobie z chińską mafią?

-

Nie za bardzo, generale.

-

W czasach, kiedy przeszłam do wywiadu wojskowego, jego historia była lekturą obowiązkową - zauważyła Carrie. - W 1920 roku pewien człowiek nazwiskiem Dan O'Brien został szefem policji w San Francisco. Na czele sekcji Chinatown postawił kumpla z podwórka, inspektora Mamona. Ten zwerbował

tajnych współpracowników spośród Chińczyków, aby mieć informacje o walczących ze sobą bandyckich klanach, dostawach heroiny, wyrokach wydanych na niepokornych. Starał się jak mógł, żeby jego ludzie byli wszędzie tam, gdzie mogli coś ciekawego zobaczyć lub usłyszeć. Zastosował nawet prymitywne urządzenia monitorujące w postaci elektrycznych wycieraczek, dzięki którym wiedział, ilu ludzi weszło do domu. Manion bardzo się starał chronić swoich informatorów. Zawsze miał na ulicach zaufanych ludzi, do których donosiciele mogli się zgłaszać, aby przekazać informację lub po ochronę. Dzięki jego metodom udało się ograniczyć przestępczość do tego stopnia, że po dziesięciu latach służby na stanowisku w Chinatown, kiedy chciał odejść, wdzięczni Chińczycy nie chcieli go puścić. Został

więc z nimi aż do przejścia na emeryturę w 1946 roku.

Carrie pochyliła się do przodu.

-

Teraz my potrzebujemy czegoś takiego.

-

W Chinach czy tak ogólnie? - spytał McCaskey.

-

Wszędzie. Szybki dostęp do informacji sprawi, że będziemy mogli na czas uruchomić barierę ochronną, jeśli cokolwiek stanie się w Chinach - odparła Carrie. -

Nie obchodzi mnie, czy się tam nawzajem powybijają.

73

Ale tak jak Manion nie chcę dopuścić, żeby odłamki sypały się na ulice. Ani w Charlestonie, ani w Tajpej.

-

W dalszym ciągu nie wiem, jak zdołamy dotrzeć do chińskich przywódców -

zastanawiał się McCaskey. - Nie mamy tam agentów ani infrastruktury. Ma pani w zanadrzu jakieś środki?

-

Być może - powiedziała Carrie. - Na razie poczekajmy i zobaczymy, co zdziałają patrole UZ.

UZ oznaczało zadanie polegające na ujęciu i zatrzymaniu podejrzanego. Carrie wiedziała z doświadczenia, że operacje tego typu najczęściej kończyły się fizyczną likwidacją. Szpiedzy i informatorzy działający w szeregach wroga nie lubili być zatrzymywani.

McCaskey i Stoli opuścili gabinet. Carrie włożyła CD do czytnika w komputerze i przesłuchała wymianę zdań między zamachowcami. Gardłowe dźwięki wydawane przez Chińczyków niczego jej nie przypominały, jasne jednak było, że mówili obaj.

Na pewno nie różnili się rangą. Musiał więc wynająć ich ktoś trzeci.

Perspektywa zmierzenia się z sytuacją kryzysową już pierwszego dnia po objęciu posady dyrektora Centrum Szybkiego Reagowania jednocześnie przerażała ją i napełniała chęcią wzięcia się do roboty. Zastanawiała się, czy ktoś w Pentagonie albo w Białym Domu przewidział taki rozwój wypadków: „Zagraj to na tę babę.

Zobaczymy, jak sobie poradzi z długą piłką...”

Poradzi sobie doskonale. Nie tylko dlatego, że od tego zależy jej dalsza kariera, ale z dużo poważniejszego powodu. Od tego zależy jej życie.

ROZDZIAŁ 17

Tajpej, Tajwan Wtorek, 4.22

Starszy inspektor Loke Cziczang i porucznik Hanyu Jilan pracowali razem w wydziale kryminalnym policji w Tajpej. Cziczang służył już dwanaście lat, Jilan miał

pięcioletni staż pracy. W rodzinie Cziczanga panowały tradycje wojskowe, miał więc za sobą długotrwały trening dżudo oraz był doskonałym strzelcem. Jilan z kolei miał

doktorat z kryminologii, uzyskany w Centralnej Akademii Policynjnej. Cziczang był

krzepkim, barczystym mężczyzną z odznaczającymi się wyraźnie węzłami mięśni.

Jilan wyglądał jak worek z kośćmi, ważył nieco ponad pięćdziesiąt kilogramów.

Cziczang miał żonę i troje dzieci, a Jilan był samotnikiem.

74

Mimo wielu różnic łączyło ich jedno. Obaj z wielkim oddaniem starali się chronić swój kraj.

Eksplozję w porcie usłyszeli w swoich domach. Natychmiast udali się na posterunek, w obawie, że Tajwan został zaatakowany z zewnątrz. Zanim dotarli na miejsce, wiedzieli już, że to nie to - nie w wyniku śledztwa, ale dlatego, że nic więcej nie wyleciało w powietrze. Dodatkowym potwierdzeniem był raport z Interpolu, w którym podano, że zamach był dziełem dwóch ludzi. W całym mieście rozstawiono furgonetki z zespołami nasłuchowców monitorujących rozmowy komórkowe. Mieli znaleźć głos zgodny z otrzymanym wzorcem. Cziczang i Jilan dołączyli do jednego z takich zespołów, zajmując miejsce w wozie patrolowym numer 17 za furgonetką.

Wozy wysłano nie po to, by poprawić poczucie bezpieczeństwa obywateli, lecz raczej by zmusić zamachowców do pozostania w ukryciu, a tym samym do posługiwania się telefonami komórkowymi.

Odciski głosowe, radiolokacje i inne technologie fascynowały, a zarazem przerażały Cziczanga. Czterdziestoletni funkcjonariusz wiedział, że skoro policja może inwigilować przestępców, oni mogą podsłuchiwać policję. To jeden z powodów, dla których nie korzystał z telefonu komórkowego. Kiedy musiał zadzwonić do domu, zatrzymywał się koło jednego z coraz rzadziej spotykanych automatów i wrzucał

monetę. Drugą przyczyną było to, że miał już dość sprzętu na sobie - rewolwer, radio, spray z gazem łzawiącym i pałka. Ponadto nie chciał nosić urządzenia, które może zadzwonić lub zacząć wibrować w najmniej spodziewanym momencie, także w niebezpiecznej akcji. Służbowy radiotelefon mógł wyłączyć jednym naciśnięciem przycisku. Po tej operacji milczał jak grób.

-

Dzielnica Daan - rozległ się głos dyspozytora z centrali. - Stuprocentowa zgodność, rozmowa z telefonu komórkowego.

Za kółkiem siedział Jilan. Samochód oderwał się od krawężnika i ruszył w kierunku zachodnim.

Podejrzany znajduje się w hotelu Czo-Cziun - mówił dyspozytor. - Wozy patrolowe numer 17, 20 i 21 są najbliżej. Pod hotelem jest podziemny parking. Tam się spotkacie. Saperzy i wsparcie są w drodze. Jadą po cichu, na zwykłych światłach.

Pozostały ruch został wstrzymany.

Nie chodziło tylko o bezpieczeństwo. Jeden z nadjeżdżających samochodów mógł być autem zamachowców.

Cziczang wyciągnął trzydziestkęósemkę z krótką lufą z kabury pod pachą i sprawdził broń. Na Tajwanie ludzie nie byli przyzwyczajeni do 75

strzelaniny. Nawet w policji umiejętności strzeleckie nie były najważniejsze i rzadko z nich korzystano. Większość zbrodni popełniały opryski za pomocą pałek lub noży.

Zabójstwa zdarzały się niezbyt często, bo trudno było uciec zarówno z miejsca zbrodni, jak i z samej wyspy. Cziczang był jednym z niewielu strzelców wyborowych. Podczas corocznej próby pobił wszelkie rekordy wydziału, zdobywając dziewięćdziesięcioośmioprocentowy wynik. Sprawdzian obejmował osiem konkurencji: szybkość reakcji z rozpoznaniem celu, strzelanie w warunkach ograniczonej widoczności, strzelanie do ruchomego celu, strzelanie z ukrycia pod ogniem, strzelanie w celu obezwładnienia, strzelanie ze zmianą postawy, sprawność przeładowywania i sprawność usuwania zacięć. Inspektor osiągnąłby maksymalny wynik, gdyby na strzelnicy nie pojawił się gołąb. Cziczang nie sądził, aby ptak był

jednym z elementów sprawdzianu, ale wolał go zastrzelić. To była zła decyzja.

Broń była załadowana, odbezpieczona, kurek działał bez zarzutu, jak powiedziałby ojciec. Były oficer pierwszy uczył syna posługiwania się bronią. Cziczang włożył

rewolwer do kabury i poczuł, jak serce zaczyna bić szybszym rytmem. Przez wszystkie lata służby w policji użył broni tylko raz, podczas akcji na wytwórnię narkotyków w portowym magazynie. Zranił wówczas diler, który mierzył do niego z AK-47. Postrzelony miał piętnaście lat i taki też dostał wyrok. Cziczang otrzymał

pochwałę za zachowanie zimnej krwi.

Wóz patrolowy przebijał się przez poranną mgłę. Dojechali do hotelu w niecałe pięć minut. Pozostałe dwa wozy już tam były. Operacją dowodził Cziczang, jako najwyższy stopniem. Dwóm hotelowym ochroniarzom polecił sprawdzić, czy wszystkie wyjścia zostały pozamykane, łącznie z tymi na dach i do piwnicy. Potem podszedł do lady recepcji. Zgodnie z uzyskaną tam informacją tylko w pokoju 418

zatrzymali się dwaj mężczyźni. Cziczang poprosił portiera, aby opisał mu rozkład piętra. Pokój był dość blisko windy. Gdyby policjanci wybrali tę drogę, zamachowcy mogliby usłyszeć dzwonek zatrzymującej się kabiny.

Hotel był jedną z najstarszych budowli w dzielnicy i miał tylko jedną klatkę schodową. Dwa okna wychodziły na dach małego sklepu spożywczego. Znajdował

się on dwa piętra niżej. Cziczang polecił jednemu z policjantów, aby dostał się na ten dach razem z pracownikiem hotelu, który miał mu wskazać okno pokoju 418. Gdyby któryś z podejrzanych usiłował wtedy uciekać, policjant miał otworzyć ogień. Nie po to, by zabić, ale by zatrzymać go w środku.

76

Inspektor wziął z recepcji uniwersalny klucz i kazał iść ze sobą Jilanowi i jeszcze dwóm policjantom. Jednego posłał na piąte piętro, aby zamachowcy nie uciekli wyżej. Kolejnego zostawił na trzecim piętrze, by pilnował tej drogi ucieczki. Sam z Jilanem wszedł na czwarte piętro. Zadaniem Jilana miało być nieprzepuszczenie podejrzanych dalej, gdyby udało im się minąć z Cziczangiem. Przede wszystkim należało nie pozwolić im wejść do innego pokoju i wziąć zakładników. Zamachowcy wynajęli narożny pokój, tuż za składem bielizny pościelowej. Pokój po przeciwnej stronie zajmowała jakaś angielska para.

-

Powinniśmy zaczekać na saperów i stroje przeciwołamkowe - powiedział

Jilan. - Mogą mieć jeszcze materiał wybuchowy.

-

Jeśli się pospieszymy, nie zdążą go uzbroić.

-

Może już to zrobili - zauważył Jilan.

-

Jeśli będziemy czekać zbyt długo, mogą się zaniepokoić, dlatego zapadła taka cisza, i dojdą do wniosku, że coś tu nie gra. Powinniśmy ruszać natychmiast, skoro chcemy ich zaskoczyć.

-

A co z łańcuchem w drzwiach? Na pewno zaniknęli się na łańcuch.

-



Właśnie dlatego jesteś potrzebny - powiedział inspektor. Podeszli do drzwi i Cziczang wyciągnął rewolwer. Podał klucz Jilanowi i wskazując na drzwi, szepnął: -

Otwieraj.

Potem oparł zgiętą prawą rękę o drzwi i przeniósł ciężar ciała na prawą nogę.

Jilan potwierdził rozkaz kiwnięciem głowy.

Włożył klucz do zamka najciszej, jak potrafił. Obrócił go w prawo. Zasuwka odsunęła się, drzwi były otwarte. Nie zamknięto ich na łańcuch, ale między nimi a futryną biegł cienki drucik, który napiął się i poruszył, gdy drzwi otworzyły się do środka. Drucik wyciągnął zawleczkę z zapalnika, wetkniętego w grudkę plastiku.

Górna połowa drzwi wraz z futryną została rozdarta na strzępy, faszując obu policjantów kawałkami drewna różnej wielkości. Eksplozja odrzuciła ich i z krzykiem upadli na podłogę korytarza. Jilan wziął na siebie większą część wybuchu, który wyrwał mu ogromną, śmiertelną ranę w klatce piersiowej. Cziczang miał

zmasakrowaną twarz, stracił też prawą rękę na skutek wtórnej eksplozji prochu w nabojach jego rewolweru. Teraz leżał na podłodze w poprzek chodnika, a jego krew mieszała się z krwią Jilana.

Zamachowcy odrzucili płachtę, którą trzymali nad głowami. Otworzyli rozerwane drzwi, przeszli przez bezwładne ciała policjantów i zbiegli schodami do holu.

Otrzymali telefoniczne ostrzeżenie z recepcji. Guoanbu 77

miało swoich zakonspirowanych ludzi W wielu miejscach na Tajwanie, między innymi także w tym hotelu. Recepcjonista nie miał pojęcia, w jaki sposób policja namierzyła bandytów. Można się było tylko domyślać, że miało to coś wspólnego z telefonem komórkowym. Odbyli krótką rozmowę z kimś na promie kursującym przez Morze Południowochińskie. Powiedzieli mocodawcom, że zdołali uciec z miejsca zamachu. Pojmanie lub zranienie któregoś z nich mogłoby doprowadzić policję do dyrektora Czou.

Schowek na pościel nie był zamknięty. Zamachowcy ukryli się w środku. Dźwięk eksplozji przyciągnął funkcjonariuszy pilnujących klatki schodowej. Zamachowcy poczekali, aż z dochodzących odgłosów wywnioskują, że policjanci przeszli przez zniszczone drzwi. Wtedy wyskoczyli ze schowka i uciekli klatką schodową. Drzwi zapewniły im na chwilę osłonę, wystarczającą do udanej ucieczki.

Zbiegali szybko po betonowych schodach. Wydostali się na drugie piętro, gdzie mieściła się sala balowa i mała kuchnia. Przez otwarte drzwi weszli do środka, przemknęli obok kredensu i dopadli wyjścia awaryjnego, umieszczonego tam na wypadek pożaru w kuchni. Dalej schodami zbiegli do nieoznakowanych drzwi, wychodzących na podjazd koło śmietnika. Trudno było je zauważyć, chyba że ktoś wiedział o nich wcześniej. Przez chwilę nasłuchiwali. Niczego nie usłyszeli, uchyliłi więc

drzwi. Podjazd był pusty. Wydział kryminalny przeprowadził typową „cichą”

akcję. Policyjne samochody zaparkowano prawdopodobnie tam, gdzie nikt ich nie widział i nie słyszał.

Zamachowcy wyszli z budynku wprost w mgłę chłodnego poranka. Przyjechali poprzedniego dnia i nie mieli bagażu. Materiały wybuchowe przekazał im agent Pekinu, wojskowy. Mieli zamiar opuścić Tajwan tą samą drogą, jaką się tu dostali -

samolotem China Airlines przez Tokio. Plan był nadal aktualny, tyle że będą musieli spędzić kilka godzin w całodobowym barze Biały Wiatr na ulicy Kunming, zamiast w pokoju hotelowym.

Nie mieli jak powiadomić dyrektora Czou o ucieczce. Telefon komórkowy wetknęli w plastik przyklejony do drzwi. Recepcjonista obiecał, że przekaże informację o ich zniknięciu na łódź.

Po wejściu do baru udali się do toalety i zmyli z rąk charakterystyczny zapach plastiku. Narzuta osłoniła ich ubrania od pyłu. Pozbyli się wszystkiego, co mogłoby ich obciążać.

Dzień wstawał szybko, mgła znikła w promieniach słońca. Podobnie jak ona rozplynęli się obaj zamachowcy.

78

## ROZDZIAŁ 18

Waszyngton Poniedziałek, 17.00

Po rozmowie z Rodgersem nie wiedzieć czemu Paul Hood odczuwał zażenowanie.

Co to za pieprzenie, skarcił sam siebie w przebłysku szczerości. Doskonale wiedział, jaki był powód. Czuł się upokorzony, ponieważ Rodgersowi się powiodło. Facet, który został wyrzucony z pracy, nie tylko spadł na cztery łapy, ale jeszcze tuż obok drabiny, która pozwoli mu wydostać się z dołka. A nawet zaprowadzi go o wiele wyżej. Tymczasem Hood poszedł w odstawkę i sam prezydent musiał wskazać go palcem, aby szefowa kancelarii łaskawie go odkurzyła. Rodgers dosłownie wyraził

to, o czym Hood przekonał się na własnej skórze - to nie było przyjemne doświadczenie.

Lorraine Sanders zjawiała się w gabinecie Hooda punktualnie. Co prawda zapukała przed wejściem, ale nie poczekała na zaproszenie. Nie miał czasu na włożenie marynarki, wiszącej na oparciu krzesła. Pani Sanders jak zwykle była myślami gdzieś daleko, kiedy informowała Hooda, że w nowym biurze dwaj tymczasowi asystenci przechodzą właśnie intensywny instruktaż. Następnego ranka mieli być gotowi do podjęcia pracy. Powiedziała też, że może spędzać dowolną ilość czasu w każdym ze swoich biur. Samochód miał być stale do jego dyspozycji. Hood wolał sam prowadzić.

Chce się pan pozytywnie wyróżniać na tle reszty? - spytała z ironicznym uśmiechem.

-

Po prostu tak wolę - odparł.

-

Byłby pan jedynym wyższym urzędnikiem państwowym bez kierowcy -

zauważyła. - Dochodzą jeszcze względy bezpieczeństwa. Wolelibyśmy, aby korzystał pan z jego usług.

-

Czy „my” oznacza prezydenta? Czy mówi pani w jego imieniu?

-

Wiem, że tego właśnie by chciał. - Uśmiechnęła się.

-

Zastanowię się nad tym. - Hood odpowiedział jej uśmiechem równie nieszczerym, jak jej własny.

To, co mówiła, nie było dalekie od prawdy. Gdyby nie korzystał z szofera, ktoś z prasy lub z Najwyższego Biura Kontroli mógłby to zauważyć. Zaczęto by się zastanawiać, dlaczego wszyscy, a nie tylko prezydent i wiceprezydent, mają swoich kierowców. Niewykluczone, że dla świętego spokoju trzeba by było zrezygnować z przywileju. Hood zawsze wykorzystywał czas przejazdu na rozmyślanie. Będąc burmistrzem Los Angeles,

79

jeździł komunikacją miejską, aby dawać dobry przykład. Nie podobało mu się też, że pani Sanders wypowiada się w imieniu prezydenta na tematy, których nawet z nim nie omówiła.

Uśmiech zniknął z twarzy szefowej kancelarii. Przekazała Hoodowi płytkę CD z danymi wywiadu, które tak bardzo zaniepokoiły prezydenta. Obiecał je przejrzeć.

-

Będę też chciał porozmawiać z prezydentem o sprawach dotyczących Chin -  
powiedział.

-

Może najpierw ze mną.

-

Premier Le Kwan Po zażądał informacji o wystrzeleniu satelity z ośrodka lotów kosmicznych w Xichang. Satelitę zbudował Unexus, firma mojego niedawnego zastępcy, Mike'a Rodgersa. Premier obawia się, że ktoś może spróbować uniemożliwić start.

-

Unexus to firma z mniejszościowym udziałem kapitału amerykańskiego, prawda?

-

Nie znam dokładnych proporcji.

-

Dlaczego rząd ma się zajmować urządzeniem wybudowanym przez zagraniczną firmę dla potencjalnie wrogiego kraju?

-

Trajektoria lotu rakiety nośnej prowadzi nad Pacyfikiem - wyjaśnił Hood. -

Jeżeli po starcie dojdzie do eksplozji, promieniotwórczy pluton z RTG rozsypie się na wielkim obszarze jak konfetti podczas ostatecznego balu. Część może opaść na Hawaje lub nawet na zachodnie wybrzeże Stanów Zjednoczonych.

-

Rozumiem - powiedziała pani Sanders. - Sądzi pan, że premier Chin naprawdę powie nam to, co wie?

-

W Chinach najwyraźniej doszło do jakichś napięć. To może być dobry moment do wyciągnięcia pomocnej dłoni.

Pani Sanders kiwnęła głową i zerknęła na zegarek.

-

Za pięć minut prezydent kończy spotkanie z szefami połączonych sztabów.

Przekażę mu te informacje.

-

Doskonale. Najpierw jednak proszę mi wyjaśnić, dlaczego muszę uzasadniać swoją prośbę o kontakt z prezydentem. O ile dobrze zrozumiałem, miało w zupełności wystarczyć, że powiem pani coś w rodzaju: „chciałbym zamienić dwa słowa z prezydentem”.

Tym razem jej uśmiech był nieco bardziej szczery.

-

Za wiele pan sobie wyobraża. Przekażę panu, co powie prezydent.

Kiedy pani Sanders wychodziła z gabinetu, rozległ się sygnał telefonu.

Pomieszczenie było tak małe, że Hood mógł jednocześnie sięgnąć po te-80

lefon i nogą zatrzaskać drzwi. Wiedział doskonale, że taki gest może być odebrany jako rodzaj prztyczka w nos wychodzącej szefowej kancelarii.

-

Paul Hood - zgłosił się i zaczął podwijać rękawy koszuli, tak jak to robił, biorąc się do pracy w Centrum lub na budowie w Los Angeles. Tylko że teraz nie miał nic do roboty.

-

Mówi Bob. Tajwańczycy dali ciała.

-

Jak to?

-

Zamachowcy uciekli. Zabili dwóch gliniarzy i przy okazji zniszczyli telefon komórkowy. Już ich więcej nie usłyszymy.

-

Czy policja nadal ich szuka?

-

Nikt ich nie widział - powiedział Herbert. - W każdym razie nikt z pozostałych przy życiu. Opisy pracowników hotelu są niewystarczające.

-

Jakie mogą być tego konsekwencje? - spytał Hood. - Nie chodzi mi tylko o start satelity Mike'a.

-

Trudno powiedzieć, szefie - odparł Herbert. Czy nazwanie go szefem było przejęciem czy raczej ukłonem w jego stronę? Hood nie wiedział, ale sprawiło mu to przyjemność. - To raczej nie byli ci sami ludzie co w Charlestonie i Durbanie.

Musieliby być bardzo zmęczeni, a w takim stanie ludzie nie powinni zbliżać się do materiałów wybuchowych. Jeśli istnieje siatka zamachowców rozmieszczonych tak, by atakować niechronione cele, to moim zdaniem start satelity nie jest zagrożony. A jednak trzy eksplozje mogą być tylko przygrywką do jednego lub kilku poważniejszych zamachów. Może premier wie coś, czego my nie wiemy. Trzeba to sprawdzić.

-

Zgoda - przytaknął Hood.

-

Poczyliś jakieś postępy?

-

Właśnie je czynię. - Hood wciąż stał obok biurka, zerkając na zamknięte drzwi, jakby to one były wrogiem.

-

Nie rozumiem.

-

Zadzwoń do ciebie, kiedy wrócę z Olimpu.

Nowy specjalny wysłannik prezydenta rozłączył się i wyszedł z gabinetu. Nie zawracał sobie głowy opuszczaniem rękawów koszuli. Poszedł prosto do celu, którym był Gabinet Owalny.

Członkowie Kolegium Szefów Połączonych Sztabów sunęli korytarzem jak zielony lodowiec. Rozmawiali między sobą ściszymi głosami, nie zwracając uwagi na cywilny personel. Gdyby porównać prezydenta do Zeusa, oni byłiby Tytanami, zebranymi wokół generała Raleigha Carew. Pochodzący z Minnesoty Carew mierzył

blisko dwa metry wzrostu, ale

wyglądał na jeszcze wyższego. Hood prześliznął się obok niego. Wkroczył do biura szefowej sekretariatu prezydenta, Julie Kubert, na końcu korytarza. Nie zostali sobie jeszcze przedstawieni, ale wiedziała, kim jest, i powitała go po imieniu. Znajdujące się po lewej stronie drzwi do Gabinetu Ovalnego były otwarte. Debenport rozmawiał przez telefon.

-

Chciałbym się zobaczyć z prezydentem - powiedział Hood.

Siwowłosa kobieta spojrzała na ekran komputera.

-

Może jutro rano o dziesiątej piętnaście?

-

Dzisiaj. - Hood pokręcił głową. - Może być teraz.

Była sekretarz redakcji dziennika „Chicago Tribune”, który popierał Debenporta, podniosła wzrok.

-

Panie Hood, w Pokoju Czerwonym czeka prezydent Laosu.

-

To dobrze - rzucił Hood i kiwnął głową w kierunku Gabinetu Ovalnego. - Czy on rozmawia z panią Sanders?

-

Ależ, panie Hood...

-

Widziała się z nim?

-

Panie Hood, pan prezydent i szefowa kancelarii spotkają się jak zwykle o osiemnastej piętnaście. Zapisać pana na jutro czy nie?

-

Pani Kubert, dzieje się coś niezwykle ważnego, o czym muszę porozmawiać z prezydentem, i to szybko.

-

Paul, jeżeli nie będziesz krzyczeć, to zapraszam cię do środka - powiedział Debenport.

-

Dziękuję - rzucił Hood pani Kubert i wszedł do Gabinetu Owального. -

Przepraszam, panie prezydencie, ale muszę koniecznie porozmawiać z premierem Le Kwan Po.

-

Le Kwan Po, chiński brytan - mruknął prezydent. - A z jakiego powodu?

-

Może dysponować informacjami, których potrzebujemy.

Do pokoju wpadła Lorraine Sanders. Zaalarmowała ją pani Kubert. Szefowa kancelarii, nic nie mówiąc, stanęła obok biurka prezydenta, skrzyżowała ramiona i patrzyła na Hooda.

Hood ją zignorował. Kiedy prezydent był jeszcze tylko senatorem i szefem kongresowej Komisji Kontroli Wywiadu, często spierali się ze sobą, a potem odstępowali, kiedy już załatwili swoje porachunki. Debenport nie lubił niszczyć ludzi, wołał przeciągać oponentów na swoją stronę. Hood nie wiedział, czy teraz będzie podobnie. Może mała demonstracja siły to nie najgorsza taktyka. Jeżeli jednak miałyby to być zapasy gladiatorów, Hood wołał nie skończyć ze stopą pani Sanders na karku. Albo wygra, albo zejdzie z areny.

82

Hood powiedział prezydentowi dokładnie to, co wcześniej tłumaczył pani Sanders, dodając nową informację od Boba Herberta. Starał się mówić możliwie zwięźle.

Prezydent słuchał, potem wstał, wyszedł zza biurka i stanął obok niego.



-

Pani Sanders, proszę zająć się spotkaniem z ambasadorem Hasenem

-

powiedział. - A ty, Paul, zgłoś się do naszej ambasady w Pekinie. Jeżeli są jakieś niepokoje wewnętrzne w Chinach, powinniśmy o tym wiedzieć. Na miejscu mógłby ci się przydać generał Rodgers. Przypuszczam, że pojedzie tam obserwować start.

-

Sądzę, że tak.

-

Jeśli chodzi o Centrum, przed wyjazdem porozmawiaj z generał Carrie. Przed chwilą spotkałem się z szefami sztabów. Mówili o czymś, co w sposób oczywisty łączy się z tą sprawą.

-

Co to takiego? - spytała pani Sanders. Usiłowała podłączyć się do sprawy, którą do tej chwili uznawała za mało istotną.

-

Generał Carrie zażądała dla Centrum Szybkiego Reagowania wsparcia w postaci niedużego oddziału piechoty morskiej, na wypadek konieczności przeprowadzenia działań mających na celu zapewnienie bezpieczeństwa w Pekinie -

powiedział prezydent. - Zakres i cele operacji zostaną wyznaczone wówczas, gdy uzyskamy więcej informacji.

-

Czy generał Carrie sprecyzowała, o jakie działania chodzi? - spytał Hood.

-

Prezydent powiedział właśnie, że zostaną określone w późniejszym terminie -  
wtrąciła się pani Sanders.

-

Panie prezydencie, pytam o przewidywane miejsce akcji. Czy to centrum kosmiczne, ambasada, czy

raczej jakieś tajne działania w terenie?

-

Hood mówił do prezydenta, ignorując Sanders.

-

Szefowie sztabów nie poinformowali mnie, a ja nie pytałem. Nie było takiej potrzeby. Generał Carrie jako szef Centrum została mi narzucona. Jeśli wojsko ma zamiar postawić przed Centrum Szybkiego Reagowania jakieś nowe, tajne zadania, muszę wiedzieć, o co naprawdę chodzi. Nie chcę być karmiony bajeczkami wymyślanymi tylko na mój użytek.

-

Oczywiście - przytaknął, Hood.

-

Dobrze jest mieć kogoś, komu można zaufać. - Słowa te Debenport skierował do Hooda. - Powiedz Herbertowi, żeby pilnował Centrum i... własnego tyłka.

Prezydent mrugnął porozumiewawczo i nie oglądając się, ruszył w stronę drzwi.

83

Hood patrzył przenikliwie na panią Sanders. Stała ze skrzyżowanymi ramionami i kwaśną miną. Chodziły słuchy, że krąg ścisłych współpracowników Debenporta nie cierpi ludzi z zewnątrz. Hood uznał, że jeśli będzie się tym przejmował, daleko nie zajdzie.

-

Polecę załatwić panu bilet do Pekinu - odezwała się.

-

Dziękuję.

Podeszła do drzwi.

-

Jeśli jeszcze raz zrobi pan coś takiego, rzucę pana na pożarcie generałowi Carew. Przysięgam, że to zrobię.

-

Pracuje pani dla generała? Czy prezydent nie powinien o tym wiedzieć?

-

Nie - zaprzeczyła gwałtownie. - Po prostu wiem, że generał uwielbia chrupać takich małych, sztywnych biurokratów.

Przeszła po błękitnym dywanie ze złotym emblematem urzędu prezydenta, zostawiając go na chwilę samego w Gabinetcie Ovalnym. Hood wiedział już, dlaczego prezydenci stawali się podejrzliwi i kazali zakładać podsłuchy w Zachodnim Skrzydle. Czuł się obrzydliwie jako jeden z pionków intrygi. Ludzie pracujący w Centrum zawsze razem dążyli do jednego celu - ochrony Stanów Zjednoczonych i ich interesów przed pogrążeniem się w chaosie. Tu odnosił

wrażenie, że wszyscy starają się ten chaos wzmacniać.

Wychodząc z Gabinetu Ovalnego, nadział się na wściekły wzrok pani Kubert. Nagle zdał sobie sprawę, że bardziej obawia się swoich niż Chińczyków.

## ROZDZIAŁ 19

Pekin, Chiny Wtorek, 4.40

Li-Li mogła być dumna. Premier przybył do swej kancelarii kilka minut po trzeciej rano. Goście już tam byli, pozwolił więc im na siebie czekać.

Mrugając intensywnie, usiłował przegonić mgłę zmęczenia, zasnuwającą mu oczy.

Musiał przejrzeć dane nadesłane z ośrodka lotów kosmicznych Xichang, które potem jego sekretarz osobiście zaniósł do sejfu. Wbrew sprzeciwom Le Kwan Po wspierał

zaangażowanie w ten projekt innych krajów. Nie chodziło jedynie o posiadanie najnowocześniejszego satelity

84

telekomunikacyjnego. Przy okazji można było poznać najnowszą technologię, uzyskać konieczną wiedzę i zbudować nową generację własnych satelitów, bez pomocy z zewnątrz.

Kilku ministrom, ludziom starej daty, nie podobał się pomysł zlecenia prac firmom zagranicznym. Co innego wykradanie planów i technologii - to w pełni uprawnione metody stosowane od dawna przez Chiny. Płacenie za wykonane usługi było, ich zdaniem, oznaką słabości. Nawet najnowocześniejszy satelita nie usprawiedliwiał

chylenia czoła przed obcymi. Ludzie tacy jak Czou Szin byli w tych sprawach wyjątkowo nieustępliwi. Premier nie wiedział jednak, czy są zdolni do rozpiętania bratobójczej wojny.

Procedury bezpieczeństwa nie różniły się od tych, które stosowano podczas startów innych rakiet. Należało to szybko zmienić. Czou i Tam Li mieli dostęp do starych kodów, znali schemat stanowisk pracy personelu i miejsca, które znajdują się w zasięgu szczególnej uwagi po rozpoczęciu odliczania.

Start rakiety miał być punktem kulminacyjnym obchodów święta narodowego - rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej.

Trzeba było coś z tym zrobić. Le chciał przemówić im do rozsądku, ale jak dotąd nigdy się to nie udawało. Być może fakt, że tym razem nie zdołali już utrzymać w tajemnicy wzajemnej nienawiści, wpłynie na zmianę ich postawy. Właśnie nadeszły nowe wieści z Tajwanu, trzeba koniecznie szybko zapanować nad sytuacją. Biuletyny z dysydenckiej republiki natychmiast docierały do wszystkich ministrów rządu chińskiego. Le przeczytał o próbie aresztowania w hotelu Czo-Cziun w Tajpej.

Wiedział, że hotel był kryjówką pekińskich szpiegów, nie miał więc wątpliwości, kogo ściga policja. Bardziej interesował go sposób, w jaki udało się namierzyć szpiegów. Wezwał wiceprzewodniczącego stałej komisji do spraw bezpieczeństwa regionalnego i spytał, czy wie coś więcej na ten temat. Wiceprzewodniczący nie spał

od chwili eksplozji w nocnym klubie. Na podstawie przechwyconych komunikatów radiowych potwierdził to, co podejrzewał Le. Policja miejska otrzymała pomoc od Interpolu. Komisja nie ustaliła, kto przekazał informacje międzynarodowej policji.

Aby odświeżyć umysł, premier przejrzał zaktualizowaną listę uczestników przyjęcia, które miał wydać następnego wieczoru. Doszło kilku ambasadorów, wypadło paru dziennikarzy. Wśród uczestników byli przedstawiciele nauk, zarówno przyrodniczych, jak i humanistycznych, między innymi córka premiera, Anita. Miała czterdzieści lat, była profesorem literatury i kierowała Katedrą Kultury i Sztuki na Uniwersytecie Pekińskim.

85

Dumna, elokwentna i piękna, była ukochaną córeczką tatusia. Le mawiał często, nie do końca żartem, że to on dzięki córce piastuje eksponowane stanowisko, a nie odwrotnie. Przyjęcie urządzano z okazji pięćdziesiątej ósmej rocznicy powstania CHRL. Stanowiło ono dobrą okazję do dyskusji i wymiany poglądów. Przynajmniej tak to oficjalnie wyglądało.

Le Kwan Po zapalił papierosa i wszedł do pomieszczenia sąsiadującego z jego gabinetem. Minister spraw zagranicznych chodził w kółko, Czou Szin siedział w fotelu z brodą wspartą na piersi i zamkniętymi oczami, a generał Tam Li wcisnął się w kąć białej sofy, położył prawą rękę na oparciu i patrzył prosto przed siebie. Palił

skręta z mocnego tytoniu Hongta-szen. Popiół strząsał na przytrzymywaną łokciem gazetę. Tylko minister spraw zagranicznych zareagował na wejście premiera.

-

Wszystko w porządku? - zainteresował się De Ming.

-

Gdyby tak było, nie byłoby nas tutaj - oznajmił Le, zamykając drzwi.

Nie przeprosił za spóźnienie. Generał Tam Li wciąż patrzył w jeden punkt. Czou ocknął się i wyprostował.

-

Czy ktoś z was przeglądał ostatni raport z Tajpej? - zapytał Le, chociaż wiedział, że nie, bo dokumenty miały nadrukowaną godzinę przesłania - czwartą dwadzieścia dziewięć. Wszyscy podnieśli wzrok.

-

Co się stało? - zaniepokoił się De Ming. Przesadna, sztuczna troska ustąpiła miejsca prawdziwemu zaniepokojeniu. Niepokój ministra wywoływały nie tyle wydarzenia, ile raczej świadomość, że nic o nich nie wie.

Le usiadł w fotelu bujanym. Pochylił się do przodu i wziął popielniczkę ze stolika przy sofie. Potem opowiedział o eksplozji w hotelu w Tajpej oraz o późniejszej ucieczce obu zamachowców.

Byli zaskoczeni nowinami, choć, jak sądził premier, każdy z innego powodu.

-

Czy tajwańska policja wie, kim byli goście hotelu? - Czou starał się dowiedzieć jak najwięcej.

-

Której z dwóch informacji najbardziej obawia się dyrektor Guoanbu? - Generał

Tam Li wydmuchnął w bok kłęb dymu. - Ujawnienia nazwisk zamachowców czy tego, że Tajwańczycy mogli ich zidentyfikować?

Czou nie odpowiedział. Premier spojrzał na szefa wywiadu.

-

Chciałbym znać pana odpowiedź na to pytanie, dyrektorze Czou.

Stary aparatczyk prychnął zniecierpliwiony.

-

Czy zostaliśmy zerwani z łóżek tylko po to, żeby nas przesłuchiwał jakiś amator?

86

-

Sposób nie jest ważny, istotne są informacje - odparł premier. - Nie jest tajemnicą fakt, że zasłużony dyrektor Guoanbu i jeden z najwybitniejszych wojskowych nie zgadzają się ze sobą. Minister spraw zagranicznych informuje mnie o atakach na chińskie przedsięwzięcia za granicą. Wygląda na to, że incydenty te nie są dziełem przypadku.

Szef dyplomacji nie wyglądał na zadowolonego, ale premier nie zwracał na to uwagi.

Chciał wyraźnie dać rozmówcom do zrozumienia, że De Ming Wang nie jest ich sojusznikiem, ale myślącym tylko o własnych korzyściach oportunistą.

-

Moje zainteresowanie Tajpej ma charakter czysto zawodowy - wyjaśnił Czou, po raz pierwszy spoglądając na Tam Li. - Wybitny wojskowy, pan generał Tam, i ja mamy zupełnie odmienne poglądy na przyszłość Chin i zajmowaną przez nie pozycję na świecie. W przeciwieństwie do generała kieruję się ideami i zasadami Zhonguo Gongczandang.

Czou z niemal nabożną czcią wypowiadał nazwę Komunistycznej Partii Chin. Czynił

to celowo, aby wywołać wrażenie, że atakując jego osobę, w rzeczywistości atakuje się państwo.

-

Co pan na to, generale? - spytał Le.

-

Nie mam zamiaru słuchać, jak ktoś powątpiewa w moje poświęcenie dla narodu i partii - odparł Tam Li. Opanował już początkowe zaskoczenie wieściami z Tajpej. Znowu patrzył przed siebie. - Dyrektor Czou nie odpowiedział na pytanie premiera. Ja także chętnie poznałbym odpowiedź. Chciałbym też wiedzieć, czy środki, jakimi dysponuje Guoanbu, zostały użyte w sposób niezgodny z regulaminem?

-

Czy mamy jakieś świadectwa? - zapytał premier.

Przenosił wzrok z generała na policjanta. Nie miał zamiaru opowiadać się po żadnej ze stron, dopóki nie uzyska informacji. Może wcale nie będzie musiał dokonywać wyboru, jeśli uda mu się zmusić do

tego któregoś z adwersarzy.

Nikt nie odpowiedział. Le nawet nie próbował pytać ministra spraw zagranicznych.

De Ming nic nie powie, nawet jeśli coś wie.

Premier zapalił papierosa i powoli wypuszczał dym. Dysponował uprawnieniami do zwołania specjalnej komisji śledczej w celu zbadania sprawy. Dziesięcioosobowe ciało było wybierane przez ministra sprawiedliwości spośród przedstawicieli dwudziestu trzech okręgów administracyjnych Chin. Członkowie komisji byli spoza władzy wykonawczej, ustawodawczej i wojskowej, dlatego była ona zasadniczo bezstronna i niezależna. Prawo zakazywało jej przedstawicielom zajmowania wyższych stanowisk,

87

nie mieli więc żadnego interesu, by ubarwiać wyniki śledztwa. Ale komisja działała powoli, premierowi zaś zależało na szybkich rezultatach, zwłaszcza że obawiał się zagrożenia procedury startowej satelity. Nie mógł też dopuścić do tego, by minister spraw zagranicznych wykonał przeciwko niemu jakiś manewr.

-

Co pan na to, panie ministrze? - spytał Le.

-

W Stanach Zjednoczonych i w Tajpej zginęli obywatele Chińskiej Republiki Ludowej - powiedział De Ming. - Należałoby utworzyć grupę koordynacyjną zbierającą informacje ze źródeł zagranicznych.

-

Aby znaleźć winnych lub obciążyć kogoś niewygodnego? - zauważył generał

Tam Li.

Le spojrział na oficera.

-

Pytam jeszcze raz, panie generale, czy ma pan dla nas jakieś informacje?

-

Nie - odparł. - Tylko uwagę. Sytuacja bez wątpienia ulegnie zaognieniu.

Premier nie próbował nawet pytać, jak i kiedy do tego dojdzie. Żaden z dwóch przeciwników nie powie niczego, co mogłoby w jakikolwiek sposób posłużyć drugiemu.

-

Co trzeba zrobić, żeby przywrócić spokój? - zapytał.

-

Nie ma mowy o spokoju bez jednolitej wizji - stwierdził Czou. - Mamy w Chinach określony system wartości, stworzony przez wielkich ludzi. System ten udało się zaprowadzić dzięki temu, że miliony poświęciły życie na realizację tego celu. Nie wolno nam czynić żadnych odstępstw od niego.

Tam Li ścisnął w palcach zapalonego papierosa i zapatrzył się w żarzący czubek.

-

Liczba palaczy w Chinach przewyższa całą populację Stanów Zjednoczonych.

Czy wszyscy mają palić ten sam gatunek papierosów? A może należałoby zmusić do palenia niepalących? Lekarz mówił mi, że ten nałóg też zabija miliony.

-

Pańskie uwagi są niesmaczne - przerwał Czou. - Dyskredytują ofiarę złożoną przez innych.

-

Chciałem tylko przedstawić odpowiednią perspektywę - mruknął Tam Li.

-

Ale się to panu nie udało - odparł Czou. - Panie premierze, ta rozmowa prowadzi donikąd, a ja jestem zmęczony.

88

-

Może powinien pan pomyśleć o odpoczynku - powiedział generał i spojrzał na szefa wywiadu. - Mam na myśli sen.

Czou Szin popatrzył na premiera.

-

Czy mamy jeszcze coś do omówienia?



-

Nie, dziękuję panu - odparł Li. Czou przekazał mu już to, czego potrzebował.

Szef Guoanbu skłonił się lekko ministrowi spraw zagranicznych, potem premierowi i wyszedł.

-

Ideolodzy to łatwy cel - stwierdził generał.

-

Po co to panu? - zapytał Le. - Nie jest pan zwolennikiem naszej linii politycznej?

-

Jestem zwolennikiem Chin - oznajmił Tam Li. - Bez względu na formę, jaką przybierają. Raz chodzi o dynastię, o cesarzową, innym razem o partię komunistyczną. Następnego dnia poszukamy nowej drogi, bo Hongkong i Tajwan zmuszają nas do zaakceptowania nowych idei.

-

Nie wszyscy je tolerują - zauważył minister spraw zagranicznych.

-

Oczywiście. Na przykład dyrektor Czou. I wielu innych. Jestem generałem, umiem patrzeć i oceniać sytuację podczas bitwy. Ta, którą podjął dyrektor Czou, jest przegrana.

-

Uważa pan, że dyrektor nie kocha Chin tak jak pan, jak my wszyscy? -

dopytywał się Le.

-

Wcale tak nie myślę. Ale jest zazdrosnym kochankiem.

-

I gwałtownym, to pan chciał powiedzieć?

Generał Tam Li uśmiechnął się niepewnie. Wsadził ogarek papierosa w usta, potem ostrożnie złożył gazetę pełną popiołu, wstał i wyrzucił ją do kosza. Następnie podszedł do premiera i położył niedopałek w jego popielniczkę.

-

Nie, panie premierze - powiedział.

-

Dyrektor nie jest człowiekiem porywczym? - dążył Le.

-

Nie. I niczego więcej nie powiem. Dyrektor Czou i ja podzielamy pewien pogląd: mianowicie taki, że każdy musi sam stoczyć swoją walkę.

-

Takie zmagania szkodzą Chinom - zauważył premier.

-

Wewnętrzne spory, choć bolesne i kosztowne, w rezultacie umacniają system.

Powstają nowe bariery ochronne, zastępujące stare mechanizmy, które nie spełniły swojego zadania. A jeśli nastąpi całkowite załamanie, oznacza to, że system jest już chory i słaby. Wcześniej czy później i tak by upadł.

-

Nie prowadzimy debaty na forum zgromadzenia narodowego, mówimy o nasileniu ataków na przedsięwzięcia należące do Chin - zaproponował premier.

89

-

Częstuje nas pan frazesami i ogólnikami - dodał zniecierpliwiony minister.

-

A czym innym jest komunizm? - spytał Tam Li.

Szef dyplomacji skrzywił się z obrzydzeniem, przeprosił i wyszedł z pokoju. Premier odsunął popielniczkę i wstał z miejsca.

-

Panie generale, nie obchodzi mnie to, czy pozabijacie się z dyrektorem Czou -

powiedział. - Jestem zupełnie spokojny o pomyślność Chin. Ale bardzo poważnie obawiam się o bezpieczeństwo zaplanowanego na czwartek startu „Czerwonego Orła”. Podległe panu służby mają wykorzystywać tego satelitę do łączności zamiast dotychczasowych łączy naziemnych.

-

To tylko jego uboczna funkcja - stwierdził Tam Li.

-

Oczywiście, zresztą jedna z wielu - zgodził się Le. - To dlatego Ministerstwo Nauki zwróciło się do zagranicznej firmy o zbudowanie szkieletu. Jego struktura pozwoliła nam dołączyć wiele funkcji, dzięki czemu ten jeden satelita wystarczy za kilka innych. Obawiam się, że dyrektor Czou może próbować zakłócić jego start.

-

Nie umiem panu pomóc - odparł Tam Li. - Między nami występuje zasadnicza różnica poglądów.

-

Owszem. I przyjmuje ona materialną formę, jak duch w starej opowieści o Zong Dingbo - przypomniał premier. - W tej formie duch dysponuje niszczycielską siłą, ale sam też może zostać zniszczony.

-

O ile pamiętam z dzieciństwa, był to duch bardzo lekkomyślny - stwierdził generał. - Ale duch zawsze pozostaje duchem, bez względu na konsekwencje.

-

Ten satelita jest o wiele ważniejszy niż wasze spory. - Premier nie ukrywał złości. Był człowiekiem praktycznym. Tymczasem Tam Li, podobnie jak dyrektor Czou, dla zasady gotów był zstąpić do piekieł.

-

Wie pan, jaka jest przyczyna konfliktu między nami?

-

Obaj sprzedajecie ludzi - powiedział Le. - Tyle mi przynajmniej wiadomo.

-

To nieprawda, panie premierze. Ja otrzymuję tylko honorarium za doradztwo od ludzi, którzy zajmują się handlem.

-

Handlem żywym towarem...

-

Ja widzę to zupełnie inaczej, oni zresztą też - rzekł Li. - Ci ludzie chcą wyjechać z Chin, nie chcą być częścią świata tworzonych przez dyrektora Czou.

Podobnie jak ja, chcą zarabiać pieniądze. Tyle tylko, że ja zostaję na miejscu, a oni wyjeżdżają. Dorabiam sobie w ten sposób, i to zgodnie z prawem. Muszę to robić.

Moi podwładni ciągną zyski z hazardu i czar—

90

nego rynku. Po prostu zarabiamy za mało pieniędzy, aby utrzymać rodziny i wykształcić dzieci. W Rosji ludzie tacy jak ja zarabiają na handlu przestarzałą bronią.

W Stanach Zjednoczonych sprzedają tajemnice wojskowe. Jedni i drudzy handlują z Chinami, bo na to nasz rząd nie szczędzi pieniędzy. My, którzy jesteśmy gotowi oddać życie w obronie ojczyzny, musimy zadowolić się tym, co zostanie. A nie ma tego zbyt wiele.

-

Żołnierze zawsze zarabiają za mało - przyznał Le. - Za to ich życie nie zależy od urodzaju, turystów czy koniunktury gospodarczej. Ich pensje nie są wysokie, ale regularne. Nie chodzą głodni i mają zapewnioną opiekę medyczną.

-

Do czasu, kiedy nowe technologie zredukują nasze szeregi - zauważył generał.

- Wie pan równie dobrze jak ja, że nawet „Czerwony Orzeł” będzie miał wpływ na zmniejszenie liczebności wojskowych służb łączności. Nowe okręty podwodne typu

„Song” mają o połowę mniejsze załogi w porównaniu ze starszymi modelami. Może kiedyś ja sam stanę się zbędny. Nie potrafię uprawiać ziemi ani wyplatać koszy. Nie będę błagał japońskich czy amerykańskich turystów, by zechcieli obejrzeć Wielki Mur. Może się to panu nie podobać - dyrektorowi Czou nie podoba się na pewno - ale mówię to w imieniu rzeszy ludzi i nie mam zamiaru się wycofywać. Czy pyta mnie pan o to tylko dlatego, że wychodzę stąd ostatni, czy też zgadza się pan z dyrektorem Czou?

-

Nie apróbuję pańskich metod, ale nie popieram też działań dyrektora Czou.

-

Ale nie powie mu pan tego, bo reprezentuje on partię, która jest ucieleśnieniem przewodniczącego Mao - stwierdził generał. - Sprzeciw wobec niego oznacza wystąpienie przeciwko wielkiemu rewolucjonście.

Le milczał.

-

Przypuśćmy, że pana poprę - ciągnął Tam Li. - Przeciwstawię się zakusom dyrektora Czou Szina, bo jego Chiny zatrzymały się w poprzednim stuleciu. A Chiny wciąż się zmieniają, panie premierze. I nie może być inaczej, choćby ze względu na różnice narodowościowe, kulturowe, a nawet klimatyczne. Jeżeli spróbujemy powstrzymać zmiany, pojawią się rysy.

Generał się uśmiechnął.

-

Czy miłość może przetrwać bez mocnego, serdecznego uścisku?

Tam Li wyszedł z pokoju. Jego nowiutkie buty głośno skrzypiały, kiedy stapał po niebieskim dywanie. Premier spojrział w dół. Jego buty nie były nowe.

i; I

91

Nowe buty, nowe idee, pomyślał, wychodząc z pokoju. Wrócił do gabinetu i wyjrzał

przez okno. Niedługo świt. Le nie wiedział, czy udało mu się cokolwiek osiągnąć dzięki temu spotkaniu, poza upewnieniem się co do sposobu myślenia, reagowania i działania obu przeciwników. Jego zamiar rozdzielenia ich i nawiązania porozumienia z tym, który sprawia wrażenie bardziej przystępnego, się nie powiódł. Nie udało mu się nawet zneutralizować zagrożenia ze strony ministra spraw zagranicznych. De Ming niepostrzeżenie przechodził na stronę dyrektora Czou. Generał był drapieżnym kapitalistą, twardo dążył do wytyczonego celu, ale nie stanowił zagrożenia dla nikogo, kto nie wszedł mu w drogę. Czou zaś był idealistą, w dodatku dysponował

takimi środkami i sojusznikami, by zaatakować każdego, kto nie podziela jego wizji.

Zagrożenie to mogło dotyczyć i samego premiera, i naukowego projektu, z którego ciągnie zyski

międzynarodowa korporacja. Noc nie była jednak całkiem stracona. Le uświadomił sobie, że problem może być dużo poważniejszy, niż sądził do tej pory.

Generał Tam Li także mógł coś stracić z powodu udanego startu „Czerwonego Orła”.

Z jednej strony Ludowo-Wyzwoleńcza Armia Chin zwiększy skuteczność, z drugiej zmniejszy się liczebnie. A zgodnie z tym, co mówi Tam Li, generał bez wojska przestaje być generałem. Staje się emerytem.

Zarówno Tam Li, jak i Czou Szin odnieśliby korzyść ze zniszczenia satelity. Niestety, prawdą jest też, że bez względu na to, który z nich wygra, będzie to porażka Le Kwan Po.

## ROZDZIAŁ 20

Waszyngton Poniedziałek, 19.00

IT waga prezydenta o oddziale piechoty morskiej, przydzielonym do Centrum Szybkiego Reagowania, zbiła z tropu Paula Hooda. Z jednej strony, ambasador musiał zgłosić prezydentowi prośbę o dodatkową ochronę placówki. Z drugiej, oznaczało to rozrost Centrum, a nie ograniczanie jego znaczenia. Być może specjalne przywileje miały obowiązywać tylko w początkowym okresie kierowania generał

Carrie, aby umożliwić jej przeprowadzenie reorganizacji zgodnej z własną wizją.

Tylko że senator Luke Murray z Marylandu, nowy szef kongresowej Komisji Kontroli Wywiadu, był jeszcze większym skąpcem niż jego poprzednik, Debenport.

92

Hood nie sądził, aby komukolwiek udało się przekonać go do wydania pieniędzy, nie mówiąc o przywróceniu kontyngentu wojskowego, który niedawno został zlikwidowany.

Być może działo się coś, o czym Hood nie miał zielonego pojęcia. Naturalnie to tylko teoretyczna możliwość. Może prezydent także nie został o tym poinformowany. Nie wszystkie operacje wywiadu są dokumentowane i trafiają na jego biurko. Hood miał

nadzieję, że dowie się czegoś więcej podczas spotkania z generał Carrie. Zadzwoił

do Centrum przed wyjściem z Białego Domu. Bugs Benet z radością zapisał go na spotkanie, ale w jego głosie dało się wyczuć pewną sztywność. Nic dziwnego, w końcu zmienił się szef. Spytali się nawzajem, co słyhać, i obie odpowiedzi były pełne rezerwy i nienaturalne. Pewnie generał Carrie zabroniła pod-władnym jakiegokolwiek poufałości w zespole, f, Jazda do Centrum była zarazem znajoma i odmienna. Hood znał tę dro-gę, miejsca, gdzie tworzyły się korki, barwy drzew w

światłach ulicznych | latarni i odcienie wczesnowieczornego nieba. Ten sam bezdomny stał koło I autostrady obok prowizorycznego stoiska i jak zwykle handlował rzeźba-| mi z plastikowych kubków do kawy. Pewnego razu Hood zatrzymał się I i kupił jedną z nich, bo zrobiło mu się żal gościa. Miał na imię Joe i z trzech | kubków potrafił zrobić replikę Kapitolu. I to całkiem niezłą. Nawet problemy, o których Hood rozmyślał podczas jazdy, były takie same - jakie przedsięwziąć działania wobec wykluwającego się gdzieś daleko konflik-J ■ tu, który mógł mieć wpływ na Stany Zjednoczone. Wizyta w Centrum była h', jak odwiedziny u Harleigh i Alexandra. Jechał do miejsca, które kiedyś I;- było jego domem. Tak wyszło i nic się nie da na to poradzić. I Po dotarciu do bazy lotniczej Andrews Hood zatrzymał się przed bramą. i Przywitał go znajomy sierżant w kuloodpornej budce wartowniczej.

Wi-• dzieli się już tego ranka. Teraz Hood musiał czekać, aż aparat umieszczony | po stronie kierowcy wykona cyfrowe zdjęcie. Potem czekał, aż wartownik , znajdzie jego nazwisko na wydruku komputerowym, a następnie na pełne otwarcie przesuwanej na rolkach bramy. Karta identyfikacyjna, którą ciągnie miał w portfelu, już nie działała. Zaparkował samochód i wszedł do holu. Wartownik znał go, ale musiał zawiadomić Bugsa o jego przybyciu. Po chwili Hood otrzymał przepustkę, która uprawniała go do korzystania z windy na czas jednego dnia. Na dole przywitał

go Bugs. Uścisnęli sobie }#onie. Nie było to oficjalne powitanie, ale wypadło okropnie niezręcznie.

-

Miło cię znowu widzieć - powiedział Hood.

-

Mnie też. Pani generał czeka.

93

Bugs miał na twarzy przyklejony uśmiech, ale nie wyglądał na uradowanego. Hood zorientował się, że coś mu nie gra w jego wyglądzie. Zauważył w końcu, że Bugs ma opuszczone i zapięte rękawy koszuli oraz nienagannie zawiązany krawat. Hood pozwalał mu nosić luźny węzeł i odpinać guzik od kołnierzyka. Może Bugs liczył na pochwałę. A może właśnie ktoś powiedział mu, że wygląda beznadziejnie. Nie było to zapewne najważniejsze, ale mozaikowa struktura Centrum złożona była właśnie z takich drobiazgów. W mozaice zmiana jednej kostki wpływa na wszystkie pozostałe.

Być może ciasno zawiązany krawat spowodował zmianę zachowania Bugsa na bardziej oficjalne, co z kolei mogło udzielić się innym pracownikom i wpłynąć na ich własny wygląd i pracę. Hood był zwolennikiem poglądu, że zbyt sztywne zachowanie ogranicza świeżość spojrzenia i utrudnia dojście do głosu intuicji.

Ludzie nie spodziewali się byłego szefa. Uśmiechali się podobnie jak Bugs, niektórzy nawet głośno witali, ale nikt się nie zatrzymał, by zamienić kilka słów. Nikt nie miał

mu do przekazania żadnej informacji, nikt o nic nie pytał. Ktoś inny cieszyłby się tym, że nikt nie zawraca mu głowy, ale Hooda wyraźnie to denerwowało. Z każdą chwilą czuł się coraz bardziej tak, jak wtedy, gdy odszedł od Sharon i dzieciaków.

Jakby nie była to zwykła zmiana miejsca pracy, ale jakieś zesłanie. Na próżno czekał, aż zjawi się ktoś i wstawi go do właściwej przegródki.

Wszedł do swojego gabinetu, a raczej do pomieszczenia, które kiedyś było jego gabinetem. Wyglądało jakoś inaczej i pachniało inaczej. Carrie piła herbatę, nie kawę. Nawet dźwięki były inne, bo nowa szefowa trzymała zamknięte drzwi. Hood nie zdążył nawet podziękować Bugsowi, gdy został zamknięty sam na sam z panią generał. Carrie wstała i podała mu rękę nad blatem biurka. Inaczej ją sobie wyobrażał. Miała dość ostre rysy twarzy, rozbrajający uśmiech i łagodne spojrzenie.

Jej głos był także miękki, ale nie słaby, podobnie jak uścisk dłoni.

Wskazała mu fotel, który sam kiedyś wybierał. Spytała, czego się napije, ale podziękował. Zaczekał, aż usiądzie, i dopiero potem zajął miejsce. Być może nie było to poprawne politycznie, ale miał to gdzieś. Morgan Carrie była kobietą, a kobiety siadają pierwsze. Tak przynajmniej było do tej pory.

-

Sądzę, że może się pan czuć trochę skrępowany - zauważyła pani generał.

-

Odrobinę.

-

Czy mogę panu w czymś pomóc?

94

-

Proszę, aby dobrze się pani opiekowała moimi ludźmi - poprosił Hood.

-

Pytałam, czy mogę zrobić coś dla pana.

-

W ten sposób sprawi mi pani wielką przyjemność - zapewnił Hood. - Ponieważ nie doszło do oficjalnego przekazania obowiązków, chcę tylko powiedzieć, że moi ludzie, to znaczy pracownicy



Centrum, najlepiej czują się w dość swobodnej atmosferze. Choćby świat walił się w gruzy, w Centrum może być jak w niebie. Na przykład Bugs - to wspaniały sekretarz. Doskonale panuje nad najmniejszymi drobiazgami.

-

Istotnie, pan Benet jest człowiekiem bardzo operatywnym i dobrze poinformowanym - zgodziła się pani generał. - Okazał się dziś niezmiernie pomocny.

Naturalnie nie da się uniknąć przeprowadzania pewnej oceny. Niewykluczone, że sprowadzę kilka osób z wywiadu wojskowego. Mimo to będę chciała zatrzymać jak największą część obecnego personelu Centrum. Zapewniam też pana, że nie mam zamiaru przeprowadzać szybkich zmian.

-

Rozumiem. - Hood czuł się nieswojo. Właściwie nie miał zamiaru o tym mówić, ale tak jakoś wyszło. - Chodzi mi raczej o formy codziennych zachowań -

podjął. - Wróćmy do Bugsa. To doprawdy drobiazg, ale najlepiej pracuje, kiedy ma podwinięte rękawy i rozluźniony krawat.

-

To jego sprawa - odparła Carrie. - To nie wojsko. Jak najbardziej popieram cywilny styl ubierania się.

Hood popatrzył na nią uważnie.

-

Ach tak... to bardzo dobrze.

Poczuł się jak idiota. Bugs zacisnął krawat i zapiął mankiety, żeby zrobić na niej jak najlepsze wrażenie.

Pani generał wyprostowała się i skrzyżowała ręce na piersiach.

-

Zdaję sobie sprawę z sytuacji, w jakiej się tu znalazłam. Ja też jestem w okresie próbnym. Zajął miejsce kogoś, kto przez całe lata wypełniał niezwykle trudne zadanie - dbał zarówno o prezydenta, jak i o swój personel. To doprawdy niemałe osiągnięcie. Moja ekipa w wywiadzie ^wojskowym pracowała na innych zasadach.

Oni otrzymali taki a nie inny przydział, czy się to im podobało, czy nie. Pańscy ludzie to w większości cywile. Pracowali tu, bo tego chcieli. Wiem, że Centrum nie zawsze funkcjonowało bez zgrzytów. Nie ma rzeczy idealnych. Ale zwykle działało dobrze i skutecznie. Chciałabym pozostawić

po sobie podobną opinię.

Teraz Hoodowi naprawdę zrobiło się głupio, choć pochlebstwa mile chtały jego próżność. Spodziewał się spotkania z kimś takim jak Mike 95

Rodgers, z którym każda rozmowa przyjmowała formę walki. Ale generał Carrie była zupełnie inna.

Znowu usiadła głębiej w fotelu.

-

Wiem od Bugsa, że to prezydent prosił pana o rozmowę ze mną. -Uśmiechnęła się lekko. - Nie sądzę, żeby tematem naszego spotkania miały być rękawy koszuli pana Beneta.

-

Istotnie - przytaknął Hood. - Powodem jest mój wyjazd do Pekinu. Bob Herbert i Mike Rodgers mają pewne obawy związane ze startem satelity zbudowanego przez firmę Unexus. Prezydenta interesuje raczej stabilność chińskiego rządu. Poleciał mi dokonać oceny sytuacji.

-

Jest bafdzio napięta - stwierdziła Carrie.

-

Czyżby wywiad wojskowy interesował się którymś z graczy? - Hood poczuł

się jak przedstawiciel innej agencji wywiadowczej. Nie zapytał wprost, czy śledzą generała Tam Li. W ten sposób nie ujawniał swoich informacji.

-

Zebraliśmy wszelkie dane na temat najważniejszych osobistości wojska i wywiadu - odpowiedziała Carrie, podobnie jak on unikając nazwisk.

-

Czy któraś z nich wymaga szczególnej uwagi? - spytał Hood.

-

Nawet kilka.

Gdyby Hood nie zadał pytania: „kto?”, znaleźliby się na nieprzekraczalnym, a zarazem najbardziej absurdalnym poziomie rozmowy agentów wywiadu - ujawnij to, co wiesz, wtedy powiem, co ja

wiem. Przypominało to jakąś głupią grę dla dorosłych.

Niestety, choć faktycznie było to głupie, nie chodziło o grę. W świecie, gdzie informacja oznacza władzę, wszyscy postępują według tego schematu. Nawet jeśli teoretycznie znajdują się w tej samej drużynie.

Carrie podniosła słuchawkę telefonu i nacisnęła przycisk interkomu. Hood zawsze przełączał go na głośnik.

-

Proszę ich wpuścić do środka - powiedziała.

Drzwi za plecami Hooda otworzyły się i wtoczył się przez nie Bob Herbert na wózku.

Za nim szedł Darrell McCaskey. Herbert zatrzymał się po prawej stronie Hooda.

Wymienili uścisk dłoni. Na ustach Herberta gościł oszczędny uśmiech, oczy miał zaczerwienione. Sprawiał wrażenie wykończonego. McCaskey też wyglądał marnie.

Przywitał się z Hoodem i opadł na fotel. Herbert miał rozluźniony krawat, Darrell nie pozwolił sobie na podobną niedbałość.

-

Poprosiłam Boba i Darrella - rzekła Carrie - bo uważam, że lepiej pogadać w szerszym gronie.

96

Spojrzała na swoich pracowników. Swoich pracowników, pomyślał Hood. Których najwyraźniej wezwała według własnego uznania. Hood mógł to zinterpretować dwojako - albo chciała mu pokazać, że jest już kimś z zewnątrz, albo przeciwnie, że należy do drużyny. Tak czy inaczej, zaproszenie ich było jej decyzją.

-

Na polecenie prezydenta Paul wyjeżdża do Pekinu - wyjaśniła. - Prezydent Debenport poradził mi, aby wpadł do nas po drodze. Paul właśnie miał wyjaśnić, jakie informacje będą mu potrzebne.

To także było zręczne posunięcie. W sposób naturalny wyczuwało się, kto tu rządzi.

McCaskey i Herbert popatrzyli na Hooda. Teraz on powinien coś powiedzieć.

-

Właściwie chciałbym się dowiedzieć, dlaczego oddział piechoty morskiej, działający na zlecenie Centrum, został przydzielony do ochrony ambasady w Pekinie

- powiedział Hood.

Carrie była wyraźnie zaskoczona.

-

Jadą tam w celu gromadzenia informacji - odparła.

-

W Pekinie? - spytał Hood.

-

W Pekinie i nie tylko. W jego skład wchodzi wyłącznie żołnierze chińskiego pochodzenia. Przeszli wieloletnie przeszkolenie, które pozwoli im infiltrować chińskie społeczeństwo, znaleźć zatrudnienie w administracji oraz przeniknąć do najwyższych władz państwowych.

-

Świetny pomysł - stwierdził Herbert. - Wywiadowi potrzebni są ludzie, którzy mogliby się wtopić w szeregi przeciwnika.

-

Osoby z zewnątrz, bez lokalnych powiązań, które mogłyby stwarzać zagrożenie dla wykonywanych zadań, wpływać na rzetelność dostarczanych danych i narażać na niebezpieczeństwo innych agentów - dokończyła Carrie. - Szkolimy tego rodzaju grupy do podejmowania działań w wielu regionach.

Nadal patrzyła podejrzliwie na Hooda.

-

Członkowie Kolegium Szefów Połączonych Sztabów dobrze o tym wiedzą.

Prezydent mógł ich o to zapytać.

-

Pewnie tak, ale zapytał mnie - odrzekł niewinnie Hood.

-

Czyżby prezydent nie ufał własnym doradcom? - powiedziała Carrie z niedowierzaniem w głosie.

-

Dopiero od dwunastu godzin jestem prezydenckim specjalistą od rozwiązywania kryzysów. Nie potrafię jeszcze stwierdzić, komu prezydent ufa, a komu nie. - Hood próbował poprawić nieco klimat rozmowy, który nagle stał się ciężki i pełen nieufności. - Być może moja wizyta w Centrum

## ■ 1 - Wojna orłów

97

to forma inicjacji. Wrzucamy nowicjusza na głęboką wodę i patrzymy, jak sobie poradzi.

-

Możliwe - zgodziła się Carrie. - Moim zdaniem przypomina to raczej chrzest bojowy w stylu ulicznych gangów. Trzeba kogoś zabić, żeby zostać przyjętym do szeregów. Zwykle, aby potwierdzić swoją lojalność, na ofiarę wybiera się znaną osobę lub przyjaciela.

-

Coś mi umknęło? - spytał z niesmakiem McCaskey. - Nie gramy już dłużej uczciwie?

-

Tu nie chodzi o grę, Darrell - odparł Herbert. - Sądzę, że właśnie został uruchomiony drugi front.

Mimo zmęczenia Herbert nie stracił bystrości umysłu. To bardzo niepokojące przypuszczenie, ale Centrum Szybkiego Reagowania mogło być takim samym polem bitwy, jak Chiny. Wcześniej Hood sądził, że przysłano go tu w celu uzyskania informacji na temat oddziału piechoty morskiej oraz po to, by wywiad wojskowy miał świadomość, że Centrum znajduje się pod stałą obserwacją. A może nie chodziło o poinformowanie Białego Domu o operacji piechoty morskiej, ale o jej storpedowanie? Może Debenport sądził, że Hood potrafi zachować wpływy wśród pracowników Centrum, zmuszając Carrie do utrzymywania równowagi między Białym Domem a wojskiem albo do podjęcia ryzyka odsunięcia Hooda i jego ludzi, co oznaczałoby wymianę reszty lojalnej, zaprawionej w bojach ekipy. Oto wyższy poziom intrygi, przydający nowego znaczenia wywiadowi wewnętrznemu.

Wyglądało na to, że Hood szpieguje ludzi z własnego zespołu.

-

Z pewnością mamy na głowie ważniejsze sprawy - stwierdził McCaskey.

Miał rację. Najgorsze, że obie możliwości wcale się nie wykluczały. Hood i Carrie popatrzyli sobie w oczy. Poprzedni szef Centrum nie miał pojęcia, jak udało mu się wejść w konflikt z kolejną kobietą, której nawet nie znał, ale tkwił już w tym po uszy.

I ona też. Powinni się jakoś dogadać.

-

Wróćmy do tematu, jeśli mam zdążyć na samolot. Czy ludzie z piechoty morskiej podlegają wywiadowi wojskowemu, czy Centrum? Szefowie sztabów nie uznali za konieczne, by poinformować o tym prezydenta.

-

Centrum jest upoważnione do prowadzenia operacji o charakterze militarnym i paramilitarnym - odpowiedziała ostrożnie Carrie. - Wywiad wojskowy nie ma takich uprawnień. Jak pan wie, środki na oddział Striker zostały wstrzymane, ale pełnomocnictwa zachowały ważność.

98

-

Muszą podlegać bezpośrednio pani - domyślił się Hood.

-

Oczywiście. Jestem jedynym czynnym oficerem w kierownictwie.

Powoli wyjaśniało się, czego obawiał się prezydent. Wywiad wojskowy chciał wykorzystać Centrum jako przykrywkę własnych operacji. W ten sposób kontrola władz federalnych zmaleje, a wzrośnie znaczenie wojska.

Niestety, Hood musiał na razie odłożyć na bok tę sprawę. Gdzieś daleko stąd narastał

konflikt i czy to było po myśli wywiadu wojskowego, czy też nie, Hood musiał

przyznać, że budowanie agentury to pomysł dobry i najwyższy czas zająć się jego realizacją. Wtajemniczeni będą mieli się na baczności, a niezaangażowani - od roznosicieli gazet po sprzedawców rowerów - staną się bardziej chętni do komentowania niepokojów w państwie. W takiej atmosferze zarówno wścibstwo, jak i typowa dla szpiegów niepewność działania nie powinny zwracać większej uwagi.

-

Czy będę miał kontakt z pani ekipą podczas pobytu w Pekinie? - spytał.

-

Moi ludzie muszą zrealizować kilka wyznaczonych celów - powiedziała Carrie. - Jakie są pańskie zadania?

-

Tego dowiem się dopiero na miejscu.

-

A więc wtedy porozmawiamy na ten temat. Naturalnie może pan spodziewać się pomocy i wsparcia z naszej strony. A ja mam nadzieję, że nasz zespół będzie mógł liczyć na pana.

-

Oczywiście.

-

Z tego, co mówił Bob, wynika, że generał Reynolds uważa, iż może pan uzyskać informacje od samego premiera Chin. Słusznie założył, że prezydent dysponuje najlepszą możliwością kontaktu.

-

To prawda - odparł Hood. Musiał to być ciężki cios dla Herberta. Szef wywiadu Centrum patrzył w podłogę i bawił się nitką zwisającą z podłokietnika jego wózka inwalidzkiego.

-

Czy ambasador ma pomóc panu w nawiązaniu kontaktu? - spytała Carrie.

-

Taki jest plan - przytaknął Hood. - Ale niczego nie będę pewien, dopóki nie znajdę się na miejscu.

-

Nadal nie wiadomo, dlaczego premier nagle zaniepokoił się bezpieczeństwem startu satelity - stwierdził McCaskey.

; - Nie wiadomo nawet, czy naprawdę jest zaniepokojony - dodał Herbert. - W

napiętej sytuacji politycznej niedopuszczenie Guoanbu do tak ważnego projektu może być uznane za próbę podporządkowania sobie wywiadu przez premiera.

-

Sądzę, że powinniśmy nabrać trochę dystansu do całej sprawy - powiedział

McCaskey.

-

Mój dziadek mawiał, że kiedy zejdziesz się z ustalonej drogi na pobocze, można wpaść w sidła - stwierdził Herbert.

-

Na razie nie wytyczyliśmy nawet tej drogi - zauważył McCaskey. - Chcę tylko powiedzieć, żebyśmy zaczekali parę dni i zobaczyli, jak rozwinie się sytuacja.

-

Zgadzam się - powiedział Hood. Byli już koło windy. Hood przeciągnął kartę przez czytnik, by otworzyć drzwi, i wszedł do środka.

-

Chcę, żebyś wiedział, Paul, że stanę na głowie, byś mógł skorzystać z pomocy tego oddziału piechoty morskiej, kiedy tylko będziesz potrzebował - zapewnił

Herbert.

-

Wiem o tym - odparł Hood. - Dlatego zalecam najwyższą ostrożność.

-

Nie rozumiem. O co ci chodzi?

Drzwi windy zaczęły się już zamykać, kiedy Hood rzucił:

-

Pani generał też o tym wie.

## ROZDZIAŁ 21

Pekin, Chiny Wtorek, 8.11

Kiedy Tam Li był małym chłopcem, bardzo wstydził się znamienia, które miał na lewej skroni. Matka powiedziała mu wtedy, że ten znak to pamiątka po pocałunku słońca, co oznacza, że będzie kimś



wyjątkowym. Mały podarek z nieba będzie go strzegł i poprowadzi po drodze życia. W końcu nazwała go małym ognikiem i dodała, że ma nadzieję, iż poprowadzi za sobą resztę. Miała na myśli rodzinę. Tam Li potraktował te słowa o wiele szerzej. Ziemia zawsze podąża za słońcem.

Opuszczając gabinet premiera, generał był w pełni usatysfakcjonowany. Le Kwan Po nie należał do twardogłowych. Był pragmatykiem. Potrafił też skutecznie utrzymać równowagę między starą gwardią i nowymi ludźmi, nie okazując niechęci ani sympatii żadnej ze stron.

To dlatego konflikt między Tam Li a Czou potrwa nieco dłużej i przyniesie generałowi wszystkie spodziewane korzyści. Nie chodziło tu o drobne profity z handlu niewolnikami. Ta działalność spełniała rolę laboratorium. Dzięki niej nauczył

się, komu można zaufać, a komu nie. Prawdziwe zyski przynosiło to, co ludzie pokroju Tam Li kochali najbardziej - walka.

102

Po wyjściu od premiera generał wsiadł do zaparkowanego w podziemnym garażu samochodu. Stał on na najwyższym z trzech poziomów. W ciągu dnia na spotkania lub lotnisko woził Tam Li adiutant. Tym razem było za mało czasu, aby go ściągnąć.

O tej porze garaż był pusty, dzięki czemu generał widział z wnętrza ulicę.

Obserwował furgonetkę zaparkowaną na rogu przez rolnika, dostarczającego produkty do restauracji. Pomagał mu syn, który nie mógł mieć więcej niż siedem, osiem lat. Kiedy rozwiozą towar, pojedą do domu, chłopiec pójdzie do szkoły, a ojciec do pracy w polu.

Taki był właśnie świat dzieciństwa Tam Li. Jego rodzina zajmowała się uprawą kukurydzy w niewielkim gospodarstwie położonym pięćdziesiąt kilometrów od Pekinu. Każdego ranka przez cały siedmiomiesięczny okres zbiorów robili długie kursy. Ich klientami były jednostki wojskowe. To właśnie wtedy młody Tam Li uległ

fascynacji mundurem, wojskowym ceremoniałem i bronią. Nauczył się też, że oficerowi trzeba dać łapówkę, aby wpuścił dostawcę na teren wojskowy. To była ogólnie przyjęta forma robienia interesów.

Tam Li jechał do niewielkiego apartamentu, z którego korzystał, będąc w mieście.

Mieszkanie znajdowało się na najwyższym, trzecim piętrze budynku z początku lat sześćdziesiątych, efektu fali szeroko zakrojonego programu modernizacji, wprowadzonego przez Mao. Pierwszą partię mieszkań rozdzielono między ówczesny personel wojskowy, co miało być zachętą dla młodych ludzi do wstępowania do armii. Lokal był wygodny i przestronny. Tam Li dzielił go z matką, która trzy lata temu, po śmierci ojca, sprzedała gospodarstwo i teraz większość czasu spędzała na poga-duszkach z koleżankami w parku albo na haftowaniu na balkonie. Starsza pani miała mocny sen i nie przeszkadzały jej późne powroty syna do domu. Generał miał

przydział do połączonego dowództwa pekińskiego garnizonu wojskowego, gdzie odslugiwał drugą,

czteroletnią kadencję na stanowisku wiceprzewodniczącego potężnego Centralnego Komitetu Wojskowego. Połowę czasu spędzał w mieście, resztę w rozjazdach.

Słońce wyszło już zza horyzontu. Tam Li czuł się o wiele lepiej, niż gdy zbudził go telefon od premiera. Nie chciało mu się kłaść z powrotem do łóżka, chociaż powinien dobrze wypocząć przed tym, co go czekało. Wszedł do niewielkiego gabinetu i włączył radio. Zdjął kurtkę munduro-; Wą i powiesił ją w wąskiej, wolno stojącej szafce. Gabinet stanowiła pozbawiona okna wnęka sypialni. Pozbawione ozdób ściany pomalowano na biało. Biurko ledwie mieściło radio, telefon i komputer. Tam Li nie lubił

103

otaczać się sprzętami. Nie był sentymentalny. Jego pole widzenia ograniczone było do tego, co dopiero miało się wydarzyć. Zapalił papierosa, usiadł za biurkiem i zastanawiał się nad przyszłością, słuchając pekińskich Ludowych Wiadomości -

całodobowej stacji podającej informacje o wydarzeniach międzynarodowych. Ciągłe mówiono o zamachu na policjantów w Tajpej.

Tam Li nie miał dowodów, że stał za tym Czou Szin. Tyle że żadne dowody nie były potrzebne. Obaj politycy zwalczali się od dwudziestu lat, odkąd spotkali się w bazie wojskowej Tianjin. Ponad dwustu rekrutów uległo wówczas ciężkiemu zatruciu pokarmowemu. Tam Li był oficerem odpowiedzialnym za wyżywienie, a Czou Szin przewodniczył śledztwu z ramienia służb wewnętrznych Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin. To właśnie on odkrył, że Tam Li dzięki łapówce zakupił od hodowcy zakażoną wieprzowinę. Nie potrafił dowieść, że Tam Li świadomie kupił szkodliwe mięso, ale między oficerami wytworzyła się wówczas zatruta atmosfera podejrzliwości, podsycana dodatkowo zasadniczymi rozbieżnościami w poglądach politycznych. Wraz ze wspinaniem się po szczeblach kariery wojskowej ich wzajemna niechęć rosła, aż przerodziła się w nienawiść.

Czou obserwował Tam Li, a ten robił, co mógł, aby podsuwać dociekliwemu oficerowi wywiadu fałszywe tropy. Tym razem Czou Szin zdecydował się na inną metodę. Zamiast gromadzić dowody łamania prawa przez Tam Li, uderzył

bezpośrednio w działalność przestępczą. Generał oddał cios, przeprowadzając zamach w Durbanie, na co Czou Szin odpowiedział eksplozją w Tajpej. Próbował w ten sposób uświadomić Tam Li, że jest równorzędnym przeciwnikiem, a nawet że go przewyższa. Niestety, wykazując się determinacją, dyrektor Guoanbu nie popisał się intuicją.

Tam Li powiedział premierowi prawdę. Żołnierze faktycznie dostawali zbyt niskie wynagrodzenie za swoją pracę. Ale dla generała przemyt kobiet do burdeli stanowił

jedynie swego rodzaju zyskowne hobby. O tym, czym zajmował się naprawdę, ani Czou Szin, ani premier nie mogli się dowiedzieć.

Aż do chwili, kiedy będzie za późno na jakąkolwiek reakcję. Czou Szin uganiał się za prostytutkami i

handlarzami żywym towarem, tymczasem generał skrywał

prawdziwą zdobycz zupełnie gdzie indziej, gdzie ani Czou Szin, ani Le Kwan Po nigdy nie zajrzą.

Wysłuchał prognozy pogody. To nieprawda, że myślał tylko o przyszłości. Czasami miewał krótkie reminiscencje z dawnych lat, tak jak w tej chwili. Wracając do domu, ojciec zatrzymywał się koło domu starej Chan Juan. Miała ona specjalną rurkę, wypełnioną rtęcią, która pokazywała, czy

104

nazajutrz będzie słonecznie, czy pochmurno. Za prognozę dostawała kolbę kukurydzy. Sporządzała ją nie tylko na podstawie wskazań prymitywnego barometru, obserwowała też zachowanie ptaków i owadów i prowadziła dokładne notatki.

Pomyłki zdarzały się jej bardzo rzadko.

Dziś meteorologowie posługują się komputerami i satelitami, ale ich prognozy nie są lepsze od tych, które przygotowywała Chan Juan. Nowe metody nie zawsze są lepsze od starych, za to o wiele bardziej skomplikowane. W dawnych czasach generał

wyzwałby rywala, takiego jak Czou Szin, do walki na miecze, włócznie lub kije. W

kilka minut spór przestałby istnieć.

Pokręcił głową i odpalił od niedopałka nowego papierosa. Malutki, czerwony ogieniek, pomyślał generał, patrząc na przechodzący żar. A jednak jeśli pozostawić mały płomyk bez nadzoru, uzyska on moc zdolną zrównać z ziemią całe miasto, a w konsekwencji spowodować upadek kraju. Jedyne, co naprawdę odróżnia mały płomyk od wielkiego pożaru, to czas, w jakim pozwala mu się płonąć bez kontroli.

Tam Li zgasił papierosa, wyłączył radio i zamknął oczy. Ogarnęło go obojętne uczucie zadowolenia i wkrótce zapadł w sen. Kiedy się obudził, usłyszał matkę krzątającą się w kuchni. Spojrzał na zegarek. Minęły dwie godziny.

Wstał i poczuł, że nogi zareagowały bolesnym protestem. Zignorował ten objaw, podobnie jak ojciec, który nic sobie nie robił z porannych dolegliwości. Włożył

mundur i przywitał się z matką. Było już późno, ale nie tak, by nie mógł zjeść razem z nią śniadania. Potem weźmie prysznic i pojedzie do biura. Miał jeszcze coś do zrobienia przed cotygodniowym zebraniem członków Centralnego Komitetu Wojskowego. Dzięki temu będą mogli doprowadzić do końca plan mający na celu doprowadzenie do przyspieszonego wymierania podobnych do Czou Szina archaicznych dinozaurów.

ROZDZIAŁ 22

Po raz pierwszy od bardzo dawna Bobowi Herbertowi nie chciało się wstać z łóżka.

Było to tym bardziej dziwne, że miał się wkrótce spotkać ze swym starym przyjacielem i współpracownikiem, Mikiem Rodgersem.

105

Herbert zawsze lubił towarzystwo generała, zarówno w pracy, jak i nad wielką tacą pełną sushi. Przedkładał je ponad przebywanie z Hoodem, McCaskeyem czy którymkolwiek z kolegów. Rodgers nie ukrywał zgorzkniałego podejścia do życia i to zbliżało do niego Herberta.

Teraz jednak to właśnie Herbert czuł się nieszczęśliwy i skrzywdzony przez los.

Dlatego poprzedniej nocy zadzwonił do domu generała i poprosił o spotkanie. Aby pogadać i stwierdzić, czy Paul Hood bardzo się pomylił w kwestii wojska, czy raczej Herbert wykazał się zadziwiającą naiwnością.

Spotkali się na śniadaniu w barze, który przed ponad czterdziestu laty należał do sieci Hot Shoppe. Dawali tu świeżo wyciśnięty sok z grejpfrutów, a na parkingu mieli dostatecznie dużo miejsca dla inwalidów, aby pomieścić wielki, wyprodukowany na zamówienie mikrobus Herberta. Szef wywiadu Centrum zajmował swoją „świnką” aż dwa stanowiska. Pojazd był tak duży, że Herbert mógł w każdej chwili zjechać z drogi i uciąć sobie drzemkę. Często tak robił w drodze do domu w Missisipi, kiedy nie chciało mu się szukać motelu, przystosowanego dla niepełnosprawnych. Ponadto miał tu komputery i bezpieczne łącze, z którego mógł korzystać, kiedy przebywał

poza biurem.

Rodgers już był na miejscu. Siedział w narożnej wnęce i czytał gazetę. Generał był

jednym z niewielu znanych mu ludzi, którzy nie tylko czytali kilka dzienników, ale woleli drukowaną wersję informacji. Obok niego stał dzbanek z kawą. Zapewne pusty, jeśli Rodgers był tu dłużej niż pięć minut. Herbert potoczył się po wyblakłym od słońca linoleum w stronę wnęki. Przyglądał się kelnerkom, kierowcom ciężarówek, pośrednikom i innym gościom, zajmującym się swoimi sprawami.

Wydawało mu się, że wszedł do jakiegoś filmu science fiction z lat pięćdziesiątych, w którym bohater podejrzewał, że przybysze z kosmosu knują potajemnie w celu przejęcia władzy. Wtedy filmowi Obcy stanowili metaforę komunistów. Teraz pod postacią kosmicznych złoczyńców mogli się kryć amerykańscy wojskowi.

Na widok Herberta Rodgers złożył gazetę. Szef wywiadu zajął miejsce od strony przejścia. Nie blokował nikomu drogi, gdyż był to ostatni stolik w szeregu.

Dziękuję, że przyszedłeś - powiedział Herbert.

-

Nie ma sprawy.

-

Czy wyglądam równie kiepsko, jak się czuję?

-

Raczej tak - przyznał Rodgers. - Z powodu nowego czy starego szefa?

106

-

Obydwu - roześmiał się Herbert.

-

Jakieś zgrzyty spowodowane nagłą zmianą warty?

-

Nie - zaprzeczył Herbert. - Jeśli chodzi o pracę, wszystko jest jak powinno. Z

niepokojem myślę jednak o tym, jaki był prawdziwy powód tej zmiany.

Podeszła kelnerka, by przyjąć zamówienie. Rodgers poprosił o owoce i grzankę z pełnoziarnistego pieczywa. Herbert zdecydował się na naleśniki z mięsem i sok grejpfrutowy. Po odejściu kelnerki pochylił się w stronę rozmówcy. Wprawdzie nikt nie siedział przy sąsiednim stoliku, jednak przyzwyczajenie do dyskrecji było naturalne dla większości ludzi mających do czynienia z waszyngtońską administracją.

Wszyscy, nie wyłączając Herberta, nadstawiali ucha na to, co mówią inni ludzie.

Ciągłym nasłuchiwaniami nie zajmowali się szpiegowie czy dziennikarze, ale zwykli obywatele. Zawsze znalazł się ktoś, kto znał kogoś, kto chciałby wiedzieć to czy tamto.

-

Paul sądzi, że może chodzić o przesilenie na najwyższych szczeblach władzy -

powiedział Herbert. - Obawia się, że nagłe przeniesienie generała Carrie do Centrum Szybkiego

Reagowania to zapowiedź przejęcia przez wojsko kontroli nad wywiadem Stanów Zjednoczonych.

-

Poważna sprawa.

-

Też tak uważam - przytaknął Herbert.

-

Paul jest teraz blisko prezydenta, a to właśnie na polecenie prezydenta dokonano przeniesienia.

-

Najprawdopodobniej prezydent działał pod naciskiem Kolegium Szefów Połączonych Sztabów - wyjaśnił Herbert.

Rodgers wzruszył ramionami.

-

Czasem dochodzi do kompromisu. To jeszcze nie oznacza trzęsienia ziemi.

-

Oczywiście, ale kiedy zastanawiałem się nad tym dziś w nocy, jedna rzecz nie dawała mi spokoju. - Herbert przysunął się jeszcze bliżej. - Debenport stał na czele Komisji Kontroli Wywiadu i w tym samym czasie szykował się do wyborów prezydenckich. Jeżeli myślał o zwiększeniu wpływów wojska na wywiad, dlaczego wpisał twoje nazwisko na czele listy osób przeznaczonych do zwolnienia?

Rodgers drgnął. Najwyraźniej było to dla niego bolesne wspomnienie.

-

Przepraszam - powiedział Herbert. - Jeśli nie chcesz o tym mówić...

-

Nie chcę, ale lepiej miejmy to już za sobą. Być może senator Debenport chciał

utorować drogę dla kobiety? Mógł uznać, że generał Carrie ma 107

największe kwalifikacje, by objąć to stanowisko. Gdyby jednak po prostu odsunął

mnie i narzucił ją, mogłyby się podnieść głosy o odwrotnej dyskryminacji płci. Wielu senatorów i

wojskowych mogłoby nie zaakceptować tej decyzji, a generał Carrie nie zyskałaby powszechnej aprobaty, wymaganej na tym stanowisku.

-

Może, ale tym samym przypisujesz Debenportowi zapobiegliwość, o jaką nigdy bym go nie podejrzewał - stwierdził Herbert, rozglądając się podejrzliwie dookoła i ścisząc głos do ledwie słyszalnego szeptu. - Udało jej się przywrócić Strikera.

-

Co? - Rodgers nie krył zaskoczenia.

-

Z jej rozkazu czterej żołnierze piechoty morskiej, azjatyckiego pochodzenia, jadą do Pekinu. W tajemnicy, przez ambasadę.

-

Dywersja czy szpiegostwo? - spytał Rodgers, także szeptem.

-

To drugie - powiedział Herbert.

-

Centrum dysponuje ludźmi, którzy mogliby się tego podjąć - zauważył

Rodgers.

-

Właśnie. Wśród pracowników terenowych mamy dwóch dobrze wyszkolonych agentów pochodzenia azjatyckiego - przytaknął Herbert. - Nawet się z nimi nie skontaktowano.

-

Podalesz jej ich nazwiska?

-

Tak, podczas pierwszej rozmowy. Spotkanie było krótkie, z powodu konieczności zajęcia się tą chińską awanturą. Ale dałem jej wszystkie nazwiska, od Davida Battata do Falaha Szibli. Wymieniłem także naszych współpracowników z Korei Południowej i Tajwanu.

-

Carrie miała wcześniej do czynienia z piechotą morską?

-

Aż do wczoraj zajmowała się mieleniem informacji w wywiadzie wojskowym.

-

Aha.

Podano jedzenie. Herbert milczał aż do odejścia kelnerki. Potem napił się soku grejpfrutowego. Skrzywił się lekko, czując smak cudownej goryczki. Pociągnął

kolejny łyk. Zabawne, że w jedzeniu lubił to, czego nie znosił u ludzi.

-

Może to zwykła zmiana przydziału - podjął. - Może w wywiadzie znalazło się za dużo cywilów. Szefowie sztabów się poskarżyli, prezydent skapitulował. Ale skoro chodziło o przywrócenie równowagi, po co stworzył nowe stanowisko dla Paula, w dodatku tuż koło siebie? Najwyraźniej chce, żeby ktoś miał oko na ewentualną ekspansję wojska w wywiadzie.

108

-

Uważasz, że prezydent powinien raczej wysłać go na zieloną trawkę, jak mnie

- domyślił się Rodgers.

-

Albo do stadniny w charakterze starego ogiera rozplodowca, w zależności od tego, jak wolisz spędzać wolny czas - zauważył Herbert.

Rodgers zatrzymał w pół drogi grzanekę niesioną do ust.

-

W moim wieku nie na wiele bym się tam przydał.

-

Tylko tak ci się wydaje - uśmiechnął się Herbert, ale zaraz spoważniał. - Co sądzisz o tym wszystkim? Czy to tylko moja chora wyobraźnia?



-

Nie wiem. - Rodgers chrupał suchą grzanekę.

-

A co ci podpowiada intuicja? - nie dawał za wygraną Herbert. Wiedział, że przyjaciel intensywnie zastanawia się nad odpowiedzią. Poznawał to po znajomym, niewidzącym spojrzeniu stalowoszarych oczu Mike'a. Mogło się wydawać, że Rodgers przewierca rozmówcę na wskroś, patrzy gdzieś daleko za jego plecami, na wzgórze, które jego ludzie mają opanować, albo na miasto, do którego mają przeniknąć.

-

Instynkt mówi mi, że obawy Paula nie są pozbawione podstaw - odezwał się Rodgers. - Sytuacja przypomina tę, w której znalazł się Patton po zakończeniu wojny w Europie. Chciał natychmiast rozpocząć nową wojnę ze Związkiem Radzieckim, bo wojsko było już na miejscu, a wcześniej czy później i tak miało dojść do tej wojny.

Przede wszystkim jednak dążył do wojny dlatego, że zdobywanie nowych terytoriów to ulubione zajęcie generałów.

-

A co my mamy z tym zrobić? - spytał szef wywiadu. - To znaczy, Paul i ja -

dodał po chwili. To nie był problem Rodgersa i Herbert dobrze o tym wiedział.

-

Jest pewien sposób, aby zdobyć więcej informacji - powiedział Rodgers.

-

Jaki?

-

Dano mi do zrozumienia, że powinienem uczestniczyć w starcie satelity -

poinformował Rodgers. - Myślę, że się zgodzę.

-

Dlaczego się wahasz? - zdziwił się Herbert. - To przecież twój satelita.

-

Właśnie dlatego - odparł Rodgers. - Jak wiesz, niektórzy przedstawiciele chińskich władz wolą, żeby im o tym nie przypominać.

-

Paul też tam jedzie. Chyba jest już w drodze.

-

Jeśli pojedę, spróbuję mieć na oku tych gości z piechoty morskiej. Zwłaszcza jeśli wejdą na teren ośrodka lotów kosmicznych Xichang.

-

Czy poza rozdrażnieniem paru Chińczyków ten wyjazd może mieć dla ciebie jakieś negatywne skutki?  
- spytał Herbert.

109

- Tylko wtedy, gdyby doszło do eksplozji rakiety - odparł generał, odgryzając kęs melona.

Rodgers zadzwonił do biura i polecił sekretarce zarezerwować miejsce na popołudniowy lot do Pekinu. Potem dalej rozmawiał z Herbertem o

Unexusie i planach firmy na przyszłość. Obejmowały one konstrukcję satelity zdolnego do wykonywania trójwymiarowych obrazów powierzchni ziemi, co fantastycznie poszerzało możliwości rozpoznania. Herbert obiecał zachować tę informację w tajemnicy.

Generał był obecnie w dużo lepszym nastroju niż miesiąc temu. Ani Herbert, ani Rodgers nigdy nie pozostawali zbyt długo w stanie radosnego uniesienia, ale stary żołnierz zdradzał wyraźne symptomy ożywienia

1

zadowolenia. Być może długie przebywanie w podziemiach Centrum Szybkiego Reagowania odcisnęło na nim piętno, zarówno pod względem fizycznym, jak i emocjonalnym.

Kiedy po skończeniu rozmowy rozeszli się do swoich samochodów, Herbert był

pewien tylko jednego. Mimo osobistej tragedii, którą przeżył ćwierć wieku temu, jego własna wyprawa do jądra ciemności daleka była jeszcze od zakończenia.

Właściwie dopiero się rozpoczęła.

ROZDZIAŁ 23

Waszyngton Wtorek, 8.48

Do dnia dzisiejszego Morgan Carrie tylko raz odwiedziła bazę sił powietrznych Andrews. Było to dwa lata temu, podczas powitania głowy państwa, która składała pierwszą wizytę w Białym Domu. Carrie miała wówczas niewiele znaczące dwie gwiazdki. Nie została formalnie zaproszona, ale dostała rozkaz. Podczas uroczystości czuła się fatalnie, jakby postawiono ją na wystawie.

Od tego czasu wiele się zmieniło. Teraz ona miała władzę i to inni zabiegali o to, aby się z nią spotkać.

Na przykład wywiadowcy z piechoty morskiej.

Carrie nie przyjęła ich w siedzibie Centrum Szybkiego Reagowania, lecz w sali odpraw koło hangaru numer 5. Miejsce to dzielił spory kawałek drogi od budynku Centrum, dlatego pojechała wózkiem golfowym. Wolałaby się przejść, ale nie mogła się spóźnić, bo marines mieli dokładnie zaplanowany dzień.

110

To ona wpadła na pomysł wprowadzenia do gry piechoty morskiej. Spotkał się on z entuzjastycznym przyjęciem przewodniczącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, generała Raleigha Carew. Uważał on, że poważnym brakiem Centrum była nieumiejętność Hooda, Rodgersa i Herberta budowania siatek agenturalnych w obcych krajach. Pojawiały się trudności natury historycznej: obawa o dotrzymanie tajemnicy przez potencjalnych szpiegów oraz niechęć do obdarzenia zaufaniem tych, którzy zdecydowali się na współpracę. Zdaniem Carew odpowiedzią mogło być wysyłanie tak zwanych „przejściowych” wywiadowców, czyli ludzi z zewnątrz, którzy potrafili skutecznie wmieszać się w miejscową społeczność i szybko podchwycić lokalne zwyczaje, powiedzenia i modę, z którymi nie zetknęli się podczas szkolenia. Mieli oni wykonywać zadania dywersyjne, a potem zniknąć albo pozostawali w uśpieniu. Wojsko już od kilku lat pracowało nad PZS, czyli Przejściowymi Zespołami Szpiegowskimi. Dotychczas z inicjatywy wywiadu wojskowego wprowadzono je do akcji w Iraku i na Filipinach. Okazały się niezbędne, gdyż wywiadowcy pozyskani spośród miejscowych łatwo dawali się przewerbować i szpiegowali na niekorzyść Amerykanów. Stworzenie PZS

inspirowane było niemiecką akcją dywersyjną, przeprowadzoną podczas słynnej kontrofensywy w Ardenach podczas II wojny światowej. Na tyły wojsk alianckich zrzucono wówczas spadochroniarzy, ubranych i wyposażonych jak Amerykanie. Ich zadaniem było niszczenie składów paliwa, przecinanie opon ciężarówek, unieruchamianie czołgów i zwabianie nieprzyjacielskich oddziałów w pułapki. Siejąc zamęt, mieli opóźnić marsz wojsk alianckich, aby oddziały niemieckie mogły odbić ważny port - Antwerpię. Hitler zakładał, że długie i krwawe zimowe walki nadwątlą kruchy sojusz między Amerykanami Brytyjczykami z jednej strony, a Rosjanami z drugiej. Mogłoby to odciążyć świeżo wprowadzone do boju oddziały, zmuszone dotychczas do walki Da dwa fronty. Dyplomaci powstrzymywaliby jedną ze stron obłudnymi ropozycjami pokojowymi.

Kiedy alianckie dowództwo zorientowało się, na czym polega podstęp, dało wartownikom rozkaz pytania nie tylko o hasło, ale także o szcze-óły dotyczące amerykańskiej ligi bejsbolowej. Większość

dywersantów stała wkrótce wykryta i wzięta do niewoli, a rozprawę z Hitlerem dopro-adzono do końca.

' Generał Carrie dotarła do hangaru. Koordynator programu, kapitan Tony Iarico, zaszalutował i wskazał jej drogę do sali odpraw. Czwooro ubranych cywilnemu wywiadowców z piechoty morskiej siedziało na składanych 111

krzeselkach pośrodku pokoju. Obok nich leżały niepozorne plecaki. Trzej mężczyźni i jedna kobieta zostali przywiezieni z Quantico, gdzie odbywało się ich szkolenie. Po rozmowie z Carrie zawiozą ich na lotnisko Dullesa, skąd liniami Ali Nippon Airways odlecą do Tokio. Tam przesiądą się do samolotu Air China, odbywającego rejs do Pekinu.

Na widok pani generał żołnierze wstali i zaszalutowali. Carrie oddała im honory i poleciła zająć miejsca. Wszyscy niedawno skończyli dwadzieścia lat, ale kiedy spojrzano się im w oczy, wydawali się o wiele starsi.

Carrie odprawiła kapitana Tallarico. W obecności znajomych oficerów żołnierze mają tendencję do przybierania bardziej oficjalnej, służbowej postawy, a ona wolała zobaczyć ich takimi, jakimi będą ich widzieć Chińczycy. Przed spotkaniem miała zaledwie parę chwil, aby przejrzeć ich akta, zarówno prawdziwe, jak i te stworzone przez wywiad, na użytek czekającego ich zadania. W codziennym chińskim życiu dwoje z nich będzie studentami historii, jeden zajmie się naprawą rowerów, a jeden zostanie technikiem elektronikiem. Carrie chciała się upewnić, że dobrze weszli w role, zanim wyśle ich do akcji.

-

Dziś rano wszyscy otrzymaliście przydział do Centrum Szybkiego Reagowania

- zaczęła, patrząc na ich przejęte twarze. - Naszym zadaniem jest niedopuszczanie do wybuchu wojen, aby nie musieli w nich ginąć ludzie, tacy jak my. Dwoje z was będzie udawać studentów - czy wiecie, na czym polega wasza robota?

-

Tak jest, generale - odrzekli jednogłośnie.

Carrie spojrzała na dziewczynę.

-

Podporucznik Jam. Jeden z pani kolegów zwierzy się, że wydaje antykomunistyczną gazetkę. Jak pani postąpi w takim wypadku?

-

Staram się poznać jak najwięcej nazwisk, a następnie przekazać je do Centrum.

-

A jeżeli wydamy pani polecenie nawiązania bliższych kontaktów z miejscowymi działaczami partyjnymi? - spytała Carrie.

-

Przekażę te nazwiska wspomnianym działaczom.

-

Mimo iż oznacza to długoletnie więzienie dla ludzi, których w rzeczywistości pani wspiera?

-

Niestety tak, generale.

Carrie pokiwała głową.

-

To nie jest przyjemna praca i rzadko bywa uczciwa. To walka, w której wciąż giną niewinni ludzie. Często trudno dopatrzeć się płynących z niej korzyści. Nie da się ich wyrazić powierzchnią zdobytych ziem ani tym, że 112

szybko zmusi się nieprzyjaciela do kapitulacji. Ta walka wymaga bezlitosnej cierpliwości. Jeżeli komuś z was jej brakuje, jeżeli zagrożenie życia czyjegoś syna czy córki spowoduje, że się zawahacie, chciałabym to wiedzieć teraz. Nie poniesiecie żadnych konsekwencji, na wasze miejsce przyjdzie ktoś inny. Wolę zmienić koło, niż próbować jechać na trzech.

Nikt się nie odezwał.

-

Świetnie. Macie jakieś ostatnie pytania, życzenia, pomysły?

-

Nie, generale - odpowiedzieli zgodnym chórem.

W ich głosach słyhać było siłę i dumę, tak jak tego oczekiwała.

Cała czwórka została starannie wyselekcjonowana i przeszkolona do wykonania zadania. Jego czas miał nie przekraczać roku. Carrie była zadowolona, że właśnie oni jej się dostali. W odwodzie pozostawała druga czwórka agentów. W razie wpadki kogoś z pierwszej grupy i konieczności natychmiastowej ewakuacji z Chin, na jego miejsce natychmiast wysłany zostanie następny.

-

Dla spokoju sumienia zadam wam parę wyrywkowych pytań. Zapewne wszyscy weszliście już w swoje nowe tożsamości. Mam nadzieję, że opanowaliście też odpowiednią wiedzę, która pozwoli wam dostać się na teren kompleksu startowego, o ile okaże się to konieczne.

-

Papiery i paszporty zostały przesłane do ambasady - odpowiedział jeden z mężczyzn. - Jutro w południe, koło popularnego stoiska z pierożkami, mam umówione spotkanie z pracownicą ambasady, która dostarczy nam dokumenty.

Udamy, że przypadkowo wpadliśmy na siebie, i wtedy dokonamy przekazania.

-

Trudne zadanie.

-

O tak, ona jest ode mnie o wiele starsza...

Przez twarz Carrie przemknął cień irytacji. Tylko dlatego żołnierz zorientował się, że popełnił nietakt.

-

Generale, miałem na myśli...

■- Dokładnie to, co pan powiedział - ucięła. - Znam kilka starych kobiet, od których mógłby się pan wiele nauczyć, poruczniku Lee. r - Tak jest.

-

Porucznik Kent Lee. To pan będzie utrzymywał ze mną kontakt? -ciągnęła.

-

Tak jest. - Lee opanował się i znów przyjął służbistą postawę.

-

Elektryk.

. - Tak jest, generale - potwierdził Lee. - Mam nadzieję, że uda mi się dobrać wyposażone w GPS telefony komórkowe i komputery.

-

Aby ułatwić rozpoznanie - powiedziała Carrie.

-

Taki jest plan. A także części zamiennie do naszego sprzętu, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Członkowie zespołu będą się ze sobą komunikowali za pomocą wiadomości tekstowych. Na podstawie spływających do niego meldunków Lee będzie przygotowywał zbiorcze raporty i w określonych odstępach czasowych wysyłał je e-mailem do generała Carrie. Dla zachowania pozorów wiadomości będą przechodziły przez komputer fikcyjnej siostry porucznika, stojący w nowojorskim mieszkaniu w pobliżu budynku ONZ, wykorzystywanym jako punkt obserwacyjny przez CIA.

Jeżeli komputer Lee zostanie skradziony albo ktoś włamie się na jego konto, jedyne co zostanie ujawnione, to adres mailowy nieistniejącej An-drei Lee. Treść e-maili także nie będzie zawierała niczego kompromitującego. Komputer zostanie bowiem wyposażony w program HIPS do szyfrowania wiadomości. Kodowanie będzie się odbywało za pomocą kluczy, znajdujących się w zwykłym dokumencie. Wszystkie słowa informacji zostaną oznaczone i przeniesione do dłuższej wiadomości, która zostanie zniszczona natychmiast po wysłaniu. Pozostanie niewinny tekst, pozbawiony jakichkolwiek podejrzanych słów czy wyrażeń.

-

W razie konieczności każde z was ma oczywiście indywidualny plan ucieczki?

- spytała Carrie. Pamiętała dokładnie, o co chodzi, z czasów, gdy pracowała w wywiadzie wojskowym i uczestniczyła w tworzeniu planów i wytyczaniu tras.

-

Wycofujemy się do ambasady albo do bezpiecznego domu za Dworcem Północnym, koło pekińskiego zoo - wyrecytował Lee.

-

Numer mieszkania? - zwróciła się do dziewczyny.

-

Suterena. Siedem stopni w dół, drzwi na prawo, pukać trzy razy, przerwa, dwa razy.

-

Zapoznaliście się z topografią ośrodka lotów kosmicznych na wypadek, gdybyście zostali tam skierowani? - spytała pani generał. Sama obejrzała mapę przed wyjściem z biura. Zasadniczy wpływ na utrzymanie wysokiego morale wśród wywiadowców ma wykazanie się dogłębną wiedzą o czekającym ich zadaniu.

Wytwarzało to wrażenie, że akcja została starannie przygotowania i cały czas będą pod czyjąś troskliwą opieką.

-

Przerabialiśmy to w trakcie niezliczonych symulacji - powiedział Lee. - Znamy to miejsce lepiej niż własne koszary.

114

-

Jakie jest położenie platformy startowej w stosunku do centrum technicznego?

- Wskazała na najniższego członka zespołu.

-

Kierunek północny. Odległość trzy kilometry czterysta metrów, generale.

-

A stacji radarowej w stosunku do centrum technicznego? - Teraz pytała wywiadowcę, który ani razu się nie odezwał.

-

Cztery kilometry na południowy wschód, generale - padła odpowiedź.

Ze zdziwieniem popatrzyła na podporucznik Jam. Nie mogła wyobrazić sobie siebie samej na jej miejscu. Dziewczyna sprawiała wrażenie nieustraszonej, z jej oczu biła odwaga, jakiej Carrie nigdy nie miała. Czy nowe pokolenie kobiet będzie naprawdę otwarcie konkurować z mężczyznami?

-

Szerokość geograficzna, na której stoi wieża startowa? - Najtrudniejsze pytanie zachowała właśnie dla jedynej kobiety w zespole. Mogła nie wiedzieć, że teren wyrzutni nie był idealnie równy.

-



Dwadzieścia osiem stopni piętnaście minut szerokości geograficznej północnej

- wyrecytowała podporucznik.

-

Różnica poziomów?

-

Pięćset pięćdziesiąt metrów.

General Carrie uśmiechnęła się i pokiwała głową. Była naprawdę zadowolona.

Nie mieli czasu na dalszą rozmowę, zresztą nie było takiej potrzeby. Carrie wiedziała już to, czego chciała się dowiedzieć. Oto czwórka bojowych, pełnych entuzjazmu wywiadowców piechoty morskiej. Trochę za młodzi, ale to nawet dobrze. Młodość dysponuje siłą i czystością spojrzenia, nieskażoną cynizmem. Będą tego bardzo potrzebowali, kiedy rzeczywistość zacznie kruszyć kolejne warstwy ich idealizmu.

Życzyła im powodzenia, zsalutowała i poprosiła do środka kapitana . Tallarico, by pogratulować mu wyników pracy. Potem wyszła i wsiadła do elektrycznego wózka.

. W drodze powrotnej do Centrum była niemal pewna, że zespołowi się powiedzie, niepokoił ją tylko trochę brak doświadczenia wywiadowców. Mogli go nabrać wyłącznie w działaniu, nie ma innej metody. Nie pierwszy raz prowadziła taką akcję, ale nagle zaczęła się martwić o czwórkę podwładnych.

115

## ROZDZIAŁ 24

Pekin, Chiny Środa, 5.22

Hood przyleciał do Pekinu zadziwiająco rześki i wypoczęty. Przespał większą część lotu. Przed samym wyjazdem zrobił coś, co wprawiło go w doskonały nastrój. Nie miało to związku z jego pracą. W każdym razie nie bezpośrednio.

Kiedy był jeszcze burmistrzem Los Angeles czy później, gdy kierował Centrum Wczesnego Reagowania, przed każdym wyjazdem starał się spędzić jakiś czas ze swymi dziećmi. Szczególnie często zdarzało się to podczas pracy w Centrum, każdy jego wyjazd przeciągał się grubo ponad jedną dobę. Wykorzystywał wspólnie spędzany czas do pogłębienia więzi z rodziną. Bardzo tego pragnął, a dzieciakom sprawiało to radość. Sharon Hood właściwie nigdy w tym nie uczestniczyła. Wolała, aby mąż całą swą uwagę poświęcał dzieciom.

Wracając myślami do dawnych dni, zdał sobie sprawę, że tak właśnie to wyglądało od chwili narodzin Harleigh. Całą miłość przelali na córkę i syna, nic im już nie zostało dla siebie. Może Sharon uważała, że tak będzie najlepiej dla dzieci. Hood rzadko bywał w domu, chciała więc, aby jak najwięcej czasu spędzały z ojcem. W

końcu doszło do tego, że w ich życiu liczyły się już tylko dzieci i praca. Sharon w wolnym czasie zajmowała się przygotowaniem programu o gotowaniu dla stacji telewizji kablowej. Wydarzenia, które spowodowały rozpad ich pożycia, przyspieszyły tylko to, co i tak musiało nastąpić.

Każda wizyta Hooda u dzieci wykazywała niezbitcie, jak bardzo popsuły się ich stosunki. Mniejsza o to, że Sharon prawie się do niego nie odzywała. Najgorsze było to, jak serdecznie odnosiła się do nowego partnera. Nie podejrzewał, żeby demonstracyjne trzymanie się za ręce i czułe uściski stanowiły element przedstawienia przeznaczonego wyłącznie dla niego. Widział wyraźnie, że Sharon potrafi dać innemu to, czego nie dawała jemu.

Nowy mąż mógł poświęcić jej o wiele więcej czasu. Jim Hunt był dostawcą żywności do restauracji. Spotkali się z Sharon na planie jej programu. Z opowiadań dzieci wiedział, że była żona Jima jest elektrykiem, a Jim poznał ją, kiedy naprawiała piekarnik w jego restauracji. To Hunt rozwiódł się z nią, a zbliżył się do Sharon po całkowitym zerwaniu z przeszłością, zupełnie jakby rozpościerał czyściutki, biały obrus na bankietowym stole życia. Z nikim niezwiązany, gotowy na każde skinienie, sam dysponował

116

swoim czasem. Jak się okazało, to wystarczyło, by zaspokoić emocjonalne potrzeby Sharon.

Po raz kolejny rozmyślał o tym w drodze z Centrum do domu. Najpierw zadzwonił, by upewnić się, że zostanie dzieci. Potem pod wpływem impulsu zrobił coś, co można wytłumaczyć tylko tym, że był wściekły na wszystkie znane mu kobiety, poczynając od Lorraine Sanders, poprzez Julie Kubert i generał Carrie Morgan, aż do Sharon Hood.

Irracjonalnie poszukał wsparcia u kogoś, kto jego zdaniem zechce go wysłuchać.

Domyślił się, że numer telefonu do byłej pani Hunt jest identyczny z numerem jej syna, którego pół roku wcześniej przyjął do Centrum. Odezwał się kobiecy głos.

Hood zapytał, czy rozmawia z byłą żoną Jima Hunta. Chciała wiedzieć, kto pyta.

-

Paul Hood, były mąż Sharon Hood - odpowiedział.

Po drugiej stronie zapadła cisza i trwała bardzo długo. Pomyślał, że telefon się rozłączył.

-

Halo! Jest tam kto? - zapytał.

-

Halo! Tu Gloria Lynch-Hunt. Czy u Frankiego wszystko w porządku?

Frankie był jej jedynym dzieckiem. Pewnie sądzi, że dzwonię w jego sprawie, pomyślał Hood.

-

Kiedy widziałem go wczoraj rano, miał się doskonale - odparł. - Ale nie pracuję już w Centrum. Jestem obecnie człowiekiem do zadań specjalnych w kancelarii prezydenta.

-

Czyżby prezydent chciał zainstalować aparaturę podsłuchową w Gabinetcie Ovalnym?

-

Nie rozumiem?

Chwilę potrwało, zanim pojął, że to żart. Jego rozmówczyni jest przecież elektrykiem. Nie popisał się poczuciem humoru. Zaskoczył go jej głos, wysoki i bardzo miękki. Nie tak sobie wyobrażał głos kobiety elektryka. iTie znaczy to, że kobieta elektryk musi mieć jakiś określony ton głosu, pomyślał. Spodziewał się jednak lekko zachrypniętej od papierosów, zwalistej baby, chociaż nieco odchudzonej, bo po dziesięciu latach beztroskiego rota na obfitym, mężowskim wikcie musi zakręcić się za jakimś nowym nerem.

Nie, pani Hunt... Glorio. Pozwól, że będę mówił ci po imieniu. Nie ronię w sprawie prezydenta. Chciałbym się z tobą umówić na lunch > na kawę.

117

W słuchawce znowu zapadła długa cisza. Tym razem połączenie faktycznie zostało przerwane. Szybko nacisnął ponowne wybieranie. Próbował zgadnąć, czy wciąż będzie się śmiała, czy po prostu nie podniesie słuchawki.

-

Słucham? - ponownie usłyszał jej głos.

-

Przepraszam. Straciłem zasięg.

-

Nie szkodzi. Myślałam, że to jakiś żart. Właściwie nadal tak myślę. Zresztą sama nie wiem.

-

Czemu tak uważasz?

-

Bo wyświetlasz się na telefonie jako „nieznany”, a mój były mąż to straszny palant. Mógł podstawić jednego ze swoich knajpiarzy albo szefów kuchni.

-

Ale po co? - zdziwił się Hood. Wiedział, że po rozwodzie niektórzy robią sobie złośliwe żarty, ale byłaby to chyba przesada.

-

Nic pan nie rozumie, Hood. Może zrozumiesz po obiedzie, który masz zamiar mi postawić w restauracji, pod warunkiem że sama wybiorę taki lokal, gdzie nie sięgają macki mojego byłego męża. Na razie musi ci wystarczyć określenie „mój mąż to palant”. Szczegóły są bolesne i... bardzo osobiste.

-

Rozumiem - powiedział Hood. Jakoś nie odczuwał potrzeby, by ostrzec Sharon, że jej ukochany może okazać się „palantem”.

-

Wygląda to dość dziwnie - odezwała się Gloria.

-

Bo jest dziwne-przytaknął.

-

Czy ty w ogóle wiesz, jak wyglądam?

-

Nie - zaprzeczył i w tym samym momencie poczuł lekkie ukłucie niepokoju. -

Nie chodzi o zawiązanie sojuszu skierowanego przeciwko naszym „byłym”. Wiesz, o czym w głębi duszy myślałam?

-

Nie. Nie wiem nawet, czy rozumiem to, co mówisz.

Uśmiechnął się.

-

Przyszło mi do głowy coś takiego: skoro Sharon i ja nie pasowaliśmy do siebie, a Jim i Sharon pasują do siebie, to może ty i ja też pasujemy do siebie.

Cisza, która zapadła po tej wypowiedzi, tym razem nie trwała długo.

-

Przekonałeś mnie. Czyli umawiamy się na coś w rodzaju randki w ciemno.

Kiedy odsuniemy zasłonę?

Hoodowi wydało się, że wyczuł cień emocji w jej głosie. Przez chwilę wahał się, czy przypadkiem to Gloria nie stroi sobie żartów. W końcu nie będzie to typowa randka w ciemno.

118

-

Właśnie wyjeżdżam za granicę na kilka dni - powiedział.

-

Jakieś ciekawe miejsce?

-

Owszem.

-

Ale nie możesz mi powiedzieć.

-

Nie.

-

Bardzo seksownie.

Nagle Hood poczuł jednocześnie zadowolenie i lekki niepokój. Przełykając ślinę, spytał:

-

Możemy umówić się na sobotę?

-

Jesteś zapisany w karnecie. Nie będę musiała brać filmu z wypożyczalni.

-

To zupełnie tak samo, jak ja - powiedział Hood.

Rozłączył się i poczuł zadowolenie. Nie dlatego, że zdecydował się na tę rozmowę, ale dlatego, że udało mu się podjąć sensowny dialog z kobietą. Kiedy dojechał do domu, był już w doskonałym nastroju, który nie opuścił go podczas spotkania z dziećmi. Pozwolił sobie nawet na uśmiech, mówiąc „do widzenia” Sharon i Jimowi.

Zajęci wspólnym zmywaniem, chichotali, zeszkrobując zaschnięty sos z jakiegoś niezidentyfikowanego kuchennego narzędzia. Po raz pierwszy od roku Hood nie poczuł chęci zatopienia rzeź-nickiego noża w sercu Jima Hunta.

Może dlatego, że już to zrobił, choć „palant” jeszcze o tym nie wie. Cieszył się z posiadania tajemnicy, która powinna wywołać konsternację i zakłopotanie Jima, a może nawet przyprawić go o lekkie uczucie zazdrości, do czego oczywiście nigdy się nie przyzna.

Chrzanić palanta.

Pełen werwy Paul Hood mógł zatem zabrać się do rozwiązywania światowego kryzysu. Nie był pewien, czy powinien się smucić, czy raczej cieszyć, że taki drobiazg jak randka z upatrzoną kobietą ma taki wpływ na jego samopoczucie. Stojąc w krótkiej kolejce do przejścia dla dyplomatów, zorientował się, że nie chodzi tu wcale o osobę Glorii Hunt. Istotne było to, że Paul Hood odzyskiwał kontrolę nad własnym życiem.

Jak miało się niebawem okazać, główny specjalista od rozwiązywania kryzysów międzynarodowych powinien dużo wcześniej zdać sobie z tego sprawę.

## ROZDZIAŁ 25

Pekin, Chiny Środa, 5.23

Przed międzynarodowym portem lotniczym w Pekinie czekał na Hooda samochód z ambasady. Kierowca przedstawił się jako Tim Bullock. Wyglądał mniej więcej na dwadzieścia pięć lat.

-

Od jak dawna w Pekinie? - spytał Hood, czekając na bagaż.

-

Od czterech miesięcy. Jestem absolwentem politologii Tempie University.

-

Pochodzisz z Filadelfii?

-

Tak jest. To miejsce narodzin narodu, stąd moje zainteresowanie politologią.

Kiedy pojąłem, jak wielkie ryzyko podejmowali Franklin, Adams, Jefferson i inni prezydenci, aby ich rodacy mogli cieszyć się wolnością, zrozumiałem, że też chciałbym zrobić coś pożytecznego dla ludzi.

-

Nie jest ci przykro, kiedy widzisz komunizm w Chinach?

-

Nie. Miejscowa ludność od zawsze żyła pod uciskiem, to po prostu nowa odmiana despoty - odrzekł Bullock, posługując się wyrafinowanym językiem dyplomacji. - Wierzę jednak, że zdołają go pokonać. To potężny, fascynujący kraj.

-

Czyli że jesteś zadowolony z przydziału? - upewnił się Hood.

-

Jak najbardziej - odparł Bullock. - Trudno tu umówić się na randkę z dziewczyną, ale za to wycieczki za miasto są dużo ciekawsze niż plaże w New Jersey.

Poza tym to idealna posada dla kogoś, kto chce kontynuować karierę w korpusie dyplomatycznym.

Nieżyjąca już Marta Mackall, pełniąca w Centrum funkcję oficera łącznikowego ze światem polityki, mawiała, że korpus dyplomatyczny powinien nazywać się „pół na pół”. Połowę czasu starsz się wypełniać swoje obowiązki, drugą połowę poświęcasz na walkę o utrzymanie się przy życiu. Niestety, w jej wypadku niezbyt pochlebna opinia o tej profesji sprawdziła się z bezlitosną precyzją. Bob Herbert używał

określenia: „truposz dyplomatyczny\*”. Na szczęście byli jeszcze ludzie tacy jak Bullock, zapatrzeni w gwiazdzisty sztandar, powiewający na wietrze. Przynajmniej na razie.

Bullock chwycił bagaże Hooda, powiedział mu, gdzie w samochodzie znajdują się przekąski i napoje, oraz poinformował, że trzydzieści kilometrów, dzielące ich od amerykańskiego kompleksu dyplomatycznego przy

*Nieprzetłumaczalna gra słów, corps - korpus, corpse - zwłoki (przyp. tłum.).*

120

100600 Xiu Shui Bei Jie nr 3, pokonają w niecałe pół godziny. Spytał też, czy Hood nie chce przed odjazdem skorzystać z toalety.

- Dziękuję - odrzekł Hood. - Zajrzałem tam przed wylotem.

Bullock nie zareagował na dowcip. Przyjął postawę skupionego, kompetentnego dyplomaty. Aby kontynuować karierę, musiał bez najmniejszych uchybień zaliczyć sześciomiesięczny okres próbny, podczas którego jego głównym zadaniem było punktualne i sprawne transportowanie VIP-ów z lotniska i z powrotem. Hood nigdy nie nabrał tego rodzaju ogłady, bo też nigdy nie chciał pracować w dyplomacji.

Planował dla siebie pracę finansisty. Potem poświęcił się polityce, ale kolejne stanowiska, które zajmował, znajdowały się zwykle na pograniczu tych dwóch dziedzin. Zawsze usiłował robić to, co uważał za słuszne, a nie to, czego od niego oczekiwano.

Aż do momentu sprzed sześciu miesięcy, pomyślał. To wtedy zwolnił Mike'a i obiecał senatorowi Debenportowi nawiązanie bliższej współpracy z Białym Domem.

Wówczas nie wiedział jeszcze, o jak bliską współpracę chodziło. Jakie to dziwne.

Czuł, że dał się wykorzystać i sprzeniewierzył swym zasadom, a zarazem wiedział, że chłopak siedzący za kierownicą prawdopodobnie sprzedałby duszę za to, by móc robić to, co on. Specjalny wysłannik prezydenta do spraw wywiadu nie miał serca powiedzieć Bullockowi, że prawdopodobnie właśnie taką cenę zapłaci za spełnienie marzeń.



Hood poprawił się na skórzanym siedzeniu kuloodpornej limuzyny i wyrztał przez okno. Kierowca pokazał mu kilka charakterystycznych punktów, ale przez większość czasu zachowywał dyskretne milczenie. Pekin wyglądał inaczej, niż Hood sobie wyobrażał. Mimo zanieczyszczenia powietrza jasnożółty dysk wschodzącego słońca wydobywał głębokie, naturalne czerwienie i brązy kamieni i dachówek zabytkowych budowli. Poza starymi murami i dachami pagód oraz zadziwiająco licznymi billboardami z podobizną przewodniczącego Mao, stolica Chińskiej Republiki Ludowej przypominała miasto amerykańskie średniej wielkości. Kilka nowych wysokościowców, nieco dobrze zachowanych budynków z końca stulecia oraz dużo drzew i terenów zielonych. Ulice były brukowane albo wyłożone kostką. Ze względu na wczesną godzinę panował na nich niewielki ruch.

Limuzyna zatrzymała się przed wysoką żelazną bramą, za którą stała budka wartownika. Żołnierz nacisnął przycisk i w jednej z kolumn bramy odsłonił się mały, podłużny panel z ekranem z ciemnego szkła. Bullock opuścił szybę i przytknął dłoń do ekranu. Wąska linia zielonego światła

121

przebiegła z góry na dół, a potem od lewej do prawej. Po chwili wrota bramy stanęły otworem. Panel zaniknął się i Bullock wjechał do środka. Wartownik nie ruszył się na krok z bezpiecznej budki.

- Parę dni temu zainstalowano system do skanowania siatkówki - powiedział Bullock.

- Ale trudno jest wychylić się tak daleko z samochodu.

Nie ma to jak stare, dobre, centralne planowanie, pomyślał Hood, gdy jechali krętą alejką. Doskonale zdawał sobie sprawę z przeznaczenia trzypiętrowego, podobnego do bunkra budynku po prawej stronie ambasady tuż za bramą. Bez względu na to, czy mieścił się tam Instytut Kultury czy Wydział Poszukiwania Źródeł Roponośnych, był to bez wątpienia posterunek nasłuchu. Na wschodniej ścianie, wychodzącej na budynek ambasady, było osiem okien. Do godziny pierwszej, może nawet do drugiej po południu padały na nie bezpośrednio promienie słoneczne. We wszystkich oknach zaciągnięto rolety, poza jednym, z którego roztaczał się najlepszy widok na teren kompleksu ambasady. Stały za nim prawdopodobnie kamery wideo i aparaty fotograficzne. Każdy, kto wchodził lub wychodził z ambasady, był fotografowany, a jego rozmowy nagrywano. Dach zapełniały anteny satelitarne i prętowe. Było ich o wiele więcej niż na zwykłym budynku biurowym. Pozyskane dane podlegały rejestracji i gruntownej analizie.

Chińczycy wcale nie kryli prawdziwego przeznaczenia budynku, a Amerykanie nie zbudowali muru, by się za nim ukryć. Była to część kurtuazyjnej gry wywiadów, toczonej między wszystkimi państwami. Można ją było porównać do pracy kuratorów sądowych, pilnujących byłych więźniów. Prawdziwą szpiegowską robotę wymierzoną przeciwko ambasadzie wykonywali policjanci patrolujący okoliczne ulice, kurierzy przejeżdżający obok na rowerach, a nawet przelatujące nad nią śmigłowce kontroli ruchu drogowego. Nie różniło się to w niczym od pracy waszyngtońskich „nianiek”, czyli agentów CIA charakteryzowanych na zamiataczy ulic, sprzedawców pocztówek czy hot dogów albo rodziców pchających dziecięce wózki. W rzeczywistości obserwowali oni ambasady

i ich pracowników, a potem sporządzali raporty

0

ich ruchach w obrębie dystryktu. Analitycy często uzyskiwali z tych danych więcej informacji niż z szyfrowanych rozmów między pracownikami przedstawicielstw zagranicznych. Chińczycy pracujący w sąsiednim budynku mogli spędzić całe godziny nad tym, co Hood powiedział do kierowcy, kiedy stali przed bramą. Ich analitycy niczego by nie znaleźli albo doszukali się błędnej interpretacji niewinnej rozmowy.

Nagle wydało mu się to idiotycznym zajęciem dla dorosłych mężczyzn 1

kobiet. W takich chwilach Hood dobrze rozumiał Mike'a Rodgersa, który 122

boleśnie odczuwał daremność wysiłków podczas dyskusji w tanku albo w gabinetach dyplomatów. W walce nie było miejsca na takie pogaduchy. Ktoś przegrywał, ktoś inny wygrywał. Żołnierze uchodzili cało albo nie. Walka to nie zabawa w ciuciubabkę, tu wszystko jest ostateczne. Hood zrozumiał także kierunek zmian w Centrum po oddaniu dowództwa w ręce generałów i zatrudnieniu żołnierzy piechoty morskiej. Będzie mniej gadania, a więcej zdecydowanego działania.

Samochód podjechał pod główne wejście rezydencji, utrzymanej w stylu wiktoriańskim. Na spotkanie Hooda wyszedł mężczyzna mniej więcej w tym samym co on wieku. Był niski, szczupły, z krótko ostrzyżonymi, szpakowatymi włosami, w doskonale skrojonym garniturze. Miał zmrużone oczy i zmarszczone czoło. Jak na dyplomatę wyglądał na bardzo spiętego.

-

Witam pana, panie Hood. Nazywam się Wesley Chase i jestem pierwszym sekretarzem ambasady - przedstawił się mężczyzna.

Wszystko jasne. To właśnie ten człowiek pilnuje całej roboty. Hood uściśnął mu dłoń i wszedł do środka. W dużym, otwartym holu za biurkiem siedział żołnierz piechoty morskiej. Miał przed sobą wysoką na prawie dwa metry, grubą kompozytową szybę, odporną na eksplozje. Energia wybuchu, który nastąpiłby przed nią, zostałaby odbita na zewnątrz. Ściana ciągnęła się przez całą długość pomieszczenia recepcyjnego.

Jedynę przejście stanowiły obrotowe drzwi z prawej strony biurka. Chase poprosił

Hooda, aby stanął w przejściu. Wsunął kartę do czytnika po lewej stronie. Drzwi wykonały obrót, zagarniając Hooda do środka. Chase wszedł do następnej przegródki, umieścił kartę w czytniku i drzwi ponownie się obróciły.

-

Trzeba uważać, bo można stracić rękę - zaśmiał się Chase, kiedy byli już po drugiej stronie.

Hood wiedział, że środki ostrożności miały za zadanie chronić nie tyl-' ko pracowników ambasady

przed zamachowcami i mordercami, ale też zapewnić bezpieczeństwo zbiegom. Wielokrotnie w ciągu tygodnia obywatele Chin przychodzili do ambasady i prosili o azyl. Dysydenci, ludzie pragnący połączyć się z rodzinami na Tajwanie, a czasem po prostu tacy, którzy marzyli o lepszym życiu w Stanach Zjednoczonych. Pozytywne decyzje wydawano bardzo rzadko. Odmowy nie udzielano po to, aby przypadła się miejscowym władzom, lecz raczej w celu pokrzyżowania ich planów. Trudno było rozpoznać, kto z domniemyanych uchodźców jest uczciwym człowiekiem, a kto podstawionym szpiegiem. To dlatego tak wielu Chińczyków trafiało na statki ludzi takich jak Lo Tek.

123

Przeszli przez długą poczekalnię, wypełnianą się amerykańskimi i chińskimi obywatelami. Formularz wizowy kosztował sto dolarów, bez względu na to, czy decyzja była pozytywna, czy odmowna. Mimo to wciąż przychodzili nowi, choć kwota stanowiła połowę miesięcznej pensji tych szczęśliwców, którzy mieli dobrą pracę.

Hood został skierowany do jednego z pokoi gościnnych. Chase poinformował go, że za mniej więcej godzinę ambasador podejmie go śniadaniem. Po wyjściu urzędnika Hood dostał swoje rzeczy. Tim Bullock postawił wielką torbę na bagażniku, po czym spytał, czy może coś jeszcze dla niego zrobić.

-

Nie, dziękuję za wszystko - powiedział Hood, a Bullock odwrócił się do wyjścia. - Zaczekaj. Mam coś dla ciebie.

-

Nie możemy przyjmować...

-

Nie o to chodzi. - Hood podszedł bliżej do młodego człowieka. - Powiedziałaś, że trudno tu umawiać się z dziewczynami, ale nie rezygnuj. Znajomości na gruncie zawodowym, nawet te dość bliskie, to za mało. Aby dać sobie radę w swoim zawodzie, musisz mieć dom i partnerkę. Odpowiednią partnerkę.

Bullock się uśmiechnął. Może wyczuł sympatię, a może było mu miło, że ktoś zwrócił na niego uwagę. Kierowcy należeli do najbardziej „niewidzialnych”

pracowników korpusu dyplomatycznego.

-

Dziękuję za radę. Muszę się tym zająć. Czy jest pan pewien, że nie przyda się panu pomoc przy rozpakowywaniu?

Hood uśmiechał się i pokręcił przecząco głową. Bullock wyszedł, pozostawiając go z walizką i

resztą bagażu. Miał nadzieję, że chłopak weźmie sobie do serca jego wskazówkę. Nancy Jo zdopingowała go kiedyś do osiągnięcia lepszych wyników w pracy, a rozmowa z Glorią Lynch-Hunt poprawiła mu nastrój tego ponurego dnia.

Uwagi Ann Farris, byłej rzeczniczki prasowej Centrum, zmusiły go do zajęcia się stanem własnego małżeństwa.

Ale posiadanie kogoś bliskiego nie rozwiązuje wszystkich problemów, myślał Hood, rozpakowując bagaże. Determinacja chłopaka świadczy o sile, ale także słabości ludzi, którzy trafiają do polityki. Przypomniała mu się chińska uroczystość, w której uczestniczył, będąc burmistrzem Los Angeles. Na Alpine Street wzniesiono piętnastometrową wieżę. Na jej szczycie zasiadła młoda dziewczyna, ubrana w białe-złote szaty. Była księżniczką poranka. Walczyło o nią dwunastu wojowników w czerwono-czarnych strojach. Ten, który dostał się na szczyt, miał otrzymać jej rękę.

w Chinatown była inscenizowana, ale w dawnych czasach walka odbywała się na śmierć i życie.

W polityce bywa podobnie. Nagroda czeka na szczycie, a uczestników pociąga wysokość i widok. Niektóre z ich zmysłów źle funkcjonują z powodu rozrzedzonego powietrza. Coraz bardziej zamykają się w swojej wieży i są chronieni przez coraz to nowe warstwy zabezpieczeń, takich, które mogły przebić jedynie afery Watergate czy Irangate. Wtedy pojawiają się prawdziwe ofiary. Wywiad unika takich przykrych sytuacji, gdyż nie prowadzi gry o stanowiska, lecz o informacje.

Bullock musi nauczyć się dystansu, jeżeli ma do czegośkolwiek dojść. Wciąż wyznaje ideały wyniesione z Filadelfii, ale już tkwi w systemie i zaczął się posługiwać jego językiem. Jeżeli tylko nadarzy się okazja, ideały można złamać albo zepchnąć w niepamięć. Większość znanych Hoodowi zawodowych polityków ani razu nie obejrzała się za siebie, by poznać przyczyny, które wywindowały ich na stanowiska.

Hood skończył rozpakowywanie i wyciągnął się na szerokim łóżku. Nie podróżował

już od dawna i czuł się trochę dziwnie, kładąc głowę na nie swojej poduszce.

Wyjazd z Waszyngtonu dał Hoodowi okazję do ponownej analizy wydarzeń ostatnich kilku dni. Chociaż nie podobał mu się sposób, w jaki go potraktowano, nie mógł

uważać się za pokrzywdzonego. Wyjechał za granicę, by służyć prezydentowi, krajowi i całemu światu.

Wywiad ma za zadanie łapać piłeczki, które wyslizgują się z urękawicz-nionych dłoni dyplomatów. Ludzie tacy jak Hood, Bob Herbert i generał Carrie pracują po to, aby inni Amerykanie mogli żyć bez poczucia zagrożenia. To trudna robota i niebezpieczna. I nie było nikogo, kto chwyciłby te piłeczki, których nie uda im się złapać. Jednego tylko Hood zawsze był pewien. Robota była stresująca i cholernie trudna, ale nie stanowiła ciężaru.

Tym samym zajmowali się Franklin, Adams i Jefferson. I to był przywilej.

## ROZDZIAŁ 26

Zhuhai, Chiny Środa, 11.00

Generał Tam Li bardzo dbał o podlegające mu garnizony, ale szczegól-if nyra sentymentem darzył ten, do którego właśnie zmierzał. Jednostka 125

Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin regionu Makau, która miała odegrać zasadniczą rolę w jego planie, stacjonowała w garnizonie Zhuhai. Makau zajmowało obszar niecałych dwudziestu sześciu kilometrów kwadratowych na wąskim półwyspie, połączonym ze stałym lądem jeszcze węższym przesmykiem. Była to najstarsza posiadłość europejska w Chinach, którą od 1557 roku władali

Portugalczycy.

Obecnie większość mieszkańców stanowili Chińczycy, a pagórkowaty, skalisty półwysep graniczył z prowincją Guangdong na południowym wschodzie kraju.

Tam Li chciał przyłączenia Makau do Chin. Wiedział, że pewnego dnia dopnie swego, ale najpierw musiał zrealizować cel o wiele poważniejszy.

Generał leciał do Zhuhai na pokładzie uzbrojonego po zęby śmigłowca Gazelle. Nie chodziło wyłącznie o jego osobiste bezpieczeństwo. Robił to dla zwykłych obywateli, którzy lubili oglądać wojskowe statki powietrzne. Bez względu na to, co robili, zawsze przystawali i patrzyli w górę. To zapewniało im poczucie bezpieczeństwa, sprawiało, że wydajniej pracowali.

Już wkrótce będą mieli tego więcej.

Lot z zamkniętej, wojskowej strefy pekińskiego portu lotniczego trwał nieco ponad trzy godziny, z krótkim postojem w Wuhan na uzupełnienie paliwa. O godzinie dziewiątej trzydzieści generał siedział już za biurkiem, przygotowując się do narady zwołanej na godzinę jedenastą.

Pozostali członkowie Centralnego Komitetu Wojskowego przybywali przez cały ranek. Siedmiu generałów i admirałów przyjechało z Pekinu, Szanghaju, Hongkongu i innych miast całego kraju. Podróżowali pojedynczo i dyskretnie, samolotami lub śmigłowcami. Nie było to zwykłe, comiesięczne zebranie komitetu, dlatego nie chcieli zwracać na siebie uwagi, zbierając się w Pekinie lub wspólnie jadąc na miejsce spotkania. Poza tym po ataku Czou Szina na generała Tam Li woleli nie przebywać zbyt blisko niego. Nie byliby zaskoczeni, gdyby się okazało, że Guoanbu zamierza zgładzić generała, zwłaszcza gdyby Czou poznał zamiary przeciwnika.

Paradoksalnie Czou może byłby nawet skłonny zaakceptować plan, gdyby nie jeden zasadniczy element. Realizacja planu miała na celu ograniczenie wpływów starych komunistycznych aparatczyków na korzyść nowocześnie myślących kapitalistów z kręgów wojskowych. A na to Czou Szin nigdy się nie zgodzi.

Oficerowie zebrali się o godzinie jedenastej w małym pokoju operacyjnym, nieopodal gabinetu Tam Li. Bładozielone ściany pokryte były mapami wydrukowanymi na plastikowych płachtach. Wojskowi planiści pisali i rysowali na nich kredkami świecowymi, które dawały się łatwo zetrzeć.

126

Budżet Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin nie pozwalał na ekstrawagancje w rodzaju zajmujących całą ścianę monitorów, podłączonych do komputerów.

I bardzo dobrze, pomyślał Tam Li, zajmując miejsce przy wielkim, okrągłym stole, stojącym pośrodku pozbawionego okien pomieszczenia. Słyszał, że silny impuls elektromagnetyczny skutecznie sparaliżował amerykańskie Centrum Szybkiego Reagowania. To samo może się wydarzyć w Pentagonie i w każdym innym miejscu całkowicie uzależnionym od elektroniki. Trzeba pamiętać o zachowaniu równowagi i stosować różne rozwiązania.

Każdy z uczestników miał ze sobą aktówkę z materiałami, dotyczącymi różnych fragmentów planu. Gdyby jeden z tych dokumentów został zagubiony czy skonfiskowany, trudno byłoby w nim doszukać się jakiegoś sensu. Dopiero wszystkie razem tworzyły przejrzysty plan działania.

-

Czy Guoanbu planuje zmianę terminu startu satelity? - zapytał Tam Li, gdy wszyscy usiedli.

Pytanie skierowane było do kontradmirała Lung Ti. Pięćdziesięcioletni oficer kierował trzecim wydziałem Ludowo-Wyzwoleńczej Marynarki Wojennej, zajmującym się wywiadem. Wydział ten był blisko związany z innymi agencjami wywiadowczymi. To właśnie na skutek alarmujących informacji admirała trzy miesiące temu doszło do wprowadzenia w życie planu.

-

Bez zmian - odpowiedział Lung Ti i zamilkł, nabijając fajkę. - Nawet gdybyśmy nie dysponowali przeciekami z Guoanbu, jest pewne, że dyrektor Czou nie zrobi nic, nie mając pewności, że odniesie sukces.

-

Ma tę pewność - potwierdził Tam Li.

-

Skąd pan wie? - spytał Lung Ti.

-

Niedawno się z nim widziałem - odparł generał. - Premier wezwał nas do siebie, kiedy dowiedział się o wybuchu.

-

Bezpośrednio po tym wydarzeniu? - zaśmiał się młodzieńczo wyglą-dający generał ludowego lotnictwa. - Nie wiedziałem, że Le Kwan Po potrafi podjąć decyzję w czasie krótszym niż dzień czy dwa.

-

Wezwał nas dobrze przed północą, razem z tym podlizuchem, ministrem spraw zagranicznych - mówił dalej Tam Li. - Le Kwan Po okazywał niezwykłą jak na niego irytację, żądając wyjaśnień od nas obu. Czou niczego nie wyjaśnił i wyszedł przed końcem spotkania.

-

Czy wspominał coś o starcie satelity? - spytał Lung Ti. Generał zaprzeczył

ruchem głowy.

127

-

Mówił o wspaniałej przyszłości Chin i nie przyznał się do ataków na moje przedsięwzięcia gospodarcze. Na tym polegał cały jego udział w rozmowie.

-

Czy widać było, że działa pod naciskiem? - spytał admirał.

-

Nie. Był tylko zły, że musiał tam przyjść i słuchać wyrzutów premiera.

-

Stary sukinsyn jest wciąż wściekły z powodu zakończenia hukou -warknął

Lung Ti. Uniesiona warga ukazała złoty ząb. - Nigdy tego nie daruje.

Hukou to rodzaj spisu ludności i zarządzania infrastrukturą. Każde gospodarstwo domowe podlegało rejestracji, każda osoba otrzymywała dowód tożsamości, pozwalający na zatrudnienie jej wyłącznie w okręgu, w którym został wydany. Dzięki temu nie wzrastał ruch na głównych drogach, miejscowi planiści mogli dokładnie przewidzieć, jak liczna powinna być służba zdrowia i policja na danym terenie, a ponadto - co było chyba najistotniejsze - w ten sposób utrudniano rozprzestrzenianie się radykalnych poglądów politycznych. Radio i telewizję można kontrolować łatwiej niż rozmowy na ulicach czy targowiskach.

-

Wynika z tego, że zbliżamy się do punktu zapalnego - powiedział admirał.

-

Co za marnotrawstwo środków - wtrącił się ktoś do rozmowy.

-

Całkowicie daremne wysiłki - potwierdził ze smutkiem Tam Li. - Pamiętacie, panowie, ostatni wkład Czou w naszą gospodarkę? Podpisał umowę na sprzedaż dziesiątek tysięcy maczet dla zabójców Hutu w Rwan-dzie podczas stu dni potwornego ludobójstwa.



-

A teraz znów zabija - zauważył jeden z generałów. - Oto komunistyczny sposób na rozwój gospodarczy.

Było to oczywiście uproszczenie, ale mówił prawdę. Czou nie zgadzał się na pełny zwrot w kierunku kapitalizmu. Widział rosnącą liczbę żebraków na ulicach, ale sprzeciwiał się wpuszczeniu zagranicznych korporacji, które mogły dać im pracę.

Patrzył, jak mniejsze kraje wypierają Chiny z przylądków i wysp na Pacyfiku.

Wiedział, że zagraniczne banki skupują chińskie długi, aby przejmować zastawy w postaci kolejnych chińskich nieruchomości. Mimo to chronił system, który wytworzył te chore układy.

-

Powinniśmy wpakować mu kulkę w łeb i robić swoje - powiedział Lung Ti.

-

Tak nie uzyskamy tego, na czym nam zależy - przestrzegł Tam Li.

-

Mnie to wystarczy - burknął pod nosem oficer.

128

-

Jak ma zamiar postąpić Le Kwan Po wobec Czou Szina?

-

A cóż on może zrobić? - odparł Tam Li. - Premier spełnia funkcję bufora między rządem i wojskiem z jednej strony, a prezydentem i wiceprezydentem z drugiej. Jego zadaniem nie jest rozwiązywanie problemów, tylko pilnowanie, żeby nie było między nimi tarć.

-

Czyli nie wierzy pan, że będzie próbował powstrzymać Czou Szina? - spytał

Lung Ti.

-

Nie wierzę. Musimy działać zgodnie z planem. Trzymam w pogotowiu swoich ludzi na wypadek, gdyby Czou chciał wejść nam w drogę. Przeprowadzimy rozpoznanie, dowiemy się, kto dla niego pracuje, i wykorzystamy tych ludzi do naszych celów.

Tam Li patrzył z powagą na kontradmirała Lung Ti. To jego służby wywiadowcze informowały, że zamachy w Charlestonie i Tajpej mogą być wstępem do akcji dywersyjnej, wymierzonej w satelitę. To jego ludzie zauważyli specjalistów od materiałów wybuchowych wchodzących i wychodzących z kryjówek chińskich wywiadowców w Stanach Zjednoczonych i na Tajwanie. To był pierwszy sygnał o

„świeżych inicjatywach”, jak nazywano zaczepne akcje służb wywiadowczych. Po rozpoznaniu podejrzanych wywiad marynarki zaczął się przyglądać ich poczynaniom. Do centralnego ośrodka logistycznego wywiadu napłynęły od nich prośby o mapy i dokumenty podróży. Na dostarczonej liście lokalizacji znajdował się także ośrodek lotów kosmicznych Xichang.

Do startu zostało już niewiele czasu - podjął Tam Li. - Chciałbym się upewnić, że nasze działania będą w pełni skoordynowane.

Przeszedł do omawiania przygotowywanego przez armię kontrataku, któremu nadano kryptonim „Cesarski Smok”. Dwaście cztery godziny przed startem rakiety na Tajwanie zostanie ogłoszony alarm dla wszystkich Jednostek wojskowych. Każdy start rakiety w Chinach stanowił pretekst do gotowości tajwańskich sił powietrznych i morskich. Tajpej jak zwykle uzna wystrzelenie rakiety za potencjalny akt agresji, jakby chodziło o mię-ykontynentalny pocisk balistyczny. Takie wydarzenia stanowiły zwykle okazję dla separatystów bez ryzyka odwetu.

Zwykle, ale tym razem miało być nieco inaczej.

Przez całą długą służbę siedmiu weteranów obserwowało powolny pro-erozji chińskiego wojska, shangsheh. Mimo wzrostu nakładów budżetowych na armię większość pieniędzy wydawano na sprzęt, który miał aywać wojsko na tym samym poziomie technologicznym, co armie -ych krajów. Ale wróg wciąż powiększał

przewagę. Chińska armia wlokła

»- Wojna ortów

129

się w ogonie pod każdym względem, za wyjątkiem jednego - liczebności wojsk. I na tym właśnie polegała istota operacji „Cesarski Smok”. Niestety, z czasem coraz rzadziej zdarzało się, że przewaga liczebna stanowiła czynnik decydujący o powodzeniu. Przez ostatnich dwadzieścia lat Chiny były coraz bardziej izolowane i marginalizowane pod względem militarnym. Od północy graniczyły z uśpioną, ale wciąż groźną Rosją. Japonia na wschodzie właśnie miała zainwestować dziesięć miliardów dolarów w budowanie tarczy antyrakietowej wraz ze Stanami Zjednoczonymi.

Bliżej był Wietnam, który coraz bardziej ciążył ku Zachodowi, oraz dwa skłócone państwa koreańskie. Na południu i zachodzie Indie i Pakistan toczyły wciąż spór o podłożu religijnym, który w każdej chwili mógł się przerodzić w konflikt nuklearny. Jeżeli Chiny nie wykonają teraz ruchu, wkrótce żaden ruch nie będzie już możliwy. Ludowo-Wyzwoleńcza Armia stanie się wyłącznie siłą defensywną, służącą utrzymaniu pokoju, a nie potwierdzeniu międzynarodowego znaczenia Chin i ich siły militarnej. Będzie tak jak podczas powstania bokserów, kiedy Chiny były wielką padliną, o którą biły się obce mocarstwa. Czou i jego ludzie zgadzali się na to, izolacja i pielęgnowanie idei czystego komunizmu oznaczały dla nich zwycięstwo. Dla generała Tam Li i jego sojuszników oznaczało to kapitulację i powolną śmierć.

Dlatego właśnie opracowują swój plan, szczegółowo rozpisany w czasie. Rozpoczną działania w odpowiedzi na tajwańską mobilizację. Reakcja chińskiej marynarki wojennej powinna być umiarkowana i przewidywalna. Tym razem będzie inaczej.

Tajwan zostanie oskarżony o wykorzystywanie tragedii, która wydarzyła się w Chińskiej Republice Ludowej. Z portów wyruszą okręty Ludowo-Wyzwoleńczej Marynarki Wojennej, a za nimi nad Cieśninę Tajwańską wylecą eskadry samolotów Sił Powietrznych Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin. Kiedy świat będzie obserwował wzrost napięcia wokół Tajwanu, armia chińska, w imię przeciwdziałania możliwym zagrożeniom, ustanowi strefy buforowe w obrębie granic Laosu, Wietnamu i Birmy, aby zabezpieczyć się przed działaniami rządów tych krajów, które mogłyby wykorzystać sytuację do przeprowadzenia militarnych akcji na terytorium Chin. Centralny Komitet Wojskowy sięgnie po zastrzone środki w obliczu zagrożenia akcjami terrorystycznymi, do których może dojść po zniszczeniu rakiety w ośrodku kosmicznym Xichang.

Po tym wszystkim Tajwan będzie zablokowany. Stany Zjednoczone zostaną uprzedzone, że każdy atak na ChRL spotka się z potężnym przeciw-uderzeniem.

Jeżeli zaatakują Chiny, kraj ten uderzy na sąsiednie państwa.

130

Nawet Indie nie powstrzymają takiego natarcia. Ameryka będzie miała do wyboru: albo pogodzić się z przyłączeniem Tajwanu do Chin kontynentalnych, albo rozpętać niszczycielską wojnę na wielu frontach. Dlatego będą chciały doprowadzić do wynegocjowania porozumienia, które pozwoli zintegrować zdrowe, kapitalistyczne społeczeństwo Tajwanu z uśpionym gigantem. Symbioza przyniesie obopólne korzyści i wzrost gospodarczy. Za kilka lat Chiny staną się największym światowym mocarstwem.

Generał Tam Li zastanawiał się, jak Czou Szin zareaguje na nagłą przemianę chińskiego społeczeństwa. Czy można negatywnie zareagować na zmianę pozwalającą krajowi Trzeciego Świata na zajęcie czołowego miejsca wśród światowych potęg? Wkrótce zarówno armia, jak i społeczeństwo będą się mogły o tym przekonać. A potem Tam Li dopilnuje, aby Czou Szin został aresztowany i stracony za zdradę.

ROZDZIAŁ 27

(General Carrie nie poszła do domu, choć w Centrum rozpoczęła już "pracę nocna zmiana. Czekala na wiadomość od każdego z wywiadowców, którzy musieli już dotrzeć na miejsce. Wychodząc, stwierdziła, że nie tylko ona pracowała mimo późnej pory. Bob Herbert też siedział w gabinecie, sąsiadującym z jej biurem. Szef wywiadu, zwrócony profilem do pani general, przeglądał długie szeregi liczb na ekranie komputera stojącego na iurku po lewej stronie.

Zostaje pan na noc? - spytała Carrie, zaglądając do gabinetu.

-

Mamy kryzys, a ja zajmuję się zapobieganiem kryzysom - odpowiedział, nie odrywając wzroku od ekranu.

-

Znalazł pan coś nowego?

-

Powiedzmy, że tak, o ile kompletny chaos można uznać za coś nowe-Carrie wyczuwała w jego tonie lekką wrogość. Znała go zbyt krótko, by stwierdzić, czy to napięcie nerwowe i zmęczenie, czy raczej jej obecność woduje taką reakcję. O co chodzi? - spytała.

Wiem, czemu się przyglądać, ale nie wiem, czego szukać - odparł rbert.

131

-

W sprawie zamachów bombowych?

-

W sprawie śladów prowadzących z Charlestonu do Xichang - powiedział

Herbert.

-

A więc uważa pan, że istnieje jakiś związek?

-

Na razie nic nie widzę, ale muszę to brać pod uwagę - wyjaśnił. - Zostawmy na chwilę start satelity. Mamy tu zażarty bój między generałem Tam Li oraz wysokim funkcjonariuszem wywiadu Czou

Szinem. Nie znamy przyczyny konfliktu. Mogą to być po prostu osobiste animozje, wyrażające się w atakach na dobre imię, niezależność czy działalność gospodarczą przeciwnika. Istnieje jednak także możliwość, że w ten sposób rywalizują ze sobą nie konkretne osoby, lecz całe organizacje, które reprezentują obydwaj przeciwnicy.

-

To mało prawdopodobne - stwierdziła Carrie. - Otwarty konflikt między wojskiem a wywiadem do niczego nie prowadzi. Poza tym zdarza się niezwykle rzadko. Zwykle do takich walk dochodzi na niższym poziomie, między rywalizującymi ze sobą jednostkami wywiadu i wojska.

-

Tak, wojna o fundusze albo o wpływ. - Herbert pokiwał głową.

-

W dużym uproszczeniu.

-

Istotnie - przytaknął Herbert. - Nie wygląda na to, żeby generał chciał przejąć obowiązki Czou Szina lub odwrotnie. W ich życiorysach trudno się doszukać tego rodzaju ambicji czy zainteresowań zawodowych.

-

I jaki z tego wyciągniemy wniosek? - spytała Carrie.

-

Że w dalszym ciągu nie potrafimy zidentyfikować przyczyny sporu

-

odparł Herbert. - Należałoby popatrzeć na Chiny z szerszej perspektywy. Przed wyjściem do domu Ron Plummer i jego dzielny pomocnik Robert Caulfield przesłali mi sporządzony przez Departament Stanu opis Chin w pigułce: czym są i dokąd zmierzają. Jedno tylko nie pasuje do całości

-

tak zwany „czynnik Hongkongu”.

-

Cóż to takiego?

-

Sukces demokracji w wyniku szybkiego wzrostu gospodarczego. Od czasu przejęcia przez Chiny w 1997 roku Hongkong zadał kłam twierdzeniu, propagowanemu przez Pekin przez ponad sześćdziesiąt lat, że komunizm to najlepsze rozwiązanie.

Na ekranie monitora Herberta pojawiło się kilka liczb.

-

Hongkong ma sześć milionów dobrze wykształconych obywateli.

Wielojęzyczna, podobna do zachodnich społeczność, niewielka przestępczość. A teraz najlepsze. Roczny dochód na głowę mieszkańca wynosi dwadzieścia cztery tysiące siedemset pięćdziesiąt dolarów, co znaczy, że 132

przeciętny obywatel Hongkongu jest dwadzieścia pięć razy bogatszy od mieszkańca Chin kontynentalnych.

-

Czy Pekin próbuje wytłumaczyć jakoś tę rozbieżność? - spytała Carrie.

-

Twierdzi, że Hongkong nie jest dobrym przykładem warunków panujących w Chinach - wyjaśnił Herbert. - Jest mały i ma stosunkowo jednolite społeczeństwo.

Chiny są zbyt rozległe, społeczeństwo niewykształcone i zbyt zróżnicowane kulturowo, aby na kontynencie udał się eksperyment z demokracją, taki jak w Hongkongu albo na Tajwanie.

-

To prawda.

-

Tylko pozornie - odparł Herbert. - Gdyby ludzie w Chinach mieli prawo głosu, z pewnością obaliliby komunistycznych przywódców.

-

Czego skutkiem byłby rozpad komunistycznych Chin, podobnie jak to stało się ze Związkiem Radzieckim - stwierdziła Carrie. - Każda prowincja głosowałaby za przemysłowymi i rolniczymi inwestycjami na swoim terenie.

-

Albo za budową nowych baz wojskowych - dodał Herbert, po raz pierwszy podnosząc wzrok na Carrie. - Zapewniają one miejsca pracy dla młodych ludzi, a starszym umożliwiają zatrudnienie w sektorze pomocniczym, zajmującymi się dostarczaniem żywności i sprzętu do garnizonu.

-

Być może. - Carrie nie była do końca przekonana. - Aby przebudować i zmodernizować armię, Chinom potrzebna byłaby gospodarka, jakiej ' po prostu nie mają. Zajmowaliśmy się tymi sprawami w wywiadzie. To jeden z największych problemów naszych czasów. Jeżeli poszczególne regiony nie będą związane ze sobą siłą albo wykraczającym poza ich granice . dobrobytem, otrzymamy to, co dzieje się w Afryce, na Bliskim Wschodzie ;czy w Pakistanie, gdzie przywódcy wojskowi lub plemienni wodzowie walczą ze sobą o władzę. Nikt chyba nie chciał, żeby jedna piąta ludzkości pogrążyła się w chaosie.

>> - To mnie właśnie zastanawia - przyznał Herbert. - Najwyraźniej ktoś w Chinach doszedł do odmiennych wniosków.

-

Mafia - odezwał się ktoś z głębi korytarza.

i Carrie się odwróciła. Stał za nią Darrell McCaskey. Miał półprzymknięte :zy, a popołudniowy zarost kładł mu się cieniem na policzkach.

-

Widzę, że pan także łamie sobie nad tym głowę - powiedziała Carrie. ' - Na tym właśnie polega nasza, to jest Boba i moja praca - odrzekł

cCaskey. - Ron przesłał mi te same dane. Każdy z osobna zabrał się do y'''

analizowania. Jeżeli jakieś wnioski będą się pokrywały, to znak, że arto pójść tym tropem.

133

-

Jaką mafię ma pan na myśli? - spytała Carrie.

-

Tę przez wielkie M - odparł McCaskey. - Organizacja zwana Cosa Nostra, czyli Nasza Sprawa, urosła do rozmiarów imperium, podobnego do Chin.

-

Nie pomyślałem o tym - przyznał Herbert.

-

Bo nie pracowałeś w FBI - odrzekł Caskey. - Przyszedłem, żeby o tym pogadać. Mafia ma bardzo rozdętą hierarchię, podobnie jak Chiny. W jaki sposób najlepiej ją utrzymać? Przez angażowanie jej w coraz to nowe interesy. Po pewnym czasie bossowie zgarniają kasę i przestają się interesować sprawą. Forsa służy im do rozkręcenia nowego biznesu, czasem zupełnie legalnego, dlatego potrafią utrzymać się na powierzchni w każdym systemie ekonomicznym.

-

Nie bardzo rozumiem - powiedziała Carrie.

-

To działa podobnie jak „czynnik Hongkongu” - tłumaczył McCaskey.

-

Chiny przejmują kolonię, poznają metody zarządzania demokratycznym społeczeństwem i odprowadzają zyski do Banku Pekinńskiego. Jaki następny krok podpowiada logika?

-

Rozszerzenie tego na całe Chiny, za wyjątkiem... - zaczął Herbert.

-

Nie, nie, to się nie uda - przerwał mu McCaskey. - Proces zmian będzie powolny i trudny do przeprowadzenia w dotychczasowym systemie, sam to powiedziałeś.

-

A więc trzeba powtórzyć cały numer - domyśliła się Carrie.

-

Tak, jeżeli mamy zamiar utrzymać tendencję rozwojową- potwierdził

McCaskey. — Ale jeśli należymy do starej gwardii, jak Czou Szin, to będziemy woleli pozostać przy tym, co mamy.

-

Ciekawe, jaki był jego stosunek do przejęcia Hongkongu - powiedziała Carrie.



-

Wyrażał poparcie, a równocześnie miał bardzo poważne zastrzeżenia

-

odparł McCaskey. - Przekazał bardzo szczegółową „białą księgę” Narodowemu Zgromadzeniu Ludowemu oraz przywódcom Komunistycznej Partii Chin, w której ostrzegał przed, jak to określił, „podmywaniem fundamentów”.

-

Czy mamy kopię tego dokumentu? - spytała Carrie.

-

Tylko streszczenie. FBI ma podsłuch w budynku Ludowego Kongresu. Czou odczytał fragmenty odnoszące się do spraw wywiadu, w związku z włączeniem brytyjskiej kolonii do Chin.

-

Udane połączenie obu systemów dzięki polityce nieingerencji na pewno nie było po jego myśli - zauważyła Carrie.

134

-

Delikatnie mówiąc - zgodził się McCaskey. - Przyglądał się uważnie całemu procesowi, wypatrując oznak erozji. Wykorzystał sytuację, zapewniając sobie środki na własne przedsięwzięcia, takie jak w RPA, ale nie chciał dopuścić do ekspansji wolnej przedsiębiorczości.

-

Zwłaszcza wśród tych, którzy przyrzekali bronić starego porządku - dodała Carrie.

-

Możemy mieć pewność, że jego sprzeciw wobec handlu żywym towarem nie wypływa z pobudek humanitarnych - zauważył Herbert. - Inaczej nie wysadziłby tych nieszczęśników w powietrze.

-

Wciąż jednak nie mamy pojęcia, o co naprawdę toczy się gra - stwierdziła Carrie.

-

Nie powiedziałbym - zaproponował McCaskey. - Wracając do analogii z mafią, jeżeli zajęcie jednego kraju dało takie dobre rezultaty, to jaki będzie następny krok?

-

Brać następny, póki nikt nie przeszkadza - powiedziała Carrie. Nie zabrzmiało to jak odpowiedź na pytanie, lecz jak głośne rozważania. Działanie w stylu „brać następny” nie było właściwe tylko mafii, ale także zachłannym przywódcom politycznym. To właśnie na tej zasadzie Saddam Husajn przeprowadził inwazję na Kuwejt. Symulacje przeprowadzane przez wywiad wojskowy sugerowały, że w razie zlekceważenia lub naruszenia prestiżu Chin kraj ten nie zawaha się wystąpić przeciwko Stanom Zjednoczonym. Wojska amerykańskie mogą przez pewien czas blokować chińskie porty czy pilnować stref zakazu lotów, ale jak zareagują, jeśli dwa lub trzy miliony żołnierzy wkroczą do Birmy lub Laosu? Czy rozpoczną kolejną ingerencję podobną do wojny w Wietnamie?

-

Ten region obfituje w pociągające cele - mówił dalej McCaskey. - Korea Południowa, Tajwan, Japonia. Nawet Wietnam, dzięki nam.

> - Ale zajęcie ich może grozić dalszym zatruciem systemu, przynajmniej tak uważa Czou - przypomniał Herbert. - On na pewno tego nie poprze, a jest pewien, że ma przyjaciół w partii.

-

Musi dysponować odpowiednim poparciem, skoro przeprowadził zamachy na kogoś, kto propaguje hasła ekspansji terytorialnej - zauważył •McCaskey.

-

Poparciem lub arogancją - powiedział Herbert. - Chińskim komunistom nie brakuje ani jednego, ani drugiego.

' - Rozumiem, że nawiązujesz do interesów generała Tam Li? - spytała -arrie.

McCaskey pokiwał głową.

135

-

Jednego tylko nie rozumiem. Jaki jest związek między tym wszystkim a rakieta? - wtrącił Herbert. - Zakładając, że w ogóle jakiś jest.

-

Nie wiem - odparł McCaskey. - To mnie zastanawia.

-

Satelita będzie pracował dla wojska - podsunęła Carrie. - Poza tym jest oznaką obcych wpływów w Chinach. Ani jedno, ani drugie nie podoba się Czou Szinowi.

-

Czy naprawdę sądzi pani, że z takich powodów narazi bezpieczeństwo Chin? -

zdziwił się McCaskey.

-

Nie narazi bezpieczeństwa, najwyżej prestiż - odrzekła Carrie. - A komuniści wcale o to nie dbają. Czou ma taki sam wywiad, jak my. Jest pewien, że obce wojska nie wkroczą do Chin. Obawia się upadku Chin jako filozofii. I jest zdecydowany poświęcić bardzo wiele, by do tego nie dopuścić.

-

Ale musi sobie zdawać sprawę, że komunizm przegrywa - powiedział

McCaskey. - Jeżeli oficjalnie nie zostaną wprowadzone zasady gospodarki rynkowej, to rozkwitnie ona w szarej strefie.

-

Może do tego nie dojdzie, jeżeli Tam Li przegra - stwierdził Herbert. - Co najwyżej rozwinię się drobny handel. Ludzie będą sprzedawać papierosy i płyty DVD z samochodów, zamiast handlować niewolnikami z łodzi.

-

Poza tym żaden radykał nie uważa bitwy za przegraną- dodała Carrie. - A ta walka jeszcze się nie zakończyła. Komunistyczna Partia Chin nadal kontroluje aparat rządowy, a także, o ile się orientuję, większość armii. Ostateczna klęska Tam Li umocni pozycję Czou Szina.

-

Nadal pozostajemy w sferze domysłów - zauważył McCaskey.

-

Miejmy nadzieję, że Paul dowie się czegoś więcej - stwierdził Herbert i znowu spojrzął na Carrie. - Być może jego spostrzeżenia będą przeczyć temu, co tu powiedzieliśmy o walce między wojskiem i wywiadem.

-

Być może - przyznała Carrie.

-

Może nadchodzi nowy porządek świata, z nowymi sojuszami, nowymi konfliktami, nowymi zasadami.

-

Niewykluczone - zgodziła się pani generał. - Czy to nas do czegoś prowadzi?

-

Tak tylko głośno myślę - odparł Herbert.

-

W wojsku z zasady krzywo się patrzy na nadmiar myślenia. W każdym razie ja się do tego przyzwyczaiłam.

-

Zasady też się zmieniają-wypalił Herbert.

Carrie nie do końca wiedziała, do czego zmierzał, i była zbyt zmęczona, aby to roztrząsać.

136

-

Jadę do domu. Proszę dzwonić, jeśli do jutra pojawią się jakieś konkrety.

Obaj zapewnili, że natychmiast to zrobią.

Carrie wyszła, zastanawiając się, czy przypadkiem nie miała dziś w swojej firmie przedsmaku rewolty w stylu Czou Szina,

Może po prostu przemęczenie wpłynęło na jego wypowiedzi, pomyślała. Miała nadzieję, że tak właśnie jest.

Bob Herbert nie był człowiekiem, którego można łatwo zastąpić.

ROZDZIAŁ 28

Waszyngton Środa, 2.16

(I ty, do cholery, wyprawiasz? - natarł na Herberta McCaskey po wyjściu generał Came.

-

Jak to?

-

Daj spokój, Bob, teraz rozmawiasz ze mną...

-

Po prostu dyskutowaliśmy. - Herbert twardo obstawał przy swoim.

-

Ty się z nią po prostu drażnisz

Herbert milczał przez dłuższą chwilę. No i co z tego? Nie widział nic złego w prowokowaniu pani generał. W końcu to nie wojsko. Miał prawo nie zgadzać się z przełożonym. Ale nie chciał o tym rozmawiać z McCaskeyem. A już na pewno nie o tej porze, mając przed sobą jeszcze huk roboty. : -  
Może raczej zajmijmy się innym generałem? - spytał.

-

Tak. Chyba tak będzie lepiej.

-

Jeżeli w głowie Tam Li narodziły się jakieś pomysły podbojów, to trzeba zdobyć jakieś informacje na jego temat. Powinniśmy także ustalić, kogo ewentualnie poprzeć - zachichotał Herbert. - Mamy do wyboru agresywnego generała i zatwardziałego komucha.

-

Właściwie moglibyśmy wprowadzić w Centrum odrobinę dyscypliny wojskowej. - Były agent FBI najwyraźniej nie był jeszcze gotowy do rozmowy o generale Tam Li.

-

Dlaczego tak mówisz? - spytał Hood. - Przecież nie dlatego, że jestem pyskaty...

-

Parę miesięcy temu ktoś podłożył nam bombę elektromagnetyczną f-powiedział McCaskey. - Może nie doszłoby do tego, gdybyśmy ostrzej i przestrzegali regulaminu.

-

Zrobił to skurwysyn związany z CIA - odparł Herbert. - Dysponował takimi możliwościami i uprawnieniami, że mógł tę zabawkę podłożyć wszędzie.

-

Ale podłożył tutaj.

-

Sądysz, że generał Carrie czy ktokolwiek inny mógłby temu zapobiec? - spytał

Herbert.

-

Nie wiem. Od wczoraj zastanawiam się nad tym, jak będzie funkcjonowało Centrum pod rządami wojska.

-

Stanie się wściekle agresywne.

-

Bzdura - burknął McCaskey.

-

Tak uważasz? Nie jestem teraz wielbicielem Paula Hooda. Nie podoba mi się jego postępowanie w stosunku do Mike'a, nie pochwalam sposobu, w jaki traktował

Liz, Marthę i Ann. W ogóle nie potrafił sobie radzić z kobietami. Ale pomijając eksplozję bomby elektromagnetycznej, w najgorszych opałach znajdowaliśmy się wtedy, kiedy realizowaliśmy operacje pod dowództwem Mike'a Rodgersa, Charłiego Squiresa i Bretta Augusta. A oni wszyscy byli żołnierzami.

-

Tak to bywa, kiedy trzeba działać zdecydowanie. - McCaskey nie chciał ustąpić. - Cena bywa wysoka.

-

O wiele wyższa, jeżeli robi się gwałtowne posunięcia bez odpowiedniego rozpoznania - stwierdził Herbert. - Znasz mnie, Darrell. Nie mam żadnych oporów, kiedy trzeba komuś skopać tyłek. Ale nie znoszę działań prowadzonych na ślepo.

Kiedy się nad tym zastanawiam, dochodzę do wniosku, że Mike dawał się ponieść odruchom. To był jego sposób na wykrojenie sobie kawałka Centrum niezależnego od Paula. Jedną z jego pierwszych akcji w Korei Północnej została przeprowadzona bez akceptacji Paula.

-

Czasem nie zgadzali się ze sobą - przyznał McCaskey. - Ale teraz obaj odeszli.

Zaczynamy od nowa. I chyba warto zadać sobie pytanie, jak teraz najlepiej radzić sobie ze światowymi kryzysami? Nie pięć czy dziesięć lat temu, ale teraz.

-

I co wymyśliłeś? Mamy strzelać pierwsi?

-

Trzeba iść jeszcze dalej.

-

Nie rozumiem.

-

Kiedy stwierdzimy, że jakiś konflikt nabrzmiewa, powinniśmy sami go sprowokować w taki sposób, aby zachować kontrolę nad kierunkiem, w jaki się rozwinie - wyjaśnił McCaskey. - Strażacy rozniecają małe pożary po to, żeby ugasić wielkie.

138

' - Tylko że jednocześnie stosują wodę ze środkami gaśniczymi - zauważył Herbert. -

A i tak czasami te pomocnicze pożary wymykają się im spod kontroli.

-

Właśnie dlatego konieczne jest rozpoznanie. Trzeba się zorientować w sytuacji i ustalić, jaka taktyka będzie najlepsza. Zdarza się, że najlepsze jest właśnie uderzenie wyprzedzające. Dotychczas Centrum było jak leśniczy na wieży, który najpierw obserwował dym, określał kierunek wiatru, wyglądał płomieni, podnosił alarm i dopiero przystępował do działania, przez ten czas mogło się spalić pół lasu. Wiesz, co mi to wszystko przypomina? Dzieciństwo, kiedy na każdym kroku spotykałeś mnóstwo informacji o tym, jak wygląda życie w komunizmie.

-

Zwyczajna propaganda - powiedział Herbert. - Przemycano ją wszędzie, w komiksach, nawet w pieprzonej dziecięcej encyklopedii były historyjki o Stalinie, który sterował ludźmi jak marionetkami. - Poruszył palcami, jakby pociągał za niewidzialne sznurki. - Gruba przesada, Darrell.

-

Nie. To było wychowanie. Nauka postępowania w obliczu realnego zagrożenia.

Herbert pokręcił głową.

-

To tak, jakbyś klasyfikację nazywał segregacją. Owszem, czerwoni stanowili zagrożenie. Ale równie groźne były polowania na czarownice, a one działały się tutaj, wśród nas! Lekarstwo było bardziej szkodliwe niż choroba. Byliście celowo straszeni, Darrell, aby ci, którzy nami rządzą, mogli utrzymać się przy władzy.

-

Mamy całkowicie odmienne poglądy na tę sprawę, przyjacielu. Co prawda zdarzali się oportuniści i despoci, ale ludzie, których znałem, w większości byli prawdziwymi patriotami. Weterani z II wojny światowej i Korei, ci, którzy mieli okazję przekonać się bezpośrednio, że komunizm Stanowi prawdziwe zagrożenie. To dlatego zostałem agentem FBI. Bałem się myśleć o osaczeniu i manipulacji, chciałem z tym walczyć. A świat wywiadowczy to walka, Bob. Walczyliśmy z Chińczykami i ich agentami w Korei i Wietnamie i wyłączyliśmy ich z gry. Prowadziliśmy wyścig zbrojeń ze Związkiem Radzieckim aż do jego rozpadu. Ale ani razu nie wdaliśmy się z nimi w bezpośredni konflikt. Zastępowaliśmy się, parujemy ciosy. Ale sami nikogo nie zmusiliśmy do obrony. Wydaje mi się, że generał Carrie może to zmienić. Jest tu dopiero od rana, a już wysłała do akcji zespół do zadań specjalnych.

' , - Wspaniale. Staliśmy się Centrum Szybkiego Reagowania, w którym fflały Stalin pociąga za sznurki, sterując agentami i uśpionymi komórkami.

139

-

Moim zdaniem generał Carrie nie przypomina Józefa Stalina.

-

Na razie. A może Stalin czai się wśród członków Kolegium Szefów Połączonych Sztabów?

-

Ostatnio jesteś przewrażliwiony, Bob.



-

Jestem bardzo zmęczony. Może to dlatego.

-

Miejmy nadzieję, bo przecież robimy tylko to, co nasi wrogowie.

-

Dzięki temu mamy przewagę moralną.

-

Ale świat jest amoralny! - wykrzyknął McCaskey. - Albo staniemy się jego częścią, albo zacniemy coraz bardziej obrywać. Ci wywiadowcy z piechoty morskiej nie różnią się prawie niczym od regionalnych filii Centrum Szybkiego Reagowania, które próbowaliśmy wprowadzić dwa lata temu. Powiedzmy, że żołnierze są bardziej mobilni i lepiej zakonspirowani. Mają za zadanie zbierać informacje i reagować, o ile okaże się to konieczne. Rozpalać małe pożary. Zobaczysz, Bob, to będzie działać.

-

Czasami efekt takiego pożaru jest odwrotny niż zamierzony - powiedział z naciskiem Herbert.

-

Jesteś złośliwy.

-

Wolałbym, żebyś nazywał mnie realistą.

-

Możesz sobie woleć. Jesteś cynikiem i pesymistą. Ja wierzę w nasz system.

-

Ja też wierzę w system - zachnął się Herbert. - To niektórzy ludzie mnie przerażają. A wiesz, co jest w tym najbardziej zadziwiające?

-

Aż się boję spytać.

-

Cieszę się, że Paul Hood znalazł się na pierwszej linii - powiedział Herbert. -

Dzięki temu mamy tam kogoś dojrzałego i niewykazującego skłonności do podejmowania pochopnych decyzji.

McCaskey się roześmiał.

-

Jeszcze niedawno nazwałbyś kogoś takiego starym pierdołą.

-

I słusznie - odparł Herbert. - Ale może właśnie taki pierdoła jest potrzebny, kiedy dookoła ganiają sami bohaterowie.

Zapadła krępująca cisza, wcale nie dlatego, że się starli. W przeszłości wielokrotnie nie zgadzali się ze sobą. Tym razem jednak padło za dużo niepotrzebnych słów.

-

Chyba pojedę do domu jak Carrie - odezwał się McCaskey. - Może uda mi się nie obudzić Marii, bo będzie mnie wypytywała, co się tutaj dzieje.

-

Chciałbym wiedzieć, co miałaby na ten temat do powiedzenia - zauważył

Herbert.

140

-

Ja wiem. - McCaskey odwrócił się od drzwi. - Zastanawia się, dlaczego nie znalazło się dla niej miejsce w oddziale komandosów.

-

Wszyscy jego członkowie mają azjatyckie pochodzenie.

-

A ona chciała stworzyć ekipę Latynosów - rzucił na odchodnym McCaskey. -

Dobranoc.

-

Dobranoc.

Herbert został sam. Nie patrzył na ekran monitora. Myślał o tym, co McCaskey powiedział o jego agresywnym zachowaniu. To prawda. Nadal grał ostro, zmieniło się tylko pole jego działania. Już nie chodziło o siłę ognia, lecz siłę idei. W Chinach szykowałą się wojna, starcie starego sposobu myślenia z nowym.

Tymczasem wszystko odbywa się po staremu, pomyślał Herbert. Na całym świecie słyhać zamachy bombowe, podejrzewamy próbę zniszczenia rakiety nośnej satelity wyposażonego w generator jądrowy, a naszą uwagę przyciąga bardzo prawdopodobna wizja militaryzacji Centrum Szybkiego Reagowania. Pytanie, jak ugasić ten pożar, trochę lekceważony w obliczu nie do końca zrozumiałych problemów wewnętrznych.

Herbert znów skierował zmęczony wzrok na monitor. Przeglądając dane, nie przestawał myśleć o oddziale Striker i akcjach, w których brał on udział.

Powstrzymanie wybuchu wojny między Koreą Północną a Południową, niedopuszczenie do przewrotu w Rosji i oddalenie groźby wojny domowej w Hiszpanii. Zażegnanie niebezpieczeństwa konfliktu nuklearnego między Pakistanem a Indiami, za cenę życia żołnierzy oddziału. Same sukcesy. ' Szybkie, kosztowne, rozstrzygające zwycięstwa, pomyślał. Nikt nie ógł tego zakwestionować, poza owdowiałą Melissą Squires i rodzinami ległych.

Herbert czuł się rozbity. Uczepił się jednego - znaczenia, jakie mają informacje dla podejmowania decyzji i planowania operacji. A o ich wartości można się przekonać tylko w praktyce, podczas akcji.

## ROZDZIAŁ 29

Pekin, Chiny Środa, 14.00

linęły już dwie godziny, a ambasadora wciąż nie było. W końcu Hood wyszedł z pokoju dowiedzieć się, o co chodzi. Na korytarzu wpadł Wesleya Chase'a, który zmierzał właśnie do niego.

-

Bardzo mi przykro, panie Hood. Pan ambasador dłuższy czas rozmawiał przez telefon, a potem opuścił ambasadę - wyjaśnił.

-

Czy coś się stało?

-

Jesteśmy w ambasadzie - uśmiechnął się Chase. - Tu zawsze coś się dzieje. Pan Hasen poinformował

mnie, że jeśli nie uda mu się wcześniej, spotka się z panem wieczorem podczas uroczystego przyjęcia.

-

Z jakiej okazji?

-

Początek obchodów święta narodowego. Pięćdziesiąta ósma rocznica proklamowania ChRL. Z udziałem premiera i innych dygnitarzy. Zdaniem ambasadora na przyjęciu będzie pan miał okazję do rozmowy z panem Le Kwan Po.

-

Czy premier zna angielski?

-

Nie, ale będzie kilku tłumaczy, w tym jego córka, Anita. Przed wyjściem dam panu pełne informacje o personelu. Tymczasem pan ambasador oddaje biuro do pańskiej dyspozycji. Kierowca, który czekał na pana na lotnisku, zawiezie pana wszędzie, gdzie sobie pan zażyczy.

-

Może później zrobimy sobie małą przejażdżkę - powiedział Hood.

-

Tymczasem chcę udać się do biura.

Chase wyciągnął rękę w zapraszającym geście, wskazując kierunek. Hood cofnął się do pokoju po teczkę, a potem ruszył za sekretarzem do gabinetu dla gości ambasady.

-

Czy ambasador jest osiągalny przez telefon?

-

Pan ambasador pojechał na spotkanie z premierem. Zabrał ze sobą tylko tłumacza - wyjaśnił Chase. - Numer jego komórki majądwie osoby: prezydent Stanów Zjednoczonych oraz ja, na wypadek sytuacji kryzysowej, w rodzaju wybuchu wojny czy śmierci kogoś ważnego. W innych sytuacjach ani on, ani ja nie będziemy przeszkadzać panu ambasadorowi w pełnieniu misji dyplomatycznej.

-

A czy pan nie uczestniczy w spotkaniach właśnie na wypadek nagłej sytuacji, której nie da się zakwalifikować jako poważny kryzys? - Hood nie żartował.

Najbliższy współpracownik nie powinien odstępować ambasadora na wypadek, gdyby potrzebna była jakaś informacja albo opinia.

-

Zwykle tak - przyznał Chase - ale nie tym razem.

-

Czy mogę spytać z jakiego powodu?

-

Może pan, ale nie potrafię udzielić odpowiedzi - powiedział Chase.

-

Ambasador nie zabrał mnie ze sobą.

-

A może potrafi pan mi opowiedzieć, jak ambasador spędził dzisiejszy ranek? -

naciskał Hood.

142

-

Prawdę mówiąc, niewiele wiem na ten temat, ponadto nie wolno mi o tym mówić. Sam pan rozumie.

-

Nie, nie rozumiem. Przybyłem tu z polecenia prezydenta... - Hood nagle zamilkł. Właśnie zrozumiał. Znalazł się tu, aby odbyć rozmowę z premierem, co zwykle należy do obowiązków ambasadora. Joseph Ha-sen spotkał się więc z premierem pierwszy. Widocznie nie lubił, kiedy ktoś wchodzi mu w paradę, a może cechowała go zwyczajna przezorność. - Wie pan co? Właściwie to nieważne, dlaczego tam poszedł.

Chase popatrzył na niego zdziwiony. Hood nie zwrócił na to uwagi. Były szef tajnego Centrum Szybkiego Reagowania miał do odrobienia spore zaległości w dziedzinie dyplomacji.

Gabinet mieścił się w końcu korytarza, za rzędem portretów poprzednich ambasadorów. Wielkie

płótna wisiały na śnieżnobiałych ścianach, zupełnie gładkich, za wyjątkiem ozdobnych gzymsów wysoko pod sufitem.

Drzwi do gabinetu znajdowały się między marmurowymi pilastrami, zwieńczonymi fryzem przedstawiającym dżonki, płynące ze wschodu na zachód. Hood wolał nie widzieć w tym symbolu przyszłego podboju.

-

Mój wewnętrzny to 412-powiedział Chase, szykując się do odejścia.

-

Czy mam coś przekazać, jeśli pan ambasador zadzwoni? Tylko jedno: że pragnę się z nim spotkać, jak tylko będzie to możliwe

-

powiedział Hood.

-

Powiem mu - obiecał Chase i wyszedł, zostawiając otwarte drzwi. Hood je zamknął. Całe umeblowanie gabinetu stanowił opuszczony pulpit retarzyka. Nie było nawet komputera, tylko aparat telefoniczny. Zapew-; goście używali własnych laptopów. Hood poczuł się trochę niepewnie. . abinet unaoczniał

mu, jak wielka zmiana zaszła w jego życiu zaledwie (zed dwoma dniami. Przeszedł

powoli po jedwabnym perskim dywanie ludowym motywem z K'om. Ciemne wzory w kolorach ziemi otacza-portret kobiety. Na krawędziach widniały ślady ognia, a na policzku Wety plamy krwi. Hood znał historię dywanu z dokumentów otrzymana-ch przed wyjazdem. Kiedyś leżał w gabinecie ambasadora w Teheranie, zwagier Hasena pracował tam jako attache, kiedy Irańczycy opanowali ibasadę. Udało mu się uciec, udając Irańczyka. Aby uczynić swoją hi-"rię bardziej przekonującą, zawiązał w dywan ciało zabitego „bojownika wolność" i wyniósł go ze sobą.

W Centrum nie było takiego pomieszczenia z namacalnymi śladami hi-na podłodze i z książkami ustawionymi na wbudowanej w ścianę Jioteczce. W Centrum nawet archiwum było cyfrowe. Dlatego zostało

143

zniszczone w wyniku eksplozji bomby elektromagnetycznej, a następnie odtworzone na podstawie kopii otrzymanych z innych agencji. Rozejrzawszy się dokoła, Hood pojął, jak dotkliwie straty ponieśli Egipcjanie w wyniku spalania biblioteki aleksandryjskiej.

Kiedy to było? - pomyślał.

Potrzebna informacja była gdzieś tutaj, w jednej z encyklopedii czy słowników. Jeśli chciał ją poznać, mógł otworzyć książkę i znaleźć ją, zamiast wpisywać kluczowe słowa w wyszukiwarke.

To tak, jak aktualne zadanie, pomyślał. Musiał wyruszyć w daleką podróż po to, by uzyskać informacje. To było jego nowe życie. Nie będzie się więcej wyklócał o dotacje z przewodniczącym Komisji Kontroli Wywiadu. Teraz musi lawirować pomiędzy ambasadorami, szefami departamentów i wszelkimi waszyngtońskimi firmami, które mogłyby dysponować poszukiwaną informacją. Nagle bardzo wyraźnie dostrzegł powagę i zakres spoczywających na nim obowiązków.

A właściwie ich przytłaczający, przerażający wręcz ogrom. To niesamowite, że w ogóle cokolwiek zostało zrobione. Spojrzał na dywan. Nie godził się ani tym bardziej nie popierał tego, co robili radykałowie, ale rozumiał, że to poczucie bezsilności popycha ich do działania.

-

No cóż, trzeba brać się do roboty - mruknął pod nosem. Kiedy doszedł do tej konkluzji, jego mózg przestawił się na zwykły temat rozważań: Sharon. Nie potrafił

pogodzić się z faktem, że podświadomie uważał ją za anarchistkę. Czuł w związku z tym rodzaj zażenowania. Podszedł do pulpitu, usiadł na obitym skórą fotelu i postanowił, że czas przystąpić do boju. Z prawdziwym wrogiem, nie ze swoimi myślami. W Waszyngtonie jest teraz wczesny ranek. Hood zatelefonował do Boba Herberta, na służbowy numer w Centrum, Nie chciał przeszkadzać mu w domu. Szef wywiadu odebrał telefon, mówiąc bez żadnych wstępów:

-

To dlatego biurokracja jest do dupy.

Tego rodzaju zdaniem oznajmującymi Herbert zastępował zwyczajne „halo”, zwłaszcza gdy nad czymś usilnie pracował. Dzięki identyfikacji numeru przychodzącego pozwalał sobie czasem na dużo ostrzejsze uwagi, nie czekając, aż rozmówca się przedstawi.

-

Co się stało? - spytał Hood.

-

W wyniku reorganizacji Centrum, której dokonano w celu usprawnienia naszej pracy, mam nadal wszystkich dotychczasowych współpracowników, a nawet jednego więcej - powiedział. - Dobrze, że chociaż ja jeżdżę na wózku, bo ten chłopaczek z Missisipi nawet nie wie, na czym stoi.

-

Chcesz o tym porozmawiać? - spytał Hood.

-

Nie. Już skończyłem.

Herbert bywał otwarty i czupurny, ale nigdy nie marudził. Nie przenosił też swojej złości na rozmówcę, w odróżnieniu od Hooda. Uderzał prosto w źródło niezadowolenia.

-

Mamy coś nowego? - spytał Hood.

-

Nie. To samo zameldowałem naszej Frau Feldherr - odparł Herbert. Hood już wiedział, kto był przyczyną nastroju Boba. General Carrie pracowała w Centrum dopiero od dwóch dni, ale Herbert zdążył uznać ją i jej mocodawców za gestapo. -

Przed chwilą rozmawiałem z Mikiem - ciągnął Herbert. - Jest w Pekinie w hotelu Grand National. Zamierzał się zdrzemnąć, a potem udać na spotkanie z pracownikami ośrodka Xichang. A co u ciebie?

-

Chyba nie dowiem się niczego nowego aż do wieczora, kiedy idę na przyjęcie z okazji rocznicy proklamowania Chińskiej Republiki Ludowej - powiedział Hood.

-

Ciekawe, kiedy się w ogóle czegoś dowiemy i czy to się nam będzie podobało

- stwierdził sucho Herbert.

-

W jakim sensie?

-

Mam na myśli Centrum. Zdaje się, że obaj z Mikiem macie szczęście, że jesteście daleko stąd i robicie zupełnie co innego.

-

Coś się stało? - spytał Hood.

-

Nic wielkiego. Pokłóciłem się z Carrie, a potem z Darrellem.



-

To u ciebie najzupełniej normalne, Bob - zauważył Hood.

-

Wiem. Ale mam przeczucie, że coś się kroi. Coś niedobrego. Departament Obrony praktycznie przejął kontrolę nad Centrum Szybkiego Reagowania, a prezydent zdejmuje jego szefa i trzyma go przy sobie. To nie wygląda na awans w uznaniu zasług. I ten oddział piechoty morskiej, który dostaliśmy do dyspozycji.

Rozmawiałem o tym z Mikiem. To jakby powrót do Strikera, przypomina przegrupowanie sił.

| - Faktycznie - zgodził się Hood. - Ale czemu uważasz, że to źle? - Kiedy byłem młodym chłopakiem, mieliśmy w hrabstwie Neshoba robłem z jeleniami po wyjątkowo suchej wiośnie. Właziły na tereny re- " eacyjne, pola golfowe i zżerały wszystko, co nadawało się do jedzenia, urmistrz i rada miejska Filadelfii uradzili, żeby wysłać na miejsce eki- \* specjalistów od ochrony środowiska, w celu dokładnego zapoznania 'ę z problemem. Większość z tych gości to byli myśliwi. Pod koniec lata pulacja jeleni przestała stwarzać jakiegokolwiek problemy. Właściwie

— Wojna orłów

145

nigdzie nie było widać żadnego cholernego jelenia, nie licząc straganów z dziczyzną na targu mięsny. Można rozwiązać problem całościowo albo usunąć tylko tę jego część, która jest najbardziej widoczna. Obawiam się, że zaczynamy szukać szybkich metod prowizorycznych, zamiast stosować trwałe rozwiązania.

-

Coś jak koszenie chwastów zamiast wyrywania - podsunął Hood.

-

Tak, jeżeli przedkładasz aforyzmy nad ludowe przysłowia - zażartował

Herbert.

-

Przemawiają przeze mnie lata bycia właścicielem domu - odparł Hood. I kiedy skończył to mówić, znowu poczuł ukłucie złości na Sharon. Zawsze lubił pielnić trawnik, zwłaszcza kiedy dzieci były młodsze i „pomagały" mu, wyrywając dmuchawce albo grabiąc opadłe liście. Szybko otrząsnął się z tych myśli. - Posłuchaj, Bob. W tej chwili nie powinniśmy przejmować się przyszłością amerykańskiego wywiadu.

-

To prawda - przyznał Herbert. - Już milczę. Ale istotny jest zwrot „w tej chwili”. Nie chciałbym zostać z ręką w nocniku, gdy zaczniemy się tym przejmować.

Chodzi o Wielką Plecioną Gumową Piłkę. O „pustą kartkę papieru” Liz Gordon.

-

Wiem - powiedział Hood.

-

Mówimy o kwestiach moralnych, ale ważniejsze są sprawy taktyki - oznajmił

Herbert. - Mój patriotyzm nie zależy od tego, czy zapłacą mi pensję. Jeżeli uważam, że coś jest nie tak, będę z tym walczył.

Słowa: „możesz na mnie liczyć w tej walce”, nie przeszły Hoodowi przez gardło. Nie dlatego, że bał się otwartego sporu z Departamentem Obrony. Przestraszył się „wojny na górze” w szeregach amerykańskiej administracji w czasie, gdy naród powinien być zjednoczony. Jeśli nie można do cna wyplenić chwastów, lepiej kontrolować ich wzrost, niż całkowicie ignorować ich obecność, a do tego mogło dojść, gdyby agencje wywiadowcze rozpoczęły bratobójczą walkę.

-

Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie - powiedział.

-

Mówisz jak świeżo upieczony dyplomata - odparł Herbert.

Hood usłyszał rozczarowanie w jego głosie, ale wolał o tym nie myśleć. Nie chodziło mu o aprobatę Boba Herberta. Ważniejsze było niedopuszczenie do wciągnięcia kraju w wewnętrzne spory polityczne w Chinach.

Jeżeli to w ogóle możliwe, myślał Hood, zegnając się i kończąc rozmowę. To Herbert nazywał świat Wielką Plecioną Gumową Piłką. Tak wyrażał swój pogląd na globalizację, ciasne splatanie się interesów eko-146

nomicznych, kultur i religii. Było to ze wszech miar trafne porównanie. Wszystkie paski gumy były wyraźnie widoczne. Splecione w jedną całość stanowiły potężną siłę. Ale usunięcie choćby jednego spowodowałoby stopniowe wysuwanie się sąsiednich pasków. Z wolna cała struktura uległaby zniszczeniu. Psycholog Liz Gordon sporządziła charakterystykę planety pod naukowym tytułem Wymuszona jedność dysharmonii. Postawiła w niej tezę, że nie da się uniknąć potknięć. W

jednym z fragmentów pracy poleciła czytelnikowi wyobrazić sobie, co stałoby się, gdyby Siuksowie

i Czejeni, którzy pobili Custerą, zostali nagle przeniesieni do Nowego Jorku. Czy tak zwani „dzicy” walczyliby w imię zachowania wolności, czy raczej poddali się przeważającym siłom przeciwnika? A może wzięliby zakładników? Albo rozproszyli się, zeszli do podziemia, aby w nocy uderzyć ponownie? Czy policja starałaby się ich aresztować, czy raczej zabić na miejscu, jak zrobił to 7. pułk kawalerii? Jak zwykli obywatele zareagowaliby na zderzenie z tak odmienną kulturą? Lękiem, ciekawością czy też dziwną mieszkanką obu tych reakcji emocjonalnych?

„Problem z globalizacją polega na tym - pisała Liz Gordon w ostrożnym podsumowaniu - że obecnie wszystkie te światy się przecinają, a wszystkich warstw i miejsc przecięcia jest o wiele więcej, niż ktokolwiek mógłby oszacować, wyodrębnić czy nanieść na wykres”.

Innymi słowy, jak mówił Bob Herbert, była to Wielka Pleciona Gumowa Piłka gotowa do wybuchu. I może, pomyślał Hood, Departament Obrony przygotowuje się do tego, czego nie może zidentyfikować, zanalizować ani zaplanować.

Hood wyciągnął z teczki laptopa i uruchomił go. Chciał przejrzeć listę zaproszonych, aby upewnić się, że zna wszystkich graczy. Przeszedł się też wzdłuż półek z książkami. Wyciągnął aktualną encyklopedię, aby poczytać o dzisiejszym święcie narodowym. Będąc gościem w dziwnym kraju, wolał wiedzieć co nieco o jego historii i zwyczajach.

Prowadząc te badania, Hood nie mógł się wyzbyć przeświadczenia, że wszystkie jego wysiłki są spóźnione i nieaktualne. Nie czuł się jak myśliwy. Raczej doświadczał

tego samego co Herbert. Jeżeli nie jesteś myśliwym, jesteś dziczyzną.

147

## ROZDZIAŁ 30

Yu Xian, Chiny Środa, 14.11

Będąc jeszcze chłopcem, Juan Szek, zwany „cesarzem”, każdego wieczoru czekał na matkę, która przychodziła do jego pokoju i śpiewała mu piosenkę na dobranoc.

Najbardziej lubił Świat pod kamieniem gospodarza Woo. Wspomniany gospodarz musiał usunąć z pola ogromny głaz, aby móc uprawiać kukurydzę. Kiedy to uczynił, jego oczom ukazały się zastępy owadów, tunele, gniazda i korytarze, a także całe stadko polnych myszy. Zaopatrzenie działało w sposób zorganizowany, dostarczając żywność do kryjówki. „Wiele mrówek, wiele nówek w służbie cesarzowej”. Na końcu gospodarz stawiał kamień z powrotem na to samo miejsce i siał dookoła niego.

Młody Szek mieszkał na zapleczu szkoły, w której jego matka była jedyną nauczycielką. Ojciec służył w wojsku i rzadko bywał w domu. Na polu za szkołą leżało pełno kamieni. Większość była mała i nie zmieściłoby się pod nimi więcej niż kilka robali lub jakiś mały wąż. Szek nie miał siły, aby podnosić większe kamienie, pod którymi, jak sądził, znalazłby większe bogactwa.

Pewnego dnia do domu przyjechał ojciec i pokazał synowi, jak usuwać kamienie. Nie za pomocą dźwigni, lecz materiałem wybuchowym. Niewielkie ładunki, podłożone w szczelinach lub pod krawędziami głazów, uczyniły Szeka władcą całego pola. Napisał

nawet krótkąpiosenkę o sobie, Cesarz cesarzowej mrówek.

Materiały wybuchowe stały się bardzo ważną i dochodową częścią jego życia.

Żołnierz, który czasem przyjeżdżał do domu z ojcem, pokazał mu, jak zrobić ładunek wybuchowy z nawozu i innych łatwo dostępnych składników. Szek bawił się w kruszenie skał, produkował sztuczne ognie na uroczystości i święta, a nawet używał

ich do zwalczania szkodników. Nauczył się konstruować zapalniki uruchamiane delikatnym naciskiem na spłonkę, sporządzoną z kory drzew. W wiosce ogromnym popytem cieszyły się konstruowane przez niego małe „cesarskie pułapki na myszy”.

Robił je na płaskiej skale przy drodze i woził rowerem, aż matka dowiedziała się, czym się zajmuje. Wtedy pożyczyła dla niego stolik ze szkoły.

Uważała, że postępuje słusznie.

Ojciec zginął w wypadku samochodowym, kiedy Szek miał dwanaście lat. Matka niewiele zarabiała jako nauczycielka, a wojskowa renta była 148

nader skromna. Pieniądze, które dorabiał Szek, stały się ważnym składnikiem domowego budżetu. Opracowywał coraz bardziej wymyślne sztuczne ognie, rakiety, wyburzał rudery, kiedy ktoś chciał budować nowy dom. Choć samouk, Szek stał się mistrzem w posługiwaniu materiałami wybuchowymi. A najważniejsze, że w żadnej szkole czy akademii wojskowej nie było o nim nawet najmniejszej wzmianki.

Wywiad nazywa takich ludzi „niewidzialnymi”.

Kiedy Czou Szin dowiedział się o utalentowanym, młodym chłopcu, wciągnął go do jednostki 8341. Załatwił jemu i jego matce mały, ale bardzo wygodny domek w Yu Xian, na przedmieściu Pekinu. Budynek stał z dala od innych, z tyłu mieściła się szopa, miejsce pracy Szeka. Jego obowiązkiem było bowiem konstruowanie bomb dla Centralnego Korpusu Bezpieczeństwa. Nie wszystkie wyprodukowane przez niego materiały wybuchowe wykorzystywane były bezpośrednio przez CKB. Wiele z nich stosowało wojsko do potajemnego minowania na lądzie i na morzu, które nie mogło być kojarzone z Pekinem. Innych materiałów używano do nieoficjalnej produkcji pocisków raketowych, które przekazywano partyzantom w wielu krajach, tam gdzie Chinom na rękę była destabilizacja panującego porządku.

Szek miał zawsze sporo pracy, ale nikt nigdy go nie poganiał. Jego pracodawca zorientował się, że ma do czynienia z prawdziwym artystą. Szek potrafił do transportu ukryć materiały wybuchowe w

pączkach albo zapiec je w wyrobach ceramicznych po to, aby w widowiskowy sposób eksplodowały w piekarnikach i kuchenkach mikrofalowych. Zwłaszcza te ostatnie doskonale nadawały się do skrytobójczych zamachów.

Dyrektor Czou, który nigdy nie składał zamówień przez telefon czy sieć komputerową, lecz zawsze osobiście odwiedzał Szeka w laboratorium, zlecił mu ostatnio zbudowanie bardzo dziwnych bomb. Potrzebował niewielkiego, ale silnego ładunku, który zdołałby zatopić frachtowiec o nośności trzydzie-  
stu tysięcy ton.

Poprosił też o bombę, która spowodowałaby zimną eksplozję, f aby zniszczyć pomieszczenie na szczycie wysokiego budynku bez wywoły-i Wania pożaru i poważniejszych szkód na niższych kondygnacjach. Wymaga-^ło to zbudowania urządzenia wielkości teczki, zastosowania wewnętrznych lodochładczy, stalowych żeber oraz tytanowej siatki, aby wywołać eksplozję bez emisji rozżarzonych odłamków. Szek nie wiedział, do czego mają służyć konstruowane przez niego urządzenia, zresztą nie obchodziło go to. Czou dekował się nim i jego wiekową matką. Podobnie jak ojciec, Czou był :erzem i oddanym komunistą. Tyle tylko wiedział o nim Szek.

149

Jednak kilka dni temu złożył mu wizytę ktoś inny. Nieznany mu wojskowy, który dowiedział się o nim od Czou i także potrzebował tajnego urządzenia. Zapytał, czy materiał wybuchowy może zostać tak spreparowany, aby przetrwać bez detonacji podgrzewanie do temperatury tysiąca czterystu stopni. Szek wyjaśnił, że prawdziwym problemem nie jest detonacja, lecz odparowywanie. W tej temperaturze każda obudowa wyparuje, co spowoduje zmianę właściwości materiału wybuchowego. Opakowanie musiałoby zostać zbudowane z tworzywa podobnego do materiału na płytki osłony termicznej amerykańskich promów kosmicznych.

Powiedział też, że akurat ma trochę tej substancji w magazynku. Wtedy już wiedział, że ładunek zostanie użyty na rakiecie, prawdopodobnie pocisku balistycznym, w związku z czym dostrzegł o wiele poważniejszy problem.

-

Nawet jeśli ładunek będzie niewielki, razem z dodatkową masą osłony termicznej może spowodować odchylenie pocisku czy rakiety z kursu -

poinformował zamawiającego. - Nawet niektóre moje większe fajerwerki nie tolerują braku równowagi.

-

Dodatkowa masa nie ma żadnego znaczenia - odparł tajemniczy osobnik, uśmiechając się szeroko i demonstrując przy tym złoty ząb.

-

Ależ ma, bo sprowadzi raketę z kursu!

-

Panie Szek. Ma pan tylko zbudować to urządzenie. Ile czasu to panu zajmie?

-

Dziesięć godzin, może trochę więcej.

-

Doskonale. Wrócę po tym czasie. Zostanie pan hojnie wynagrodzony.

To akurat Szeka nie obchodziło. Nie miał nic przeciwko skrytobójczym zamachom w tym czy innym miejscu, bez względu na to, czy chodziło o wrogów ojczyzny, czy hie. Ale od chwili, gdy zaczął robić sztuczne ognie, zainteresował się teorią lotów kosmicznych i stał się ich wielkim entuzjastą. Nie wiedział, jaką raketę i z jakiego powodu ma zamiar zniszczyć zleceniodawca, sam jednak nie chciał brać udziału w zamachu, bez względu na to, jakie kraje uczestniczyły w atakowanym przedsięwzięciu.

-

Zrobi pan to - powiedział gość lodowatym tonem. - Jeżeli pan odmówi, sprowadzę tu pańską matkę i zastrzelę na pańskich oczach. Ale najpierw przestrelę jej nogi, a potem ręce.

Szek przystąpił do konstruowania bomby. Skończył na czas. Nie pytał, do czego miała posłużyć. Wolał nie wiedzieć.

Teraz, zerkając jednym okiem na telewizor, pracował nad nowym pomysłem, polegającym na wtrysku benzyny do wnętrza żarówki w celu wywołania eksplozji w chwili zapalania światła. Nagle odwrócił się; podano 150

informację o starcie następnego satelity z ośrodka Xichang. Start miał nastąpić nazajutrz po południu, w dniu święta narodowego. Rakieta Długi Marsz 4 wyniesie na orbitę satelitę telekomunikacyjnego. Szek sprawdził w Internecie szczegóły dotyczące projektu. Dowiedział się, że wyprodukowany przez firmę Unexus Corporation satelita wyposażony jest w generator jądrowy na paliwo plutonowe.

Poczuł nagle, że robi mu się słabo, ale nie od oparów benzyny. Rozpad satelity na wysokości jedenastu kilometrów, jak początkowo planowano, spowodowałby powstanie radioaktywnego obłoku w górnych warstwach atmosfery. Następnie prądy powietrzne osłabiłyby efekt, rozpraszając obłok na dużej przestrzeni. Eksplozja poniżej pułapu pięciu kilometrów wywoła obfity opad promieniotwórczy, wzmocniony skierowanym w dół podmuchem wybuchu.

Jednak to, co planował jego zleceniodawca, było jeszcze gorsze. Dużo, dużo gorsze.

Tajpej, Tajwan Środa, 14.11

^Głównodowodzący tajwańskich sił zbrojnych zajął miejsce w sali kon-™

ferencyjnej sztabu naczelnego w budynku Ministerstwa Obrony. Towarzyszyli mu dowódcy poszczególnych rodzajów broni. Nie licząc krótkich przerw na odpoczynek, sześciu ludzi spędzało kolejną dobę w tym amieszczeniu.

Na dzień przed planowanym startem każdej rakiety na terenie Chin kontynentalnych, 427. Skrzydło Tajwańskich Sił Powietrznych, stacjonujące bazie lotniczej Czing Czuan Kang, wchodziło w stan podwyższonej gotowości bojowej. Chińscy nacjonałiści nie spodziewali się ataku, samoloty zostawały więc na ziemi, ale piloci siedzieli na stanowiskach, a radary zełączano na dwukanałowy tryb pracy. Oznaczało to, że nowoczesny, produkowany w Stanach Zjednoczonych system radarowy w Czing Czuan Kang sprzęgany był z radarami położonej na północy bazy lotniczej Ingtung, w której stacjonowało 439. Skrzydło Myśliwskie. Dzięki temu ojsko uzyskiwało zachodzący na siebie obraz wybrzeża kontynentu. Za-ast impulsów generowanych przez pojedynczy system otrzymywano "przerwany ciąg obrazów.

Tryb dwukanałowy nie był idealnie szczelny

151

od północy, ale dowództwo specjalnie się tym nie przejmowało. Gdyby atak miał

nastąpić z Korei Północnej, liczono na ostrzeżenie ze strony Seulu.

Zresztą dowództwo tajwańskie wcale nie spodziewało się ataku. Startów rakiet i ćwiczebnych pocisków balistycznych z terenu Chińskiej Republiki Ludowej nie traktowano jako realnego zagrożenia, raczej jako okazję do przeprowadzenia ćwiczeń. W ten sposób tajwańskie siły zbrojne mogły przed swymi przeciwnikami z drugiej strony cieśniny popisać się czujnością.

A także gotowością. Dwanaście godzin po uaktywnieniu przeszukiwania radarowego z rozkazu dowództwa tajwańskiej marynarki wojennej z każdej z czterech głównych baz morskich w Kenting, Suao, Makung i Keelung wyszedł w morze jeden krążownik. Dwa niedawno obsadzone okręty podwodne o napędzie motorowo-elektrycznym miały wkrótce wyruszyć z nowej górskiej twierdzy w Hengczung na południowym wybrzeżu. Sześć godzin później tajwański korpus piechoty morskiej przygotowuje się do wyruszenia drogą morską i powietrzną z bazy w Tsoying. Oficjalnie ich zadaniem miała być obrona tajwańskich wód terytorialnych, ale każdy żołnierz wiedział, że w wypadku prawdziwego kryzysu celem ich ataku może być wszystko, od straży przedniej floty wojennej ChRL, poprzez porty na wybrzeżu, po największe ośrodki przemysłowe.

W fazie wstępnej, na wypadek konieczności obrony własnego terytorium w gotowości bojowej stawiano sześć jednostek pływających i trzy tysiące ludzi. Po rozpoznaniu faktycznego zagrożenia ze strony Chińskiej Republiki Ludowej dowództwo miało ogłosić przejście z fazy wczesnego

ostrzegania i rozpoznania do fazy zaczepnej wojny elektronicznej. Składało się na nią zmasowane blokowanie kontynentalnych systemów łączności i rozpoznania. Następnie Tajwan miał

zaangażować swoje siły w proces przeciwdziałania strategicznej blokadzie wyspy w celu zapewnienia drożności szlaków wodnych i korytarzy powietrznych.

Następowało uruchomienie systemów antyrakietowych, by przechwytywać wszelkie pociski wystrzelone z wyrzutni na kontynencie. Trzonem obrony przeciwlotniczej było sto pięćdziesiąt myśliwców F-16. Wyprodukowane w Stanach Zjednoczonych maszyny były szybsze i lepiej uzbrojone od sześćdziesięciu francuskich samolotów Mirage 2000-5, stanowiących główną siłę uderzeniową lotnictwa Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin.

Tak miała wyglądać wstępna odpowiedź Tajwanu na agresję z zewnątrz. W następnej kolejności przewidziana była w pełni zsynchronizowana, błyskawiczna reakcja na każdy atak czy nawet zagrożenie atakiem współdziałających ze sobą formacji lądowych, powietrznych i morskich. Nikt na Taj-152

wanie nie wątpił, że każde wstępne natarcie ze strony ChRL może zostać powstrzymane. Cała strategia obronna opierała się na zdecydowanym odrzuceniu pierwszego uderzenia i powstrzymaniu drugiej fali. Oczywiście było, że jeśli walki potrwaładłużej, a Stany Zjednoczone nie pospieszają interwencją, wojska Chińskiej Republiki Ludowej po prostu zادةczą obrońców.

Nikt jednak nie spodziewał się, aby doszło do czegoś takiego. Wojna nie przyniosłaby korzyści żadnej ze stron. Tajwan i ChRL prowadziły ożywione, dwustronne kontakty ekonomiczne. Nie chodziło wcale o działalność czarnorynkową, ale o legalne inwestycje i wzrost gospodarczy. Odpowiednie wskaźniki ekonomiczne rosły w postępie geometrycznym. Jedyną siłą sprzeciwiającą się takiemu rozwojowi wypadków byli starzy komuniści i twardogłowi wojskowi, tracący wpływ na korzyść młodych przedsiębiorców. Paradoksalnie, ci młodzi ludzie stanowili produkt skutecznej polityki prowadzonej przez komunistów: stosowanej przez całe dziesięciolecia zasady jedna rodzina - jedno dziecko. Planowanie rodziny pozwoliło uniknąć przewidywanych trzystu milionów narodzin nowych obywateli, co obciążałoby infrastrukturę dodatkowymi kosztami i wyłączyło matki z uczestnictwa w procesie produkcji. W ten sposób powstało pokolenie rozpieszczonych Chińczyków, reprezentujących postawy roszczeniowe. Młodzi pragnęli dokładnie tego samego, co ich rówieśnicy na Tajwanie: markowych ciuchów, elektronicznych zabawek i wyśmienitych samochodów. Ani komunizm, ani wojskowy dryl nie były w stanie im tego zapewnić.

Mimo to głównodowodzący sił tajwańskich wraz ze swym sztabem realizował

dokładnie wcześniej nakreślony plan obronny. Mogło się przecież zdarzyć, że ktoś w Pekinie uzna, iż przyszłość będzie lepiej wyglądała w czerwieni, zamiast w kolorach srebra i złota. Rozum i żądza zysku były silną motywacją, podobnie jak próżność i nawyk. To połączenie mogło mieć katastrofalne skutki, zwłaszcza gdy zagrożona zostanie polityczna lub ideowa sprawa, dla której ktoś poświęcił całe życie.



Bycie gościem w Chinach przypominało przygotowywanie sufletu. Jeśli się otworzyło drzwi w nieodpowiednim momencie, rezultat mógł być oplakany.

153

W odróżnieniu od Waszyngtonu, w Chinach spóźnianie się na przyjęcia nie należy do dobrego tonu. Nie dość, że takie zachowanie poczytywane jest za przejaw wyjątkowo złych manier, to spóźniałskich po prostu się ignoruje. Chińczycy świetnie potrafią odwracać się lub patrzeć niewidzącym wzrokiem przez tych, którzy popadli w niełaszkę.

Zbyt wczesne przychodzenie także uznawane jest za nadużycie gościnności. W

efekcie w drzwiach wejściowych przed każdym przyjęciem tworzy się potworny tłok.

Płyną stąd jednak same korzyści. Ludzie spotykają się i nawiązują rozmowy z innymi, stojąc pod długim baldachimem prowadzącym z ulicy. Taki baldachim ustawia się tylko w przypadku przyjęcia, jako ukłon w stronę gości, którzy dzięki temu nie muszą czuć się, jakby czekali na ulicy, razem z pijakami i przechodniami. Inaczej byłby to przejaw złych manier.

Hood porozmawiał sobie w kolejce z dwojgiem ludzi, których nie znał. Zauważył też pewnego osobnika, obywatela Chin, którego pamiętał jako pracownika pekińskiej redakcji „Washington Post”. Nie miał ochoty z nim rozmawiać. Facet nie poznał go, a Hood był zadowolony z takiego obrotu sprawy. Dobry dziennikarz, zapytawszy o przyczynę jego obecności na przyjęciu, nie poprzestałby na prostej odpowiedzi w stylu „przypadkowo byłem w Pekinie i pan ambasador mnie zaprosił”.

Wykręciwszy się plecami do reportera, Hood stanął twarzą w twarz z ambasadorem Brazylii i jego małżonką. Oboje dobiegali sześćdziesiątki. Kobieta nosiła mały, zaręczynowy pierścionek z brylantem, co świadczyło o tym, że to ona jest prawdziwą panią ambasador. Jej mąż, będący niegdyś architektem, podziwiał huabiao, marmurowy filar zdobiony płaskorzeźbami wijących się smoków i złowieszczych chmur. Opowiadał, że pochodzenie huabiao wiąże się z legendarnymi królami o imionach Jao i Szun, którzy władali cztery tysiące lat temu, i że pierwotnie kolumny wykonane były z drewna i służyły jako słupy graniczne.

Jego żona uśmiechała się łagodnie. Była historykiem, profesorem Ponti-ficia Universidade Católica de Rio de Janeiro. Przystojna siwowłosa kobieta wzięła urlop naukowy, by towarzyszyć mężowi podczas jego kadencji.

- Kolumny biao to coś zupełnie innego - powiedziała, zwracając się do Hooda. -

Rozwinęły się z pali zwanych biao, które wykorzystywano podczas budowy domów dużo później, bo około 700 roku przed naszą erą biao wkopywano w ziemię, aby wyznaczyć pion i wytyczyć obrys budowli. Kiedy zaczęto stawiać większe domy, zastosowano kamienne biao. Od 400 roku przed naszą erą stały się one integralną częścią budynku.

i-Nasz pobyt w Chinach wykorzystujemy do gromadzenia informacji, jtby ustalić, które z nas ma rację - wyjaśnił ambasador, obdarzając żonę 'uśmiechem, po czym dodał rzeczowo: - Bez względu na to, które wygra, a które przegra, nauka na tym zyska.

Hood się uśmiechnął. Był coś uroczego w ich rywalizacji. Dojrzała para ' znalazła sobie zajęcie, pozwalające im być razem, bez utraty indywidualności. Zazdrościł im tego.

Po dziesięciu minutach przeszli przez drzwi i znaleźli się w sali balowej. Żołnierze w czarnych, wyjściowych mundurach chińskiej armii sprawdzili ich nazwiska na liście gości. Hood oraz większość gości nosili stroje wieczorowe, Chińczycy nie próbowali ani przywoływać dawnej historii, ani hołdować zachodniemu stylowi ubierania się.

Zademonstrowali przywiązanie do tradycyjnej stylistyki czerwonych Chin.

Miejscowi dostojnicy nosili smokingi z karczkami przypominającymi wysokie kołnierzyki kurtek mundurowych z czasów Mao.

Amerykański ambasador rozpracowywał już martini, rozmawiając z premierem za pośrednictwem tłumaczki. Hood był na niego zły. Nie dlatego że Hasen rozmawiał z Le Kwan Po, ale dlatego że nie musiał czekać w kolejce. Złość przeszła mu jednak w mgnieniu oka, kiedy ambasador dostrzegł go i przywołał gestem dłoni. Jednocześnie przeprosił premiera i wyszedł Hoodowi naprzeciw. Hood przyjął to z zadowoleniem.

Nie wiedział, jako kto ma występować w Chinach i jaką podawać oficjalną przyczynę swego przyjazdu. Miał to omówić z ambasadorem przed przyjęciem. Wiedział tylko, że ma status obserwatora przydzielonego do ambasady.

Salę wypełniał głośny szum rozmów, prowadzonych częściowo po angielsku, ale z przewagą gdaczących odgłosów języka chińskiego. Ambasador położył dłoń na ramieniu Hooda i pokierował go naprzód.

-

Przepraszam, że nie zdołałem spotkać się z panem wcześniej - powiedział.

Bardzo wysoki, okrągły na twarzy ambasador mówił cicho, jego głos ; ledwie przebijał się przez panującą wrzawę. - Premier miał zamiar z kimś się spotkać, musimy się więc pospieszyć.

-

Zapewne z kimś o wiele ważniejszym niż specjalny wysłannik prezydenta Stanów Zjednoczonych - zauważył Hood, nie kryjąc sarkazmu.

-

Z jego punktu widzenia tak - stwierdził Hasen. - Chodzi o pańskiego przyjaciela, generała Mike'a Rodgersa.

Hood nagle spowaźniał. Nie zdążył jeszcze omówić z Rodgersem koordynacji działań na tym trudnym terenie, bo wciąż nie wiedział, co trzeba będzie zrobić.

Naturalnie to nie stanowiło przeszkody dla Mike'a.

155

Nie mógł się nad tym dłużej zastanawiać, bo znalazł się tuż obok premiera. Uwagę Le Kwan Po odwrócił człowiek rozmawiający przez własnego tłumacza. Z brzmienia rozmowy wynikało, że to ambasador Rosji. Wyglądał jakoś znajomo i Hood zaczął

się zastanawiać, czy się przypadkiem kiedyś nie spotkali. Istniała taka możliwość.

Był kiedyś w Sankt Petersburgu i blisko współpracował ze swoim odpowiednikiem z rosyjskiego Centrum Szybkiego Reagowania, Siergiejem Orłowem.

Moim byłym odpowiednikiem, poprawił się w myślach. Orłow nadal kierował swoją organizacją.

Hasen wykorzystał moment, aby przedstawić Hooda tłumaczce, która przed chwilą pomagała mu w rozmowie.

-

Pozwoli pan, że przedstawię, pani Anita Le, córka pana premiera - powiedział.

- Pani Le, oto pan Hood, Paul Hood. Jest doradcą prezydenta, podróżującym po świecie. Sprawdź, czy prawidłowo realizowane są założenia polityki naszych władz.

-

Prezydent powinien mieć więcej zaufania do swych ambasadorów -

powiedziała Anita do nich obu.

-

Niektórzy z nas padli ofiarą odmiany syndromu sztokholmskiego - zauważył ambasador.

-

Zaczynacie wczuwać się w położenie swoich gospodarzy - stwierdziła Anita.

-

Skoro już mówimy o gospodarzach, muszę się zorientować, czy uda mi się ponownie przechwycić pana premiera - oznajmił Hasen. - Państwo wybaczą...

-

Naturalnie - odparła Anita.

Hasen odszedł, a Hood spytał towarzyszkę, czy ma ochotę czegoś się napić.

Powiedziała, że tak, i skinęła na kelnera, młodego Chińczyka w białej marynarce.

Poprosiła o szampana. Hood zamówił colę.

-

Nie pije pan? - spytała.

-

Rzadko - odparł Hood. - Chcę pamiętać to, co usłyszałem. I co ważniejsze, to co powiedziałem.

-

Trzeba zachowywać umiar, panie Hood.

-

Amerykanie nie są w tym najlepsi.

-

Wiem. Kiedy chodziłam do szkoły, czytałam powieści Hemingwaya i Fitzgeralda. Ich bohaterowie zawsze pili za dużo.

-

Obawiam się, że autorzy również.

Uśmiechnęła się. Anita Le była uderzająco piękną kobietą. Biała, zdobiona cekinami suknia podkreślała jej smukłą, wysportowaną figurę. Proste, 156

czarne włosy z lekkim rudym pobłyskiem otaczały okrągłą, otwartą twarz, w której jaśniały duże oczy. Mogła być tuż przed lub tuż po czterdziestce. Emanowała opanowaniem i pewnością siebie, których nabyła, pokonując przeciwności życia.

Hood zerknął na Hasena. Ambasador wciąż usiłował nawiązać rozmowę z premierem, wokół którego

zbierał się rosnący tłum.

-

Czy to pańska pierwsza wizyta w Pekinie?

-

Tak - przyznał Hood. - Czy pani pracuje na pełnym etacie jako tłumacz?

-

Nie, jestem wykładowcą literatury na Uniwersytecie Pekińskim. Na podstawie powieści można wiele powiedzieć o obyczajach danej kultury.

-

Zajmuje się pani literaturą współczesną czy też raczej klasykami?

-

Staram się być na bieżąco, o ile czas mi pozwala. Muszę jednak przyznać, że nie jestem szczególnie zainteresowana tym, co obecnie powstaje w pańskiej ojczyźnie. W większości przypadków chodzi o płytkie spełnienie oczekiwań kobiet i mężczyzn. Zamiast jednoczyć, to raczej dzieli kulturę.

-

Ma pani na myśli romanse dla pań i powieści szpiegowskie dla panów.

-

Tak.

-

Dla mnie to popularyzacja pewnych wzorców - stwierdził Hood. - Stwarza się wyidealizowanych herosów i heroiny, abyśmy mieli motywację do bycia lepszymi.

-

To zwykłe komiksy dla dorosłych - rzuciła lekceważąco Anita.

-

A cóż w tym złego? - zdziwił się Hood.

-

Literatura popularna większy nacisk kładzie na cechy zewnętrzne, takie jak siła i piękno, a nie na doskonalenie duchowe - odparła. - Był taki czas w XIX i pierwszej połowie XX stulecia, kiedy amerykańscy pisarze: Herman Melville, John Steinbeck i Upton Sinclair zamiast fantazjować, zajmowali się problemami społecznymi i psychologicznymi.

: - Ależ przekazywali tę prawdę poprzez fantastykę - powiedział Hood.

Przecież Moby Dick to opowieść fantastyczna. S - Tylko jeśli chodzi o wieloryba -

zastrzegła. - Zresztą nie należy tego -traktować dosłownie. Biały wieloryb to ucieleśnienie destrukcyjnych żądz kapitana Ahaba.

-

Współczesna literatura amerykańska w podobny sposób przedstawia Togie siły.

5' - Nieprawda. - Pokręciła zdecydowanie głową. - To Chińczycy nieod-'ennie portretowani są jako wrogowie, podobnie jak Rosjanie. Bardzo 157

charakterystyczne są aluzje zawarte we wszystkich powieściach szpiegowskich, przygodach Jamesa Bonda i innych historiach, które przekłamują rzeczywistość na użytek propagandy.

-

James Bond jest Anglikiem - zauważył Hood.

-

Nieistotny szczegół. Cały czas mamy do czynienia z mentalnością Zachodu.

-

Do pewnego stopnia - przyznał Hood. - Zna pani powieści o Jamesie Bondzie?

-

Tylko Doktora No - odparła. - Widziałam też kilka filmów. W sumie to komedie. Doktor No to łajdak urodzony w Pekinie, członek kilku gangów związanych z triadami, człowiek o prześwitującej, żółtej skórze, którego ochroniarz jest chińskim Murzynem. Niszczy amerykańskie pociski rakietowe promieniem lasera, udając zarazem eksportera guana. Panie Hood, czy zna pan takiego Chińczyka?

-

Nie - musiał przyznać Hood.

-

Albo olśniewająco błyskotliwego szpiega, podobnego do Jamesa Bonda, który przedstawia się własnym nazwiskiem każdemu, kogo spotka w swych podróżach po świecie, w nieskazitelnie skrojonym smokingu - kpiła Anita, odruchowo wskazując na ubiór Hooda. - Prawdziwy szpieg powinien być bardziej dyskretny.

-

Tego właśnie należałoby się spodziewać - przytaknął niechętnie Hood.

Spostrzegł, że Hasen wraz z premierem idą w ich kierunku. Za chwilę będzie miał

okazję wypróbować swoje własne, subtelne metody zdobywania informacji.

Nie spodziewał się, by zdołali jeszcze kiedyś podyskutować o literaturze i bohaterach literackich. Kobieta doskonale mówiła po angielsku i chociaż wykazywała charakterystyczną dla naukowców, agresywną pewność siebie, potrafiła też słuchać.

Zdradzała wyraźne zainteresowanie.

Zachowanie Anity uległo diametralnej zmianie, gdy podszedł do nich ambasador z premierem. Stała między mężczyznami, jednocześnie chowając się nieco za ojca.

Opuściła podniesiony dotąd dumnie podbródek, spuściła skromnie wzrok. Nie był to wyraz uległości, ale głębokiego szacunku. Hood zastanawiał się, czy pisarze, których tak bardzo nie lubi Anita, potrafiliby opisać dynamikę uczuć między ojcem a córką, premierem a tłumaczką.

Na pewno nie ci, którzy zrobili z Le Kwan Po zbrodniarza w stylu doktora Fu Manchu, pomyślał.

Po chwili ścisnął dłoń premiera.

158

-

Panie Hood, pan Hasen poinformował mnie, że pragnie pan ze mną porozmawiać - powiedziała Anita, tłumacząc słowa ojca.

-

Istotnie, panie premierze - potwierdził Hood. - Czy moglibyśmy porozmawiać przez chwilę w jakimś dyskretnym miejscu?

-

Możemy rozmawiać tutaj - powiedział premier. - Nikt nas nie usłyszy, a większość obecnych nie zna angielskiego. Pan będzie mówił, a ja będę słuchał, i to zupełnie bezpieczna rozmowa.

-

Dobrze - zgodził się Hood.

-

Jedno pytanie, panie Hood. Pańskie nazwisko nie jest mi obce. Czy może mi pan podpowiedzieć dlaczego? - spytał premier.

-

Przez pewien czas pracowałem dla rządu.

-

W jakim charakterze?

-

Ostatnio jako dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania - odparł Hood.

-

Ależ oczywiście. Słynne Centrum Szybkiego Reagowania. Pańscy szpiedzy ujawniają światowe intrygi i nie dopuszczają do wybuchu wojen.

Po przetłumaczeniu tego zdania Anita spojrzała niepewnie na Hooda. Poczł, że się czerwieni.

-

Z pewnością zna pan generała Michaela Rodgersa - powiedział Le Kwan Po.

W głosie Anity pojawił się ton, którego przedtem nie słyszał. Najwyraźniej uznała, że Hood specjalnie ją podpuścił i zrobił z niej idiotkę.

-

Tak jest, panie premierze. Współpracowaliśmy ze sobą przez wiele lat. , - Czy przybył pan tutaj na jego prośbę?

-

Tylko częściowo, panie premierze - przyznał Hood. - Prezydent także miał



powody, by mnie tu przysłać.

-

Z ogromną chęcią poznałbym te powody - powiedział Le Kwan Po.

-

Prezydent Debenport ocenia nasz rząd o wiele bardziej surowo niż jego poprzednicy.

-

W jakim sensie, panie premierze?

i - W kategoriach czarno-białych - odrzekł Le Kwan Po.

-

Nie mogę się wypowiadać w imieniu prezydenta - zastrzegł Hood

-

ale mogę zapewnić, że prywatnie darzy pana premiera najgłębszym szacunkiem, podobnie jak ja.

-

Dziękuję - odparł premier, spoglądając na zegarek. - Toasty rozpoznają się nie prędzej niż za około czterdzieści minut. Może jednak się przejdziemy?

j. - Jak najbardziej.

159

I?

Le Kwan Po ruszył przez ciżbę gości w głąb sali balowej. Jego zwolennicy gięli się w ukłonach lub chwyтали go za ręce. Le uśmiechał się łagodnie i cierpliwie, nie zmieniając obranego kierunku. To niezwykła, polityczna umiejętność - okazywać uwagę, a zarazem nie zatrzymywać się ani na chwilę, poświęcać chwilę swego czasu bez zwalniania kroku. Le potrafił tego dokonać, a nawet robił jeszcze więcej - nikogo nie faworyzował. Wszystkich obdarzał tym samym uśmiechem, wszystkim poświęcał

taką samą chwilę uwagi. Debenport, podobnie jak James Bond, mogli widzieć Chiny w czerni, ale Le Kwan Po był niewątpliwie szary.

A jego córka była niewątpliwie zła jak osa. Szła za ojcem, a więc także za Hoodem, który chwycił jej kąśliwe spojrzenia za każdym razem, kiedy kogoś omijał.

Dotarli do drzwi, które otworzył żołnierz w czarnym, wyjściowym mundurze. Le wyciągnął rękę,

zachęcając ambasadora i Hooda do wejścia. Potem wraz z córką podążył za nimi.

Hood miał zamiar porozmawiać później z Anitą i wyjaśnić jej, że wcale nie myli się co do powieści szpiegowskich, chociaż gdyby oddzielić treść od literackiej konwencji, nie wszystko okazałoby się z gruntu fałszywe.

Może kiedyś uda mi się zaprosić ją na wycieczkę połączoną z oglądaniem wielorybów, pomyślał Hood. Może to ustrzeże go od powiększenia sporej kolekcji kobiet, które udało mu się do siebie zrazić.

Teraz jednak miał ważniejsze sprawy na głowie. W tym miejscu życie wyraźnie odbiegało od literackiej fikcji. Mimo smokingu i imponującej biografii Hood nie wierzył, aby szpieg mógł jednocześnie radzić sobie z kryzysem i z kobietą.

jf 1 IM

## ROZDZIAŁ 33

Pekin, Chiny Środa, 20.22

Le Kwan Po zdziwił się, że tak wielu Amerykanów wie o jego śledz-Jtwie. Zdanie:

„Powiedzieć coś jednemu Amerykaninowi to tak, jakby powiedzieć to im wszystkim”

wyznaczało różnicę kulturową między obu nacjami. Chińczycy nie są gadułami, przeciwnie, uwielbiają gromadzić informacje. Potrafią strzec ich jak słodkiej wody na środku oceanu. Podziela się nimi tylko wtedy, gdy przyniesie im to wymierne korzyści albo okaże się konieczne do zachowania twarzy.

160

Za to Amerykanie rozmawiają z obcokrajowcami tak, jakby byli oni ich najlepszymi przyjaciółmi. Dyplomaci zachowują się nieco rozsądniej, w zależności od doświadczenia. Większość urzędników wysyłana do Pekinu, nie wyłączając Hasena, miała spore doświadczenie w pełnieniu odpowiedzialnych funkcji w administracji. Le spotykał już jednak ambasadorów będących wydawcami gazet, aktorami, a nawet zawodowymi torreadorami, zanim wysłano ich z misją reprezentowania swoich narodów. Tacy ludzie uwielbiali mówić, za to niezwykle rzadko zdarzało im się słuchać.

Wszystko wskazywało na to, że Paul Hood jest inny. Wszyscy zasiedli w stylowych, stuletnich fotelach w poczekalni. Anita zajęła miejsce między ojcem a Hoodem.

Kelner przyniósł napój zamówiony przez Amerykanina. Hood z przyjemnością ugasił

pragnienie. Z jego gestów, przyjemnej powierzchowności, kilku słów, które dotąd wypowiedział, a

nawet z tego, jak patrzył na Anitę, Le wyciągnął wniosek, że nie jest on ani śmiertelnie poważny, ani pretensjonalny.

Jeśli istniał jakiś stereotyp agresywnego, męskiego bohatera amerykańskiego filmu akcji, to przypominał go generał Rodgers. Jeżeli zaś istniał wzór przeciętnego Amerykanina, to pasował do niego jak ulał skromny Paul Hood. Była jakaś uczciwość, choć zarazem stanowczość w jego wzroku. Bez wątplenia sprawiał

wrażenie człowieka o wiele bardziej otwartego i bezpośredniego niż generał Rodgers.

-

Proszę zdradzić panu premierowi powód swego przyjazdu - ponaglił | go ambasador Hasen.

Anita przetłumaczyła jego słowa. Hood pochylił się do przodu i złożył . dłonie pod brodą. Wyglądał tak, jakby się modlił.

-

Panie premierze, przyjechałem z polecenia prezydenta. Prezydent prosił mnie, abym zaoferował panu wszelką pomoc w doprowadzeniu do udanego startu waszego nowego satelity telekomunikacyjnego.

} - Czy prezydent wie o czymś, co wskazywałoby na istnienie jakiegokolwiek zagrożenia podczas startu? - spytał Le Kwan Po.

-

Zgodnie z naszymi informacjami, to pan, panie premierze, uważa, że takie niebezpieczeństwo istnieje.

1 - Generał Rodgers też wyraził takie obawy, ale nie poparł ich żadnymi powodami -

stwierdził Le. - A co pan może mi na ten temat powiedzieć? ? - Przypuszczamy, że eksplozje w Stanach Zjednoczonych, RPA i na Taj-, anie mogą być ze sobą powiązane. Z całym szacunkiem, panie premie-ale uważamy, że sprawcy mogą pochodzić z terytorium Chin.

- Wojna orłów

161

-

Czy ta informacja jest nie do końca pewna, czy też stara się pan być uprzejmy?

- spytał premier.

-

Jestem gościem w pańskim kraju, panie premierze. Nie przybyłem tu, aby wysuwać oskarżenia pod adresem konkretnych osobników, lecz z propozycją pomocy.

-

Jaką formę miałyby ona przyjąć? - spytał Le.

-

Chciałbym uczestniczyć w starcie rakiety jako przedstawiciel prezydenta w tym historycznym dla Chin momencie - powiedział Hood.

Le się roześmiał.

-

Wystrzeliliśmy już przedtem wiele innych satelitów telekomunikacyjnych.

-

Ale żaden z dotychczasowych nie został zbudowany z pomocą amerykańskiej firmy - zauważył Hood.

Ambasador włączył się do rozmowy. Jego głos zabrzmiał bardzo szczerze.

-

Panie premierze, jak już wcześniej wspominałem, prezydent Debenport chce doprowadzić do głębszego odprężenia w stosunkach z Pekinem.

-

Musiał pan to mówić wcześniej, panie ambasadorze. Całkiem niedawno pański rząd sprzedał broń dla rebeliantów po drugiej stronie cieśniny.

-

W akcie regulującym stosunki z Tajwanem dopuszcza się wyłącznie obronne zastosowanie... - zaczął Hasen.

-

Panowie, nie sądzę, abyśmy teraz zdołali rozwiązać wszystkie problemy regionu - przerwał mu Hood. - Mam nadzieję, że uda się nam doprowadzić do podniesienia poziomu wzajemnego zaufania, przynajmniej w zakresie startu rakiety.

Panie premierze, wie pan, czym się dotąd zajmowałem. Chciałbym dostąpić zaszczytu zajęcia miejsca u pańskiego boku.

Premier w milczeniu rozważał propozycję Hooda. Z uwagą przyglądał się Amerykaninowi.

-

Generał Rodgers złożył mi podobną propozycję - powiedział po dłuższej chwili. - Z tym że wolał „pilnować moich tyłów”.

-

To takie popularne powiedzenie.

-

Doskonale rozumiem - zapewnił Le. - Jednak gdyby podczas startu mieli mnie pilnować Amerykanie, świadczyłoby to o mojej słabości i braku zaufania do własnych służb ochrony. Powiedziałem generałowi Rodgersowi, że rozważę jego propozycję. W imię tego nowego odprężenia mam zamiar zezwolić jednemu z panów na udział w tym wydarzeniu. Proszę zrozumieć powagę sytuacji i ustalić między sobą, kto będzie owym wybranym.

162

-

Panie premierze, nie będzie w tym nic dziwnego, jeżeli podczas startu będzie panu towarzyszył przedstawiciel wykonawcy oraz wysłannik rządu amerykańskiego -

wtrącił ambasador. - Będzie to wskazówka dla całego świata, że wchodzimy w nowy etap wzajemnych stosunków między Chinami a Stanami Zjednoczonymi.

-

Wielu ministrów mojego rządu uzna to w najlepszym wypadku za niedopuszczalną lekkomyślność - powiedział Le - zwłaszcza że wcześniej obaj przedstawiciele przez całe lata pracowali dla amerykańskiej agencji wywiadowczej.

Muszę wracać do gości. - Premier wstał i zwrócił się do Hooda. - Czekam do rana na odpowiedź.

Hood także podniósł się z miejsca.

-

Otrzyma ją pan, zapewniam. Dziękuję bardzo, panie premierze.

Le opuścił poczekalnię, za nim wyszła córka i obaj Amerykanie. Ruszyli wolnym krokiem w kierunku sali balowej.

-

Co sądzisz o tym człowieku? - zapytał Le Anitę.

-

Nic zamknął nadzwyczajnego - padła odpowiedź.

-

Otóż to. Tacy są właśnie najlepsi szpiedzy - stwierdził Le. - Niczym się nie wyróżniają.

-

Sądzisz, że on nas szpieguje?

-

Prawie na pewno - odparł premier. - Prezydent Ameryki ma u nas ambasadora.

Po co przysłał następnego? Człowiek o takich kwalifikacjach zawsze jest wyczulony na nowe twarze, nowe kierunki, nowe technologie. Mimo to może najzupełniej szczerze chcieć nam pomóc w zabezpieczeniu startu satelity.

-

Z jakiego powodu?

-

Jeśli cokolwiek się wydarzy, będzie to mieć konsekwencje dla całego regionu -

wyjaśnił premier. - Prawdopodobnie jego rząd nie chce mieszać się w cudze konflikty. Mam nadzieję, że za chwilę dowiemy się czegoś więcej.

-

W jaki sposób?

-

Sama go o to zapytasz - uśmiechnął się Le. f - Ja?-zdziwiła się.

? Premier kiwnął twierdząco głową.

■ - Podczas naszej rozmowy pan Hood najwyraźniej nie zwracał uwagi na swojego ambasadora. Natomiast bacznie przyglądał się twoim reakcjom.

-

Tłumaczyłam, więc...

-

Tłumacze są zwykle niewidzialni, dobrze o tym wiesz - zaprzeczył Le.

163

-

Po prostu starał się być uprzejmy.

-

Ambasador patrzył na mnie, a ja na pana Hooda. Musiałaś zrobić na nim wrażenie. Proszę cię, abyś dowiedziała się, dlaczego start tej rakiety jest dla niego taki ważny. Może ci się zwierzy.

-

Ojcze, nie jestem dyplomatą - zaprotestowała.

-

Twoja matka też nie jest dyplomatą, mimo to mam do was zaufanie, a obie dysponujecie intuicją, której mi brakuje.

Uścisnął rękę córki na znak, że uważa rozmowę za zakończoną. Weszli do sali balowej. Rozmawiali w dialekcie mandaryńskim, a teraz znaleźli się w zasięgu słuchu wielu osób. Le nie chciał, aby jego myśli stały się tematem publicznej debaty.

Anita wyglądała na nieco onieśmiałoną jego spostrzeżeniami. I bardzo dobrze.

Przyda jej się kolejne zejście na ziemię z piedestału akademickich teorii. Le nie był

do końca pewien, czy może zaufać Hoodowi. Sprawiał wrażenie miłego i szczerego, ale premier niezbyt dobrze rozumiał zainteresowanie Amerykanów tą sprawą.

Nadstawiał uszu, ale niczego nie mógł się dowiedzieć. Biały Dom nie powinien tak się przejmować interesami międzynarodowej korporacji takiej jak Unexus. A już na pewno nie tak, aby do ich doglądania kierować najlepszego człowieka od rozwiązywania kryzysów. Nie była to też sprawa dla

dyplomatów, bo w takim przypadku zajęłby się nią sam ambasador.

Chyba że nie chodzi wcale o satelitę, myślał Le. Paul Hood przyjechał, aby skontaktować się z nim bezpośrednio. Le zastanawiał się, co Amerykanie mogli wiedzieć ponad to, czego on sam się obawiał. Jak na razie jedyną ofiarą, która padła na chińskiej ziemi, była jego własna wiarygodność. Skoro nie potrafił doprowadzić do zawieszenia broni między dyrektorem Czou a generałem Tam Li, stracił zaufanie prezydenta i wpływowych członków Narodowego Zgromadzenia Ludowego. To jednak nie mogło mieć żadnego znaczenia dla Stanów Zjednoczonych. A zniszczenie satelity nie powinno dotknąć ich bezpośrednio, chyba że zaszkodzi któremuś z państw sojuszniczych w tym rejonie.

Może jednak uda się czegoś dowiedzieć.

Do premiera podeszła ambasador Australii Catherine Barnes wraz z mężem. Kątem oka Le spostrzegł Hooda, zmierzającego do wyjścia. Przeprosił na moment panią Barnes i zwrócił się do córki:

-

Anito, natychmiast podejdź do pana Hooda, zanim opuści przyjęcie - szepnął.

164

- Poradzisz sobie beze mnie? . - Pani ambasador Barnes mówi całkiem znośnie po mandaryńsku, a za chwilę rozpoczną się toasty. Idź już.

Puścił rękę Anity, która ruszyła przez ciżbę. Wyszła za Hoodem z sali balowej.

Amerikanin trzymał w dłoni telefon komórkowy, być może chciał zadzwonić do generała Rodgersa.

Le odczuwał lekki niesmak. Do pewnego stopnia wpływ na Paula Hooda może mieć fakt, że jego córka jest atrakcyjną kobietą. Jeżeli tak było w istocie, wykorzystał ją w niestosowny sposób. Ale nie to było najważniejsze. Krótkie spotkanie z Hoodem pozwoliło mu odnieść wrażenie, że ma do czynienia z nowym rodzajem szpiega.

Kimś pośrednim między generałem Rodgersem a ambasadorem Hasenem - szarą eminencją, ambasadorem bez granic.

Badanie szpiega nowego rodzaju wymagało nowego rodzaju kontrwywiadowcy. Stąd wybór Anity, wykładowcy wyższej uczelni. W świecie, gdzie pojawiły się doniesienia o amerykańskim lekarzu zabójcy, doszło do całkowitej zmiany zasad. Być może na lepsze. Le dopuszczał myśl, że Hood przyjechał w określonym celu: aby zbierać informacje w dobrej wierze i rozpocząć tworzenie strategicznego międzynarodowego porozumienia. Czy współpraca ma przetrwać tylko do startu rakiety, czy też stanie się załącznikiem nowego odprężenia, to się dopiero okaże. A jeżeli nie to było przyczyną wizyty Hooda, premier mógł spróbować go w tym celu wykorzystać. Byłoby to zupełnie normalne postępowanie, częste zarówno w polityce, jak i w życiu codziennym. Gdyby zakończyło się pomyślnie, nie miałyby znaczenia, kto przyczynił



się do sukcesu i dłaczego.

Byłby to absolutny paradoks, myślał Le, prowadząc zdawkową rozmowę z panią ambasador Barnes. Walka między dwoma chińskimi dostojnikami Ogarnie politykę światową. Człowiek, który powstrzyma dalszą eskalację, znajduje się wśród uczestników przyjęcia. Jak powiedziała Li-Li dwa dni temu?

„Chodzi o przyszłość”.

Żona Le Kwan Po była mądrzejsza i bardziej przewidująca, niż sama rzyppuszczała.

165

## ROZDZIAŁ 34

Alexandria, Wirginia Środa, 8.41

Cl enerał Carrie nie pospała sobie zbyt długo.

I Wróciła do domu, usiadła na sofie, aby przejrzeć pocztę, a następną rzeczą, jaką zarejestrowała, były delikatne gesty, którymi mąż budził ją ze snu.

-

Musiałaś być bardzo zmęczona - powiedział doktor Carrie.

Jego żona otworzyła oczy. Leżała wsparta na poręczy kanapy, ze stopami na podłodze. Mąż patrzył na nią z troską.

-

Co? - zapytała niezbyt przytomnie.

-

Powiedziałem, że musiałaś być bardzo zmęczona - powtórzył. W ręku trzymał

kopertę. - Otworzyłaś pismo z nadrukiem: „wygrała pani milion dolców!”

General Carrie patrzyła to na męża, to na kopertę. Nie przypomiwała sobie, aby ją otwierała. Nie pamiętała nawet, że tu siedziała. Spojrzała na elektroniczny zegar na nagrywarce DVD. Dochodziła dziewiąta rano. Była spóźniona.

-

Gospoia przyjdzie za dwadzieścia minut - poinformował mąż.

-

Tak. Dziękuję - odpowiedziała. Poruszyła zdrętwiałymi kończynami, próbując wstać. Mąż starał się jej pomóc. Był już ubrany, a więc musiał przedtem wziąć prysznic, a ona nawet tego nie słyszała. Poczła zapach kawy. Nie słyszała, aby ją robił.

-

Czy mogę coś zrobić dla ciebie przed wyjściem? - spytał.

-

Poproszę o herbatę. I całusa.

Pochylił się i pocałował ją w usta. Nie podziałało tak dobrze, jak kofeina, ale musiało wystarczyć na początek.

Doktor Carrie przyniósł żonie herbatę i wyszedł. Carrie wstała i upiła łyk mocnego earl greya. Czła się tak samo wyczerpana, jak po powrocie do domu. Usłyszała samochód odjeżdżający z podjazdu i delektowała się codzienną chwilą samotności.

Sprawdziła nowe wiadomości w telefonie komórkowym. Była tylko jedna, od kierowcy z Andrews, który pewnie chciał się dowiedzieć, kiedy po nią przyjechać.

Cieszyła się, że poprzedniego wieczoru ktoś na nią czekał. To wielka zaleta pracy w bazie lotniczej. Zawsze znajdzie się jakiś kierowca przydzielony do sztabu.

Zadzwoiła do niego i powiedziała, że będzie gotowa o godzinie dziewiętej trzydzieści.

166

Zdjęła mundur, wzięła szybki prysznic i poczuła się o wiele lepiej. Przyjechała gosposia. Patricia Salazar była młodą samotną matką, wychowującą dwoje dzieci.

Wykonywała swoją pracę z naturalną biegłością. Przed wielu laty Carrie doszła do wniosku, że Patricia byłaby idealnym materiałem na szpiega. Miała dostęp do wszystkich pomieszczeń, a kto podejrzewałby mówiącą po portugalsku gosposię, że jest agentką obcego wywiadu?

I o to właśnie chodziło. Carrie kazała wywiadowi wojskowemu dokładnie ją prześwietlić. Siedem lat temu Patricia wyszła za mąż za podoficera służącego w pułku łączności. Mąż porzucił ją i dzieci dla innej kobiety. Sprawdzono jej billingi telefoniczne oraz odbyte podróże. Przez kilka weekendów Patricia znajdowała się pod obserwacją. Rodzina najwyraźniej nie kontaktowała się z nią, odkąd Patricia przyjechała do Marylandu, aby zamieszkać z siostrą i szwagrem.

Carrie nie miała żadnych wyrzutów sumienia. Czysty dom i szczęśliwa gosposia były nie mniej ważne niż bezpieczeństwo narodowe. Ale ostrożność wchodziła w zakres jej obowiązków. Praktycznie nigdy nie zdarzało się, aby pani generał rozmawiała w domu o swojej pracy albo

przynosiła jakieś istotne dokumenty. Wołała jednak nie chodzić do pracy z pluskwą umieszczoną w obcasie.

Carrie wlała kolejną filiżankę herbaty do termosu i czekając na samochód, przeglądała bieżące wiadomości. Nocą nie było żadnych nowych eksplozji. To zarazem dobrze i źle. Dobrze, bo nie wzrosła liczba ofiar. Źle, bo każde nowe wydarzenie mogło być źródłem przydatnych informacji.

Kiedy podjechał samochód, Carrie wyszła z domu, zabrawszy dwie rzeczy, z którymi się nie rozstawała: laptopa i bezpieczny telefon. Po zajęciu miejsca w aucie podniosła szklaną przegrodę między siedzeniami i włączyła telefon. Wprowadziła hasło

„neurodoc”, po czym nacisnęła jedynekę i gwiazdkę. Pod tym kodem miała zaprogramowany telefon człowieka, ^ którym rozmawiała niemal codziennie i który pomógł jej zajść tak wysoko w wojskowej hierarchii, a teraz umożliwił jej awans na szefa Centrum ybkiego Reagowania. Dzwoniła do generała Raleigha Carew, przewod-czącego Kolegium Szefów Połączonych Sztabów.

-

Nie dzwoniła pani od objęcia nowego stanowiska - powiedział Ca-w.

Musiałam rozejrzeć się w sytuacji.

-

I jakie wrażenie zrobiło na pani Centrum? W większości ludzie są sumienni, oddani swej pracy i prawie do cna

saleni - poinformowała pani generał.

167

-

Wypaleni? Jak to?

-

Pracują po godzinach, czasem zabierają robotę do domu, a kiedy nie mają na tapecie żadnego kryzysu, usilnie szukają sobie nowego.

-

Kto to powiedział?

-

Liz Gordon, jest tam psychologiem. To właśnie ich wypala. Nie mają chwili wytchnienia.

-

Co tam się dzieje? Czyżby syndrom Napoleona?

-

Nie sądzę, aby starali się konkurować z kolegami z wywiadu - stwierdziła Carrie. - W każdym razie nie to jest głównym motorem ich działania. To raczej coś w rodzaju mentalności bunkra. Uważają, że stanowią najważniejszą linię obrony, co zresztą jest prawdą. Zdaniem Liz Paul Hood wyrobił w nich jednak poczucie, że są jedyną linią obrony. W dodatku jego własną.

-

Obrony przed czym?

-

Przed pospolitością - odpowiedziała. - Liz uważa, że Paul wykorzystywał

Centrum Szybkiego Reagowania do naprawiania świata tak, jakby to było jego życie osobiste, którego nie zdołał ocalić przed ruiną.

-

Generale Carrie - westchnął Carew. - Jak długo jeszcze będzie mnie pani częstowała tym psychologicznym bełkotem?

-

Panie przewodniczący, to pan pierwszy wspomniał o syndromie Napoleona.

Carew milczał przez chwilę.

-

Celne trafienie - przyznał. - Proszę mówić dalej.

-

Zdaniem Liz największym problemem jest sposób, w jaki Hood wciągnął

pracowników w proces zapobiegania kryzysowi na wszystkich szczeblach. Planiści wojskowi działają wspólnie z działem technicznym, rozpoznawanie z biurem łączności z politykami, prawnicy z psychologami, wszyscy nawzajem włączają sobie w kompetencje. Widziałam to na własne oczy dziś o drugiej nad ranem. Rozmawiałam z Herbertem i McCaskeyem, a oni roztrząsali wszystko, czego się

dowiedzieli tego dnia, zamiast aktywnie zareagować. Tymczasem podstawową zasadą działania zespołu jest podejmowanie ryzyka, a nie szukanie dogodnej okazji.

-

Podstawą wszystkiego jest rozum, a nie zmysły - zauważył Carew.

-

Właśnie - przytaknęła Carrie. - Jednak my skłaniamy naszych ludzi, aby badali sprawy od środka, a nie silili się na wnioski, niemające żadnych podstaw. Centrum miało własny zespół agentów terenowych pod dowództwem Mike'a Rodgersa, ale zespół ten nigdy nie działał. Liz twierdzi, że nie godził się na to Hood. Odkryłam, że to Hood był powodem, dla którego

168

Liz podsunęła ukradkiem ówczesnemu senatorowi Debenportowi pomysł zwolnienia Mike'a Rodgersa w ramach redukcji etatów. Zastępca Hooda zdradzał oznaki kompletnego wyczerpania.

-

Bo jest żołnierzem, a nie urzędasem. Brał zawsze na siebie wszelkie zmasowane ataki na Centrum.

-

Liz uważa, że Hood nie zdawał sobie sprawy z tego, jak wielką krzywdę wyrządza generałowi i Rodgersowi i reszcie załogi - ciągnęła Carrie. - A gdyby nawet przyszło mu to do głowy, i tak zwaliłby wszystko na zbyt małą liczbę etatów.

-

Dlaczego nie zareagowała Komisja Kontroli Wywiadu?

-

Kongresowa Komisja Kontroli Wywiadu nie wtrącała się w to, jak Hood kieruje Centrum dopóty, dopóki jego robota przynosiła wyniki - wyjaśniła Carrie. - A wyniki wciąż były doskonałe. Komisja zdawała sobie sprawę, że dzięki Hoodowi może przeprowadzić cięcia budżetowe. Debenport wiedział, że Hood i tak utrzyma firmę w ruchu. Jednego tylko nie rozumiem. Skoro był tak ważny dla funkcjonowania Centrum, dlaczego prezydent Debenport zdecydował się zdjąć go ze stanowiska?

-

Hood może dla Białego Domu robić to samo, czym zajmował się w Centrum, jednocząc wszystkie organizacje wywiadowcze pod przewodnictwem prezydenta -

powiedział Carew. - Debenport wie, że mamy zamiar stworzyć większą strukturę z udziałem wywiadu armii. Hood to jego kontrposunięcie.

-

I jego szpieg.

-

Co pani ma na myśli? - spytał Carew.

-

Hood wykorzystuje personel Centrum w sprawie związanej z sytuacją w Chinach.

-

To zrozumiałe. Prezydent musiał zdawać sobie sprawę, że Hood tak postąpi - stwierdził Carew. - Wykorzysta dawne układy, aby znaleźć dojście do źródeł informacji i podważyć lojalność Centrum.

-

Liz obawia się, że związane z tym zagrożenia mogą mieć o wiele gorsze konsekwencje dla Centrum - powiedziała Carrie. - Jej zdaniem Hood, poprzez swoje metody dowodzenia, nie tylko doprowadził do wytworzenia więzi zawodowych między pracownikami, ale także połączył ich emocjonalnie - prawie wszyscy zgodnie i otwarcie go nie znosili. Rodgers, Bob Herbert, prawnik Lowell Coffey i łącznik z FBI, Darrell McCaskey co jpevien czas zgodnie manifestowali swoje niezadowolenie. A jednak Liz przypuszcza, że zamiast ulgi z powodu jego nieobecności wszyscy mają poczucie straty. Nie mają już ani znajomego dowódcy, ani osoby, na której

169

mogliby wyładować złość. Hood zaś, działając niejako z ukrycia, może sobie wybierać lepszych współpracowników, według swego uznania. W ten sposób, celowo lub nie, zmusza ich do nielojalności wobec przełożonych.

-

Strzeżcie się rozbijania jedności oddziału.

-

Właśnie.

-

Skoro faktycznie do tego doszło, czy to z winy Hooda, czy nie, chciałbym wiedzieć, ile czasu zajmie naprawienie strat? - spytał Carew.

-

Mam zamiar zabrać się do tego wraz z Liz już od dzisiaj - odpowiedziała Carrie. - Mamy zamiar sprawdzić, na kogo możemy liczyć i kogo uda się przeciągnąć na naszą stronę.

-

Jest pani pewna, że cała ta sytuacja nie miała wpływu na Liz Gordon?

-

spytał Carew.

-

Najzupełniej pewna - odparła Carrie. - Hood nie wierzył w profile osobowościowe i całą psychologię. Przynajmniej tak wynika z jego meldunków. Liz stała na uboczu i nie brała udziału w większości prac Centrum.

-

To obiecujące - powiedział Carew. - Proszę bez wahania uczynić wszystko, aby uzdrowić sytuację w Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Oczywiście. Chiny mogą stanowić dla nas dobrą terapię wstrząsową.

-

Jeśli o tym mowa, co nowego słysząc w tej sprawie? Wywiad armii nie ma żadnych doniesień z frontu tajwańskiego.

-

Uzupełnię informacje, kiedy już dotrę do biura - wyjaśniła Carrie.

-

Jeśli coś się działo, nocna zmiana poinformuje mnie o tym.

Generał Carew powiedział, że będzie chciał z nią jeszcze później porozmawiać.

Carrie rozłączyła się i wyjrzała przez przyciemnione okno. Była przekonana, że to, co robi, jest dobre dla Centrum, dla struktur wywiadowczych oraz całego kraju. Gdy obejmowała dowództwo wywiadu wojskowego, składał się on ze zbieraniny wysoce kompetentnych grup, mających tendencję do podejmowania działań jednostronnych.

Ogólnym ich zadaniem było gromadzenie i dystrybucja informacji wywiadowczych i kontrwywiadowczych oraz zapewnianie bezpieczeństwa wewnętrznego w szeregach wojska i prowadzenie szkoleń wywiadowczych. Po wojnie w Iraku otrzymała rozkaz udoskonalenia organizacji na szczeblu taktycznym. Zaplanowała i nadzorowała restrukturyzację od batalionu po dywizję, aby wywiad wojskowy mógł skutecznie wypełniać zadania zarówno podczas pokoju, jak i w trakcie wojny. Pokojowe działania miały być koordynowane centralnie, a ich wyniki kontrolowane codziennie przez jej zastępcę,

170

podpułkownika Scotta Denny'ego. W razie wojny informacje wywiadowcze miały bezpośrednio trafiać na frontowe stanowiska dowodzenia, do sztabów polowych i na tyły, do naczelnego dowództwa. Dystrybucją zajmowały się jednostki wyznaczone osobiście przez generała Carrie: 640. batalion wywiadu wojskowego, 210. Eskadra rozpoznania pogody lotnictwa Gwardii Narodowej, 1004/1302. wydzielony oddział

saperów ze specjalnością analizy terenu oraz pluton szybkiego reagowania C/1-140AV.

Oczywiście, jako szef wywiadu wojskowego, aby osiągnąć zamierzone cele, Carrie dysponowała całą militarną siłą Stanów Zjednoczonych. W Centrum Szybkiego Reagowania sztuka polegała na tym, by osiągnąć to samo z grupą cywilów i przy stosunkowo niewielkich nakładach finansowych.

Bardzo chciała podjąć się takiego wyzwania. Wiedziała, że prawdopodobnie nie obędzie się bez ofiar, ale dzięki współpracy z Liz Gordon miała nadzieję ograniczyć ich liczbę. Wypalenie to nie to samo co definitywne rozstanie z życiem. Ten zespół

odwalił do tej pory kawał dobrej roboty, dlatego wolałaby go zachować w stanie nienaruszonym.

Z drugiej strony, Bob Herbert, Darrell McCaskey czy ich koledzy nie byli ważni.

Ważne było wykonanie zadania.

Pewnego razu generał Patton potępił krótkowzroczną decyzję „tymczasowych mieszkańców Białego Domu”. Polityka zagraniczna i bezpieczeństwo narodowe to zbyt poważne sprawy, aby pozostawiać je w rękach byłych senatorów czy gubernatorów. Zadaniem generała Carrie było umocnienie Stanów Zjednoczonych poprzez przekształcenie wywiadu wojskowego w jeszcze potężniejszy i bardziej znaczący element amerykańskich struktur obronnych.

W drodze do tego celu pojawiło się jednak kolejne wyzwanie. Nie tak doniosłe, ale ważniejsze taktycznie i moralnie. Liz Gordon twierdziła, że ■Paul Hood nie był

wypalony. A dlaczego miałby być? Pomijając jego wady i błędy, stworzył i prowadził



organizację o silnych i sprężystych podstawach.

Carrie pomyślała, że byłby to nie lada wyczyn, skłonić przedstawiciela prezydenta do spraw wywiadu, aby pomagał wojsku w osiągnięciu wyznaczonego celu. A tak się szczęśliwie złożyło, że Hood sam się jej podłożył, usiłując korzystać ze współpracy byłych podwładnych z Centrum Szybkiego Reagowania.

171

ROZDZIAŁ 35

Pekin, Chiny Środa, 20.44

Paul Hood wyszedł na dwór, wprost w ciemną, wilgotną noc. W powietrzu wisiała lepka mgła, która wywoływała trzaski w jego telefonie. Mógł sobie tylko wyobrazić, ile w niej było zanieczyszczeń.

Wyszedł spod baldachimu, żeby zadzwonić do Rodgersa. Stał odwrócony tyłem do wejścia, z palcem w drugim uchu, aby nie słyszeć ulicznego hałasu. Generał był w pokoju hotelowym i właśnie jadł kolację.

-

Prawdziwe chińskie zarcie to nie jest chińskie zarcie - powiedział Rodgers. -

Jem cynadry drobiowe i płetwę rekina. A co ty robisz?

-

Stoję przed wejściem na przyjęcie i chyba ominęły mnie przystawki -

poinformował Hood.

-

To akurat dobra wiadomość - odrzekł Rodgers.

Żartobliwa wymiana zdań była nieco wymuszona. Obaj nie byli najlepsi w tej sztuce.

Wreszcie Hood przeszedł do sedna sprawy.

-

Rozmawiałem z premierem. Zezwolił jednemu z nas na uczestnictwo w starcie rakiety.

-

Powinieneś wziąć w tym udział - stwierdził Rodgers.

-

Dlaczego ja?

Hood nie sądził, że Rodgers po tylu staraniach zechce zrezygnować z tego zaszczytu.

-

Zastanawiam się nad innymi aspektami sytuacji - powiedział Rodgers.

-

Możesz powiedzieć coś bliższego na ten temat? - spytał Hood. - Naturalnie nie przez tę linię, może później...

-

Może później - oznajmił Rodgers lodowatym tonem.

Tego Hood też się nie spodziewał. Poczul się tak, jakby Rodgers z rozmysłem uderzył go w twarz.

-

Dobrze - powiedział. - Umówię się na wizytę. Poinformuję cię, jak się sprawy mają.

-

Dzięki.

-

Zadzwonisz, kiedy będziesz mógł mówić?

-

Jasne - obiecał Rodgers.

Hood z trzaskiem złożył telefon. Stał, patrząc na samochody przejeżdżające ulicą.

Nie widział twarzy kierowców, ale czuł, że wszyscy na niego patrzą i się śmieją.

Wiedział, że to nieprawda, ale nigdy dotąd nie czuł się 172

.Jak bezbronny, jak w tym momencie. Zupełnie jakby za chwilę miał się rozpaść na tysiąc kawałków.

; Nie czuł się równie samotny od wieczoru, gdy jego narzeczona Nancy Jo Bosworth umówiła się z nim do kina i nie przyszła, a on całą wieczność czekał na nią na rogu ulicy.

-

Człowiek bez kraju - mruknął.

-

Edward Everett Hale - dobiegł go cichy głos gdzieś zza pleców. Obejrzał się gwałtownie. Za nim stała Anita. Miała ze sobą colę i uśmiech na twarzy. Przynajmniej jeden element z tego zestawu przeznaczony był dla niego.

-

Dziękuję pani - powiedział, biorąc szklanekę.

-

Philip Nolan, Amerykanin wydalony za zdradę stanu - ciągnęła Anita. - Czy dlatego jest pan tutaj? Czy pan też został wygnany?

-

Chodzi pani o to, że jestem na dworze, czy o to, że znalazłem się w Pekinie? -

spytał Hood i upił łyk coli. Była ciepła.

-

Na początek powiedzmy, że chodzi o wyjście na dwór. - Uśmiechnęła się. Od Anity nie bił już chłód. Wydało mu się to podejrzane, chociaż podobało bardziej od coli bez lodu.

-

Wyszedłem, żeby zadzwonić - wyjaśnił, pokazując telefon.

-

Służbowo?

Przytaknął kiwnięciem głowy.

-

A więc czuje się pan zesłany do Pekinu - powiedziała Anita.

-

Niezupełnie - odparł Hood. Anita zmarszczyła wysokie czoło.

-

Czuję w głowie lekki zamęt.

-

Ja też - przyznał.

-

Ale pan powiedział...

-

To tylko tak... w zamyśleniu - wyjaśnił.

-

A nie w rozpacz?

• Hood się uśmiechnął. Była spostrzegawcza, ale taka właśnie powinna być tłumaczka. W przypadku wielu przekładów o ich jakości świadczą niuanse, a nie dosłownie przetłumaczone słowa.

-

W każdym razie już mi przeszło - skłamał. - Czy mogę coś dla pani Zrobić?

-

Proszę przyjąć moje przeprosiny - powiedziała.

-

Za co?

-

Za to, że wcześniej trochę się zagalopowałam - wyjaśniła Anita. -pewnością znajduje się pan tutaj pod wpływem dużego stresu. Nie po-innam go dodatkowo pogłębiać.

-

Wcale mnie pani nie zdenerwowała - zaproponował Hood. - Wprost przeciwnie, było mi przykro, że panią denerwuje stereotypowe traktowanie Azjatów. Faktycznie, nie ma to żadnego wytłumaczenia.

-

Czasy i poglądy się zmieniają, a wraz z nimi ewoluuje kultura - powiedziała. -

To zarazem dobrze i źle, że dzieła sztuki potrafią przetrwać wieki. Źle, bo wraz z nimi mogą przetrwać stereotypy. Dobrze zaś dlatego, że dzięki temu potrafimy określić, jak bardzo zmieniamy się na lepsze.

-

To prawda - powiedział Hood, oglądając się na baldachim. - Powinniśmy wracać. Chyba przegapiliśmy toast pani ojca.

-

Czy naprawdę chciał go pan wysłuchać?

-

To podchwytliwe pytanie - zauważył Hood.

-

Proszę o szczerą odpowiedź. - Uśmiechnęła się.

-

Chciałem mu okazać szacunek ze względu na to, jakim jest człowiekiem i jakie zajmuje stanowisko.

-

Idealnie dyplomatyczna odpowiedź. - Tym razem roześmiała się głośno. -

Przynosi pan zaszczyt swojemu prezydentowi.

-

Dziękuję - powiedział Hood. - Zanim jednak wrócimy, chciałbym panią o coś zapytać.

-

Proszę bardzo.

-

Nie musi pani odpowiadać, jeżeli uzna pani pytanie za niestosowne.

-

Lao-tsy powiedział kiedyś, że nie ma głupich pytań, są tylko głupie odpowiedzi.

-

Święta prawda - uśmiechnął się Hood. - Chciałbym wiedzieć, co wpłynęło na zmianę pani nastawienia do mojej osoby?

-

Czy mogę udzielić nieskrępowanej odpowiedzi?

-

Ależ oczywiście.

-

Podczas rozmowy z moim ojcem okazywał pan głęboki szacunek - zaczęła. -

Ale nie płaszczył się pan ani nie przechwalał, jak to czynią inni ambasadorzy.

Właściwie nie zachowywał się pan jak pracownik ambasady.

-

Taka już rola dyplomaty.

-

Powtarzam, pan zachowywał się inaczej.

-

Dziękuję.

Na wewnętrznym radarze ostrzegawczym Hooda pojawiło się echo. Zauważył jego ślad tuż przedtem, zanim zaczęła komplementować jego sposób bycia, ale teraz stało się bardzo wyraźne. Anita wyszła za nim, żeby dowiedzieć się, jaki jest prawdziwy cel jego przyjazdu do Chin.

Podał jej ramię.

-

Wracamy do środka?

-

Sądziłam, że przyjemnie byłoby się przejść.

-

Bardzo proszę - zgodził się Hood. Nadal podawał jej ramię. Z uśmiechem wsunęła mu dłoń pod rękę. Teraz to Anita prowadziła grę. Była niezbyt doświadczona w tej sztuce, ale Hood podjął rękawicę. Miał pewność, że to ojciec wysłał córkę, aby z nim porozmawiała, i mógłby wpaść w złość lub poczuć się urażony, gdyby Hood natychmiast przyprowadził ją z powrotem. Nawet jeśli miało to wystawić start satelity na niebezpieczeństwo, mógł cofnąć zgodę na udział Hooda w tym wydarzeniu. Jeśli pozostaną na zewnątrz przez chwilę, premier może uznać, że za niepowodzenie jego manewru odpowiada nie Hood, lecz brak doświadczenia córki.

-

Zastanawiam się, czy myślał pan kiedyś o napisaniu powieści? - spytała Anita.

-

Nie - zaśmiał się Hood. - Jestem na to zbyt nieśmiały.

-

Jak to?

-

Jako dziecko czytałem Przygody Tomka Sawyera i Wyspę skarbów, a kiedy rodzice nie widzieli, pochłaniałem opowieści o Jamesie Bondzie. Uwielbiałem jedno i drugie. Potem zorientowałem się, że wymyślili je Mark Twain, Robert Louis Stevenson i Ian Fleming. Nie były prawdziwe. Nigdy nie istniał Huck Finn ani Długi John Silver. To mnie bardzo zasmuciło. Nie chodziło mi o to, że nie byli prawdziwi, lecz o to, że ktoś poświęcił tak wiele czasu, aby mnie oszukać.

s - Poczul się pan zdradzony? - spytała Anita.

-

Zdradzony, oszukany, wystrychnięty na dudka - odparł Hood. - Zakładając, że miałbym czas i cierpliwość, konieczne do napisania powieści, nie zniósłbym świadomości, że okłamuję tysiące ludzi.

-

Ma pan ten sam problem, co Konfucjusz.

-

Czyżby?

-

Nie znosił powieści i powieściopisarzy - wyjaśniła Anita. - Uważał, że znajduję się na najniższym szczeblu drabiny społecznej, na przeciwnym biegunie prawości i honoru. Twierdził, że autorzy powieści wychodzą od kłamstwa i brną w nie coraz dalej. Ja wyznaję pogląd, że powieść to wewnętrzne poszukiwanie prawdy, którym artysta dzieli się z czytelnikiem.

- - Być może, ale ten proces nie interesuje mnie ani jako autora, ani jako czytelnika -

powiedział Hood. - Wolę przeczytać gazetę i samodzielnie Wyciągnąć wnioski. ■ -

To jak pan odpoczywa?

175

-

Słucham muzyki albo idę do muzeum. Do niedawna spędzałem wolny czas z dziećmi.

-

Czyżby już urosły?

-

Rozwiodłem się - wyjaśnił. - Nie udaje mi się widywać z nimi zbyt często.

-

Przepraszam, nie chciałam być natrętna.

-

Przecież sam o tym powiedziałem - uśmiechnął się Hood.

Szli szeroką ulicą. Nie czuł się swobodnie, ale wolał ujawnić szczegóły z życia osobistego, aby podtrzymać rozmowę. Poza tym domyślał się, jakie będzie kolejne pytanie. Ta część rozmowy powinna być raczej zwięzła.



-

A literatura faktu? Pamiętniki? - spytała. - To nie kłamstwa i jestem przekonana, że prawda byłaby fascynująca.

-

Skąd ta pewność? - zdziwił się Hood.

-

Nie dochodzi się do tak wysokiego stanowiska, bez osiągnięcia pewnego poziomu wiedzy - odparła.

Hood zachichotał.

-

Szwagier pana Hasena był maklerem giełdowym i grywał w tenisa z wiceprezydentem. W ten sposób dostał się do korpusu dyplomatycznego. Zabrało mu to około dwóch lat. W odróżnieniu od pani ojca, niejeden amerykański dygnitarz nie jest zawodowym politykiem czy przywódcą.

-

Czy pan też grywał z kimś w tenisa?

-

Nie - zaprzeczył. - Byłem głupi i mozolnie wspinałem się po drabinie.

-

To godne podziwu, a nie głupie. Musi pan mieć mnóstwo tematów do opisanie i historii do opowiadania.

-

Czy ja wiem? Nawet jeśli to prawda, to za mało we mnie narcyzmu, aby chwalić się wszystkimi białymi wielorybami, na jakie polowałem.

-

Ale na pewno zdobył pan doświadczenie. Warto byłoby je zachować i przekazać ludziom, którzy nie doświadczyli, nie zaszli tak wysoko, a nawet nie byli w Pekinie - powiedziała Anita. - Istnieje długotrwała tradycja pisania pamiętników politycznych, niewynikająca wcale z próżności. Myśli Mao to podstawa funkcjonowania narodu.

-

Mao był przywódcą- odparł Hood. - Zostawmy tę tradycję prezydentom i premierom.

-

A dlaczego nie ambasadorom, rewolucjonistom, a nawet spiskowcom? -

nalegała. Wypowiadając ostatnie słowa, przysunęła się do Hooda, jakby dzieliła się z nim jakąś tajemnicą.

Hood się zaśmiał.

176

-

Gdzież tu spisek, skoro facet wchodzi do pokoju i mówi: „nazywam się Bond, James Bond”. Niektóre rzeczy należy utrzymywać w tajemnicy. - Zastanawiał się przez chwilę. - Chociaż może pewna historia nadałaby się na opowiadanie.

Twarz Anity pojaśniała.

-

Mogę spytać, czego dotyczy? - Oczywiście oczami wyobraźni widziała w niej siebie.

Doszli do rogu ulicy. Hood zatrzymał się i spojrzał jej w oczy. Widział wyraźnie jej twarz w rozproszonym świetle zamglonych latarni.

-

To opowieść o mojej córce - powiedział. - Kilka lat temu stała się zakładniczką agresywnych bojowników o pokój w budynku ONZ.

-

Pamiętam to oblężenie. - Anita kiwnęła głową. - Pańska córka była w środku?

-

Harleigh należała do młodzieżowego zespołu muzycznego, który tam koncertował - wyjaśnił Hood. - Wyszła z tego z głębokim urazem psychicznym i musiała ciężko pracować, by odzyskać równowagę. Bardzo często porównuje się sukcesy synów z osiągnięciami ojców, ale w ogóle nie mówi się o odwadze i poświęceniu córek.

Na twarzy Anity pojawił się ironiczny uśmiešek.

-

To chyba pierwszy, panie Hood.

-

Co takiego?

-

Pierwszy komplement, jaki usłyszałam, dotyczący charakteru kobiety, . który uważam za seksistowski - powiedziała.

[ - Nie chciałem, aby tak to zabrzmiało - zastrzegł się Hood. - *Chyba będzie pan musiał mnie o tym przekonać - powiedziała nieco .wyzywająco, podobnie jak podczas pierwszej rozmowy.*

-

Zna pani amerykańskiego tancerza Freda Astaire'a? - zapytał Hood.

-

Tego od filmów? Kiwnął głową.

; - Tak. To dziwne pytanie - zauważyła Anita.

•i - Wcale nie. Uważa się go za największego mistrza tańca towarzyskiego tamtego pokolenia - wyjaśniał Hood. - Jego partnerką była Ginger ogers. Potrafiła tańczyć równie dobrze jak on, w dodatku na wysokich |bcasach i do tyłu. Nie wiem, czy to przejaw seksizmu, kiedy powie się, e kobiety muszą pracować ciężej niż mężczyźni i że mają, czy też potrafią sobie wykształcić, inne predyspozycje fizyczne, emocjonalne i psycho-jczne.

- Wojna orłów

177

-

Robi pan z nas jakieś dziwolągi.

-

Mówię tylko, że jesteście wyjątkowe.

-

To nie ma znaczenia.

-

A ja uważam, że ma. Niektóre kobiety czasami budzą strach u mężczyzn.

Sądzę, że pani ojciec zgodziłby się ze mną.

-

Uważa pan, że on się mnie boi? - spytała, a w jej głosie dało się wyczuć lekką irytację.

Nie, pani Anito. Mówię ogólnie. Ojciec panią kocha i ufa pani bez reszty.

Stropiła się i zamilkła. Wiedział, że usiłuje stwierdzić, czyjego spostrzeżenia podyktowane są szczerością, czy wyrachowaniem. A on chciał tylko, aby odczuła to jako lekki przytyk, może nieco nieostrożny, nie chciał natomiast, żeby wróciła rozżłoszczona. Jej ojcu na pewno by się to nie spodobało.

Wskazał głową w kierunku baldachimu.

Lepiej wracajmy. Pani ojciec to fascynujący człowiek i chciałbym posłuchać, co ma do powiedzenia.

Takiemu zaproszeniu Anita nie mogła odmówić. Zawrócili w milczeniu. Hood był w zasadzie pewien, że osiągnął to, czego chciał. Uniemożliwił Anicie wykonanie zadania i sprawił, że w rozmowie z ojcem nie będzie chciała wnikać w szczegóły porażki. Premier prawdopodobnie nie byłby zadowolony, wiedząc, że jego córka dała się wciągnąć w dyskusję na temat feminizmu. Hood podejrzewał, że może nie byłby zaskoczony, ale na pewno by się nie ucieszył.

Teraz, kiedy myślał o niedawnej rozmowie, nie był zadowolony z jej przebiegu.

Nigdy dotąd nie ubrał w słowa tezy, że kobiety mogą budzić przerażenie. Od zamierzchłych początków z Nancy Jo, poprzez romantyczne porywy w pracy z Ann Farris, aż do rozmowy z generałem Carrie nie czuł się tak swobodnie, jak podczas wybawiania świata od zagłady wraz z Mikiem Rodgersem i Bobem Herbertem. Ale nad tym miał zamiar zastanowić się innym razem.

W odróżnieniu od Anity, nie miał zamiaru dać się odciągnąć od najważniejszego zadania. Myśl, że satelita wyposażony w generator nuklearny może się rozpaść na miliony kawałków, także była przerażająca.

178

## ROZDZIAŁ 36

Waszyngton Środa, 9.38

Kiedy się nad tym zastanowić, okazuje się, że wierność ma największe znaczenie w życiu człowieka. Określa jego poczucie godności, hierarchię ważności, zdolność do poświęceń i pracowitość. Jedyne pytanie, które pozostaje do rozstrzygnięcia, dotyczy tego, komu lub czemu należy być wiernym.

Generał Carrie rozmawiała z Herbertem, przeglądając pocztę elektroniczną. Szef wywiadu nie miał żadnych nowych informacji z Chin. Martwiło go to, poza tym skarżył się, że nikt z urzędników państwowych najwyższego szczebla nie reprezentuje interesów pracowników Centrum.

Tylko dwóch byłych szefów, którzy mają własne sprawy na głowie.

-

Staram się to zmienić - zapewniła.

-

Jak? - spytał Herbert. - Przecież nie mamy pieniędzy! - W jego głosie słychać było złość i zniecierpliwienie.

-

O to już niech pana głowa nie boli - odparła.

W skrzynce pocztowej nie znalazła niczego, co wymagałoby szczególnej uwagi.

Przynajmniej na razie. W Centrum należało przebudować strukturę zatrudnienia i procedury. Oba procesy muszą się rozpocząć już dziś. Mając nieco wolnego czasu, poprosiła do siebie Liz. Trzeba sporządzić profil całego zespołu, zanim zaczną się zastanawiać nad zwolnieniami i zmianą stanowisk.

Właśnie w chwili, kiedy psycholog weszła do gabinetu, rozległ się sygnał telefonu.

Carrie podniosła się i zamknęła drzwi, zapraszającym gestem ■ wskazując jej fotel. Z

zaskoczeniem stwierdziła, że dzwoni Mike Rodgers. Z numeru na wyświetlaczu wynikało, że dzwoni z Chin.

-

Miło mi pana słyszeć, generale - powiedziała.

-

Ja też się cieszę, generale. Gratuluję awansu i przydziału do Centrum Szybkiego Reagowania.

-

Dziękuję. Czy pojechał pan do Pekinu w związku z wystrzeleniem satelity?

-

Tak, chociaż nie wybieram się do ośrodka lotów kosmicznych Xichang. Przed chwilą rozmawiałem z Paulem. To on ma być nieoficjalnym przedstawicielem Waszyngtonu. ; - Jak Hood ma zamiar postąpić? - spytała Carrie.

-

Nie jestem pewien - przyznał Rodgers. - Plan gry przewiduje, że będzie się trzymał premiera Le, przyglądał się, co robią ludzie z jego otoczenia i kogo wśród nich brakuje.

-

Schemat von Stauffenberga - zauważyła Carrie.

Rodgers przytaknął. Tak określano plan, którego realizacja może okazać się fatalna w skutkach dla realizatorów. Pułkownik Claus von Stauffenberg był niemieckim oficerem, który podłożył teczkę z bombą pod stołem sali odpraw w kwaterze Hitlera w Kętrzynie. Po uruchomieniu zapalnika czasowego wyszedł. Hitler przeżył

eksplozję, uratował go solidny, ciężki stół. Stauffenberg został aresztowany i stracony. Jeżeli jakiś oficer lub minister planuje wysadzenie w powietrze rakiety Unexusa, na pewno nie będzie obecny w zasięgu wybuchu.

-

W takim razie co pan będzie tam robił? - spytała.

-

W tej sprawie dzwonię. Bob Herbert powiedział mi, że w Chinach działa oddział terenowy. Chciałbym go wypożyczyć.

Carrie nie była zachwycona faktem, że Rodgers wiedział o komandosach, choć z drugiej strony, nie zaskoczyło jej to. Oto kolejny dowód na styl rządów Hooda w Centrum. Pracownicy byli bardziej związani ze sobą niż z organizacją. Należy z tym skończyć.

-

W jakim celu? - spytała.

-

Paul Hood będzie obserwował ludzi, a ja chciałbym mieć kogoś, kto będzie uważał na raketę i jej ładunek.

-

Skąd pan wie, że Chińczycy zgodzą się na obcych w pobliżu sprzętu? Przecież właśnie o to martwił się premier Le.

-

Moi ludzie z Unexusa mogą pogadać z chińską kadrą techniczną. Możemy zastosować dodatkową ochronę oficjalnie albo nieoficjalnie. Wolałbym to drugie, żeby w razie potrzeby wykorzystać czynnik zaskoczenia. Sądzę, że dałoby się przekonać do tego pomysłu któregoś z naukowców.

-

Mogą stracić pracę, jeśli premier się dowie.

-

Le może się dowiedzieć o tajnym oddziale tylko wtedy, kiedy coś się stanie i pani ludzie uratują mu tyłek - stwierdził sucho Rodgers. - A nawet jeśli któryś z naukowców straci pracę, to chyba lepsze niż ryzykowanie powodzenia całego przedsięwzięcia.

Rodgers miał rację. Zresztą jemu także chodziło o wierność, tyle że innego rodzaju -

o oddanie chińskich naukowców dla sprawy, o ich zdolność do poświęcenia się nie dla konkretnych ludzi czy narodu, ale dla projektu, dla nauki. Carrie nie była pewna, czy taka gotowość to świadectwo wielkości, czy raczej ograniczenia.

180

Zastanowiła się przez chwilę nad ewentualnymi konsekwencjami dla Stanów Zjednoczonych. Wysłała żołnierzy do Chin po to, aby byli gotowi na wykonanie podobnego zadania. Ale akcja w Xichang wymaga drastycznego skrócenia okresu przygotowań. Jeżeli podejmą się tego, o czym mówi Rodgers, i zostaną wykryci, a cała operacja weźmie w łeb, jej kariera wojskowa byłaby skończona. Carrie szybko odsunęła od siebie tę myśl.

Musi pamiętać o wierności.

Nie pełni tej służby dla kariery. Jej nadrzędnym celem jest dobro Stanów Zjednoczonych i Centrum Szybkiego Reagowania, w takiej właśnie kolejności.

Nieudana operacja może negatywnie odbić się na Centrum, a ją samą kosztować utratę stanowiska. Komisja Kontroli Wywiadu będzie musiała zainteresować się działalnością Centrum, choćby dla zachowania pozorów. Najważniejsze jednak, jakie byłyby następstwa dla całego kraju. Z tego punktu widzenia wysłanie Amerykanów do ochrony chińskiego satelity mogło przynieść wyłącznie korzyści. Nikt nie mógłby oskarżyć ich o szpiegowanie. Hood był oficjalnie zaproszonym gościem, a poza tym technologia została w całości opracowana na Zachodzie. Sprawa miałaby doniosłe i pozytywne znaczenie historyczne, stanowiąc dowód, że amerykański wywiad może zostać użyty także w celu niesienia pomocy innym krajom.

Może jest w tym palec Boży. Centrum Szybkiego Reagowania kierowane przez Hooda wyrobiło sobie renomę dzięki śmiałej akcji udaremniającej zamach na amerykańską wyprawę kosmiczną. Generał Carrie mogła dokonać tego samego.



-

Umówmy się tak: jeśli udowodni pan, że moi ludzie zdołają przedostać się na teren ośrodka i wydostać się z niego bez szwanku, ma pan moje pozwolenie. Muszę jednak poznać nazwiska życzliwych nam naukowców, żeby ich przedtem prześwietlić. Muszę wiedzieć, jak przerwuci pan do środka komandosów i jak ich stamtąd zabierze. Jeżeli przy wejściu będą kamery, ich twarze zostaną zarejestrowane. Wtedy trzeba będzie ich wycofać, bez względu na to, czy wezmą udział w akcji, czy też nie będzie to konieczne.

-

Zamierzam wwieźć ich samochodem, wraz z technikami - powiedział Rodgers.

- Nie będzie żadnych kamer.

-

Najważniejszy jest plan ewakuacji - ciągnęła Carrie. - Jeśli będą musieli wkroczyć do akcji, trzeba będzie ich stamtąd wyciągnąć, zanim wszystko się skończy. Nie wolno dopuścić, aby zostali aresztowani lub przesłuchani.

181

-

Paul Hood i ja możemy się tym zająć, jeżeli nie ma pani nic przeciw temu.

-

Nie mam - odpowiedziała. - Ale jeśli prawdopodobieństwo powodzenia za bardzo oddali się od stu procent, nie wydam zezwolenia.

Rodgers zapewnił, że całkowicie ją rozumie. Pani generał rozłączyła się i spojrzała na Liz. Wyglądała jakoś inaczej. Natychmiast zauważyła, o co chodzi. Poprzedniego dnia Liz nie miała pomalowanych ust.

-

Wie pani, że nasza nieżyjąca już specjalistka od kontaktów z politykami nazywała to miejsce po swojemu? - spytała Liz.

-

Martha Mackall?

-

Tak.

-

Nie, nie wiem. Jak je nazwała?

-

OZDS - odpowiedziała Liz. - Co tłumaczyła: Od Zera Do Setki. Chodziło jej o gwałtowne przyspieszenia biegu wydarzeń z okazji międzynarodowych kryzysów.

-

Tak, to inne wcielenie obrony narodowej - powiedziała Carrie.

-

Jak to?

-

Praca wywiadu opiera się na myśleniu, a zapobieganie kryzysom to przede wszystkim działanie - odparła Carrie. - Jestem tu między innymi po to, by doprowadzić do sytuacji, w której obrona narodu będzie oznaczała działanie jednego dobrze przygotowanego i w pełni zintegrowanego ciała.

Liz w milczeniu ważyła usłyszane słowa. Widać było po jej oczach, że się z nimi zgadza.

-

Słyszała pani, co się wydarzyło. - Carrie wróciła do tematu. - Rozmawialiśmy o kilku byłych pracownikach. A co pani sądzi o generale Rodgersie?

-

Mike Rodgers to zawzięty zabijaka. Ma na swoim koncie wiele bitew, w ostatecznym rozrachunku zwycięskich - odparła Liz.

-

Czy to łagodne określenie tak zwanego pyrrusowego zwycięstwa?

-

spytała Carrie.

-

Być może - roześmiała się Liz.

-

Z tego, co czytałam o Mike'u Rodgersie, wynika, że przypomina Ulyssesa Granta - zauważyła Carrie.  
- Unia wygrywała bitwy, bo Grant pchał do walki coraz więcej ludzi i uzbrojenia, aż wreszcie wróg ustępował. W porównaniu do Roberta Lee, straty poniesione przez Granta były zawsze nieproporcjonalnie wysokie.

-

Oddziały kierowane przez Mike'a także ponosiły straty - dodała Liz.

-

Trzeba jednak uczciwie przyznać, że rzadko kiedy miał więcej czasu na 182

przygotowania niż czas trwania lotu na miejsce akcji, często też działał w warunkach ograniczonego rozpoznania. Mimo to zawsze jakoś znajdował sposób, aby doprowadzić sprawę do końca.

-

Teraz będzie inaczej - zapewniła Carrie. - Centrum potrzebni są agenci w potencjalnie wrogich krajach. Skoro Rodgers chce wypożyczyć mój oddział, to chcę widzieć plan działania raczej w stylu generała Lee, a nie Granta.

Carrie zakończyła temat, otwierając w komputerze katalog z danymi osobowymi pracowników Centrum.

-

Jest jeszcze jedna osoba, o której dotąd nie rozmawialiśmy - powiedziała. -

Chodzi o panią. Czy jest pani gotowa na poszerzenie odpowiedzialności w sporządzaniu profili charakterologicznych i naukowych analiz dotyczących zdrowia psychicznego członków naszego zespołu?

Liz drgnęła. Nie spodziewała się takiego pytania.

-

Całe lata czekałam na to, by dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania zechciał

skorzystać z moich umiejętności - odparła. - Bardzo się cieszę, że moje działania będą ściślej zintegrowane z dowództwem Centrum i wykonywanymi zadaniami.

-

Mówiąc o dowództwie, ma pani na myśli ten gabinet?

-

Jeżeli pyta pani o zakres moich uprawnień dotyczących stosunku badacz - osoba badana...

-

Chodzi mi wyłącznie o to, czy jest pani gotowa bez pytania zrealizować każdy projekt, który nie jest wyraźnie zakazany statutem Centrum Szybkiego Reagowania?

- Nie jest wyraźnie zakazany... ciekawe słowa - zauważyła Liz.

4

- Żyjemy w ciekawych czasach - odparła Carrie.

5

- Moja praca polega na pytaniach - stwierdziła Liz i się uśmiechnęła. Mają one jednak na celu wyłącznie pobudzanie do rozmowy. Nie mam nic do gadania, to pani tu rządzi.

i - Bardzo dobrze. - Carrie zamknęła plik z danymi Liz Gordon, a następnie otworzyła dwa inne, rozmieszczając je obok siebie. - Teraz pogadajmy 0

Bobie Herbercie i Darrellu McCaskeyu. Proszę, aby przyglądała się im |pani z uwagą przez najbliższe kilka godzin. Muszę wiedzieć, czy podolają pni trudom realizacji chińskiego projektu. Cokolwiek Rodgers wymyśli, Ibędzie to dobry sposób sprawdzenia, jak działa Centrum w warunkach Zwiększonego napięcia.

1

- Będą się bardzo pilnować - powiedziała Liz.

183

-

Z mojego powodu?

-

Tak.

-

I na to właśnie liczę - odparła Carrie. - Nie chcę mieć pracowników, którzy załamują się w stresie, ale nie chcę też ekipy pełnej samozadowolenia. Hood prowadził Centrum tak, jakby to było posiedzenie rady miejskiej. Nie mam zamiaru tego kontynuować.

-

Porządek to podstawa twórczości - mruknęła Liz. - Popieram to.

Szczegółowo przedyskutowały życiorys Herberta i wpływ eksplozji w Bejrucie oraz śmierci żony na jego pracę i stosunki z kobietami. Uwaga Liz wciąż tkwiła w głowie Carrie, która zawsze uważała za słuszną jedną z sentencji Nietzschego: „Z chaosu wyłania się porządek”. Ale rozwinięcie było także prawdziwe: z porządku wynika postęp. Dla Carrie kolejność była prosta: jesteśmy jednym narodem, Zjednoczonym w Bogu.

A poniżej Stwórcy w hierarchii niech stoją uważne oczy i silne, pewne dłonie Departamentu Obrony.

## ROZDZIAŁ 37

Waszyngton Środa, 9.51

Bob Herbert utknął w miejscu. Co gorsza, nie miał nic do roboty. Centrum Szybkiego Reagowania nie dysponowało własnymi, dobrze rozmieszczonymi źródłami informacji w Chinach. Przed rozmową z generałem Carrie zadzwonił do Kim Hwana, dyrektora koreańskiej Centralnej Agencji Wywiadowczej. Kiedyś Hwan, wówczas wicedyrektor, odegrał istotną rolę podczas udanej operacji, zrealizowanej przez Centrum na terenie Korei Południowej. Jego źródła potwierdziły, że generał Tam Li i dyrektor Czou Szin są, jak to określił, niezwykle uparci.

Herbert uznał, że oznacza to wzajemne robienie sobie na złość.

Nowe informacje nie napływały. Skontaktował się z Siergiejem Orłowem, dyrektorem rosyjskiego Centrum Szybkiego Reagowania. Jego agenci w Chinach także stwierdzili, że toczy się walka o władzę, ale nie mieli pojęcia, gdzie nastąpi kolejne uderzenie. Herbert wierzył Orłowowi. Oba kraje graniczą ze sobą na długości czterech tysięcy dwustu kilometrów. Jeśli sytuacja w Pekinie lub w Xichang pogorszy się albo satelita wyposażony w generator jądrowy naprawdę eksploduje, wybuch albo uchodźcy zamienią ten region w ziemię niczyją.

184

Po tej rozmowie Herbert zaczął się zastanawiać, dlaczego tylko Amerykanie martwią się sytuacją. W przedsięwzięcie była zaangażowana firma Unexus, ale to przecież międzynarodowy koncern.

I znów światowy kryzys spada na barki Centrum Szybkiego Reagowania, pomyślał.

A on musi gromadzić informacje wywiadowcze. Zazwyczaj nie było to łatwe, a tym razem jeszcze trudniejsze, bo Herbert nie mógł się skoncentrować. Czuł, że ocenia się go pod kątem wydajności pracy. Pytania generała Carrie oraz fakt, że nowi pracownicy próbowali wprowadzać zmiany, sprawiały, że przyjął postawę obronną, czuł się dotknięty i wyrzucony poza nawias spraw. Tak nie było nawet w Bejrucie, kiedy faktycznie miałyby ku temu powody. Najwyraźniej chińskim konfliktem zajmowało się tylko Centrum. Dwa razy dziennie otrzymywał raporty z sekcji bezpieczeństwa kraju, należącej do projektu IDEA, polegającego na udzielaniu dostępu z zewnątrz do informacji wywiadowczych. Dystrybucji podlegały nagłówki raportów z najważniejszych działów CIA i FBI, a także Agencji Bezpieczeństwa Narodowego oraz Krajowego Biura Rozpoznawczego. Żadna z tych instytucji nie wspominała o problemie z chińskim satelitą. Nawet FBI, które zajmowało się eksplozją w Charlestonie, zakwalifikowało zamach jako „przejaw wewnętrznego konfliktu w innym państwie, który przypadkiem dotknął obszaru Stanów Zjednoczonych”. Przepuszczalnie była to prawda. FBI na pewno miało dostęp do raportu Herberta i jego zespołu. Trafił on na witrynę internetową IDEA dzień wcześniej.

Telefon Mike'a Rodgersa znacznie poprawił mu nastrój. Głos Rodgersa dobiegający z Pekinu dawał nadzieję na nowe informacje. Przez chwilę poczuł się tak jak dawniej, kiedy zadanie było zawsze ważniejsze od tego, w jaki sposób zostanie oceniona jego praca.

Entuzjazm Herberta nieco przygasł, kiedy dowiedział się, że Rodgers rozmawiał już z generałem Carrie.

-

Udzieliła ci zezwolenia na wykorzystanie grupy naszych agentów terenowych -

powtórzył, usłyszawszy nowinę. Natychmiast zadał sobie pytanie, czy to dlatego, że generał z generałem zawsze się jakoś dogada. Druga wątpliwość, jaka mu się nasunęła, dotyczyła tego, czy Hood zostałby potraktowany równie łaskawie. Instynkt podpowiadał mu, że nie.

-

To tylko pożyczka - powiedział Rodgers.

-

Jak dostaną się do środka?

-

Upowiedziałem moich współpracowników, aby załatwili kody wejściowe i przepustki dla waszych czworga ludzi. Poprosiłem ich także o opi-

■ sanie całego obszaru, z którego jest dostęp do rakiety i satelity. Biuro 185

Rozpoznawcze będzie przysyłać mi na bieżąco zdjęcia terenu ośrodka, a także informacje o wszelkiej

aktywności odbiegającej od normy. Od ciebie potrzebuję fotografii do przepustek oraz sporządzenia planu patroli dla naszego zespołu.

-

Czy ja dobrze słyszę? Chcesz, żebym udostępnił zdjęcia naszych tajnych agentów? - spytał Herbert.

-

Chińczycy i tak zobaczą ich twarze...

-

Ale to oznacza, że funkcjonariusze chińskich służb wciągną ich podobizny do komputerów, w celu wydrukowania identyfikatorów. Pozostaną w chińskich komputerach.

-

Ale w harmonogramie dyżurów figurują jako pracownicy naukowcy różnych uczelni, mający służyć dodatkową pomocą podczas fazy przedstartowej

-

uspokajał Rodgers. - Ich miejscowa tożsamość nie zostanie ujawniona.

-

Uważasz, że dyrektor ośrodka Xichang ich nie sprawdzi?

-

To on jest jedną z osób, które pomagają mi zrealizować nasz plan - odparł

Rodgers. - Wystąpił o udział dodatkowego personelu w projekcie. Kiedy będzie po wszystkim, fotografie zostaną skasowane.

-

Może tylko tak mówi - nie dowierzał Herbert. - A jeśli ma zamiar dorobić sobie na boku, denuncjując szpiegów?

-

Zwłaszcza tych, których sam sprowadził - odparował Rodgers. - Nic by na tym nie zyskał. W każdej operacji istnieje element ryzyka. A tu jest ono opłaczalne.

Głównie dla Unexusa, pomyślał Herbert. Co z tego, że Rodgers zrzucił mundur - i tak pozostał krwiożerczym generałem. Zmienił jedną drużynę na drugą i był gotów poświęcić się dla niej bez

reszty. Wszelka dyskusja z nim mija się z celem. Jedyne, co pozostało Herbertowi, to zminimalizowanie strat.

-

Różnimy się co do tego, ale jeżeli Carrie wyraziła zgodę...

-

Wyraziła.

-

W takim razie jestem zobowiązany do pomocy. Zapytam ją, czy wolno mi przesłać te fotografie. Macie bezpieczne łącze sieciowe?

-

Unexus ma sprzęt zabezpieczony lepiej od Departamentu Obrony

-

stwierdził Rodgers.

-

Prześlę ci same fotografie, bez żadnych informacji, a nawet nazwisk

-

powiedział Herbert. - Potem posiedzę z Darrellem nad mapą ośrodka. Gotowy plan patroli prześlę w możliwie najkrótszym terminie.

McCaskey opracowywał kiedyś i realizował schematy obserwacji dla FBI. Miał dobre oko do tworzenia planów kontrolowania sektorów.

186

-

Dzięki - rzucił Rodgers. - Spotkam się z nimi poza ośrodkiem. Zawiadomię cię gdzie. Poprosiłem moje szefostwo o przesłanie radiotelefonów, aby mieć łączność z oddziałem.

-



Czy to nie zaalarmuje Chińczyków? - zaniepokoił się Herbert.

-

Sprzęt nadawczo-odbiorczy ośrodka Xichang pracuje w paśmie od stu dwudziestu jeden i pół do dwustu czterdziestu trzech megaherców - poinformował

Rodgers. - My będziemy korzystać z pasma trzysta trzydzieści sześć i sześć dziesiątych megaherca, nałożonego na sygnał NORAD. Unexus podpisał umowę z Cheyenne Mountain na wykorzystanie ich fal w wypadku delikatnych operacji.

-

Naprawdę? Departament Obrony wyraził na to zgodę?

-

Opracowaliśmy dodatkowe elementy systemu, pozwalające NORAD na szybką integrację ze strukturami NATO w sprawach dotyczących bezpieczeństwa kraju -

oznajmił z dumą Rodgers. - Pentagon jest nam wdzięczny, że od czasu do czasu testujemy to połączenie.

-

Rozumiem - mruknął Herbert. - Mike, naprawdę sądzisz, że to dobry pomysł?

y - Co?

-

Ta dziwaczna symbioza ze strukturami wojskowymi - wydusił z siebie szef wywiadu.

-

A co w tym złego? - spytał Rodgers. - Dla każdego płyną z tego same korzyści.

Im więcej wiedzy o działaniach bezpośrednich uzyska Unexus, tym lepiej będzie zabezpieczał swój personel. To jedna z przyczyn, dla któ-iyh zostałem zatrudniony.

Nikt nie ma takiej wiedzy o akcjach bojowych Centrum jak ja. Nie musisz się martwić, że jakiś cywil zdekonspiruje całą 'Operację.

-

Wcale się nie martwię - odparł Herbert.

I to była prawda. Mike Rodgers potrafił uszczelnić wszelkie przecieki. Ale mylił się co do jednego.

Jego plan jednak kogoś zaalarmował, a tym ' kimś był Bob Herbert.

Szef wywiadu wiedział, że w ostatnich latach zmiesiło się przeznaczenie NORAD.

Kiedyś strzegł on przestworzy na wypadek ^zagrożenia spoza granic Stanów Zjednoczonych, obecnie pilnował nieba pod kątem ataków terrorystycznych. Do centrali systemu płynął nieprzerwany strumień danych ze wszystkich portów lotniczych w kraju. Każde większe odchylenie od przedłożonego planu lotów mogło zakończyć się ^poderwaniem w powietrze patrolu myśliwców i zniszczeniem samolotu. "Herbert nie wiedział jednak, że ostatnio NORAD nawiązał bliską współpracę ze strukturami niewojskowymi. Do tej pory skłonny był sądzić, że 187

bariery między wojskiem a prywatnym biznesem są nie do przejścia. Czy jednak dotyczyło to również firm walczących zażarcie o lukratywne kontrakty rządowe, do których należał Unexus? Jak bardzo ośrodki takie jak Cheyenne Mountain, dotychczas nastawione wyłącznie na działalność wojskową, ingerowały w świat cywilów? Czy Departament Obrony miał dostęp do cywilnych baz danych, materiałów pochodzących z inwigilacji i innych technik dochodzeniowych? Herbert był przekonany, że powiązania są bardzo rozległe.

-

Wiesz, co myślę, Bob? - spytał Rodgers.

-

Prawie zawsze.

-

Jesteś nadmiernie podejrzliwy, jak zwykle zresztą - powiedział generał. -

Zaufaj mi. To operacja bardzo dokładnie zaplanowana i prowadzona pod pełną kontrolą. Nie żadne działanie bez przygotowania, jak to kiedyś bywało. Wiesz co?

Cieszę się, że pracujesz z nami.

-

Ja też - mruknął Herbert. Powiedział to bez entuzjazmu, ale nie skłamał. Obraz sytuacji, biorąc pod uwagę wojskową kontrolę nad Centrum Szybkiego Reagowania i to, czego właśnie dowiedział się o NORAD, stawał się coraz wyraźniejszy. I był to obraz zdecydowanie niepokojący.

Skończywszy rozmowę z Rodgersem, Herbert zadzwonił do McCaskeya. Były agent FBI właśnie wrócił i powiedział, że wpadnie za kilka minut. Czekał na niego, Herbert przejrzał akta osobowe żołnierzy, których zdjęcia miał przesłać Rodgersowi.

Czuł się tak, jakby miał zadenuncjować każdego z nich. To prawda, ryzyko było nieodłączne w tej robocie. Wiedział o tym Herbert, wiedziała też jego żona, kiedy decydowali się na wyjazd do

Bejrutu. Ale tym razem było inaczej. Pomagał wystawić na strzał czworo ludzi nie w związku z konkretnym zadaniem, ale raczej z czymś, co zgodnie z jego przecuciem miało być częścią jakiejś o wiele szerszej zakrojonej operacji. Operacji, której jeszcze nie potrafił zidentyfikować. Musi się dowiedzieć, o co w tym wszystkim chodzi. Dopiero wtedy będzie mógł podjąć decyzję, co z tym zrobić.

Zadzwoił do generała Carrie, aby uzyskać pozwolenie na wysłanie zdjęć. Udzieliła mu go, ale z jej tonu wyczuł, że mu do końca nie dowierza. Szef wywiadu wychodził

z marazmu, wracał do życia. Niestety, nie był zachwycony faktem, że bodźcem do działania był potencjalny konflikt z ludźmi, stojącymi po tej samej stronie barykady.

188

## ROZDZIAŁ 38

Zhuhai, Chiny Środa, 22.00

(Generał Tam Li siedział w wielkim gabinecie i wyglądał przez otwarte Fokno.

Szyby były czyste mimo pyłu niesionego przez wiatr, stale wiejący znad cieśniny.

Wyzaczył ludzi do ich czyszczenia oraz do dokładnego sprzątnięcia terenu. Chciał, aby w obiektywach kamer amerykańskich satelitów szpiegowskich widać było, że zarządza doskonale utrzymanym, okazałym obiektem. Z tego samego powodu wszyscy tu nosili broń i nigdy nie pozostawiali bezczynni, zwłaszcza na zewnątrz zabudowań. Amerykanie musieli wiedzieć, że chińska armia jest zdyscyplinowana i w każdej chwili gotowa ruszyć do boju. Nie jak wojska państw Trzeciego Świata, z którymi Stany Zjednoczone walczyły po zakończeniu wojny z Japonią.

Nocne niebo było czyste, jeśli nie liczyć kilku niskich, rzadkich obłoków. Z góry spływało na ziemię światło księżyca w pełni. Wierzchołki drzew poruszały się lekko poniżej okien trzeciego piętra. Ich ruch i wydawany przez nie dźwięk miały kojące działanie. W gabinecie nie paliło się światło. Nie liczyło się nic oprócz widoku, drzew oraz przemyśleń i ambicji ' generała. Niebo i morze nie są w stanie im dorównać, pomyślał chętnie. ■ Przypomniał sobie wyznawaną od dawna zasadę: jeśli człowiek nie potrafi marzyć o rzeczach większych niż to, co jest w stanie objąć wzrokiem, to znaczy, że ma ograniczoną wyobraźnię. Temu zaś, kto nie potrafi marzyć, bliżej do małych, nie do gwiazd.

Na przykład przywódcy z Tajpej. Jakże byli krótkowzroczni, ograniczeni 4

niezawodnie przewidywalni.

' Tajwańscy wojskowi zareagowali dokładnie tak, jak przewidywał Tam Li.

Głównodowodzący sił zbrojnych Tajwanu postawił w stan gotowości lotnictwo i marynarkę wojenną, tak jakby działał według godzinowego rozkładu, w taki sam sposób, jak zawsze. Był to tajwański pokaz siły oraz Strategii w sytuacji zagrożenia.

Ponieważ ani siły powietrzne, ani morskie We zrobiły nic ponad to, co czyniły do tej pory, Tajpej uznawało, że Chiny jbie odczytają tego jako zagrożenie. Pekin nigdy nie odpowiadał na podobne demonstracje, a więc sytuacja nie powinna się zaognić.

Tam Li także nie uważał sytuacji za niebezpieczną. A jeśli stanie się coś, co sprawi, że zagrożenie faktycznie się pojawi? Może ktoś taki jak „zou Szin chce wykorzystać chwilę, aby osłabić wojsko, oslepiając „go nowy punkt obserwacyjny na niebie? A może zechce przenieść arenę

189

wojny z generałem na terytorium Chin? Pekin może zostać zdezorientowany. Czyżby Tajpej miało zamiar wykorzystać katastrofę jako pretekst do wystąpienia przeciwko prawowitej władzy w Chinach?

Oczywiście, to możliwe, pomyślał Tam Li. W sumie właśnie na to liczył.

Za otwartym oknem rozciągało się mroczne morze, szerokie i głębokie nadzieją, scena dla realizacji jego marzeń. Najpierw nastąpi chwilowa konsternacja i zamieszanie, kiedy władze dowiedzą się o zdradzie Czou Szina. Ale wkrótce Tam Li przejmie inicjatywę i znajdzie się w centrum uwagi.

Rozległo się delikatne pukanie do drzwi.

-

Wejść - powiedział generał, odwracając się plecami do okna.

Szczęknęła klamka, drzwi otworzyły się i do środka wszedł szef służby bezpieczeństwa.

-

Panie generale, nieprzyjaciel zaczyna się ruszać - zameldował.

-

Czy są jakieś odstępstwa od zwykłej procedury? - spytał Tam Li.

-

Nie ma żadnych, panie generale. Wszystko przebiega zgodnie z pańskimi przewidywaniami.

-

Co z jachtami?

-

Pańscy współpracownicy z Japonii przekazali przez radio, że są już na miejscu -

raportował dalej szef służby bezpieczeństwa. - Trzeci cel, płynący z Australii, osiągnie wyznaczoną pozycję za godzinę.

-

Czy zatwierdził pan plany ucieczki?

-

Właściciele przesiądą się z jachtów do śmigłowca, w obawie o swoje bezpieczeństwo, dokładnie w chwili, kiedy nieprzyjacielska flota pojawi się na ich radarach. Jachty zawrócą i odpłyną, kiedy zorientują się, że są celami.

Tam Li się uśmiechnął.

-

Czy przekażą sobie tę informację przez radio?

-

Będą utrzymywały bezpośrednią łączność między sobą, panie generale.

-

A my przechwycimy i nagramy ich wzajemne rozmowy?

-

Tak jest, panie generale.

-

Dziękuję panu - powiedział generał. - Za kilka minut zejść na stanowisko dowodzenia.

-

Uprzedzę ich o tym, panie generale.

Tam Li usłyszał zamykające się drzwi. Chwilę później księżyc wyszedł zza chmury i światłość rozlała się po powierzchni morza. Widok był piękny, ale nie tak zajmujący jak to, co stanie się za kilka godzin.

190

Tam Li wraz ze swoim sztabem potajemnie organizował największy ' kontratak wojskowy w nowoczesnej historii Chin. Realizację podzielono na fazy, aby zachować całkowitą dyskrecję, także przed własnym rządem. Ponad sto myśliwców sił

powietrznych i lotnictwa marynarki wojennej bez przerwy patrolowało chińskie wybrzeże. Ochrona granicy morskiej była jednym z priorytetów chińskich pilotów bojowych. Zanim Tajwańczycy dolecą do strefy granicznej i zawrócą, osiemdziesiąt chińskich samolotów przystąpi do ataku na ostatnie maszyny nieprzyjaciela. W ten sposób lecące z przodu dywizjony zostaną odcięte od reszty i przechwycone przez drugą falę chińskich myśliwców, złożoną z pozostałej dwudziestki i pięćdziesięciu kolejnych, które wystartują natychmiast z lotnisk na wschodnim wybrzeżu. W tym czasie trzy nowoczesne okręty podwodne typu Song, wcześniej wyprowadzone w morze, odpowiednim manewrem ustawią się za tajwańską flotą. Okręty eskortowe grup bojowych zostaną zatopione, a niszczyciele otoczone.

Do tego czasu w Pekinie rozumieją, co się stało, ale będzie już za późno na honorowe wycofanie się i odwołanie kontrataku. Tajpej zaprotestuje, tłumacząc, że przeprowadziło tylko rutynowy patrol. Ale ten protest będzie zbyt słaby i spóźniony.

Na podstawie informacji dostarczonych przez generała Tam Li władze w Pekinie stwierdzą, że tajwańskie siły ekspedycyjne wykroczyły w swych działaniach poza standardowe procedury. Nieprzyjaciel przypuścił atak z zaskoczenia po katastrofie satelity, której się t spodziewał albo nawet spowodował. Podejrzenia generała zostaną natychmiast szeroko rozpowszechnione, podobnie jak nagrania pełnych paniki komunikatów, przechwyconych z jachtów. Wszystko to wywoła wrażenie, że agresorem jest Tajwan.

Teraz nieprzyjaciel nie będzie miał żadnych szans na zwycięstwo.

Tajwańscy marynarze zostaną przewiezieni do Chin, osadzeni w obo-|zach, a po pewnym czasie uwolnieni. Fakt ten będzie można wykorzystać do uzyskania dalszych korzyści politycznych. Czou Szin zostanie losządzony, skazany i stracony za przygotowanie eksplozji oraz zamachu |bombowego na terytorium Stanów Zjednoczonych. W ten sposób generał Ipozbędzie się jednego źródła zagrożenia.

W tym samym czasie Tajwań-|czycy poniosą szybką i ostateczną klęskę w cieśninie. Z

uwagi na sojusz iobronny z Tajwanem Stany Zjednoczone zostaną zmuszone do konfrontacji, z której jednak nie będą miały szansy wyjść zwycięsko. Jedyne, do sgo doprowadzą, to impas we wzajemnych stosunkach, który osłabi ich vy na Dalekim Wschodzie, a zwiększy znaczenie Pekinu.

191

Tam Li nie poświęcał większej uwagi skutkom związanym z „detonatorem” - tym mianem określał zniszczenie satelity. Rakieta miała eksplodować na wyrzutni, a siła wybuchu i promieniowanie zabiją lub śmiertelnie porażą wszystkich obecnych na miejscu przedstawicieli najwyższych władz Chińskiej Republiki Ludowej. Odwróci to uwagę rządu od potężnego kontrataku wymierzonego w tajwański korpus ekspedycyjny. W nadchodzących dniach Tam Li i jego współpracownicy awansują na dzielnych obrońców ojczyzny. Staną się ludowymi bohaterami.

A potem przejmą władzę w nowych, zmilitaryzowanych i ekspansywnych Chinach.

Pekin, Chiny Środa, 23.08

Mike Rodgers rozłożył na łóżku plan ośrodka lotów kosmicznych Xu-chang.

Szczegółowa mapa była wielkości koca. Na ekranie laptopa widniały zdjęcia satelitarne obiektu. Rodgers wydrukował kopie planów rakiety i jej ładunku, leżały na podłodze wraz z mapą przyległych sektorów. Na mapie zaznaczono linie transportu publicznego, które dochodziły prawie pod samą południowo-wschodnią bramę ośrodka. Większość naukowców mieszkała jednak na miejscu ze względu na bezpieczeństwo i wygodę.

Były generał stał pośrodku sterty papierów. Spoglądał na nie z góry, przerzucając wzrok z miejsca na miejsce. Rodgers zwykle najchętniej rozwiązywał problemy poprzez, jak mawiał, „wyskubywanie opcji”. Brał pierwszą możliwość, która przychodziła mu do głowy, i przechodził do następnego problemu. Te pierwsze myśli zwykle okazywały się najlepsze.

Zakładając, że chodzi o unicestwienie rakiety, dopuszczał trzy możliwości. Po pierwsze, rakietę mogła zostać zniszczona nad jakimś konkretnym celem.

Spowodowałyby to skażenie radioaktywne terenu oraz zaprzestanie na długi czas stosowania generatorów jądrowych jako źródeł zasilania satelitów. Taki scenariusz nie byłby korzystny dla generała Tam Li, za to w dalszej perspektywie czasowej wzmocniłby pozycję jego rywala, Czou Szina. Po drugie, rakietę mogła eksplodować podczas startu. Oznaczałoby to śmierć wielu przedstawicieli władz państwowych, a także poważne ograniczenie zdolności Chin do wystrzeliwania jakichkolwiek rakiet, czy

192

to cywilnych, czy bojowych. Obaj przeciwnicy walczyli o władzę, obaj skorzystaliby więc na próżni, która by się wówczas wytworzyła. Po trzecie, mogło chodzić o zniszczenie samego satelity, kiedy znajdzie się już na orbicie. To uderzyłoby w Unexus, ale na pewno nie w chińską armię. Opcja ta byłaby też na rękę Czou Szinowi, który zdecydowanie popierał izolacjonizm.

Wszystkie trzy możliwości były prawdopodobne. Chodziło o to, w jaki sposób im zapobiec. Wzrok Rodgersa powędrował ku kopii planów rakiety. Jego pracownicy zaznaczyli na nich miejsca, w których bomba dokonałaby najpoważniejszych zniszczeń. Będzie musiał zlecić ekipie chińskich techników sprawdzenie wszystkich tych zakamarków.

Paul Hood poinformuje go, kto jest obecny, a kto wyszedł przed końcem. To może być znak, że do zamachu dojdzie podczas startu. W wypadku eksplozji o takiej sile potencjalny sprawca będzie wolał znaleźć się daleko. Mimo to Rodgers miał zamiar trzymać się w pobliżu, aby umożliwić zamachowcy ucieczkę i nadzorować przeciwdziałanie.

Zadzwoił Bugs Benet z Centrum Szybkiego Reagowania. Podał Rodgersowi informacje o sposobie kontaktu z dowódcą oddziału terenowego.

-

Przyjdzie do pańskiego hotelu jako posłaniec - powiedział Benet. Rodgers podziękował.

-

Co u pana słyhać? - spytał.

-

Tak sobie - odparł Benet. - Generał Carrie woli mieć wojskowego sekretarza.

Sytuacja jest niepewna. Nie wiem, czy znajdzie się tu dla mnie jakieś inne stanowisko.

i - Może mógłby pan pracować z Paulem? | - Nie prosił mnie o to.

| - Może jeszcze poprosi - pocieszył go Rodgers. - A jeśli nie, to pogadam z ludźmi ze swojej firmy.

-

Będę zobowiązany, panie generale.

1 Rodgers odłożył komórkę i wrócił do studiowania dokumentów Pochylał się nisko na wypadek, gdyby w pokoju zainstalowano kamery monitorujące. Kiedy odchodził, składał je lub odwracał na drugą stronę. Zaznaczał pisakiem miejsca na planie rakiety, które naukowcy uznali za nieco Saniej wrażliwe, ale za to prawie niewidoczne. Bomby tam umieszczone taogły zmienić wyważenie rakiety, nie powodując jej destabilizacji. Nawet ■ecałe trzy kilogramy materiału wybuchowego umocowanego z dala od i, na przykład na stateczniku, szybko sprowadzą raketę z obranego kur-To mogło dodatkowo ułatwić robotę sprawcy, jeśli chciał spowodować

- Wojna orłów

193

eksplozję w pobliżu miejsca startu. Generał złożył kopie planów i zajął się mapą terenu ośrodka. Dysponował czterema żołnierzami piechoty morskiej do pilnowania tysiąca dwustu kilometrów kwadratowych. Gdyby mógł wykluczyć atak z ręcznej wyrzutni raketowej, można by ograniczyć obszar patrolowania do terenu otaczającego stanowisko startowe. Ale czy wolno było zrobić takie założenie?

Chyba będziemy musieli, pomyślał.

Użycie ręcznej wyrzutni rakiet nie pasowało do obrazu żadnego z potencjalnych zamachowców. Można też było liczyć na to, że chińskie służby bezpieczeństwa potrafią wykryć jedno-lub dwuosobowy zespół z wyrzutnią rakiet. Trzeba więc założyć, że atak nastąpi z bezpośredniej



odległości.

Pracując nad możliwą wersją przyszłych wydarzeń, Rodgers czuł się jak pracownik Centrum, a nie firmy Unexus. Mimo iż niebezpieczeństwo groziło projektowi jego pracodawcy, lubił ten stan podniecenia przed akcją. Dodatkową przyjemność sprawiał mu fakt, że współpracował teraz z wojskowym specjalistą, a nie z Paulem Hoodem. Generał Carrie mogło się nie podobać to, o co prosił, ale zadawała prawidłowe pytania i podjęła słuszną decyzję.

Teraz on musi zrobić to samo.

Rodgers zamówił kolację do pokoju. Zakreślił kilka punktów dookoła platformy startowej i stanowiska kontrolnego, skąd będzie widoczny prawie cały personel obsługujący start. Ładunek wybuchowy powinien zostać podłożony w końcowej fazie odliczania, jeśli zamachowiec chce uniknąć wcześniejszego wykrycia. Gdyby tak zrobiono, z tych miejsc sprawca powinien być widoczny.

Dokładnie godzinę po telefonie Beneta recepcjonista poinformował go, że ktoś chce się z nim widzieć. Rodgers spytał kto.

- Poślaniec z przesyłką od nadawcy o nazwisku Herbert - poinformował pracownik hotelu.

Rodgers poprosił o wpuszczenie poślanca na górę. Przełknął kęs smażonego tuńczyka z zapomnianej kolacji, potem podszedł do telewizora i włączył odbiornik. Nie wiedział, czy w Pekinie już przestali instalować podsłuch w pokojach zajmowanych przez cudzoziemców, wołał więc nie ryzykować.

Młody człowiek, który po chwili stanął w drzwiach, wyglądał dokładnie tak, jak sobie Rodgers wyobrażał. Był to ponury młody człowiek o twardym spojrzeniu, szerokich barach i wyprostowanej sylwetce, ubrany w oliwkową kurtkę z odblaskowym paskiem z tyłu. Sprawiał wrażenie,

194

jakby jeździł po mieście skuterem, a następnie używał go jako sztangi do wyciskania w pozycji leżącej. Podał generałowi paczkę i podkładkę z przypiętym dokumentem.

-

Proszę pokwitować - powiedział.

Rodgers zaprosił go do środka. Młody człowiek wszedł, a generał wysunął głowę na korytarz i rozejrzał się w obie strony.

Poślaniec wskazał na swoje oczy i złożył palce w cyfrę zero. Miało to oznaczać, że już sprawdzał i nikogo nie było. Najwyraźniej wiedział także, że w pokoju może być podsłuch.

Rodgers kiwnął głową i zamknął drzwi, a potem podszedł do telewizora.

Posłaniec ruszył za nim. Przechodząc koło łóżka, spojrzął na porozkładane papiery.

Nie były teraz złożone, ale Rodgers i jego gość zasłaniaли je. Oczy posłańca pracowały jak u robota, zatrzymywały się na chwilę i zaraz przenosiły dalej. Była to standardowa metoda stosowana podczas rozpoznania, zwana przepływem danych.

Każdy dostrzeżony istotny szczegół żołnierz zachowywał w pamięci aż do momentu, kiedy mógł o nim zameldować bądź zapisać w bezpiecznym miejscu.

Generał nie zadał pytania o nazwisko ani o żadne dane osobowe jego czy innego członka grupy.

-

Co wiesz na temat zadania?

-

Powiedziano nam, że pan nam wszystko wyjaśni - odparł żołnierz.

-

Plan dopiero powstaje - powiedział cicho Rodgers. Rzucił okiem na papiery. -

Będę nad nim pracował jeszcze przez kilka godzin. Oto mapa. Muszę ustalić miejsce spotkania, zanim wejdziemy do środka.

-

Generał Carrie zapewniła nas, że podczas wykonywania zadania nie ; będzie nam towarzyszyła żadna osoba cywilna - powiedział żołnierz.

, Rodgers nie wiedział, co powiedzieć, milczał więc przez dłuższą chwile-h

-

Przykro mi, ale sądziłem, że pan o tym wie - dodał posłaniec.

-

Nie - rzucił Rodgers.

W głosie żołnierza nie było tonu przepraszającego ani żadnych innych emocji.

Rodgers niczego innego nie oczekiwał. Żołnierze piechoty morskiej uważali się za przedstawicieli swoich dowódców, niewzruszenie dumni i lojalni. Rodgers dawał się ponieść uczuciom. Wściekał się, gdy go pomijano czy robiono w konia. Zgodzi się, żeby Hood reprezentował ich na stanowisku

obserwacyjnym. Jeżeli nie wejdzie z oddziałem piechoty morskiej jako jeden z „doradców technicznych”, to w ogóle nie weźmie

195

udziału w akcji. A jeśli spróbuje się tam wcisnąć na siłę, Carrie może wycofać swoich ludzi.

-

Proszę tu poczekać i poczęstować się kolacją. W tej chwili nie mam jakoś apetytu - powiedział i poszedł po komórkę.

Podniósł telefon z łóżka i wszedł do łazienki. Zamknął za sobą drzwi i odkręcił

prysznic, żeby uniemożliwić podsłuchanie rozmowy. Zadzwoił do Carrie. Benet przełączył rozmowę do jej gabinetu.

-

Domyślam się, że mój posłaniec jest na miejscu. Czy ma już pan odpowiedzi na wszystkie moje pytania? - zaczęła Carrie.

-

Prawie - odparł Rodgers. - Najpierw jednak ja zadam pytanie. Dlaczego zostałem wyłączony?

-

Nie został pan wyłączony. Nigdy pan nie był brany pod uwagę. To jest zabawa wyłącznie dla członków klubu - powiedziała. Wciąż mówiła ogólnikami, co przypomniało mu, że mogą być na podsłuchu.

-

Chciałbym to zmienić.

-

Nie.

-

Dodatkowa para oczu może się przydać do pracy i wpłynąć na poprawę bezpieczeństwa - nalegał Rodgers.

-

A ja uważam, że jedna lub więcej par oczu będą stale skierowane na pana, żeby przypadkiem nie się panu nie przytrafiło. To strzał do własnej bramki.

-

Traktuje mnie pani tak, jakbym nie miał pojęcia o tej robocie - rzucił przez zaciśnięte zęby Rodgers.

-

Nie jestem powołana do tego, by oceniać pańskie predyspozycje, dlatego odrzucam pańską prośbę.

-

Proszę pogadać z Augustem - nie ustępował Rodgers.

Pułkownik Brett August był dowódcą oddziału Striker, wchodzącego niegdyś w skład Centrum Szybkiego Reagowania. Po jego rozwiązaniu przeszedł do pracy w Pentagonie.

-

Mam pełne ręce roboty przy przeglądaniu życiorysów aktualnie zatrudnionego personelu - powiedziała Carrie. - Rozmawianie z byłym pracownikiem na temat innego byłego pracownika nie należy do moich najpilniejszych zadań. Rozumiemy się czy nie? Mam masę pracy.

-

Oczywiście, że się rozumiemy - zapewnił ją Rodgers. Bezpieczeństwo rakiety przede wszystkim. - Ale mogę się im przydać.

-

Właśnie dlatego jest u pana posłaniec...

-

Czy pozwoli pani, aby on zdecydował o moim udziale? - spytał niespodziewanie.

196

-

Nie - padła odpowiedź.

Generał Carrie się rozłączyła. Rodgers złożył telefon i wsunął go do kieszeni. Jego ręka spoczywała na białej porcelanowej umywalce. Nagle stwierdził, że czubki palców także ma białe. Nie zdawał sobie sprawy, jak mocno ścisnął jej krawędź.

Zwolnił uchwyt i poruszał palcami. Zerknął na drzwi. Wydawało mu się, że zobaczył

cień poruszający się na wypastowanej posadzce. Nie wiedział, czy żołnierz podsłuchiwał. Zresztą nie miało to żadnego znaczenia. Nie było czego słuchać. Przez chwilę zastanawiał się nad telefonem do Hooda, ale prawdopodobnie powiadomił już premiera, że to on będzie mu towarzyszył. Rodgers nie był pewien, co nim powodowało. Nie wiedział, czy chce strzec rakiety, czy raczej dopaść generał Carrie i wykrzyzczyć z całych sił, że ma ją w dupie. Zakręcił prysznic, wrócił do pokoju i stanął koło telewizora ze wzrokiem wbitym w podłogę.

-

Wszystko w porządku? - spytał żołnierz.

Niezupełnie, uznał Rodgers. Chciał być na miejscu, aby dopilnować ładunku Unexusa, chciał też dać nauczkę generał Carrie. Potrafił zrozumieć jej troskę, ale nie pojmował ślepego uporu. Regulamin wojskowy dopuszczał udział cywilów w akcji.

Podczas pracy w Centrum Rodgers często prowadził do akcji ludzi z zewnątrz. W

Wietnamie nawet nalegał na ich zatrudnienie w charakterze przewodników. Chociaż już nie nosił munduru, przez wiele lat służył swemu krajowi duszą i ciałem, w jego obronie był gotów przelać krew i oddać życie. Zasłużył na coś więcej niż chłodna odmowa ze strony generał Carrie.

Co gorsza, musiał na czymś wyładować rosnącą złość. Ale na pewno nie na stojącym przed nim żołnierzu.

-

Zapoznam cię ze sprawą-powiedział Rodgers.

-

Tak jest, proszę pana.

-

Ile masz lat? - spytał Rodgers.

-

Dwadzieścia sześć.

-

Mam za sobą więcej lat służby wojskowej.

-

Wiem, proszę pana.

-

Udostępnili ci moje dane?

-

Tak jest, proszę pana - potwierdził żołnierz.

-

I co o tym sądzisz?

-

Proszę pana, nie jestem powołany do...

-

Zadałem pytanie - przerwał mu Rodgers.

-

Pańskie pytanie mnie onieśmiela-zastrzegł żołnierz.-Gdybym zrobił połowę z tego, czego pan dokonał, uznałbym, że nie zmarnowałem życia.

197

To była zaskakująca wypowiedź.

-

Mówisz tak, żeby mi zrobić przyjemność?

-

Pańskie pytanie potraktowałem jak rozkaz, panie generale. Dodam jeszcze, że jak na kogoś, kto nie służył w piechocie morskiej, skopał pan całkiem sporo tyłków.

Rodgers nie zdołał powstrzymać uśmiechu. Poczuł, że miecz wypada mu z dłoni. Nie był jeszcze całkiem rozbrojony, ale nie odczuwał już palącej potrzeby ścięcia paru głów.

-

Na pewno nie masz ochoty na coś do jedzenia albo do picia? - spytał.

-

Nie, dziękuję.

-

No to chodźmy na moje stanowisko dowodzenia. - Rodgers klepnął żołnierza w ramię i skierował do papierów leżących na łóżku i na podłodze.

## ROZDZIAŁ 40

Waszyngton Środa, 12.00

Po wyjściu z gabinetu pani generał, Liz sprawdziła pocztę elektroniczną i głosową.

Pod jedną pachą niosła notebooka, w drugiej trzymała kubek z kawą. Pośrodku zaś znajdowało się serce, bijące nieco szybciej, niżby tego chciała, a także skrócony oddech, który ją zaniepokoił.

Liz nie wiedziała, czy przyczyną jej obaw było poruszenie tematu jej własnego zatrudnienia, czy też coś innego. Spodziewała się, że będzie musiała przejść tę samą procedurę co inni pracownicy. Nie wiedziała natomiast, czy jako psycholog będzie uczestniczyła w swojej własnej ocenie. Była ciekawa, jak generał Carrie podejrze do tej sprawy.

Ciekawa i być może upokorzona, pomyślała.

Liz nigdy nie widziała swoich akt. Dostęp do nich miał wyłącznie dyrektor Centrum i szef działu zatrudnienia. Mimo to wiedziała, że musi w nich być pewien zapis. Ze względu na jednorazowy charakter czynu Paul Hood był zmuszony wpisać odpowiednią informację.

Wróciła do swego skromnego gabinetu. Znajome, bezpieczne otoczenie pozwoliło jej nieco się odprężyć. Nie miała i nie chciała żadnego pomocnika rodzaju ludzkiego.

Wszystko robiła dla niej rodzina komputerów, które traktowała jak ludzi. Kiedyś jej uzdolniona koleżanka na samoprzylepnych

198

karteczkach wyrysowała wizerunki jej komputerów. Wykonane długopisem szkice przedstawiały żywnościowe wcielenia jej procesorów. Kartofel przechowywał

wiadomości głosowe. Kukurydza gromadziła e-maile. Herbatnik zawiadywał

kalendrzem, a niesławny Byk aktami personalnymi. Dobry interes pilnował jej finansów, co było łatwym zadaniem, bo poza niezbyt częstymi zleceniami na konsultacje jej jedynym źródłem dochodów był etat w Centrum. Dokumentacja tajnych operacji, w tym profile zagranicznych i miejscowych przywódców, były domeną Czekoladki. Tymi materiałami Liz zarządzała wspólnie z Bobem Herbertem.

Rodzina komputerów pracowała bez popędzania i nie potrzebowała urlopów.

Potrafiła nawet odpowiadać na różne rodzaje wiadomości pisanych i mówionych, które nadeszły, kiedy Liz była poza gabinetem.

Dla zakładowej psycholog układ taki miał zarówno zalety, jak i wady. Nie przytrafiały się żadne sprzeczki, czasem tylko jakieś drobne dolegliwości, szybko naprawiane przez Matta Stolla i dział techniczny. Z drugiej strony, brakowało jej kontaktu z ludźmi, całymi dniami nie mogła przeprowadzać badań. Jako studentka, która powoli godzi się ze swym niezbyt tradycyjnym życiem, Liz patrzyła dokoła i przyglądała się innym, jakby uczestniczyli w jej własnym serialu telewizyjnym.

Aktorzy byli całkiem dobrzy, a jej przewidywania co do ich reakcji oraz tego, jak potoczy się akcja, sprawdzały się w zadziwiająco wysokim procencie.

Liz miała jeszcze wrócić do gabinetu szefowej na roboczy obiad. Cieszyła się z tej chwili wytchnienia, nie dlatego że zmęczyło ją przeglądanie akt osobowych i sporządzanie szkiców osobowościowych, ale ze względu na zwiększone zapotrzebowanie na kawę i nikotynową gumę do żucia.

Musiała także odetchnąć od Morgan Carrie. Myśl o pani generał znowu spowodowała skrócenie oddechu. Tym razem nie miało to nic wspólnego z jej własnymi aktami osobowymi.

Niech to szlag, pomyślała.

Postawiła notebooka i kubek na biurku i opadła na fotel. Wylądowała z większym impetem, niż się spodziewała, i o mało nie przewróciła się do tyłu. Gwałtownie wyciągnęła ręce przed siebie.

Potrzebna mi równowaga, pomyślała, poprawiając się na fotelu. Wyjęła kostkę gumy do żucia z opakowania i włożyła ją do ust. Wciąż jeszcze | nie zdołała się opanować.

Westchnęła głęboko, odrzuciła z czoła kręcone ; kasztanowate włosy i próbując odwrócić uwagę od siebie, zaczęła przeglądać e-maile. Przebiegała wzrokiem słowa, nie rozumiejąc ich sensu. Serce > znowu przyspieszyło rytm.

199

Pani generał była imponującą kobietą. Po Paulu Hoodzie i jego nudnym stylu rządzenia, opartym na kompromisie, umiejętność podejmowania szybkich decyzji przez Carrie, czy to na podstawie informacji, czy też całkiem intuicyjnie, sprawiała bardzo ożywcze wrażenie.

Czy to wystarcza? - spytała się w duchu Liz. Ożywcze wrażenie?

Przestała przeglądać e-maile. I tak będzie musiała zrobić to jeszcze raz. Nalała sobie kawy z dzbanka stojącego za jej plecami. Napój z porannego parzenia był



mocniejszy. Było jej wszystko jedno. Skrzywiła się, dalej żując nikotynową gumę.

Walcząc z jednym nałogiem, wpadała w następne uzależnienie.

Cholera jasna, pomyślała ze złością. Jej życie nie ma żadnego sensu. Zrezygnowała z jednego związku, ponieważ utrzymywanie go zbyt wiele jąkosztowało. Teraz wyobraźnia popychała ją do kolejnego, który nie miał szans. A nawet gdyby jakoś się udało, oznaczałoby to dla niej zawodową katastrofę. Jako psycholog wiedziała doskonale, że bywa lekkomyślna. Niestety, jest tylko człowiekiem. Zrozumieć problem, a umieć mu zaradzić - to dwie odmienne sprawy, bardzo różniące się od siebie.

Wzięła kubek i poszła z powrotem do gabinetu szefowej. Jedyne rozwiązanie to iść prosto naprzód. Kiedyś już przytrafiło jej się zadurzyć w wykładowcy. Spróbuje poradzić sobie tak samo, jak wtedy. Skupi się wyłącznie na pracy i wszystko będzie dobrze.

Bugs zamówił kanapki. Liz usiadła i otworzyła swoją sałatkę jajeczną. Carrie wybrała pieczeń wołową. Serce Liz zwolniło, ale tylko trochę. Generał patrzyła na ekran monitora, kiedy Liz weszła do gabinetu. Przykleiła gumę do krawędzi pojemnika, zanim zabrała się do jedzenia.

-

Została już tylko jedna osoba, o której nie rozmawialiśmy - powiedziała Carrie.

-

Wiem - odparła Liz. Serce znowu wskoczyło na maksymalne obroty. Poczła się zupełnie bezbronna. Nie chodziło o to, co napisał o niej Hood, ale o strach, dokąd doprowadzają kolejne pytania. Miała tylko nadzieję, że Carrie uzna istnienie granicy między pracą a życiem prywatnym.

-

Paul Hood nie miał o pani wiele do powiedzenia - stwierdziła Carrie.

-

Mówiłam już, że Paul nie przywiązywał wagi do mojej roli w Centrum -  
odparła Liz. Z duszą na ramieniu czekała na to, co musiało za chwilę nastąpić.

-

Wspomniał jednak o konflikcie między panią a nieżyjącą już Marthą Mackall -  
stwierdziła Carrie.

Oho, zaczyna się, pomyślała Liz ze strachem, którego ukłucie poczuła gdzieś w dole pleców.

-

Co napisał Paul?

-

Że pani Mackall oficjalnie zażądała, abyście panie uczestniczyły w oddzielnych odprawach - oznajmiła Carrie. - Tego samego dnia wycofała wniosek.

-

Doszło między nami do drobnego, przypadkowego nieporozumienia.

-

Paul pisze dalej, że pani Mackall początkowo uznała pani obecność za

„kompletnie i nieodwołalnie niemożliwą do zniesienia”. To dość mocne słowa jak na przypadkowe nieporozumienie.

-

Martha była silną kobietą.

-

Paul twierdzi, że odrzucił jej żądanie, czego skutkiem było jego wycofanie -

powiedziała Carrie i popatrzyła na Liz. - Czy nie zechciałaby pani opowiedzieć mi, co się właściwie stało?

-

Popieram całkowite ujawnienie prawdy - powiedziała Liz. Odłożyła kanapkę i pochyliła się do przodu. - Martha była przekonana, że się do niej zalecałam.

Słowo „zalecałam” ledwo przeszło jej przez gardło, jak grudka prawdy, którą o mało się nie udławiła.

-

Czy to prawda?

-

Nie. Jednak był taki moment... przyznaję, pani generał, byłam głupia i zupełnie nie zdawałam sobie

sprawy z tego, co robię. Wyszliśmy na górę, żeby powitać samolot wiozący członków Strikera, wracających z Korei Północnej. Martha i ja pracowałyśmy wspólnie przez... Chryste, prawie trzydzieści sześć godzin bez przerwy. To sprawiło, że się kompletnie zapomniałam. Po prostu miałam jakieś zacięcie. Obok mnie stała kobieta, byłam zmęczona i wydało mi się, że to koleżanka, z którą mieszkałam. Objęłam ją w talii i przyciągnęłam do siebie tak, jak to robię, to znaczy: robiłam, z Monicą. Martha się wściekła.

-

Czy wyjaśniła pani sytuację?

-

Oczywiście. I przeprosiłam ją za to, co się stało. Ale byli z nami Darrell, Bob i inni, a Martha bardzo dbała o swój wizerunek.

-

Czy Paul był na miejscu zdarzenia?

-

Nie. Poszła do niego po powrocie. Paul próbował załagodzić sprawę, ale Martha uparła się, aby odnotować to jako jednorazowy wybryk. Paul odmówił.

-

To ładnie z jego strony. Mógł tego użyć, aby zlikwidować pani etat.

-

Wiem. Zawsze byłam mu wdzięczna - powiedziała Liz.

-

Rozumiem jednak także punkt widzenia Marthy - oznajmiła Carrie. - Jej skarga miała na celu ochronę pani tyłka. Kobietom trudniej znaleźć drogę do raju. Lesbijki mają jeszcze gorzej.

201

-

Tak - powiedziała Liz. Chciała zapytać, skąd Carrie o tym wie. Może odważy się innym razem.

Carrie zamknęła plik archiwum i ugryzła kanapkę.

-

W porządku. Kadry twierdzą, że ostatnią zmianę w pani aktach wprowadzono siedem miesięcy temu.

-

To prawda.

-

To właśnie wówczas dokonała pani korekty w formularzu ubezpieczeniowym, zmieniając stan rodzinny ze „związku partnerskiego” na „wolny”.

-

Zgadza się - potwierdziła cichutko Liz. Fizyczne ucieleśnienie niepokoju, odczuwane w okolicach krzyża, zmieniło się teraz w delikatne łaskotanie.

-

W przypadku akt osobowych innych pracowników zaznacza pani wpływ małżeństw i rozwodów, zwłaszcza w przypadku Paula Hooda. Jednak we własnej sprawie nie wspomina pani o tym.

-

Nie miałam niczego do powiedzenia na ten temat.

-

Niczego, co mogłoby oddziaływać na pani pracę, tak jak rozwód Paula czy małżeństwo Darrella?

-

Nie.

Carrie przyjrzała się jej uważnie. Liz żuła powoli gumę, miała zamknięte usta, jej zuchwa wykonywała silne, zdecydowane ruchy. Wyglądała tak, jakby pilnie śledziła tok myślenia szefowej i rozważała jej ostatnie słowa.

-

W porządku - powiedziała Carrie i kliknąwszy myszką, zamknęła plik.

To wszystko? W porównaniu z procedurą wobec innych osób sprawa Liz została załatwiona prawie od ręki.

-

Czy jest pani pewna, że to wystarczy? - spytała Liz, czując, jak rytm jej serca zwalnia.

-

Gdyby było inaczej, powiedziałabym to pani - potwierdziła Carrie. - Czy to panią satysfakcjonuje?

-

Jak najbardziej - odrzekła Liz.

-

Proszę się nie niepokoić, naprawdę uważam, że nie popełniła pani żadnego wykroczenia. Prawdę mówiąc, nie podoba mi się wcale, że ten fakt znalazł się w pani aktach osobowych. Gdyby objęła pani Lowella albo Matta, nikt by tego nawet nie zauważył.

Liz z wdzięcznością przyjęła jej poparcie, chociaż było ono zupełnie chybione.

Nigdy, nawet przypadkiem, nie objęłaby żadnego mężczyzny.

Nie zmieniało to też faktu, że w generał Carrie było coś, co wydawało się Liz bardzo pociągające. Częściowo chodziło o jej niezachwianą pew-202

ność siebie. Monica Sheard była niezrównoważoną, niespokojną kobietą. Liz dała się uwieść jej talentowi i czułości, ale zaniżone poczucie wartości artystki oraz zazdrość doprowadziły ich związek do rozpadu. Od czasu zerwania Liz z nikim się nie spotykała i podobnie jak Hood i Herbert większość wolnego czasu spędzała w Centrum. Powiedziała kiedyś, nie całkiem żartobliwie, że służbom wywiadowczym wyszłoby na dobre, gdyby zaczęły zatrudniać wyłącznie te osoby, które straciły partnerów życiowych.

Carrie zmieniła temat, biorąc na tapetę drugą linię pracowników, takich jak Bugs Benet czy Kevin Custer z działu łączności elektronicznej. Między innymi chodziło jej o to, aby znaleźć osoby, które mogłyby zajmować się kilkoma dziedzinami naraz w sytuacji poważnego zagrożenia, takiego jak detonacja bomby elektromagnetycznej w Centrum Szybkiego Reagowania. Sporządzone przez Liz opinie o zachowaniu się pracowników podczas tamtego kryzysu stanowiły dla niej cenny materiał. W szczególności Custer, jako były wojskowy i absolwent MIT, spokrewniony z generałem George'em Armstrongiem Custerem przez generalskiego brata Nevina, zwrócił baczną uwagę Carrie.

Kołatanie serca i skoki ciśnienia ustępowały z wolna wraz z rozwojem wydarzeń tego dnia. Pracując z generał Carrie, znalazła sobie wygodną niszę, która dawała jej poczucie bezpieczeństwa i pozwalała ze spokojem patrzeć w przyszłość, zarówno własną, jak i całego Centrum.

Dobry nastrój pozwolił też Liz oderwać się od problemów osobistych i skupić na obowiązkach zawodowych.

Przynajmniej na pewien czas.

f pracy Czou Szina dwa dni oznaczały bardzo długi okres.

Szef Guoanbu leżał na wąskiej kanapie w pokoju operacyjnym. Miał na sobie jedwabny szlafrok. Na biurku stał obracający się wentylator. Już drugą noc z rzędu spędzał z dala od żony, córki i zięcia oraz wnuka. Tęsknił bardzo za malcem, za jego niewinnym spojrzeniem i radosnym uśmiechem. A nawet za jego szczerymi łzami.

Jego własny świat stał się szary i zastygł w ciszy po ostatniej eksplozji w nocnym klubie w Tajpej. Generał Tam Li nie zareagował na cios.

## ROZDZIAŁ 41

Pekin, Chiny Czwartek, 0.33

203

Kompletne milczenie zaalarmowało Czou Szina o wiele bardziej niż dziwaczne doniesienia wywiadu o nieuzasadnionych ruchach wojsk wzdłuż wschodniego wybrzeża. Na pewno Tam Li miał w zanadrzu jakieś poważniejsze posunięcie niż zamach w Durbanie. Jego sojusznicy w armii byli skłonni zrobić wszystko za odpowiednią cenę, i to niezwłocznie. A on sam nie należał do ludzi, którzy się wycofują albo puszczają zniewagę w zapomnienie.

Być może Tam Li wyczekuje okazji do bezpośredniego zamachu na życie swego adwersarza. To dlatego Czou Szin wolał nie wracać do domu. Gdyby miał stać się celem kolejnego ataku, nie chciał, aby coś złego spotkało jego bliskich. Nie sądził, aby Tam Li zamierzał z premedytacją zaatakować jego rodzinę. Byłby to postęp niehonorowy.

Szef chińskiego wywiadu popatrzył na zegarek. Za niecałe dwanaście godzin znajdzie się w Xichang wraz z generałem Tam Li i premierem. Być może generał

czeka na start rakiety. Sukces w kosmosie podniesie rangę Tam Li w oczach wojskowych. Albo powstrzyma się przed bezpośrednim działaniem, myśląc o odwecie mniej spektakularnym, ale dużo skuteczniejszym - objęciu wysokiego stanowiska politycznego.

Bez wątpienia jego celem jest stanowisko premiera, na które od dawna ostrzył sobie zęby Czou Szin. Skuteczny premier posiadał rzeczywistą władzę w państwie.

Prezydent i wiceprezydent koncentrowali się na polityce zagranicznej, premier mógł

zawierać porozumienia z ministrami. Mógł przejąć kontrolę nad bankowością, telekomunikacją, usługami, a nawet nad wojskiem. Mając szeroki dostęp do tajnych informacji, Czou Szin mógł wchodzić w łaski lub szantażować każdego, kogo tylko chciał, pod warunkiem że uda mu się uzyskać tekę premiera. Inaczej pozostanie posługującym się pochlebstwami i szantażem szefem wywiadu. To mogłoby wystarczyć Tam Li, ale nie Czou Szinowi. Dyrektor Guoanbu pożądał władzy nie dla siebie, ale dla potęgi komunistycznych Chin.

Oburzała go sytuacja, w której musiał walczyć o ten szczytny cel. Ta walka toczyła się wiele dziesiątek lat temu i została wygrana. Tam Li był więc zdrajcą.

Czou Szin nie potrafił sobie poradzić z dwiema rzeczami. Jedną z nich była całkowita nieumiejętność działania w próżni informacyjnej. Istniały przecież informacje o wszystkich ludziach i rzeczach. To, że nie trafiały do niego, oznaczało, że albo on sam, albo jego podwładni popełniają jakiś błąd. Druga sprawa, z którą sobie nie radził, to oczekiwanie. Dwa zamachy, które zorganizował, miały wywołać natychmiastową, przesadną

204

reakcję Tam Li. Nie rozumiał, dlaczego tak się nie stało. Czou Szin poniósł dwie porażki - znalazł się w próżni informacyjnej i zmuszono go do czekania.

Stary szpieg wstał z pryczy. Zapalił papierosa i zaczął chodzić po gołych klepkach podłogi piwnicznego pomieszczenia. Jeden z doradców ostrzegł go kiedyś, że jest to niebezpieczne miejsce, ma bowiem tylko jedno wyjście. To jednak nie przeszkadzało dyrektorowi. Oznaczało to, że jest także tylko jedno wejście. W szafce u węzłowania miał kilka automatycznych strzelb i pistoletów maszynowych, a także maskę przeciwgazową i zapas żywności na pięć dni. Nikomu nie będzie łatwo przejść przez żelazne wrota.

Pokój miał spartańskie wyposażenie, zielone ściany i kilka gołych żarówek zwisających z sufitu. Nie było w nim żadnej elektroniki, z mebli tylko najprostsze sprzęty. Można tu było mówić o strategiach i wywiadzie w całkowitej tajemnicy.

Dostęp do pokoju miał tylko Czou Szin i jego dwaj zaufani sekretarze. W czasach pełni władzy Mao Tse-tunga piwnicę tę wykorzystywano jako pokój przesłuchań, w którym „prostowano” orientację polityczną dysydentów. Duchy ludzi o złamanym charakterze nadawały temu miejscu specyficzną aurę, doskonale wyczuwaną przez dyrektora. Zarówno wówczas, jak i teraz Czou Szin miał ochotę wziąć do ręki szkicownik i węgiel i rysować obrazy, powstające w jego głowie. Dziwne kształty albo niewyraźne cienie, będące tylko konturami postaci. Czasem przyglądał się im i starał odgadnąć, czym są te kształty, stanowiące jakby okna do jego podświadomości.

Przypominały kleksy. Były to tylko majaki. To inni byli tutaj przesłuchiwani.

Dlaczego sam nie może siebie przesłuchać?

I Mao schodził tu często w pierwszych dniach po ustanowieniu reżimu. Nigdy osobiście nie przesłuchiwał zatrzymanych. Większość wrogów pragnęła stanąć dumnie tuż przed nim, aby zademonstrować, że kontrewolucja też ma swoich bohaterów. Mao schodził, rozmawiał z którymś z przesłuchujących, nie patrząc na więźnia, a potem wychodził. Jego brak zainteresowania przekonywał więźniów, że nie są nikim ważnym, że ich informacje nikomu nie będą potrzebne. Mało kto chciał

umierać za sprawę, która nikogo nie obchodzi.

Czou Szin nie wiedział, czy duch Mao jest tu obecny, ale ta myśl zawsze .odawała mu energii. Uświadamiała mu słuszność obranego kierunku i po-bę działania.

Spacerując tam i z powrotem, Czou Szin zastanawiał się, nie mogłaby dodatkowo podsunąć mu jeszcze czegoś. Pomysłu.

205

Wyszedł przed zakończeniem spotkania z Tam Li, wtedy widzieli się po raz ostatni.

Nie wymienili żadnych informacji, nie ustalili dalszych kontaktów. Jak zareagowałby generał Tam Li, gdyby Czou Szin zmienił sposób postępowania? Czy wykorzystałby szansę na rozmowę, czy raczej zachowałby powściągliwość? Był tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

Dyrektor wywiadu podszedł do telefonu na biurku. Aparat obsługiwał tylko jedną linię. Poza nim na biurku był jeszcze blok biurowy, kilka ołówków, dzbanek wody i szklanka.

Czou Szin połączył się z nocnym sekretarzem i polecił mu zlokalizować Tam Li.

Ponieważ generał miał być obecny przy starcie rakiety, przypuszczalnie był w Pekinie, może nawet w ośrodku kosmicznym. Z zaskoczeniem usłyszał, że jego adwersarz znajduje się zupełnie gdzie indziej.

-

Według grafiku dowództwa jest w tej chwili w Zhuhai - zameldował sekretarz.

-

Przyczyna wyjazdu?

-

Według opisu: w celu monitorowania na bieżąco ruchów wojsk tajwańskich, panie dyrektorze.

-

Przecież Tajpej zawsze wysyła oddziały przed startem każdej naszej rakiety - zauważył Czou Szin. - Nigdy się tym nie interesował, dlaczego dziś?

-

Niestety, w grafiku nie ma nic na ten temat, panie dyrektorze.

-



Proszę go odszukać. Znaleźć jego harmonogram na resztę tygodnia.

-

Tak jest, panie dyrektorze - odparł sekretarz.

Czou Szin odłożył słuchawkę na widełki. W zeszłym roku Chiny wystrzeliły jednaście rakiet. Za każdym razem Tajwan reagował podwyższeniem gotowości bojowej. Wywiad chiński miał w armii tajwańskiej swoich ludzi, którzy kontrolowali te poczynania. Byli to oficerowie, jeszcze Mao wysłał ich na wyspę jako młodych żołnierzy. Przybrali maski zdeklarowanych separatystów. Teraz oni lub ich synowie tkwili głęboko w nieprzyjacielskich strukturach wojskowych. Gdyby Tajwan naprawdę chciał wystąpić przeciwko Chinom, Czou Szin wiedziałby o tym doskonale.

Tego rodzaju ruchy wojsk były jedynie demonstracją i miały za zadanie pokazać światu, że Tajwan wie, co dzieje się po drugiej stronie cieśniny.

Czou Szin nie zauważył niczego niezwykłego w porannych meldunkach wywiadowczych.

Zadzwoił sekretarz.

-

Panie dyrektorze, w biurze generała twierdzą, że poleci do ośrodka lotów kosmicznych prosto z bazy Zhuhai.

206

-

Dlaczego jest tam teraz? - spytał Czou Szin.

-

Tego nie powiedzieli.

-

Proszę mnie połączyć z jego biurem - rozkazał dyrektor.

-

Natychmiast, panie dyrektorze.

Czou Szin stał obok biurka. Niecierpliwie przytupywał prawą stopą. W normalnych okolicznościach nikt nie interesowałby się miejscem pobytu Tam Li. A nawet gdyby ktoś się interesował, większości ministrów wystarczyłoby wyjaśnienie, że generał

wizytuje jakąś bazę, aby zabezpieczyć przed obcą ingerencją wojskową start rakiety wynoszącej ładunek. Ale Tam Li wcale nie musiał w tym celu lecieć do bazy Zhuhai.

W dodatku te raporty o dyslokacji wojsk i sprzętu na wschodnim wybrzeżu Chin.

Może to rutynowa rotacja oddziałów. A jeśli nie?

-

Biuro generała, mówi kapitan Feng Lin...

-

Tu dyrektor Czou Szin z Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwa. Proszę o połączenie z generałem.

-

Poinformuję go, że pan dzwoni - odpowiedział kapitan.

Zwrócenie się bezpośrednio do generała i oczekiwanie na połączenie było dla Czou Szina dotkliwym upokorzeniem. Każda informacja ma jednak swoją cenę. Zwłaszcza taka, która jest warta zdobycia.

Ponownie odezwał się kapitan:

-

Panie dyrektorze, generał oddzwoni do pana o bardziej stosownej porze.

-

Kiedy to będzie? - spytał Czou Szin.

-

Pan generał nie podzielił się ze mną tą informacją.

-

Czy generał Tam Li ma zamiar być obecny podczas jutrzejszego startu rakiety?

-

Taka pozycja znajduje się w jego kalendarzu - odpowiedział kapitan.

-

Jaki transport przygotowano dla generała?

-

Nie mam żadnej informacji na ten temat, panie dyrektorze - powiedział

kapitan. - Czy życzy pan sobie połączenia z biurem transportu?

-

Nie, dziękuję panu, kapitanie - odparł Czou Szin. - Proszę też poinformować generała, że już nie musi do mnie oddzwaniać.

-

Przekażę mu pańskie słowa, panie dyrektorze. Czou Szin nacisnął palcem widełki, aby zakończyć połączenie. Czasami

informacji bywa bardzo pouczający, tak jak cień, zasłaniający przezeń, który pozwala określić kontury sylwetki.

Tam Li musiał być ciekaw, po co telefonował jego rywal. Mimo to nie siał z nim rozmawiać. Wynika z tego, że bardziej bał się odpowiadać 207

na pytania, niż pragnął poznać przyczynę rozmowy. A jedynym pytaniem, którego mógł się naprawdę obawiać, było pytanie o przyczynę jego obecności w bazie.

Czou Szin zwolnił widełki i połączył się z sekretarzem.

-

Potrzebny mi natychmiast transport powietrzny do Zhuhai.

-

Zajmę się tym, panie dyrektorze.

-

To będzie wewnętrzne dochodzenie, kod szósty - dodał Czou Szin. - Będę potrzebował dwóch uzbrojonych funkcjonariuszy do ochrony. Samolot ma być gotowy do lotu powrotnego do Xichang. Ponadto proszę porozumieć się z biurem transportu w bazie Zhuhai. Muszę mieć dokładny raport o przygotowaniach, jakie poczyniono w związku z lotem generała Tam Li do Xichang.

-

Natychmiast.

-

Co godzinę chcę otrzymywać aktualne informacje na temat stanu gotowości jego samolotu, nawet jeśli wciąż stoi na lotnisku.

-

Tak jest, panie dyrektorze.

Czou Szin przerwał połączenie. Spodziewał się, że coś musi dziać się w bazie, coś ważniejszego od obserwacji zachowania sił tajwańskich. Dowie się, czym naprawdę zajęty jest Tam Li.

Jeżeli generał nadzoruje zwyczajne procedury, polecą wspólnie na miejsce startu rakiety i nic się nie zmieni. Jeżeli jednak Tam Li coś planuje, przypuszczalnie akcją odwetową w Tajpej, Czou Szin ma zamiar go powstrzymać.

Guoanbu dysponowało odpowiednią władzą i uprawnieniami do kontroli wykorzystania środków militarnych do jakiejkolwiek akcji. Odpowiednia procedura nazywała się w światku tajnych służb „naświeteniem”. Zakładano, że wróg zawsze obserwuje ruchy wojsk lub sprzętu wojskowego. Zadaniem Guoanbu było jak najskuteczniejsze utrudnienie pozyskania tą drogą użytecznych informacji. Czou Szin nie zawaha się skorzystać ze swych uprawnień. Prawdę mówiąc, zrobi to z prawdziwą przyjemnością.

## ROZDZIAŁ 42

Waszyngton Środa, 14.55

Stephen Viens, łącznik Centrum Szybkiego Reagowania z Krajowym Biurem Rozpoznawczym, zapukał do drzwi pokoju Boba Herberta.

208

Był wcześniej dyrektorem Biura, ale poleciał ze stanowiska po ujawnieniu wydatków na nielegalne operacje, o których nie miał pojęcia. Hood natychmiast zatrudnił

eksperta od rozpoznania. Sprowadził tym sobie kłopot na głowę, ale nie zmienił

decyzji. Viens był zawsze w dobrej komitywie z Centrum. Potem stał się jednym z jego największych atutów.

-

Mamy jakieś bardzo dziwne sygnały z rejonu wybrzeży Oceanu Spokojnego -

powiedział Viens, kiedy Herbert zaprosił go do środka.

Herbert sprawdzał właśnie w bazie danych wszystkie osoby mające dostęp do chińskiej rakiety w fazie jej budowy. Następnie porównywał nazwiska tych osobników z listą osób związanych z opozycją oraz podejrzanych o kontakty z cudzoziemcami, a także naukowców wykształconych za

granicą. Trochę dziwne były te poszukiwania człowieka, który mógł być sojusznikiem Ameryki, skoro działał na niekorzyść Pekinu.

-

Jaki rodzaj aktywności zauważyliście? - spytał.

-

Za wcześnie, by móc to stwierdzić, ale wygląda na nieco bardziej intensywne ruchy wojsk w porównaniu do tego, jak dotychczas oddziały z kontynentu reagowały w takiej sytuacji.

Viens podał Herbertowi kilka zdjęć satelitarnych. Na czarno-białych obrazach zaznaczono interesujące elementy. Fotografie obejmowały wybrzeża obu chińskich republik oraz samą Cieśninę Tajwańską.

-

Typowe prężenie mięśni ze strony Tajpej - stwierdził Herbert.

-

Zgadza się.

Herbert przeglądał kolejne zdjęcia. Doszedł do kilku fotografii, na których zakreślono coś pomarańczowym pisakiem. Na każdej z nich wzięto ' w kółko jakieś obiekty.

; - Środki bojowe Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin - powiedział. Zauważył

myśliwce szykujące się do startu na lotniskach Dachang i Jiang-Wan. Stanowiły one trzon obrony powietrznej wschodniej części kraju. W Jiangwan stacjonowały najnowocześniejsze chińskie samoloty bojowe. Widać było także trzecie lotnisko Weifang. Tam stacjonował 5. Dywizjon ' Szturmowy, dysponujący potężnie uzbrojonymi maszynami o stosunkowo krótkim zasięgu. Na zdjęciach widać też było ruch na jednostkach pływających chińskiej marynarki wojennej. Trwał załadunek dodatkowego uzbrojenia na niszczyciele i fregaty, wchodzące w skład Floty Morza Wschodniego, stacjonującej w Ningbo. Trwały także przygotowania na Okrętach w Wusong i Daishan. - Zdaje się, że Chińczycy szykują się do ataku - stwierdził Herbert.

- Te bazy należą do pierwszej linii baz wypa-wych do ataku na Tajwan.

- Wojna oilc™

209

-

Do ataku na Tajwan - potwierdził Viens. - Zwróć jednak uwagę, że zarazem jest to łańcuch baz

szybkiego reagowania na wypadek zagrożenia ze strony Tajwanu.

-

Przecież Chińczycy nie mogą uznać manewrów tajwańskich za początek ofensywy - powiedział Herbert. - Pekin może przeprowadzić w odpowiedzi własne ćwiczenia, teraz albo wkrótce po Tajwańczykach.

-

Zdarza się to wyjątkowo rzadko - zauważył Viens. - Istnieje zbyt duże prawdopodobieństwo nieszczęśliwego wypadku przy dwóch wrogich formacjach manewrujących blisko siebie. Wystarczy jeden człowiek, by sprowokować wybuch.

-

Może rzadko, ale zapewne o to właśnie chodzi - stwierdził Herbert, spoglądając na fotografię przedstawiające Tajwan. - Tajpej nie szykuje niczego niezwykłego. Żadnych dodatkowych samolotów czy okrętów. Najwyraźniej nie liczy się z możliwością chińskiego ataku.

-

Masz rację. Dlaczego więc Pekin ustawia swoje siły na pozycjach wyjściowych? - spytał Viens. - Dlaczego właśnie teraz?

-

Może sądzą, że Tajwańczycy są wkurzeni eksplozją w nocnym klubie w Tajpej

- podsunął Herbert.

-

Aż tak wkurzeni, żeby szykować odwet?

-

Niewykluczone - stwierdził Herbert. - Pewnie Chińczycy obawiają się

„przypadkowego” wystrzelenia pocisku w kierunku Szanghaju albo „zgubienia” miny na chińskim szlaku żeglugowym czy łowisku.

-

Czegoś, co nie będzie powodem do rozpętania wojny, ale pozwoli Tajpej zachować twarz.

-

Właśnie - przytaknął Herbert. - A może postawienie w stan gotowości chińskiej armii nie ma nic wspólnego z tajwańskimi manewrami. Pekin może szykować jednostki alarmowe na wypadek, gdyby rakietę zgłupiała i zesłała z ustalonego kursu.

Trzeba będzie wówczas odzyskać ładunek i w tym celu zamknąć spory kawałek morza.

-

Bo satelita zasilany jest generatorem jądrowym - dokończył Viens.

-

Otóż to.

-

Tajwańczycy zawsze organizowali manewry, kiedy miała startować chińska rakietę kosmiczną albo zapowiadano test pocisku balistycznego - powiedział Viens. -

Chińskie przygotowania do wojny mogą nie mieć nic wspólnego z samą rakieta.

-

To możliwe - zgodził się Herbert.

Obaj zamilkli, Herbert znowu zajął się studiowaniem fotografii. Nie zauważył

żadnego poruszenia w innych bazach na kontynencie. Pozostałe 210

porty i lotniska nie sprawiały wrażenia, aby działo się tam coś odbiegającego od normy. Oczywiście, mogło to bardzo szybko ulec zmianie, jeśli dojdzie do wybuchu działań wojennych.

-

Co się stanie, jeśli rakietę eksploduje na wyrzutni? - spytał Viens.

-

W Pekinie pojawi się kupa atrakcyjnych etatów do zagospodarowania -

odpowiedział szyderczo Herbert.

-

Chodziło mi raczej o wojsko - wyjaśnił Viens. - Czy będą musieli go użyć do utrzymania porządku, kiedy zabraknie przedstawicieli najwyższych władz?

-

Strata premiera i kilku ministrów nie powinna wywołać aż tak poważnych konsekwencji - stwierdził Herbert.

-

A jeśli to Tajwan okaże się odpowiedzialny za eksplozję?

-

Wówczas Chiny będą miały doskonały pretekst do wojny - powiedział Herbert i pokręcił głową. - Wiesz co, Stephen, im dłużej się temu przyglądam, tym bardziej jestem przekonany, że cholernie się pomyliliśmy.

-

Co masz na myśli?

-

Spójrz na porty wojenne Dinghai i Nantong. Zero aktywności. Nie widać nawet zwykłej, codziennej krzątaniny. To samo na lotniskach Longhua i Wuhu.

-

Co z tego wynika?

-

Widziałeś kiedyś, jak policja tłumi rozruchy?

-

Nie - przyznał Viens.

-

Funkcjonariusze pierwszej linii próbują utrzymać demonstrantów na dystans.

Używają armatek wodnych, gazu i pałek. To odbiera nieco zapału protestującym.

Potem na miejsce przybywają ciężkozbrojni szturmowcy, opancerzeni, wyposażeni w tarcze i broń na gumowe kule. Nie wciągają na siebie tego wyposażenia na oczach gapiów, tylko gdzieś w spokojnym miejscu, a potem wbijają się w sam środek nacierających demonstrantów.



-

Sądziś, że w pozostałych bazach także trwają przygotowania, ale odbywają się w hangarach i w suchych dokach? - spytał Viens.

-

Mówię tylko, że to możliwe - oznajmił Herbert. - Ale biorąc pod uwagę, że przez ostatnie dwa dni babrałem się w jakimś gnoju i nic z tego nie wyszło, na twoim miejscu nie brałbym moich słów na poważnie.

-

Jaki rodzaj działań wojskowych może być brany pod uwagę w warunkach pierwszego i drugiego uderzenia? - spytał Viens. - I kto odgrywa rolę demonstrantów?

-

Nie wiem. Ale dzięki tobie uznałem rakietę za element przyspieszający bieg wydarzeń.

211

-

A przynajmniej towarzyszący mu - uzupełnił Viens. - Jeżeli nie będzie przyczyną, to może posłużyć do odwrócenia uwagi. Jak iluzjonista, który sprawia, że patrzysz nie tam, gdzie powinienes, kiedy wykonuje sztuczkę.

-

Być może.

-

No cóż, chyba warto przedstawić tę teorię szefowej - powiedział Viens i przysunął się do Herberta. - Jaka ona jest?

-

Nie byłeś jeszcze na audyencji?

-

Będę jutro. Czy to rzeczywiście wygląda jak audyencja?

-

Kiedy zwykły trep ma się widzieć z generałem, nie nazywasz tego spotkaniem.

Uścisnęliśmy sobie dłonie, ale równie dobrze mogliśmy zasalutować.

-

Jest bardzo oficjalna?

-

Sztywna i władcza. Mam wrażenie, że dopóki nikt mi nie udowodni, że się mylę, wszyscy jesteśmy trepami.

-

Niepewnymi posady - zauważył Viens.

-

Sądzę, że madame dyrektor zechce sprawdzić nas w ogniu walki przed podjęciem jakiegokolwiek decyzji personalnej - powiedział Herbert.

-

Madame dyrektor - powtórzył Viens i zaśmiał się nerwowo. - Przypomina mi to mojego dziadka Jacques'a. Opowiadał mi o Wielkim Terrorze i o narzędziu sprawiedliwości zwanym madame la Guillotine. Ten tytuł budził pełen lęku respekt, nie prawdziwy szacunek.

-

Miejmy nadzieję że twoje skojarzenie okaże się nietrafne - powiedział Herbert.

Znowu przyjrzał się fotografiom. - Coś w tym jest, Stephen. Poinformuję o przewidywanych scenariuszach wydarzeń Mike'a i Paula. Zobaczymy, co powiedzą.

Viensowi wcale nie spieszyło się do wyjścia.

-

Wszystko do dupy - powiedział.

-

Co takiego?

-

Mamy podgląd z kosmosu, udało nam się wprowadzić agentów w rejon przewidywanego zamachu,

Centrum ma twarde podstawy, jest w pełni funkcjonalne i uparcie dąży do celu, a my martwimy się o naszą przyszłość.

-

Nie. Przewidujemy, że będziemy się martwić o naszą przyszłość - powiedział

Herbert. - Aby do tego doszło, musimy zacząć od spieszenia tej operacji.

-

Dobrze powiedziane - uznał Viens. - No cóż, więcej już niczego nie wymyślę.

Przyjrę się satelitom i sprawdzę, co jeszcze mogą nam powiedzieć.

212

Viens wyszedł, a Herbert odsunął od siebie fotografie. Był przygnębiony, nie tylko z powodu chińskich planów gry, ale tym, że wciąż absorbują go sprawy związane z funkcjonowaniem Centrum. Kiedy szefem był Hood, zdarzały się czasem konflikty czy nawet dramaty. Mimo to łatwiej było się w tym poruszać, nie tak jak teraz, kiedy nikt nie wie, na czym stoi, nie wyłączając szefowej.

To właśnie różnica między demokracją a tyranią.

To podstawowa przyczyna, dla której ludzie się buntowali.

Nagle Herberta zmroziła myśl, że awans generała Carrie na szefową Centrum może być tylko pierwszą falą tego, co wkrótce nastąpi.

## ROZDZIAŁ 43

Szanghaj, Chiny Czwartek, 4.42

Jednostka lotnictwa morskiego Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin stacjonowała na lotnisku Dachang koło Szanghaju. Trzydziestojednoletni komandor podporucznik Fa Khan był dumny z tego, że służy w jej szeregach, chociaż zdawał sobie sprawę, że jest to o wiele mniej prestiżowe niż przydział do innej Szanghajskiej bazy lotniczej, Jiangwan.

Oba lotniska sąsiadowały ze sobą. Różnica ich znaczenia nie miała nic wspólnego z odległością od linii brzegowej albo od centrum Szanghaju. Baza Jiangwan dostawała większe dotacje, nowsze samoloty i radary tylko dzięki starym rodzinnym powiązaniom między kadrą dowódczą a członkami rządu.

Piloci służący w obydwu bazach nie przywiązywali większej wagi do prestiżu.

Oddawali sobie honory w powietrzu za każdym razem, kiedy zdarzyło im się lecieć tak blisko, że widzieli się nawzajem w kabinach samolotów. Dla nich powodem do dumy był zaszczyt pełnienia służby na pierwszej linii obrony ukochanej ojczyzny.

Dachang było lotniskiem tranzytowym lotnictwa morskiego, natomiast Jiangwan pierwotnie gościło jednostki lotnictwa lądowego. Fa Khan, od jedenastu lat w lotnictwie morskim, wiedział jedno: najlepsi piloci stacjonowali w Dachang, gdzie zaplecze techniczne i logistyczne było najslabsze. Chociaż z tego powodu nie mogli pilotować najnowocześniejszych myśliwców, takich jak J-13 o zmniejszonej wykrywalności, Fa Khan i jego ; koledzy potrafili wyczyniać prawdziwe cuda na swoich starych migach-21.

213

Jak wyjaśniał to kiedyś swemu ojcu, mechanikowi samochodowemu, pilot wyczuwa każde skrzypnięcie i zawahanie, każdy zmieniony ton silnika, każde wydłużenie czasu reakcji na ruchy dźwignią. Mig był maszyną pilotowaną przez człowieka, nie przez komputer. Został zaprojektowany tak, aby można było budować go szybko i tanio, jak starodawne dwupłatowce. Był idealnym samolotem dla sił powietrznych, których doktryna przewidywała zgniecenie wroga dzięki ogromnej przewadze liczebnej. Koncepcja ta funkcjonowała w Rosji i w Chinach od wielu stuleci. Mig-21

był po prostu mechanicznym wyrazem tej taktyki.

Poza wszystkim jednak Fa Khan wstąpił do lotnictwa morskiego po to, by latać, i udało mu się zrealizować ten cel. Za każdym razem, kiedy wzbijał się w przestworza, przeżywał tę samą radość i uniesienie. Każdy start i lot różnił się od poprzedniego. W

istocie zmiany były czymś bardzo oczekiwanym przez Fa Khana i jego kolegów lotników. Chmury zmieniały się z sekundy na sekundę, kolory z minuty na minutę, a prądy powietrzne z godziny na godzinę. Krajobraz w dole ulegał zmianie z dnia na dzień, a sytuacja polityczna z tygodnia na tydzień. Podczas odprawy przed lotem okazało się, że właśnie wzrosło napięcie w stosunkach z Tajwanem. Za kilka dni do podobnych napięć może dojść w stosunkach z Koreą Południową, Wietnamem, Japonią, a nawet Stanami Zjednoczonymi. W takich okolicznościach często dochodziło do zatargów w powietrzu lub na morzu.

Fa Khan był jednym z uczestników tych wydarzeń, a zarazem znajdował się daleko od nich, jak jeden z bogów starożytnych Chin. Miał wgląd w nadchodzące wydarzenia i dysponował odpowiednimi środkami, by wpłynąć na ich bieg. W ich wyniku mógł też znaleźć się w niebezpieczeństwie, dlatego stale towarzyszył mu dreszczyk emocji.

Dopóki sprzęt był sprawny, Fa Khan nie tracił dobrego humoru. Niewielu ludziom udało się zająć tak daleko, jak jemu. Przygotowując się do kolejnego startu w słoneczny poranek, odczuwał to samo, co każdego dnia: satysfakcję z życia i pracy.

Zgodnie z wyznaczonym zadaniem miał dziś patrolować sektor siedemnasty.

Oznaczało to dwustukilometrowy lot na północny zachód, a potem sto pięćdziesiąt kilometrów na

wschód, nad wodami Morza Żółtego. Powrót kursem południowym nad Morzem Wschodniochińskim, a potem znów na wschód i po zatoczeniu szerokiego łuku wyjście na kierunek lądowania w bazie. Trasa patrolu liczyła tysiąc czterysta kilometrów, o dwieście mniej od maksymalnego zasięgu miga. Gdyby Fa Khan zauważył niezidentyfikowaną jednostkę pływającą - chodziło głównie o przemytników

214

- albo napotkał nieprzyjacielski samolot, miał dość paliwa, by związać przeciwnika walką do czasu przybycia posiłków i bezpiecznie wrócić do bazy.

Patrole lotnicze stanowiły ważny element bezpieczeństwa narodowego. Chiny nie miały tak rozwiniętej techniki satelitarnej jak Stany Zjednoczone, Rosja czy sojusznicy tych państw. Stan ten miał właśnie ulec zmianie, poczynając od dzisiejszego poranka, wraz z wystrzeleniem satelity z ośrodka lotów kosmicznych Xichang. Jeśli Fa Khan będzie miał szczęście, być może uda mu się wypatrzeć płomienie, towarzyszące startowi rakiety, i ujrzeć smugę ciągnącą się za nią w drodze do gwiazd.

Komandor podporucznik Fa Khan był w powietrzu dopiero od kilku minut, a jego serce wciąż pokonywało zwiększone przyspieszenie podczas ostrego wznoszenia, gdy otrzymał kodowany komunikat ze stanowiska dowodzenia. Był to ciąg pięciu dwucyfrowych liczb, po którym następował literowy kod czasu, a potem jeszcze jedna liczba. Włączył autopilota i zapisał dane na kartce z bloczka, wiszącego na łańcuszku poniżej wysokości-ciomierza. Ponieważ wciąż jeszcze wznosił się do nakazanej wysokości sześciu tysięcy siedmiuset metrów, bloczek zwisał lekko w jego kierunku - jedno ze staromodnych, ale skutecznych rozwiązań w niezbyt nowoczesnej kabinie jego myśliwca. Ziemia rozkazała Fa Khanowi powtórzyć odebrane liczby i litery, co natychmiast uczynił. Po otrzymaniu potwierdzenia prawidłowości przekazu pilot się odmeldował. Następnie wyciągnął grubą, ale niewielkich rozmiarów mapkę ze schowka pod fotelem.

Na każdej stronie podzielonego na sekcje mapnika umieszczono po cztery mapy.

Liczby odnosiły się do numeru sekcji, numeru strony i numeru mapy, a reszta oznaczała koordynaty. Ostatnie dwie liczby precyzyjnie wyznaczały rejon patrolowania.

Fa Khan podniósł osłonę lotniczego hełmu i dokładnie przyjrzał się mapie.

Dwukrotnie sprawdził liczby. Potem jeszcze raz. Nie popełnił żadnego błędu.

Potem wrócił do notatki na bloczku i odszyfrował kod literowy. Uzyskał cyfry sześć, zero, zero. A więc godzina szósta rano. Niespełna dwie godziny od chwili obecnej.

Nie miał pojęcia, o co chodzi, ale wiedział, ile czasu i paliwa potrzebuje, aby znaleźć się w wyznaczonej strefie. Sprawdził obliczenia tak, aby dolecieć tam dokładnie o godzinie szóstej. Będzie też musiał uważać na inne samoloty zlatujące się nad cel, który znajdował się tuż przy granicy wód terytorialnych mieszczącej się na Tajwanie Republiki Chińskiej, oderwanej od Chin kontynentalnych. Ostatnia liczba oznaczała, że do Fa Khana

dołączy jeszcze siedemnaście maszyn z Dachang. Będą to pozostałe samoloty z jego dywizjonu i jeszcze dwa dywizjony w pełnym składzie.

Najwyraźniej tego dnia zmiany miały nabrać dużo większego tempa niż zazwyczaj.

Jedno tylko nie zmieniło się wcale - determinacja w jego oczach i bojowy entuzjazm, z jakim poprawił kurs, szykując się do spotkania.

## ROZDZIAŁ 44

Pekin, Chiny Czwartek, 5.11

Paul Hood obudził się wcześnie.

O szóstej przyjedzie po niego samochód, by odwieźć go na lotnisko, skąd miał

odlecieć do Xichang. Leżał przez chwilę, chcąc złapać jeszcze trochę snu. Ale jego umysł był już w pełni sprawny i nastawiony na rozwiązywanie kolejnych problemów w bliskiej i dalekiej perspektywie czasowej.

Teraz jednak nie miał ochoty na myślenie. Nie było żadnych nowych informacji ani żadnych sposobów, umożliwiających ich uzyskanie. Sięgnął po zabraną w podróż książkę, biografię badacza Richarda Francisa Burtona. Dotarła do niego krótko przed wyjazdem. Znajdowała się w pudle, w którym jego była żona odesłała mu osobiste drobiazgi. Sharon wciąż pakowała i odsyłała mu rzeczy, gdy tylko znajdowała trochę wolnego czasu. Prawdopodobnie potrzebowała miejsca na szpargały, które zostawiał

u niej jej nowy chłopak, takie jak kolekcja taśm wideo z nagraniem najlepszych meczami Washington Redskins.

Przerwał czytanie na fragmencie, w którym murzyńska dzida przebiła Burtonowi oba policzki. Naturalistyczny opis ataku krajowców na pewno nie był czymś, co pomagało w powtórnym zaśnięciu. Odłożył książkę i siedział beczynnym na łóżku.

Odczuwał obezwładniający wpływ zmiany strefy czasowej, ale jednocześnie pobudzał go niepokój, spowodowany brakiem informacji. Był przyzwyczajony do tego, że pewnymi sprawami zajmują się podwładni, całe zespoły i specjaliści, ale przed wyjazdem nie przygotowano mu żadnego zaplecza. Hood znalazł się w samym środku nabrzmiewającego problemu, a wiedział bardzo mało na temat przewidywanego rozwoju wydarzeń czy też związków pomiędzy poszczególnymi ich aktorami.

Dla odprężenia pomyślał o Anicie. Była całkowicie oddana pracy i ojcu, pewnie na nic innego nie

ma już miejsca w jej życiu. Mężczyźni uczestniczący w przyjęciu jakby jej nie zauważali. Większość prawdopodobnie wiedziała, kim jest. Być może próbowali wcześniej ją zagadywać i zostali odprawieni z kwitkiem.

Nie każdy jest mistrzem w prowadzeniu rozmów towarzyskich, pomyślał Hood.

Anita najwyraźniej chroniła się w dwóch światach, w których czuła się najlepiej - w politycznej wieży z kości słoniowej oraz w kręgach akademickich. Jeżeli ktokolwiek chciał z nią być, musiał należeć do jednego z tych dwóch środowisk. Można było wyciągnąć jakieś wnioski na tej podstawie. Chociaż na pewno nie byłaby dobrym szpiegiem, trudno ją czymkolwiek zaskoczyć, zarówno intelektualnie, jak emocjonalnie.

Bezpieczna komórka miała wyłączony dzwonek i zasygnalizowała rozmowę migającym światłem. Hood wyciągnął rękę i podniósł aparat. Dzwonił Bob Herbert.

-

Mam nadzieję, że cię nie obudziłem - rzucił na powitanie.

-

Nie. Co się dzieje?

-

Niespotykana koncentracja chińskich wojsk i sprzętu w odpowiedzi na zwyczajowe tajwańskie manewry wojskowe - powiedział Herbert. - Słyszałeś coś o tym?

-

Nie.

-

Czy mógł o tym wiedzieć ktoś, z kim się do tej pory spotkałeś? - nalegał

Herbert.

-

Mogę później zapytać o to premiera, chociaż wiem, że nie będzie to mile widziane - odparł Hood. - Jeśli nawet coś wie, może nie chce się ze mną dzielić ową wiedzą. Rozmawiałeś z Mikiem?

-

Jeszcze nie. Nie bardzo wiem, co mam dalej robić.

-

Właśnie takie odniosłem wrażenie.

-

Aż tak to widać?

-

Chyba jesteś zmordowany.

-

Możliwe. Czuję się, jakbym siedział na linii autu i nie bardzo wiedział, czy łąpać oddech, czy drapać się po tyłku.

-

Czy rzeczywiście macie taką posuchę informacyjną?

-

Jak na pustyni - stęknął Herbert. - Wiesz, jacy są chińscy politycy. Nikt się nie odzywa do nikogo.

-

Owszem. Miałem okazję doświadczyć tego bezpośrednio - przytaknął Hood.

217

-

Obserwujemy tylko niewyraźne skutki konfliktu, zamachy w Charlestonie i w RPA. Nasi współpracownicy z wywiadu i Interpolu nie mają żadnych informacji ponadto, co sami wiemy. Siergiej Orłów wie co nieco o głównych aktorach. Czou Szin uznawany jest za umiarkowanego, bo usiłował pogodzić „braterskich”

komunistów z Chin i Związku Radzieckiego. Kiedy ZSRR upadł, wygłosił serię kąśliwych przemówień pod adresem Moskwy.

-

Odrącony kochanek.

-



Właśnie. Komunizm jest jego religią i gotów oddać za niego życie -

potwierdził Herbert. - Zdaniem Orłowa drugi świr, generał Tam Li, nie jest typem męczennika, ale agresywnym sukinsynem, który nie zawaha się zaryzykować swojego albo cudzego życia, jeśli zdobędzie dzięki temu jeszcze większą władzę.

Wynika z tego tylko jedno, o czym zresztą wiemy od początku: obaj są niebezpieczni.

Trzeba spróbować dowiedzieć się, czy mobilizacja Chińczyków ma związek z tajwańskimi manewrami, z wystrzeleniem rakiety czy z czymś zupełnie innym.

Hood wyraźnie wyczuwał przez telefon przygnębienie Herberta. Było jak jakiś samodzielny byt, który wysysał wszelką nadzieję z pokoju hotelowego i z niego samego.

-

Nic nie możemy zrobić w sprawie armii - stwierdził Hood. - Skoncentrujmy się na rakiecie.

-

Myślałem, że tym się zajmie Mike z komandosami z piechoty morskiej -

powiedział Herbert. - Skłoniłem generał Carrie, żeby mu ich wypożyczyła.

-

Nie jestem zaskoczony.

-

Nie jest ich dowódcą, ale powinni go słuchać.

-

Jasne. - Hood poczuł się odsunięty. Niewątpliwie zadziałała tu wzajemna sympatia między generałami.

-

A co z tobą? - spytał Herbert.

-

Mam towarzyszyć premierowi i jego córce, nie będę mógł się nigdzie ruszyć.

Na dobrą sprawę nie wiem, co dalej robić.

-

I dlatego jesteś zupełnie przytomny parę minut przed piątą rano.

-

Właśnie - odparł Hood.

-

A jak tam córeczka - zainteresował się Herbert. - Poważna i oschła?

-

Owszem, poważna, ale zarazem bardzo kobieca.

-

Da się ją jakoś wykorzystać?

-

Nie sądzę. Przede wszystkim liczy się jej ojciec, a potem długo, długo nikt.

Jestem w kropce, Bob.

218

-

A czy kiedykolwiek bywało inaczej? - spytał Herbert.

-

Chcesz mi przypomnieć, że kiedyś udawało nam się wyjść obronną ręką z takich sytuacji?

-

Hm, tej też bym tak definitywnie nie przekreślał...

-

Ani ja-zapewnił go Hood. - Ale wydaje mi się, że kiedyś lepiej panowaliśmy nad sytuacją, siedząc w Centrum i mając w polu Strikera.

-

Wówczas byliśmy w samym środku wydarzeń, a teraz robimy za frędzle.

-

Nie mieliśmy wyboru - zauważył Hood. - Zostaliśmy wyparci przez młodszych i bardziej agresywnych osobników o silniejszych przekonaniach. A nawet jeśli nie silniejszych, to wyrażonych z większą energią.

-

O Jezu, Paul, gadasz jak jakiś stary wiarus.

-

Bob, bo jestem... nie: obaj jesteście starymi wiarusami - upierał się Hood. -

Zostaliśmy odsunięci przez napalonych ludzi, którzy chcą budować swoją przyszłość albo armię, albo ideologię. A jak się nie uda, to zniszczą to, do czego dążyli.

-

Nigdy nie przypuszczałem, że kiedyś uznasz mnie za umiarkowanego

-

zazartował Herbert.

-

Jesteś oddany swoim ludziom - powiedział Hood. - Krzykliwy, złośliwy, ale oddany bez reszty. Dlatego nie dbasz wyłącznie o własny tyłek, nie rozpychasz się łokciami, walcząc o pierwsze miejsce w kolejce.

-

Lubię to, co robię. I nie widzę niczego złego w byciu takim facetem, co siedzi sobie w środku i ma na wszystko baczenie.

-

Właśnie o tym mówię - powiedział Hood. - Dziś nikt nie chce być centrystą. -

Zaczynał się wkurzać. Nie na bliżej nieokreślonych uzurpatorów, ale na siebie samego. Usłyszał w swoim głosie rezygnację i nie spodobało mu się to. - Posłuchaj, muszę się już szykować do wyjścia. Za chwilę przyjedzie po mnie rządowy samochód.

-

A ja jeszcze raz przejrzę to, co udało nam się do tej pory uzyskać

-

westchnął Herbert. - Czy zadbałeś o swoje bezpieczeństwo podczas startu?

-

Nie bardzo. Ale będziemy siedzieć w bunkrze...

-

Beton zabezpieczy cię przed eksplozją, ale nie przed promieniowaniem -

ostrzegł Herbert.

-

Chyba będziemy musieli się upewnić, że nie wydarzy się naprawdę nic złego.

-

To jest nasz cel, a nie plan - powiedział Herbert.

-

Wiem.

219Jakoś inaczej rozmawiali. Kiedyś dyskutowali o bardzo konkretnych możliwościach wpływania na sytuację. Pomysły leżały na stole, informacje napływały nieprzerwanym strumieniem, a odpowiedzi same przychodziły do głowy.

A teraz siedzieli i narzekali jak dwa stare przyki na ławce w parku, wspominające dawne, dobre czasy.

To mu się także nie podobało. Uważał się za zawodowca i był z tego dumny. Dla niego bycie zawodowcem oznaczało, że zawsze trzeba dawać z siebie wszystko, nawet jeśli coś robi się bez przekonania. Może to szok po wyrzuceniu z Centrum, ale Hood nie dawał z siebie wszystkiego. Herbert i on poruszali się jak myszki w labiryncie - po nieznannej drodze, do celu, którego nie byli w stanie dostrzec.

Należało to zmienić. Natychmiast.

-

Bob, musimy spojrzeć na całą sytuację pod zupełnie innym kątem. Na pewno coś przeoczyliśmy.

-

Ale co? Omówiliśmy miejsce startu, harmonogram...

-

Musi być coś w samych ludziach, w danych osobowych, w ostatnio realizowanych akcjach, co będziemy mogli teraz wykorzystać.

-

Jasne - rzucił Herbert. - Powiedz mi, dobrze się czujesz?

-

O co ci chodzi?

-

Przed chwilą byłeś przygaszony - zdziwił się Herbert. - A teraz gadasz, jakbyś się naćpał.

-

Mamy nowy dzień, i to ważny dzień - powiedział Hood, wstając z łóżka. Nie chciał, żeby zabrzmiało to metaforycznie, bo była to prawda, zarówno w znaczeniu dosłownym, jak i przenośnym. - Masz rację, brakuje nam planu działania, a musimy go mieć. Cokolwiek, co będzie lepsze od sadzania tyłka w betonowym bunkrze i czekania, że coś się stanie.

Herbert milczał przez chwilę, a potem powiedział:

-

To może tak: nie idź do bunkra, poproś, żeby ci pozwolono iść gdzie indziej.

-

Gdzie? Przedstawiciel prezydenta Stanów Zjednoczonych nie dostanie przepustki otwierającej wszystkie drzwi.

-

Czy córka premiera będzie na miejscu?

-

Tak.

-

Może uda ci się przekonać ją, że życie ojca jest w niebezpieczeństwie -

zapropozował Herbert.

-

I co mi to da?

-

Ustalam miejsca w pobliżu platformy startowej, które mogą być potencjalnymi celami zamachu. Robię to dla grupy Mike'a - powiedział

221

Herbert. - Może też byś im się przyjrzał. Mając ciebie i oddział piechoty morskiej, będziemy mogli sprawdzić większy obszar.

-

Sądzę, że Le i jego córka mogą się na to zgodzić - przyznał Hood. - Pogadam z nimi, kiedy dojadę na miejsce.

-

W porządku - zapalił się Herbert. - Prześlę listę najbardziej prawdopodobnych miejsc na twój komputer. Gdybyś mógł przejrzeć ją w drodze

do ośrodka, zadzwoniłbym do Mike'a i ustalił podział obowiązków.

-

Naturalnie. Dam ci znać, jeśli będę miał jakieś pytania.

-

Czekam w pogotowiu. - Teraz głos szefa wywiadu także brzmiał dużo energiczniej.

Hood rozłączył się i wziął szybki prysznic. Woda orzeźwiła jego ciało I tak samo, jak nowe pomysły zaktywizowały umysł i podniosły morale.

Jedno przynajmniej nie uległo zmianie: umiejętność mobilizowania się 1 do działania i stymulowanie wszystkich dookoła. Dawny zespół Centrum | Szybkiego Reagowania braki w gorliwości potrafił zastąpić wytrwałością i poświęceniem. A to niemało. Poza tym nie mieli niczego innego.

ROZDZIAŁ 45

Zhuhai, Chiny Czwartek, 7.18

f Błam Li drzemał za biurkiem, kiedy odezwał się interkom. Generał nie M drgnął na jego dźwięk, nigdy bowiem nie spał zbyt głęboko. Był to typowy nawyk żołnierzy, którzy nie chcieli dać się zabić. Li podniósł słuchawkę telefonu.

-

Proszę mówić.

-

Panie generale, nadlatuje samolot z Pekinu - zameldował dyżurny. - Na jego pokładzie znajduje się Czou Szin z Guoanbu.

-

Skąd o tym wiemy?

-

Poinformowaliśmy pilota, że baza jest zamknięta z powodu manewrów wojsk tajwańskich - informował żołnierz. - Pilot stwierdził, że rozkaz ten nie dotyczy j ego pasażera.

To była zła wiadomość. Nawet bardzo zła.

-

Będą lądować? - spytał generał.

-

Powiedzieli, że wylądują, bez względu na to, czy z pomocą kontroli lotów, czy też nie.

-

Sprowadzić ich na ziemię. Posłać dwie jednostki służby bezpieczeństwa na spotkanie samolotu i aresztować wszystkich obecnych na pokładzie.

-

Aresztować dyrektora Guoanbu? - zapytał dyżurny.

-

I całą resztę.

-

Tak jest, panie generale -t potwierdził żołnierz. - Dowódca oddziału służby bezpieczeństwa będzie

chciał znać zarzut, pod jakim ma dokonać aresztowania.

-

Morderstwo - powiedział Tam Li bez chwili wahania.

-

Ależ panie generale...

-

Czou Szin dokonał zbrodniczych aktów terroru poza granicami kraju.

-

Tak jest, panie generale - potwierdził dyżurny. - A jeżeli będą stawiać opór?

-

Proszę przekazać dowódcy oddziału, że wszelki opór ma zostać przełamany! -

krzyknął generał.

Trzasnął słuchawką o widełki i spojrzał na zegarek. Nie musiał udowadniać zarzutów ani dłużej ich podtrzymywać. Czou Szin i pozostali dygnitarze, zebrani na miejscu startu rakiety, mają mu nie wchodzić w drogę przez najbliższe kilka godzin. Potem nastąpi kryzys militarny, który zostanie zażegnany jedynie przez przywódców wojskowych.

Generał był już całkowicie przytomny. Wstał i włożył oliwkowozieloną kurtkę mundurową, wiszącą dotychczas na oparciu fotela. Obciągnął ją, aby usunąć zagniecenia. Obciągnął ją bardzo mocno.

Cholerny prowokator, pomyślał ze złością. Wymyślił sobie, że spotka się z nim i zmusi go do rezygnacji z planu. Ale nic z tego. Czou Szin nie będzie miał okazji zobaczyć generała Tam Li aż do chwili, gdy przerażony naród odda całą władzę wojsku. Wtedy generał zostanie rzeczywistym przywódcą miliarda mieszkańców Chin, a przestarzała komunistyczna ideologia Czou Szina zostanie raz na zawsze pogrzebana. Właściwie przylot dyrektora Guoanbu nastąpił w odpowiedniej chwili.

Tam Li miał zamiar wyjaśnić premierowi, że pozostanie w Zhuhai, aby obserwować dyslokację Tajwańczyków w cieśninie, rzekomo z powodu zaangażowania przez nich dużo poważniejszych niż zazwyczaj środków. Teraz mógł dodać do kompletu nieoczekiwany przylot dyrektora Czou, który powinien być obecny przy wystrzeleniu rakiety. Powie premierowi, że właśnie analizuje dane z udziałem Guoanbu.

Tam Li wyszedł z pokoju i dużymi krokami przemierzył korytarz, łączący jego gabinet z resztą



pomieszczeń oficerskich. Poranne słońce wyciągało żółte macki promieni znad cieśniny. Bładozielony chodnik w korytarzu wyglądał, jakby był

zrobiony z czystego bursztynu. Generał nie dostrzegał salutujących mu podwładnych.

Wzrok miał skierowany na pokój bę-

222

dący miejscem pracy głównego stratega, pułkownika Harka. Bez pukania wszedł do środka. Wysoki, zgarbiony Hark stał przy elektronicznym stole z czterema innymi oficerami. Mężczyźni odwrócili się i sprężyście zasalutowali wchodzącemu dowódcy.

Generał niedbale odsalutował i stanął obok stołu, na którym od spodu wyświetlona była mapa całego rejonu. Migające diody oznaczały pozycje cywilnych samolotów i statków.

-

Na jakim etapie jesteśmy? - zapytał Tam Li.

-

Siły wyznaczone do pierwszego uderzenia z powietrza wystartowały w trzydziestu pięciu procentach - zameldował pułkownik. - Zespół uderzeniowy okrętów marynarki wojennej w dwudziestu pięciu procentach wyszedł w morze.

Wszystko przebiega zgodnie z harmonogramem.

-

Proszę zwiększyć tempo i w ciągu godziny uruchomić od pięćdziesięciu do stu procent zasobów.

Pułkownik Hark spojrzał na generała, nie kryjąc zdumienia. Inni stanęli na baczność.

-

Panie generale, Amerykanie zobaczą to na przekazach satelitarnych -

poinformował Hark. - Zorientują się, że wyprowadzamy siły większe od

| zwykłego patrolu.

-

Dziękuję, panie pułkowniku. Sam na to wpadłem.

-

Panie generale, wszyscy zgadzaliśmy się z tym, że główne uderzenie powinno zostać zgrane z wypadkiem podczas startu rakiety...

-

Okoliczności uległy zmianom - oznajmił Tam Li. - Teraz chcę, abyśmy byli widoczni.

Na chwilę zapadła cisza.

-

Czy można wiedzieć dlaczego, panie generale?

-

Czou Szin jest w drodze do bazy. Zamierzam go aresztować. Jeśli podejrzewa, o co nam chodzi, może próbować nas powstrzymać. Musimy doprowadzić sprawę do stadium, w którym zatrzymanie biegu wydarzeń nie będzie już możliwe.

; - Nawet jeśli zostaniemy uznani za agresora?

i - Tajwańskie okręty wojenne wyszły w morze, a ich bojowe samoloty poderwano w powietrze - odparł generał. - Jedne i drugie zmierzają jku naszym wybrzeżom.

Niepotrzebne są nam inne usprawiedliwienia, aby Wyprowadzić z baz jednostki obrony.

ł - Być może, panie generale. Ale nigdy wcześniej nie reagowaliśmy na . Zniszczenie rakiety i prowokacyjne zachowanie Tajwanu miały uspra-iedliwić nasze gwałtowne i agresywne posunięcie...

-

Panie pułkowniku, jak brzmi dyrektywa dwa-czterdzieści jeden?

223

-

Tajwan jest integralną częścią Chin.

-

A dyrektywa dwa-czterdzieści dwa?

-

Nienaruszalnym obowiązkiem chińskich obywateli jest zjednoczenie ojczyzny

- recytował Hark.

-

I jeszcze dyrektywa dwa-czterdzieści sześć?

-

Im szybciej uda się rozwiązać kwestię Tajwanu, tym lepiej - oznajmił pułkownik.

-

A więc cel jest panu znany. Mając to na uwadze, jaki wydałby pan rozkaz, gdyby nasze porty i lotniska miały wkrótce znaleźć się pod ogniem? - spytał generał.

-

W tym samym czasie poderwałbym w powietrze wszystkie samoloty i wysłał w morze wszystkie okręty, panie generale.

-

No właśnie - zgodził się Tam Li. - Jesteśmy narażeni na atak ze strony naszych wrogów ideologicznych. Mogą próbować zniszczyć nasze środki bojowe, o ile będą one skupione w jednym miejscu. Nie wolno nam do tego dopuścić. Dlatego należy wysłać samoloty w powietrze, a okręty w morze możliwie jak najszybciej. Nie użyjemy ich do walki z Tajwanem. Przynajmniej na razie. Poza tym wszystko bez zmian. Rakieta zostanie zniszczona zgodnie z planem. Okręty i samoloty znajdą się po prostu bliżej nieprzyjaciela, niż to planowaliśmy. W pewnym sensie ta sytuacja jest nam na rękę. Już teraz aresztujemy człowieka odpowiedzialnego za zniszczenie rakiety, zamiast ścigać go później - wyjaśnił Tam Li. -1 jeszcze jedna sprawa.

-

Tak, panie generale?

-

Proszę przysłać oddział ratowników strażackich na spotkanie ze mną w hangarze numer 3.

ROZDZIAŁ 46

Zhuhai, Chiny Czwartek, 8.02

Zwyczajny boeing 737-800 wylądował gładko na długim pasie startowym wojskowego lotniska. Pilot włączył odwracacze ciągu silników, a po wytraceniu prędkości skierował maszynę w stronę zespołu zabudowań lotniskowych, niskich, szarych budynków, stojących u zbiegu czterech rozchodzących się promieniście dróg startowych. Kilka samolotów niedawno opuściło hangary i kołowało na pasach. Nie było trudno zgadnąć, dokąd mają się udać - generał Tam Li przysłał komitet powitalny.

224

Czou Szin nie był zaskoczony. Musieli zatoczyć krąg nad lotniskiem, zanim otrzymali pozwolenie na lądowanie. Było jasne, że generał szykuje coś, czego nie chce ujawniać. Dzięki bezprzewodowemu laptopowi Czou śledził podczas lotu operację kierowaną przez generała. Według danych lokalnych i satelitarnych Tajwan kontynuował ograniczone rozmieszczanie swoich sił, a Tam Li zwiększył tempo dyslokacji swoich oddziałów. Trzeba było go powstrzymać, i to szybko. Jediną drogą było osobiste zapoznanie się z działalnością generała oraz złożenie raportu premierowi.

Kiedy zbliżyli się do budynku, dyrektor wywiadu przeszedł do przodu samolotu.

Pilot zatrzymał maszynę. Nigdzie nie było schodków ani rękawa umożliwiającego opuszczenie samolotu.

Czou Szin czekał na zatrzymanie silników. Potem polecił sekretarzowi otworzyć wyjście. Młody człowiek schylił się, odblokował i otworzył drzwi. Czou stanął na progu kabiny, do której wpadło oleiste powietrze poranka.

-

Kto tu dowodzi? - spytał dyrektor. Mówił spokojnym głosem, chcąc okazać całkowitą obojętność.

Do samolotu energicznym krokiem podszedł żołnierz w stopniu porucznika.

-

Ja jestem dowódcą tego oddziału.

-

Niech nam podstawią schodnię - powiedział dyrektor.

-

Zgodnie z rozkazem ma pan pozostać w samolocie.

-

Czym rozkazem?

-

Dowódcy służby bezpieczeństwa - odparł oficer. - W bazie obowiązują procedury czerwonego alarmu. Pański samolot w ogóle nie powinien otrzymać pozwolenia na lądowanie.

-

Dlaczego więc otrzymał?

-

Komendant bazy może uchylić zakaz - poinformował porucznik.

-

To zdrada - stwierdził Czou. - Jeżeli będzie trzeba, użyję awaryjnej pochylni.

Muszę opuścić samolot i porozmawiać z komendantem bazy, generałem Tam Li.

-

Zgodnie z zasadami czerwonego alarmu mamy obowiązek zatrzymać każdego, kto spróbuje opuścić samolot.

-

Będziecie strzelać do dyrektora Guoanbu? - oburzył się Czou.

-

Użyjemy wszelkich możliwych środków, aby was powstrzymać. Czou wrócił

do kabiny. Drzwi zostały otwarte. Piloci kończyli odczytywanie listy kontrolnej procedur obowiązujących po wylądowaniu.

-

Proszę o połączenie z ministrem obrony w Pekinie - powiedział Czou.

5 — Wojna orłów

225

-

Panie dyrektorze, próbowaliśmy skontaktować się z wieżą zaraz po wylądowaniu - poinformował pilot. - Nasze sygnały są zagłuszane.

Czou spojrzął na sekretarza.

-

Komórki pewnie też nie działają? ,

Młodzieniec trzymał w dłoni telefon. Ponura mina wystarczyła za odpowiedź.

-

Tu jest za dużo anten satelitarnych. Sygnał nie może się przebić.

-

Czy wieża może blokować nasze łącze internetowe?

-

To mało prawdopodobne - odparł pilot. - Korzystamy z pasma jeden i dziewięć dziesiątych gigaherca, używanego przez nadawców prywatnych. Nie mogą go zagłuszyć, chyba że znają dokładną częstotliwość naszego nadajnika. Mamy więc łączność, pod warunkiem że znajdujemy się bezpośrednio w polu widzenia satelity.

-

Dziękuję, kapitanie - powiedział dyrektor. Wyjrzał przez drzwi. Trochę się pocił z powodu gorąca. Poprosił sekretarza o wodę. Starał się odpędzić od siebie myśl o tym, że się boi. Popijając wodę, z zaskoczeniem zobaczył dwóch ludzi z drabiną, zbliżających się do samolotu.

-

Co zamierzacie? - spytał porucznika.

-

Proszę zamknąć drzwi. W przeciwnym razie zrobimy to za was.

-

Zamkniemy drzwi i za chwilę odlecimy. - Czou podjął nagłą decyzję. - Niech pan zarządzi uzupełnienie paliwa w moim samolocie.

-

Przekażę pańską prośbę komendantowi bazy.

-

To nie prośba, to rozkaz - poinformował go Czou.

-

Wykonuję tylko rozkazy generała.

Można się było spodziewać takiej odpowiedzi. Czou popatrzył na porucznika, ale nic nie powiedział.

-

Zamknij drzwi - polecił sekretarzowi.

Dyrektor Guoanbu usiadł w fotelu. Uruchomił laptopa i zaczął pisać e-maila do kancelarii premiera. Oznaczył go jako „pilny, dotyczący bezpieczeństwa narodowego”. Taki nagłówek gwarantował, że ktokolwiek go odbierze, natychmiast poinformuje o nim premiera, bez względu na miejsce jego pobytu.

-

Panie dyrektorze, spod hangaru wyruszyła cysterna z paliwem - poinformował

pilot przez głośniki w kabinie pasażerskiej.

Było to pewne zaskoczenie. Najwyraźniej Tam Li nie chciał ich tutaj.

Prawdopodobnie będzie przeciągał jak najdłużej zatankowanie samolotu. Chce być pewny, że kiedy Czou znajdzie się w powietrzu, będzie już za późno, aby powstrzymać bieg wydarzeń. Chyba nie brał pod uwagę moż-

226

liwości, że Czou wyśle e-maila. Może sądził, że wszelka łączność została zablokowana. Tam Li często kierował się emocjami, a nie rozumem.

Czou pospiesznie układał treść wiadomości. W kabinie pasażerskiej rozchodził się wyraźny zapach paliwa. Nagle ponownie usłyszał głos kapitana:

-

Panie dyrektorze, proszę przyjść do kabiny pilotów. Na zewnątrz dzieje się coś dziwnego.

Czou odłożył laptopa i poszedł do przodu samolotu. Nie spieszył się. Panika to kiepski doradca. Wszedł do kabiny i wyrztał przez okno. Na pasie startowym ujrzał

trzy wozy strażackie, jadące w ich kierunku.

-

Najwyraźniej gdzieś się pali, kapitanie - powiedział.

-

Gdyby tak było, usłyszeliśmy alarm - odparł pilot.

Kapitan miał rację.

-

Jak przebiega tankowanie? - spytał Czou.

Kapitan spojrzał na wskaźniki.

-

Jeszcze się nie rozpoczęło.

Czou pojął nagle, że dał się wyprowadzić w pole. Nie docenił generała Tam Li.

-

Kapitanie, proszę natychmiast startować - powiedział. - Musimy dostać się na lotnisko komunikacyjne.

-

Panie dyrektorze, najbliższym jest Hongkong albo Kanton, ale i tak nie wiem, czy wystarczy nam paliwa, aby dolecieć...

-

Startować natychmiast! - rozkazał Czou.

-

Tak jest, panie dyrektorze.

-

Jeżeli te wozy będą chciały zagrozić nam drogę, ma je pan ominąć albo przeskoczyć, tylko niech pan nas stąd zabierze.

Piloci rozpoczęli przygotowania do startu. Czou usiadł w fotelu obok sekretarza.



Obaj zapięli pasy. Maszyna zatrzęsała się, gdy jednocześnie zostały uruchomione oba silniki.

-Po co generał przysłał nam paliwo, skoro potem zablokował pas startowy wozami straży pożarnej? - spytał sekretarz.

-

Nie mogę wprost uwierzyć, że odważył się na coś takiego - powiedział

złowrogo Czou. Spojrzał za okno. Ludzie z obsługi naziemnej przyglądali się tylnej części samolotu. Po chwili cofnęli się jak na rozkaz.

Czou odpiął pas i zerwał się z fotela.

-

Co się stało, panie dyrektorze? - spytał zaskoczony sekretarz.

I - Drzwi! - wrzasnął Czou. - Otwórz i rozwiń awaryjną pochylnię. Musimy natychmiast opuścić samolot!

227

Sekretarz wstał i podszedł do wyjścia. Czou stanął za jego plecami.

- Zatrzymać silniki! - krzyknął do pilotów. - Musimy się stąd wydostać!

Z tyłu kadłuba dobiegł ich dziwny dźwięk, taki jak przy zapalaniu piecyka gazowego.

Czou obejrzał się za siebie. Okna środkowej sekcji kadłuba samolotu jarzyły się pomarańczową, mętną poświatą.

Sekretarz otworzył drzwi w chwili, kiedy ogień dotarł do przedniej sekcji kadłuba.

Młody człowiek krzyknął i zrobił krok wstecz, bo płomień wdarł się przez próg do wnętrza kabiny. »

To dlatego generał nie przejmował się e-mailami, pomyślał Czou. Wiedział, że nigdy nie zostaną wysłane. Chyba że...

Pilot rzucił się, by zamknąć ponownie drzwi, Czou odwrócił się i pobiegł przejściem między fotelami. Dotarł do swojego miejsca, gdy samolot zaczął się rozpadać na kawałki. Rozlane pod samolotem i podpalone paliwo spowodowało zapłon tego, co pozostało w zbiornikach. Najpierw zniszczeniu uległy opony, dlatego tuż przed eksplozją maszyna runęła na betonowe podłoże. Kadłub pękł jak świąteczny fajerwerk, ale zamiast iskier w powietrze we wszystkich kierunkach poleciały odłamki szkła, metalu i stopionego plastiku. Skrzydła oderwały się od kadłuba i zostały odrzucone na boki. Ogon odłamał się i odpadł do tyłu, a przez powstały otwór z wnętrza kadłuba wyleciała kula

ognia.

Ponieważ zbiorniki maszyny były niemal puste, siła wybuchu została ograniczona do samolotu i jego najbliższego otoczenia. Trzy wozy strażackie natychmiast podjechały na miejsce eksplozji. Piana zbiła płomień, sycząc przy zetknięciu się z otwartym ogniem i rozgrzanym metalem. Po kilku minutach pożar został ugaszony. Ludzie w białych, ognioodpornych kombinezonach weszli do wnętrza wraku. Używali zamontowanych na plecach przenośnych gaśnic do dogaszania dopalających się resztek i poszukiwali ewentualnych ocalałych.

Nikogo nie znaleźli.

Nie widać było nawet szczątków, które nadawałyby się do identyfikacji.

Generał Tam Li otrzymał oficjalny meldunek o stwierdzeniu wycieku i jego konsekwencjach. Podziękował dowódcy straży pożarnej.

Potem zadzwonił do premiera, aby poinformować go o tragicznym wypadku.

228

ROZDZIAŁ 47

**I**

Xichang, Chiny

# I

Czwartek, 8.55

I W premier był odprężony i w doskonałym nastroju, kiedy jego samolot I A zbliżał

się do do Xichang. Czytał sobie dla przyjemności, a nie służ-| bowo, co samo w sobie było dość  
niezwykłe. Po kilku dniach wytężonej | pracy śledzenie losów Wong Fei Hunga stanowiło przyjemną  
odmianę. | Opowieści o dziewiętnastowiecznym chińskim bohaterze narodowym f należały do  
ulubionych lektur Le z lat chłopięcych.

Wong Fei Hung, syn jednego z Dziesięciu Tygrysów Kantońskich, był

uzdrowicielem, filozo-, fem, mistrzem sztuk walki oraz obrońcą sprawiedliwości.

Stał się bohate-1 rem ponad stu filmów i cztery razy większej liczby powieści, które tylko |  
zaciemniły jego rzeczywiste osiągnięcia. Le Kwan Po uważał prawdziwe losy tego człowieka za  
znacznie bardziej fascynujące. Wong Fei Hung Żył skromnie jako domokrażca handlujący ziołami i  
jednocześnie walczył I o prawa obywatelskie.

Siedmiokrotnie żonaty, po raz ostatni z młodziutką I dziewczyną, musiał być człowiekiem o wielkiej  
sile i energii witalnej. I Anita siedziała obok ojca, a Hood po drugiej stronie przejścia. Prowadzi-I li  
uprzejmą rozmowę po angielsku. Le Kwan Po z zadowoleniem widział I córkę w tak dobrym  
nastroju. Sama poprosiła o to, by pan Hood siedział I obok niej, a nie w sekcji zarezerwowanej dla  
dygnitarzy.

Towarzyszyło | temu kilka oburzonych spojrzeń i komentarzy ze strony europejskich go-^ sci, ale Le  
nie zwrócił na to uwagi. Wysocy urzędnicy państwowi mieli I prawo zachowywać się nieco  
prowokacyjnie. Poza tym żaden z nich nie { był na spacerze z jego córką,

i Le miał już spytać, o czym rozmawiają, gdy rozległ się sygnał telefonu j w bocznym oparciu fotela.

Dzwonił generał Tam Li z bazy sił powietrznych Zhuhai. Poinformował, że Czou Szin zginął podczas  
niezapowiedzianej wizyty w bazie.

- Nie wiem, w jakim celu tu przybył -mówił generał. -Usiłujemy ustalić, czy na pokładzie samolotu  
znajdowały się materiały wybuchowe.

Le Kwan Po w pierwszej chwili pomyślał, że Czou Szin zaplanował kolejny niegodziwy czyn, na  
przykład bezpośredni zamach na Tam Li. Ude- rzenie na kluczową bazę wschodniego okręgu  
wojskowego także byłoby ' ciosem wymierzonym w pozycję generała.

Ale bez wątpienia byłoby też zdradą, pomyślał Le. Czou Szinowi wiele można było zarzucić, ale na  
pewno nie to, że jest zdrajcą. Obrona Chin 229

była dla komunistów równie ważna, jak dla bardziej postępowych członków rządu. A gdyby nawet

dopuszczając się zdrady, to nie było żadnego powodu, aby dyrektor Guoanbu fatygował się tam osobiście. Chyba że chodziło o dostęp do miejsca, do którego inni nie mogliby dotrzeć. Na przykład do gabinetu generała Tam Li.

-

Właśnie szykowałem się do lotu do ośrodka Xichang, ale w tej sytuacji wolę zostać i dopilnować dochodzenia - mówił dalej Tam Li.

-

Rozumiem - odparł Le. - Proszę mnie poinformować, do czego pan doszedł.

-

Bezwłocznie, panie premierze - zapewnił generał.

-

Jeszcze jedno, generale.

-

Słucham?

-

Czy Tajwan rozpoczął tradycyjne manewry przybrzeżne?

-

Tak jest-potwierdził Tam Li.

-

Proszę więc zawiadomić Ministerstwo Obrony, że rządowy samolot rozbił się na pasie startowym, nic więcej - powiedział Le. - Do czasu znalezienia zwłok dyrektora i potwierdzenia jego śmierci proszę nie rozpowszechniać tej informacji.

-

Tak jest, panie premierze. Czy mogę spytać dlaczego?

-

Tajpej może uznać śmierć naszego szefa wywiadu wojskowego za okazję do zintensyfikowania nieprzyjaznych działań - odpowiedział premier.

-

Oczywiście.

-

Będę chciał porozmawiać z panem po starcie rakiety.

Le Kwan Po rozłączył się i obrócił w lewo. Spojrzenie Paula Hooda wyrażało zakłopotanie. Anita patrzyła na ojca z nieskrywaną obawą i niewątpliwie stąd wziął się wyraz jego twarzy.

-

Co się dzieje? - spytała.

-

Czou Szin zginął na skutek wybuchu - odpowiedział.

-

Czy to wypadek? Czy chciał znów coś wysadzić?

-

Nie wiem - odparł Le.

-

Powiesz o tym temu miłemu panu? - Wskazała oczami na Hooda. Nie chciała wymawiać jego nazwiska, bo mógłby się zorientować, o kim mowa.

-

Amerykańskie satelity na pewno zarejestrowały eksplozję - powiedział premier. - Muszę mu coś powiedzieć.

Zauważył, że Anita chce mu coś poradzić.

-

Masz jakiś pomysł?

-

Powiedz mu prawdę.

-

Dlaczego?

-

Jest oficerem wywiadu. To może nam dać wyobrażenie, jak zareagowaliby inni oficerowie wywiadu.

Le zdobył się na uśmiech.

-

To prawda. Ale tym razem takie wyobrażenie może nam się nie przydać.

-

Co masz na myśli?

-

Czou Szin i Tam Li byli zażartymi przeciwnikami - powiedział premier. -

Potrzebne nam raczej wyobrażenie, jak postąpiłby zawodowy oficer pozbawiony możliwości realizacji swoich ambicji i dążeń.

-

Nasz gość może znać kogoś takiego - stwierdziła Anita.

Le zastanowił się przez chwilę.

-

Mówisz o człowieku, którego firma budowała satelitę? - spytał, także nie wymieniając żadnych imion i nazwisk.

Anita pokiwała głową.

-

Dobrze - zgodził się jej ojciec. - Pogadaj z panem Hoodem. Możliwie jak najciszej, żeby reszta nie usłyszała.

Anita odwróciła się do Hooda i powiedziała, że ojciec chce z nim rozmawiać. Le spróbował przez



chwile uporządkować myśli.

Musi dowiedzieć się, dlaczego Czou Szin znalazł się w bazie lotniczej, skoro miał w tym czasie lecieć do Xichang. Chyba nie wiedział o tym nikt z Guoanbu. Czou Szin strzegł swoich spraw osobistych równie zazdrośnie, jak tajemnic państwowych. Być może dyrektor wywiadu kontaktował się z kimś przed podróżą albo podczas lotu.

Musi polecić sekretarzowi sprawdzenie tego.

Ze spraw niecierpiących zwłoki najpilniejsze było ustalenie, czy Tam Li nie zdecydował się po prostu na zaostrenie zatargu. To przypuszczenie bardzo niepokoilo premiera. Gdyby miało okazać się prawdą, nikt nie potrafiłby przewidzieć, kiedy i jak zakończy się ta awantura.

## ROZDZIAŁ 48

Xichang, Chiny Czwartek, 9.14

Hood nie był zaskoczony tym, co usłyszał od Anity. Nie miał powodu żałować Czou Szina. Facet był twardogłowym ideologiem, który na 231

siłę łączył współczesne Chiny z ich dawną, izolacjonistyczną przeszłością. Jego agenci stworzyli zagrożenie dla oddziału wojskowego Centrum w Botswanie, który poszukiwał porwanego księdza.

Ale zabójstwo, jeśli to do niego doszło, nie było ulubioną metodą Paula Hooda. To ostatek i zwykle najgorsze rozwiązanie, stosowane przez zdesperowanych megalomanów. Kiedy nie byli w stanie osiągnąć tego, co chcieli, uczciwymi metodami, rozwiązaniem pozostawało morderstwo, choć było ono skuteczne wyłącznie na krótką metę.

-

Czy potrzebujecie pomocy? - spytał premiera za pośrednictwem jego córki.

-

Mam pewne obawy co do Tam Li - odrzekł Le Kwan Po. - Być może pański przyjaciel generał mógłby nam pomóc. Może macie jakieś swoje źródła informacji.

W normalnych okolicznościach Hood podejrzliwie podszedłby do sytuacji, w której premier Chin prosi o pomoc amerykański wywiad. Mimo iż wysłannik prezydenta nie do końca ufał premierowi, stał po jego stronie. Le Kwan Po znalazł się między dwiema potężnymi siłami. Jedna z nich właśnie została wyeliminowana.

Najwyraźniej szukał sposobu, by ustabilizować na nowo swoją pozycję, a także losy całego narodu.

-

Zadzwoń do niego po wylądowaniu - obiecał Hood. Wolał nie kontaktować się z Rodgersem

podczas lotu. Prawdopodobnie Mike towarzyszył żołnierzom piechoty morskiej. Wykorzystując nowoczesne wyposażenie elektroniczne samolotu, piloci mogliby namierzyć miejsce, z którym rozmawia. Wolał nie dawać im do tego okazji. - Tymczasem możemy porozmawiać z kimś, kto zapewne miałby nam coś ciekawego do powiedzenia - powiedział i wybrał numer Liz Gordon.

Psycholog Centrum właśnie wróciła do domu i szykowała jedzenie dla kota.

-

Paul - zdziwiła się. - Nie spodziewałam się, że tak szybko znowu cię usłyszę.

-

Szczerze mówiąc, ja się nie spodziewałem, że do ciebie zadzwonię.

Z zasady nie był entuzjastą psychiatrii ani tworzenia profili charakterologicznych.

Nie był pewien, czy zasługują na takie znaczenie, jakie do nich przywiązywano.

Czasami jednak mogły okazać się przydatne.

Liz się roześmiała.

-

Punkt dla ciebie. Czym mogę służyć?

-

Czy Bob mówił ci o sytuacji w Chinach?

-

Czytałam skrót przed wyjściem z pracy.

232

-

Są nowe fakty. Cywil został wyeliminowany, przypuszczalnie przez swego rywala - powiedział Hood.

-

Facet zaatakowany w Charlestonie i Tajpej dokonał odwetu? - upewniła się.

-

Tak.

Hood wiedział, że Liz zrozumie jego skróty myślowe. Na pokładzie samolotu wiele osób znało angielski. Silniki hałasowały, ale nie aż tak silnie, żeby ktoś postronny nie mógł czegoś usłyszeć.

-

To mnie nie dziwi - odparła Liz.

-

Dlaczego?

-

Wojskowi nie są dobrymi dyplomatami. Tracą cierpliwość i argumenty o wiele szybciej niż zwykli ludzie. Gdzie to się stało?

-

W bazie lotniczej na Wschodzie.

-

Czy to jego rakieta ma dziś zostać wystrzelona?

-

Tak.

-

To czemu nie ma go w ośrodku kosmicznym?

-

Ważniak twierdzi, że musi zostać na miejscu, żeby dopilnować śledztwa -

wyjaśnił Hood. - Może obawia się, że zmarłemu udało się wcześniej dokonać sabotażu w związku ze startem rakiety.

-

To dlaczego nie powiedział o tym premierowi?-spytała psycholog.-Jeśli to on stoi za wypadkiem w bazie, na pewno zostanie przesłuchany w charakterze podejrzanego. Informacja o intrydze, mającej na celu storpedowanie startu rakiety, byłaby dla niego idealnym usprawiedliwieniem podjętych działań.

Miała rację.

-

Czy wiemy, dlaczego zmarły tam się znalazł? - spytała Liz.

-

Nie.

-

Ludzie dążą do bezpośredniej konfrontacji w dwóch przypadkach. Albo są zdesperowanymi świrami, albo mają ogromną przewagę moralną i liczebną. Czy zabity wykazywał symptomy szaleństwa?

-

Ależ skąd.

-

W takim razie musiał wiedzieć o czymś albo mieć coś, co chciał

zademonstrować rywalowi. To jest coś, czego powinniście szukać, coś, za co warto zabić.

-

Panie Hood! - zawołała niespokojnie Anita.

Podniósł wzrok. Pokazywała ekran laptopa ojca. Kiwnął głową i pokazał gestem, że już kończy.

-

Bardzo mi pomogłaś, Liz. Dziękuję.

-

Proszę.

233

-

Jak sobie dajesz radę? - spytał po krótkim namyśle.

-

Doskonale - odpowiedziała. - Kończmy już. Pogadamy później.

-

Jeszcze raz dziękuję.

Złożył telefon. Anita pisała na laptopie tłumaczenie wiadomości. Kiedy skończyła, podała Hoodowi komputer. Na ekranie widniał tekst niedokończonego e-maila od dyrektora Guoanbu, Czou Szina. Został wysłany mniej więcej w tym samym czasie, gdy nastąpiła eksplozja.

Przybyłem do Zhuhai, aby zapytać Tam Li o dyslokację wojsk przebiegającą z jego rozkazu. Jest to odpowiedź na standardową, nieagresywną reakcję Tajwanu na wystrzelenie naszej rakiety. Sądzę, że generał ma zamiar przeprowadzić atak na nieprzyjaciela z użyciem przeważających sił i środków. Przetrzykuje nas w samolocie na płycie lotniska, nie pozwalając na nawiązanie kontaktu...

## ROZDZIAŁ 49

Xichang, Chiny Czwartek, 10.22

f Bluż po wylądowaniu na lotnisku, oddalonym o pięćdziesiąt kilometrów M. na południe od ośrodka lotów kosmicznych, premier Le Kwan Po zatelefonował do ministra obrony narodowej. Minister potwierdził, że generał Tam Li poinformował go o przygotowaniach w celu „szybkiej odpowiedzi” na posunięcia Tajwanu. Nie wiedział nic o „przeważających siłach i środkach”, o których pisał Czou Szin.

-

Kiedy ostatnio miał pan kontakt z Tam Li? - spytał premier.

-

Zadzwoił do mnie z informacją o eksplozji - odparł minister.

-

Nie miał pan żadnych innych doniesień o zwiększonej aktywności wojskowej na Wschodzie?

-

Nie, panie premierze - odparł minister.

Le nie był zaskoczony. Raporty z tego regionu pochodziły właśnie z Zhuhai i były rozpowszechniane w całym systemie obronnym. Ludowo-Wyzwoleńcza Armia Chin nie miała odpowiedniego wyposażenia, aby szpiegować samą siebie, nie podpisano też dwustronnych umów z innymi krajami. Ktoś musiał kłamać, albo Czou Szin, albo Tam Li. Premier nie potrafił wyobrazić sobie, aby dyrektor wywiadu wysyłał e-maila, w którym twierdził, że prowadzone są przygotowania do agresji, nie mając na to mocnych dowodów.

-

Jeżeli mamy do czynienia z ożywionymi ruchami wojsk, a nie otrzymujemy na ten temat raportów, ile czasu potrwa uzyskanie potwierdzenia z niezależnych źródeł?

-

Czy ma pan powody, by podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego? -  
zaniepokoił się minister.

-

Nie chcę rozwijać tego tematu - powiedział Le.

-

Panie premierze, jeśli zagrożone jest bezpieczeństwo naszej ojczyzny...

-

Otrzymałem niepotwierdzony raport o możliwej koncentracji lotnictwa w sektorze dowodzonym przez generała Tam Li - warknął premier. Nie miał czasu na dyskusje z krnąbrnym ministrem.

-

Kto sporządził ten raport?

-

Czou Szin, na krótko przed śmiercią - odparł Le niecierpliwie.

-

Był patriotą - stwierdził minister. - Połączone Dowództwo Lotnictwa w Pekinie ma bezpośredni dostęp do radaru Obwodu Zmilitaryzowanego Nanjiang. Możemy stąd otrzymać informację, ile samolotów jest w powietrzu. Jak na razie nie widzę niczego niepokojącego poza rutynowymi patrolami. Powiedziałbym panu, panie premierze, gdyby było inaczej.

-

Należy pan do osób, które obdarzam całkowitym zaufaniem - odparł szczerze Le.

-

I nawzajem - powiedział minister. - Ale ta informacja niewiele nam daje.

-

Dlaczego?

-

Poderwanie w powietrze kilku dywizjonów z baz koło Nanjiang i skierowanie ich nad cieśninę nie zabierze zbyt wiele czasu - rzekł minister.

-

Czy może pan odebrać dowodzenie generałowi Tam Li?

-

Musiałby zrobić coś niezgodnego z regulaminem lub przyjętymi zasadami. Jak dotąd postępuje według przepisów o wyprzedzającym uderzeniu na Tajwan i zabezpieczeniu toru lotu rakiety.

-

Na czym polega zabezpieczanie toru lotu rakiety?

-

Nasze myśliwce patrolują odpowiednio szeroki pas w obszarze, przez który prowadzi kurs rakiety - wyjaśnił minister. - Ma to na celu niedopuszczenie do pojawienia się tam nieprzyjacielskich samolotów i narażenia rakiety na zniszczenie.

-

Ma pan na myśli zestrzelenie rakiety - upewnił się Le.

-

Tak. Wiemy, że Rosjanie i Amerykanie obserwują starty naszych rakiet z myśliwców lecących na dużym pułapie.

235

-

Czy nasze samoloty są już w powietrzu?

-

Tak jest. Trochę wcześniej niż zwykle, ale nie ma w tym niczego niezwykłego.

Tam Li postępował zawsze zgodnie z harmonogramem. Nie był głupcem. Nie można też wykluczyć,

że jest niewinny.

Le podziękował ministrowi i poprosił o natychmiastowe informowanie o

ewentualnych zmianach sytuacji. Usiadł wygodnie i popatrzył przez przyciemnioną szybę na wiejski krajobraz. Może Czou Szin usiłował zrobić generała. Dyrektor wywiadu stał za kilkoma zamachami, jakie nastąpiły w ostatnich dniach. Może poleciał do Zhuhai, aby zaatakować stanowisko dowodzenia generała.

Premier był skłonny uwierzyć, że Tam Li zdecydował się zlikwidować rywala i zniszczył samolot. Podobnie mógł postąpić Czou Szin. A może przedwcześnie eksplodowały przywiezione przez niego materiały wybuchowe.

Bez względu na to, co było prawdą, Le mógł teraz tylko czekać.

Czekać i liczyć na to, że Paul Hood znajdzie coś, co mogło nie być widoczne na ekranach radarów.

## ROZDZIAŁ 50

Xichang, Chiny Czwartek, 10.28

Ośrodek lotów kosmicznych Xichang był jednym z trzech tego rodzaju obiektów w Chinach. Pozostałe dwa zlokalizowane były w Jiuquan 1

Taiyuan. Ośrodek Jiuquan został zbudowany w 1968 roku, tysiąc sześćset kilometrów od Pekinu, na pustyni Gobi. Był trochę przestarzały, ale ze względu na położenie geograficzne idealnie nadawał się zarówno do startów lotów załogowych, jak i bezzałogowych. Ośrodek Taiyuan był początkowo obiektem doświadczalnym i doskonale nadawał się do wystrzeliwania satelitów okołobiegunowych. Był to najnowszy chiński ośrodek kosmiczny, zaczął działać w 1988 roku.

Xichang zbudowano w celu umieszczania na orbitach satelitów geostacjonarnych nad określonymi rejonami Chin. Sieć geostacjonarnych satelitów pozwoliła zbudować system transmisyjny, udostępniając łączność i technologie bezprzewodowe całemu społeczeństwu. Budowę rozpoczęto w 1978 roku, a zakończono sześć lat później.

Ośrodek Xichang znajdował się w centrum rozległego regionu pól uprawnych, z bardzo licznymi,

236

drobnymi gospodarstwami rolnymi. Działalność zainauguował niezbyt udanie, od wystrzelenia satelity, który uległ zniszczeniu z powodu problemów z uruchomieniem trzeciego stopnia rakiety nośnej. Potem przez kilka lat przeprowadzono wiele udanych startów, aż do 1995 roku, kiedy eksplodowała potężna rakietka nośna Długi Marsz 2E. Jej szczątki zabiły sześciu, a raniły dwudziestu trzech wieśniaków, którzy pracowali w polu w odległości ponad siedmiu kilometrów od granic ośrodka. Rok później rakietka Długi Marsz 3B rozbiła się na wzgórzu półtora kilometra od platformy startowej, zabijając sześć i raniąc pięćdziesiąt siedem osób. Rok temu ogromna nowa rakietka Gwiezdny Smok 5 eksplodowała na wyrzutni. Zginęło dwunastu techników, a platforma startowa



uległa zniszczeniu. Tylko niewielu mieszkańców okolicznych wiosek przeniosło się gdzie indziej. Ci, którzy zostali, dobrze zarabiają na sprzedaży żywności, ubrań i innych towarów pracownikom ośrodka lotów kosmicznych.

Katastrofa Gwiezdnego Smoka 5 była jedną z przyczyn dopuszczenia międzynarodowej korporacji do udziału w przygotowaniu sprzętu. Stare rakiety były wzorowane na rosyjskich projektach. Te dość prymitywne konstrukcje mogły wynosić na orbitę spore ładunki, ale brakowało im finezji i klasy. Wiele czasu i pieniędzy kosztowała odbudowa ośrodka. Prawidłowe funkcjonowanie sprzętu stało się jednym z priorytetów. Chodziło o to, aby zaproszeni zagraniczni dygnitarze ujrzeli udany start nowego etapu chińskiego programu kosmicznego. Jedną z metod zdobycia funduszy na jego kontynuację Chińczycy widzieli w odpłatnym wynoszeniu na orbitę satelitów skonstruowanych w innych krajach.

Nie można było dopuścić do niepowodzenia.

Mike Rodgers doskonale o tym wiedział. Wiedział też, że start będzie obserwować ponad czterysta osób, w tym pięciu Amerykanów. Nie chciał, aby ktokolwiek z nich wyparował. Eksplozja mogłaby zaszkodzić także jemu. Gdyby uszkodzony został

generator jądrowy, Rodgers znalazłby się w zasięgu intensywnego skażenia radioaktywnego.

Rodgers poleciał zwykłym, pasażerskim samolotem z Pekinu do Xichang. Udało mu się trochę zdrzemnąć podczas ponadtrzygodzinnego lotu. Studiowanie map i dokumentów było istotną częścią przygotowań do wykonania zadania, ale nie można zapominać o wypoczynku. Ponieważ spodziewał się dłuższego przebywania na dworze i korzystania z danych zgromadzonych na dysku laptopa, wolał wyspać się na zapas.

Port lotniczy był nieduży, ale nowoczesny. Rodgers udał się taksówką do pobliskiego hotelu Satellite, który, sądząc z nazwy, wybudowano głównie 237

dla gości ośrodka lotów kosmicznych. W hotelu wynajął samochód, zarezerwowany przez kancelarię premiera. Zwykle nie pozwalano cudzoziemcom prowadzić samochodów w tym rejonie, ze względu na bliskość zamkniętej strefy. Wcisnął się do niewielkiego wiśniowego xiali bullet, jednego z modeli najnowszej generacji chińskich samochodów, przeznaczonych na rynek wewnętrzny i na eksport.

Przyspieszenie wozu wydało mu się porównywalne z rykszami płaczącymi się po ulicach Pekinu. Rozpędzał się powoli, ale kiedy już osiągnął przyzwoitą prędkość, jechało się całkiem przyjemnie. Nie było to zresztą istotne. Co prawda do ośrodka miała prowadzić nowiutka autostrada, ale nie została jeszcze ukończona. Większa część godzinnej trasy prowadziła drogami gruntowymi, po których obok samochodów poruszały się rowery, zaprzęgi konne, a także stada owiec i krów. W

jednym miejscu Rodgers czekał prawie dwadzieścia minut, aż kierowca autobusu przestanie kłócić się z jakąś kobietą, stojącą na środku drogi. Sądząc z położenia pojazdów, jadąca skuterem kobieta usiłowała wyprzedzić autobus i zakończyła manewr w rowie. Ze złością tłukła ręką w maskę autobusu, co było odbierane jako o wiele większa zniewaga, niż gdyby prała po gębie samego kierowcę. Nie denerwował

jej zresztą kierowca, ale jego ewidentny brak umiejętności. W ten sposób okazywała mu pogardę jako mężczyźnie.

Konflikt zakończył się, kiedy kierowca autobusu najzwyczajniej w świecie odjechał, zostawiając wrzeszczącą i pomstującą kobietę w potężnej chmurze spalin.

Po pokonaniu trasy Rodgers spotkał się z żołnierzami piechoty morskiej. Pojechali przodem, wahadłowym autobusem, przewożącym pracowników ośrodka. Wcześniej wraz z innymi specjalistami przylecieli do Pekinu. Podczas wykonywania zadania mieli się porozumiewać za pomocą wiadomości tekstowych. Był to system podobny do SMS-ów, z tą różnicą, że wyświetlały się one na ręcznych zegarkach w postaci przesuwającego się tekstu. Użytkownik tego urządzenia wypowiadał komunikat głosowy, który był przekodowywany na tekst przez mikroprocesor umieszczony w zegarku, a następnie przesyłany do pozostałych odbiorców. Departament Obrony pracował nad okularami z wyświetlaczem, na którym można by pokazywać także obrazy, widoczne wyłącznie dla użytkownika. Niewielkie, ale skuteczne anteny ukryte w zausznikach miały pozwalać na odbieranie danych przesyłanych między stacjami. Firma Rodgersa walczyła o kontrakt na okulary produkowane w tej nowej technologii. Dzięki połączeniu z zagranicznym numerem telefon komórkowy Rodgersa mógł

238

odbierać wszystkie wiadomości tekstowe przesyłane w grupie żołnierzy.

Komunikacja zwrotna polegała na przesyłaniu wiadomości tekstowych z jego komórki albo pojedynczego sygnału dźwiękowego do konkretnego odbiorcy. Zegarki mogły wibrować, a żołnierze odbieraliby jego sygnały także na swych telefonach komórkowych. Nie była to bezpieczna metoda porozumiewania, ale mogła okazać się niezbędna w sytuacji awaryjnej.

Na razie Rodgers chciał się upewnić, że wszyscy przedostali się na teren ośrodka.

Wysłał sygnał. Mieli odpowiedzieć przez jednokrotne naciśnięcie pokręteł w swych zegarkach. Na wyświetlaczu komórki Rodgersa miały się pojawić numery od jednego do czterech, w zależności od tego, kto odebrał przekaz. Odpowiedziała cała czwórka.

Wkrótce potem Rodgers zadzwonił do Hooda. Były dyrektor Centrum Szybkiego Reagowania opowiedział byłemu zastępcy, co wydarzyło się w Zhuhai. Rodgers był

zaskoczony. Nie krył też obaw.

-

A zatem nie mamy pewności, czy nasz główny podejrzany sam się wysadził w powietrze, czy ktoś mu pomógł? - spytał Rodgers.

-

Przed chwilą rozmawiałem ze Stephenem Viensem - poinformował go Hood. -

Wybuch został zarejestrowany przez dyżurnego satelitę. Analizują teraz zdjęcia, ale wygląda na to, że eksplozję wywołał ogień pod samolotem. W pobliżu stała cysterna, a maszyna była prawdopodobnie w trakcie tankowania.

-

Kiedy wylądował samolot?

-

NORAD twierdzi, że nie był na ziemi dłużej niż dwadzieścia minut - powiedział Hood.

Od czasu ataków jedenastego września 2001 roku NORAD został podłączony do wszystkich systemów kontroli lotów w Stanach Zjednoczonych, a także poprzez przekaźniki i specjalne programy, do prawie wszystkich systemów ruchu powietrznego na świecie. Jeżeli jakiś samolot zejdzie z kursu podanego w planie lotu na dłużej niż dziesięć sekund, amerykańskie myśliwce zostają postawione w stan pogotowia. Jeżeli samolot ten znajduje się w przestrzeni powietrznej Stanów Zjednoczonych, myśliwce startują natychmiast. Jeżeli jest w obcej przestrzeni powietrznej, informacje o locie zostają przekazane amerykańskim i zagranicznym służbom wywiadowczym. Lot Czou Szina nie spowodował alarmu. Istniał jednak radarowy zapis jego trasy z Pekinu do Zhuhai.

-

Czou Szin ląduje, nie opuszcza samolotu i ginie dwadzieścia minut później w wyniku eksplozji - podsumował Rodgers. - Jeżeli nie umawiali się na spotkanie, to wygląda na to, że Tam Li wykorzystał nadarżającą się 239

okazję. Żaden z nich nie mógł zlikwidować przeciwnika bez zaalarmowania współników w Pekinie.

-

To nie ma sensu - skrzywił się Hood. - Byłoby dochodzenie. Przesłuchania świadków. Gdyby to było morderstwo, Pekin na pewno by się o tym dowiedział.

-

Owszem, jeżeli chodziłoby tylko o morderstwo - stwierdził Rodgers. -

Zapewne generał pomyślał o tym, jak może się wywinąć od odpowiedzialności.

-

Czyżby oczekiwał w najbliższym czasie zmiany sytuacji politycznej w Pekinie? - zastanawiał się

Hood.

-

Właśnie na to stawiał - zgodził się Rodgers. Zatrzymał się, by przepuścić stado bydła, przechodzące przez błotnisty odcinek drogi. - Być może podejrzewamy niewłaściwego człowieka o potencjalny zamach bombowy w Xichang.

-

Dlaczego Tam Li miałby niszczyć projekt, który ma mu zapewnić jeszcze większy prestiż? - spytał Hood. - Co mu to da?

-

Próżnię w szeregach władzy. Wystarczy zabić premiera i paru innych wysokich urzędników państwowych - podsunął Rodgers. - No i żaden ślad nie będzie wskazywał na niego. Nikt nie będzie go nawet podejrzewał.

-

To chyba nie wystarczy - powiedział Hood. - Brakuje zbyt wielu kluczowych postaci. Prezydenta, wiceprezydenta, ministra obrony. Tam Li będzie musiał ich usunąć, jeśli planuje zamach stanu.

-

A może on pracuje dla ministra obrony? - rzucił Rodgers, kiedy krowy w końcu przeszły przez drogę. Grzęznąć w błocie, przy wtórze przekleństw pastucha, samochód znowu ruszył do przodu.

-

Le Kwan Po przed chwilą rozmawiał z ministrem obrony - powiedział Hood. -

Premier nie sądzi, aby był on zamieszany w tę intrygę.

-

Kieruje się dowodami czy pobożnymi życzeniami? - spytał Rodgers.

-

Instynktem - odparł Hood. - Tak mi odpowiedział, gdy zadałem mu to samo pytanie.

-

A jak do tej pory sprawdzał się ten jego instynkt?

-

Brak danych - odrzekł Hood.

-

Kupa czasu do startu - zauważył Rodgers. - Załóżmy, że mamy brutalnego generała, który chce wysadzić w powietrze własną raketę i stworzyć stosunkowo niewielką lukę w szeregach rady ministrów. Jaka odniesie z tego korzyść?

Milczeli przez chwilę.

-

Może kręcimy się w kółko za własnym ogonem - stwierdził Hood.

240

-

To byłoby bardzo zabawne - odparł Rodgers. - Zawsze jest szansa, że to Czou Szin uruchomił maszynę zniszczenia, a jego śmierć nie zdołała jej zatrzymać. Być może jego sojusznicy w wojnie z Tam Li postanowili kontynuować rozprawę z generałem. Mogą nawet nie wiedzieć, że Czou nie żyje.

-

To prawda.

-

Coś jeszcze przyszło mi do głowy - powiedział Rodgers. - Zawsze mogą być dwie przyczyny wybuchu.

-

Jedną znam, a jaka jest druga? - spytał Hood.

-

Odwrócenie uwagi - odpowiedział Rodgers.

-

Chodzi ci o zniszczenie samolotu Czou Szina?

-

Nie - zaprzeczył Rodgers. - Mówię o rakiecie. Może faktycznie istnieje spisek, mający na celu jej

wysadzenie, ale kieruje nim Tam Li? Po to, aby skupić uwagę Pekinu tutaj, a przeprowadzić jakąś operację zupełnie gdzie indziej?

-

Co to może być?

-

Nie wiem. Generał Tam Li miał być tu obecny podczas startu. Tymczasem jest w Zhuhai. Dlaczego?

-

To jego stanowisko dowodzenia. Powiedział premierowi, że szykował się do odlotu, kiedy przybył Czou Szin - poinformował Hood.

-

I nie przyleci?

-

Nie.

-

Po co Czou Szin fatygował się taki kawał drogi, skoro obaj mogli się spotkać tutaj?

-

Chyba nie po to, aby zawrzeć rozejm - stwierdził Hood.

-

Bardziej prawdopodobna byłaby konfrontacja. Może Guoanbu coś wykryło i Czou postanowił to sprawdzić?

-

Czou nie przyleciałby tam osobiście, gdyby nie był pewien tego, co tam zastanie - oznajmił Hood.

-

Zgoda. Tylko co zastał?

-

Mogę zapytać premiera, kiedy znajdziemy się na terenie ośrodka.

-

Nie, wtedy możemy już nie mieć czasu - zaproponował Rodgers.

-

Naszym jedynym zmartwieniem powinien być ośrodek lotów kosmicznych -

powiedział Hood pewnym głosem. - Jeżeli Tam Li planuje tutaj dywersję, a nam uda się go powstrzymać, nie będzie mógł zrealizować głównego planu.

-

W materiałach, z którymi zapoznałem się wraz z dowódcą oddziału piechoty morskiej, były przykłady posunięć taktycznych Guoanbu - rzekł Rodgers. -

Poznaliśmy ich sposób działania podczas kilku ostatnich operacji, 16-Wojna orłów

241

w tym informacje uzyskane od policji w Tajpej po zamachu na klub. Nic natomiast nie wiem o tajnych akcjach wojskowych Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin.

Uzyskanie informacji od wywiadu wojskowego albo z Centrum Szybkiego Reagowania może zabrać więcej czasu, niż nam pozostało.

-

A może wcale nie będziemy tego potrzebowali - powiedział Hood. - Rozstaw swoich ludzi na stanowiskach. Zadzwoń do ciebie za jakieś pół godziny, kiedy znajdę okazję na rozmowę z premierem.

-

Coś ty znowu wymyślił? - zdziwił się Rodgers.

-

Stary sposób, który może się okazać zbawienny - odparł Hood.

ROZDZIAŁ 51

Xichang, Chiny Czwartek, 10.31

Orszak zmierzający do ośrodka lotów kosmicznych liczył siedem samochodów.

Jedyną limuzyną jechał premier wraz z córką. Pozostałe maszyny były wypucowanymi do czysta, ale niezbyt eleganckimi samochodami wojskowymi.

Widok ten sprawił, że w głowie Hooda zakiełkował pomysł, jak złapać potencjalnego zamachowca.

Ośrodek lotów kosmicznych miał kształt litery Y. Konwój pojechał wzdłuż ogonka Y, a potem skręcił na zachód. Minęli niskie centrum telekomunikacyjne, posterunek obserwacyjny i podjechali pod centrum techniczne. Tam samochody zatrzymały się, a ich pasażerowie wysiedli. Platforma startowa znajdowała się cztery kilometry stąd w kierunku północnym. Wyraźnie widać było raketę. Stała lśniąca bielą na tle czarnej i szarej kratownicy wyrzutni. Pióropusze dymu wydobywały się z trzech stopni, rozwiewając się szybko na tle czystego błękitu nieba. Gorące powietrze powodowało, że kontury rakiety lekko falowały, jak pustynny miraż.

Ośrodek Xichang nie miał biura rzecznika prasowego. Gośćmi zaopiekowali się funkcjonariusze ochrony w prostych, granatowych uniformach, po jednym na samochód. Wraz z gośćmi z Pekinu przyjechali tłumacze, którzy przekładali polecenia ochroniarzy. Anita dołączyła do nich, wysiadłszy z limuzyny ojca. Sam premier nie opuścił auta, reszta grupy ruszyła w kierunku centrum technicznego.

-

Pod zabudowaniami jest piwnica - powiedziała Anita grupie angielskojęzycznej. - Stamtąd będziemy obserwować start.

242

-

Muszę porozmawiać z pani ojcem - powiedział Hood.

-

Zaraz wyjdzie - uspokoiła go. Była poważna i mówiła oficjalnym tonem.

Hoodowi bardziej podobała się wtedy, kiedy była mniej pewna siebie i domagała się od niego wyjaśnień.

-

Zaczekam na niego - powiedział.

-

Sądzę, że powinien pan raczej pójść z...

-



Proszę posłuchać - przerwał jej Hood. - Przejmuje się pani zachowaniem pozorów. Ja zaś martwię się o jego życie.

-

O życie?

-

Zaczekam na niego tutaj - powiedział Hood i odsunął się od niej.

-

Więc muszę tu zostać, żeby tłumaczyć. A co z pozostałymi gośćmi?

-

zaniepokoiła się.

-

Wiedzą, po co tu przyjechali. Przez jakiś czas dadzą sobie radę bez pani -

odparł Hood.

Anita wyglądała na zmartwioną. Podeszła do pozostałych członków grupy, by powiedzieć im, że spotkają się na dole. Wróciła akurat w momencie, kiedy jej ojciec wysiadał z samochodu.

-

Czy ma pan nowe informacje? - zapytała Hooda.

-

Tak.

Premier spoglądał to na niego, to na Anitę.

-

Mamy potwierdzenie informacji o zniszczeniu samolotu - oznajmił Le, a Anita przetłumaczyła jego słowa.

-

My także - odparł Hood.

-

Ale pan wie coś jeszcze - stwierdził Le.

-

Jedno pytanie: czy zna pan jakiś powód, dla którego generał wolałby

-

a raczej musiałby - pozostać w Zhuhai? - spytał Hood.

-

O to samo zapytałem ministra obrony - przyznał Le. - Jego zdaniem nic niezwykłego nie dzieje się w tamtym rejonie.

-

Czy ufa pan temu ministrowi?

-

Nie mam powodów, by mu nie ufać.

-

Wybaczy pan, czy to aprobata, czy dyplomacja?

-

To jest moja odpowiedź - odparł premier.

-

Spróbuję więc inaczej - głos Hooda zdradzał lekkie zniecierpliwienie.

-

Kto wyznaczy następcę Czou Szina?

-

Prezydent - odpowiedział Le. - Właśnie to z nim przedyskutowałem. Tam Li nic na tym nie zyska. Następcą będzie komunista, a nie sojusznik generała.

Premier zerknął na rakiety i mówił dalej:

-

Zastanawiam się, czy nie chodziło po prostu o rywalizację między nimi. Po śmierci Czou Szina chyba nic nie zagraża temu obiektowi. Być może nigdy nie zagrażało. Pan jest innego zdania?

-

Nie, panie premierze. Pozwolę sobie zadać jeszcze jedno pytanie. Czy w ośrodku są obecni jacyś podwładni generała?

-

Dlaczego pan o to pyta? Czyżby podejrzewał pan, że to on planuje zamach?

-

Wraz z generałem Rodgersem doszliśmy do wniosku, że zamach może posłużyć do odwrócenia uwagi od jakiegoś innego posunięcia Tam Li - powiedział

Hood. Celowo użył wojskowego stopnia Rodgersa, aby uświadomić premierowi, że za tym przypuszczeniem stoi wojskowy autoiytet.

-

Jakie korzyści mogłoby mu to przynieść? - spytał Le.

-

Tego nie wiemy. Ale dysponuje on potężnym arsenałem. A zamach na raketę może posłużyć mu jako pretekst do jego użycia.

-

Jeszcze raz pytam, z jakich powodów?

-

Ambicjonalnych? - zastanawiał się głośno Hood. - Nie znam tego człowieka.

Ale naszym zdaniem eksplozja na lotnisku nastąpiła pod samolotem, a nie w jego wnętrzu. To mógł być przypadek, ale równie dobrze początek czegoś większego. -

Popatrzył na Anitę. - Na przykład likwidacji kilku najwyższych dygnitarzy w państwie. Wielu z nich jest teraz tu, na terenie ośrodka.

Wyraz zniecierpliwienia na twarzy tłumaczki nagle ustąpił głębokiemu zaniepokojeniu. Skończyła

zdanie i spojrzała na ojca. On jednak pozostał

niewzruszony. Przede wszystkim był wytrawnym politykiem.

-

Do służby wartowniczej ściągani są żołnierze z różnych jednostek, zmiany następują co pół roku - powiedział Le. - Dowiem się, kto spośród nich służył w Zhuhai.

-

Dziękuję, panie premierze.

Le wrócił do samochodu. Anita została obok Hooda.

-

Martwi się pan o raketę - powiedziała.

-

I o nasze życie - dodał Hood.

-

Dlaczego po prostu nie wyjedzie pan z ośrodka? Sami znajdziemy ludzi generała, jeżeli w ogóle tutaj są.

-

Nie lubię uciekać - odparł.

-

I zostanie pan, żeby wykazać się męstwem? - spytała. - Jak James Bond?

Nie wiedział, czy żartuje, czy mówi poważnie.

244

-

Wykonuję tylko swoją pracę.

Uśmiechnęła się.

-

To bardzo rozsądna odpowiedź. I bardzo chińska.

Podobnie jak megalomania i morderstwo, pomyślał Hood, ale powstrzymał się od wypowiedzenia tego na głos. Anita miała własną definicję typowych chińskich cech charakteru. Chodziło jej o pracowitość i godność, co niewątpliwie było odbiciem tego, jak postrzegała ojca. Nie chciał jej tego pozbawiać. Tylko życie mogło wpłynąć na zmianę jej sposobu myślenia.

Le wrócił do nich. Na jego twarzy pojawiły się powaga i troska, wcześniej niedostrzegalne.

-

Niedawno przydzielono do służby jednostkę przybyłą z Zhuhai - powiedział. -

Rozkazałem, aby zebrano tych żołnierzy w centrum dowodzenia. Mam zamiar niezwłocznie spotkać się z nimi.

-

Jakie przydziały otrzymali ci ludzie? - spytał Hood.

-

Początkowo sprawdzali przepustki przy bramie głównej.

-

Początkowo? - zdziwił się Hood.

-

Trzy tygodnie temu skierowano ich do innych zadań na polecenie generała -

wyjaśnił Le. - Twierdził, że ta rakietka ma ogromne znaczenie dla jego planów. Chciał, aby jej silniki startowe były strzeżone przez ludzi, których sam wyszkolił i którym ufa bez reszty.

-

Chciałbym pójść do nich razem z panem - powiedział Hood.

-

Nie. Przekażę panu wszystko, czego się dowiem. Może pan poczekać w centrum technicznym. Skontaktuję się z panem.

-

Panie premierze, mamy niecałe półtorej godziny do startu...

-

Tym bardziej muszę natychmiast znaleźć się w centrum dowodzenia. - Le odwrócił się i odszedł.

Hood ruszył w ślad za nim.

-

Pani Anito, niech pani poprosi ojca, aby został.

-

Ojciec powiedział panu, co zamierza zrobić - odparła.

-

Tak, aleja mam spore doświadczenie w takich sprawach...

-

Nie tutaj - ucięła. - Nawet nie zna pan naszego języka.

-

Potrafię czytać z wyrazu twarzy, z języka ciała. - Hood zatrzymał się, widząc, że premier wsiada do samochodu. - A niech to szlag... wszystko, cokolwiek mogłoby pomóc...

-

Gdyby mój ojciec potrzebował pomocy, toby o nią poprosił.

-

Kiedy? - spytał Hood. - Po zniszczeniu rakiety?

245

-

Ojciec wie, co robi. Jest bardzo kompetentny.

-

Ale nie jest nieomylny - wybuchnął Hood. - Pozwolił, aby konflikt między Czhou Szinem a generałem

wymknął się spod kontroli...

-

Panie Hood, chyba skończyliśmy rozmowę.

-

Nie! To pani przestała słuchać, a to nie to samo. Gra idzie o wielką stawkę, Anita! To nie jest dobry moment na strojenie fochów.

-

I tu się z panem zgodzę, panie Hood. Premier powiedział panu, gdzie ma pan na niego czekać, radzę więc, aby się pan tam udał. A teraz, proszę wybaczyć, muszę wrócić do swoich obowiązków - oznajmiła Anita i ruszyła do centrum technicznego.

W przypiływie wściekłości uniósł ręce. Ale złość nie mogła w niczym pomóc i zaraz je opuścił. Stał przy asfaltowej jezdni, która przecinała teren ośrodka. Samochody nie ruszały się spod budynku. Strażnik stojący przy wejściu do centrum przyglądał mu się, ale nie podchodził.

Wschodzące słońce przygrzewało mocno i Hood zaczął się pocić. Leciutki wiaterek poruszał powietrze nad ziemią. Wyciągnął zza paska komórkę. Zamierzał zadzwonić do Rodgersa i powiedzieć mu o oddziale wartowników z Zhuhai. Przynajmniej wiedział, gdzie są ludzie generała. Pozwoli to zawęzić strefy patrolowe dla żołnierzy z oddziału Rodgersa.

Niestety, systemy łączności ośrodka zagłuszały sygnał telefonu. Musiał znaleźć inny sposób porozumiewania się z Rodgersem. I to szybko.

## ROZDZIAŁ 52

Xichang, Chiny Czwartek, 10.49

Przed zejściem z posterunku jeden z żołnierzy pełniących służbę w pododdziale wartowniczym, strzegącym dostępu do silników startowych, wysłał e-maila do Zhuhai. Napisał w nim:

Oddział odwołany przez premiera.

Nie była to wiadomość, której spodziewał się generał Tam Li. Do startu została godzina i kilka minut. Jeśli bomba zostanie wykryta i rakieta wystartuje bezpiecznie, wszystkie jego dalsze plany wezmą w łeb. Bez eksplozji Tam Li nigdy nie przekona prezydenta, że Tajwan wykorzystał, a może nawet sprowokował, eksplozję rakiety, by zaatakować z zaskoczenia, i tylko szybkie przeciwdziałanie generała zapobiegło zmasowanemu uderzeniu na cele wzdłuż wschodniego wybrzeża Chin.

Miała to być spektakularna akcja, która wyniesie generała na stanowisko ministra obrony, a może nawet premiera. Ponieważ nie musiał rzucać podejrzeń na nieżyjącego Czou Szina, Tam Li mógł skoncentrować się na czysto wojskowych aspektach operacji.

Pod warunkiem że rakietę eksploduje. W przeciwnym razie niczego nie dokona.

Siedział sam w gabinecie, gapiąc się w okno i rozmyślając. Nie miał skłonności do złości czy zamartwiania się. Wolał nie tracić energii na puste gesty, ale wykorzystywać ją z lepszym skutkiem. Każdy problem miał przynajmniej jedno rozwiązanie, a zwykle co najmniej kilka. Chodziło tylko o to, by znaleźć najlepsze.

Generał rozmawiał z ratownikami po akcji gaszenia pożaru. Jako lojalni żołnierze rozumieli, dlaczego trzeba było zniszczyć samolot. Zarazem byli też dobrze opłacanymi członkami przestępczego gangu generała, który robił wielkie interesy na czarnym rynku. Wyjaśnienie Pekinowi, co zaszło na lotnisku, nie stanowiło większego problemu. Załadowany materiałami wybuchowymi samolot Czou Szina wyleciał w powietrze. Dużo większym zmartwieniem było odwołanie oddziału wartowniczego, zwłaszcza że premier zaczął coś podejrzewać.

W chwili otrzymania rozkazu oddział wartowników generała szykował się właśnie do opuszczenia terenu ośrodka lotów kosmicznych. Żołnierze nie chcieli znaleźć się w pasie o szerokości pięćdziesięciu kilometrów wokół obiektu, kiedy eksploduje plutonowy rdzeń reaktora. Tam Li nie mógł liczyć na to, że będą siedzieć cicho, gdy zacznie się odliczanie. A skoro pozostali w ośrodku, są spore szanse na to, że wszyscy zginą.

I wówczas przyszło mu do głowy najlepsze wyjście z sytuacji. Miał zamiar wykorzystać starą zasadę, że najciemniej jest pod latarnią. Nacisnął przycisk interkomu.

-

Słucham, panie generale?

-

Połączcie mnie z ośrodkiem lotów kosmicznych w Xichang - rozkazał. - Muszę natychmiast rozmawiać z premierem.

-

Tak jest, panie generale.

Tam Li miał zamiar powiedzieć premierowi, dlaczego przydzielił tych ludzi do ochrony silników startowych i dlaczego muszą dokończyć swoje zadanie.

Tylko w ten sposób zdołają zabezpieczyć raketę przed rzekomym zamachem, zaplanowanym przez Czou Szina.



Xichang, Chiny Czwartek, 11.00

Spokojny i dumny głos z głośnika oznajmił: - Czas startu minus sześćdziesiąt!

Hood nie potrzebował tłumacza, aby zrozumieć, o czym mowa. Cyfrowy zegar, pokazujący czas pozostający do startu, właśnie wskazał mniej niż sześćdziesiąt minut. Zresztą tłumacza z nim nie było. Anita zeszła na dół z pozostałymi obserwatorami. Hood pozostał w holu, tak jak polecił mu Le. Za stalowoszarym pulpitem siedziała strażniczka. Poza nimi nie było nikogo w pomieszczeniu. Hood pokazał jej na migi, że chce skorzystać z telefonu, ale pokręciła przecząco głową.

Kiedy mimo wszystko spróbował to zrobić, uniosła się i zawołała kogoś po imieniu.

Do holu wszedł drugi strażnik. Hood zrezygnował z rozmowy.

Platforma startowa była za daleko, musiałby biec i szukać samemu żołnierzy piechoty morskiej. Spróbował ponownie zadzwonić z komórki. Potem jeszcze raz.

Czas uciekał. Jedyne, co przychodziło mu do głowy, to pojechać z powrotem do bramy i znaleźć Mike'a, kręcącego się gdzieś na obrzeżach ośrodka. Nawet jednak gdyby mu się to udało, pozostanie bardzo niewiele czasu na zlokalizowanie problemu.

-

Hood.

Spojrzał w kierunku pulpitu. Kobieta mówiła do niego, wyciągając rękę ze słuchawką. Może to Rodgers.

-

Słucham? - zgłosił się, chwytając słuchawkę.

-

Mówi doktor Juen, specjalista od paliwa uczestniczący w tym projekcie -

usłyszał. - Będę tłumaczył słowa pana premiera. Pan premier chce pana poinformować, że kontaktował się z generałem i rozmowa z nim zadowolila go.

-

Czyżby? A co z ludźmi, z którymi miał rozmawiać?

Hood odczekał chwilę, aż naukowiec przetłumaczy pytanie i odpowiedź. Albo Tam Li był bardzo przekonujący, albo premier wyjątkowo naiwny. Tak czy inaczej, był

tylko jeden sposób, aby się o tym przekonać.

-

Premier pozwolił im wrócić do wykonywania obowiązków.

-

Proszę spytać, czy posłał za nimi kogoś, kto ich będzie pilnował?

To obłąd. Facet, którego podejrzewają o zbrodnię, mówi, że jest niewinny, a premier łyka to bez mrugnięcia okiem.

Znów musiał czekać.

248

-

Panie Hood, pan premier udaje się do centrum technicznego - poinformował go Juen. - Będzie tam za pięć minut. Powiedział, że chce z panem porozmawiać.

-

Świetnie - odparł Hood. - Kolejna strata czasu.

-

To my wynaleźliśmy rakiety - oznajmił naukowiec. - Robiliśmy to już od wielu stuleci, zanim przyszli na świat pańscy przodkowie.

Hood nie odpowiedział. Zdaniem tym naukowiec rościł sobie prawo zarówno do podjęcia ryzyka, jak i do porażki. Z takim rozumowaniem nie sposób się spierać.

Hood się rozłączył. Musi natychmiast skontaktować się z Rodgersem. Uśmiechnął się do strażniczki i położył rękę na klawiaturze. Kobieta zasłoniła ją dłonią.

-

Le Kwan Po - powiedziała z przekonaniem.

Po chwili powtórzyła te same słowa. Podniosła się z miejsca i nie cofnęła ręki z klawiatury. Wskazała mu fotel, a po chwili schody, prowadzące do bunkra. To były jedyne możliwości działania Hooda.

Hood podniósł palec wskazujący.

-

Jedna rozmowa. Tylko jedna. Proszę...

Strażniczka pokręciła przecząco głową i ponownie wskazała mu możliwe opcje.

Hood był gotów odepchnąć ją od telefonu.

-

Do kogo chce pan zadzwonić?

Hood odwrócił się na dźwięk znajomego głosu. Anita stała na schodach prowadzących do bunkra.

-

Muszę porozmawiać ze współpracownikiem - powiedział. - Bardzo proszę.

-

Najwyraźniej ojciec miał rację.

-

Słucham?

-

Obawiał się, że jego decyzja nie będzie przez pana dobrze przyjęta - odparła Anita.

Hood ruszył w jej kierunku.

-

Co do tego miał rację. Ale nie jestem pewien, czy miał także rację, jeśli chodzi o całą resztę. Muszę z kimś porozmawiać dosłownie przez chwilę - powiedział

niemal błagalnym tonem.

-

Panie Hood, nie chcę mówić o rzeczach oczywistych, ale jesteśmy tu, aby oglądać start...

-

I życzyłbym sobie, żeby tak właśnie było - wszedł jej w słowo Hood. - Muszę zadać

współpracownikowi jedno jedyne pytanie. Jest coraz mniej czasu, a pani nie ma przecież nic do stracenia. Obiecuję, to będzie krótka rozmowa.

249

Anita przyglądała mu się przez chwilę.

-

Dobrze.

Powiedziała coś do strażniczki. Umundurowana kobieta zabrała dłoń z klawiatury.

Siadając na miejsce, spojrzała na Hooda.

-

Jedna krótka rozmowa - przestrzegła go Anita.

-

Dziękuję - Hood skierował to do obu kobiet.

Połączył się z centralą i podał numer komórki Rodgersa. Ponieważ była to zwykła linia telefoniczna, a Rodgers znajdował się poza terenem ośrodka, Hood miał

nadzieję, że sygnał przebije się przez zakłócenia spowodowane antenami satelitarnymi w okolicy.

Niestety, nie udało się. Po długiej, obezwładniającej ciszy Hood rozłączył się i stanął

bez ruchu.

-

Nie odpowiada? - spytała Anita.

-

Nie.

-

Przykro mi - powiedziała. - W takim razie chodźmy na dół...

-

Jeszcze nie - zaprzeczył szybko Hood. Wybrał inny numer. - Muszę spróbować jeszcze raz.

Anita nie była uszczęśliwiona, ale nic nie powiedziała. Jej twarz wyrażała dezaprobatę.

Tym razem nie dzwonił do Mike'a Rodgersa, ale do kogoś innego, kto mógł mu pomóc.

## ROZDZIAŁ 54

Waszyngton Środa, 23.11

Praca w wywiadzie zawsze wymagała cierpliwości. Czy chodziło o łamanie szyfrów podczas II wojny światowej, czy o rozpoznanie pozycji perskich przez Spartan przed bitwą w wąwozie termopilskim w 480 roku przed naszą erą, to nie była robota dla niecierpliwych.

Bob Herbert przeplatał cierpliwość niecierpliwością. Była to jego siła i zarazem przekleństwo. Szukał świeżych tropów, a jednocześnie czekał na rezultaty poprzednich poszukiwań. Największy problem miał wtedy, gdy nowe tropy prowadziły donikąd. Kiedy każda droga, którą podążał, kończyła się ślepym zaułkiem. Kiedy miał za mało informacji, aby stanąć z boku, albo za mało siły, by wznieść się wyżej i spojrzeć na wszystko z szerszej perspektywy.

250

W takich przypadkach czuł się, jakby był w potrzasku. A będąc w tym potrzasku, męczył się z problemem, aż zaczynała boleć go głowa, serce waliło jak oszalałe i chciało mu się krzyczeć. Wtedy opadał na oparcie wózka i płakał z poczucia bezsilności, i zwał wszystko na swoje kalectwo, a co za tym idzie, na fakt, że Amerykańska Ambasada w Bejrucie została wysadzona w powietrze, a on tam akurat musiał być. Ale najbardziej obwinał siebie samego za to, że wybrał sobie takie życie, zamiast otworzyć knajpę gdzieś w Missisipi i grać na gitarze na amatorskich imprezach, i nigdy nie podejmować się czymś, co dzieje się poza granicami małego miasteczka na południu, gdzie powietrze jest duszne i gęste, a każdy czuje się bezpieczny, bo nie zawitał tam nigdy ktoś, kto nie był stamtąd.

Herbert wyobrażał sobie, że po przejściu na emeryturę wróci do Filadelfii w stanie Missisipi. Chciałby pojechać tam już teraz, ale to oznaczałoby przyznanie się do porażki. W tych okolicznościach jego emerytura stanowiłaby pułapkę, a nie oswobodzenie.

Szef wywiadu siedział za biurkiem w Centrum Szybkiego Reagowania. Nie chciał iść do domu i czuć się nikomu niepotrzebnym. Lepiej zostać tutaj z nocną zmianą i mieć przynajmniej możliwość działania. Ale to wcale nie pozwalało mu czuć się osią koła, wokół której toczyły się wydarzenia. Był bezsilny i zdesperowany, nie tylko brakiem możliwości zapobieżenia eksplozji w Xichang. Jego żywiołem był ruch. Bez niego zapominał, kim jest i jak się nazywa.

Co gorsza, nie było z nim Rodgersa ani Hooda. Zwykle przerzucali się pomysłami.

Nawet jeśli Rodgers nie zawsze potrafił je odbijać, to przynajmniej zawzięcie machał

kijem. Coś się działo.

Tymczasem nic się tu nie działo od chwili, kiedy wczoraj przyszedł do niego Viens.

Herbert prosił o więcej informacji o obiektach spostrzeżonych w rejonie wybrzeży Oceanu Spokojnego. Niestety, kiedy porównano aktualne fotografie z wykonanymi wcześniej, nic nie znaleziono. Porównanie polegało na analizie różnic po nałożeniu na siebie obrazów wykonywanych w pewnym odstępie czasu. Przypominało metodę stosowaną przez astronomów podczas porównywania fotografii tych samych obszarów nieba z różnych nocy. Jeśli jakiś obiekt, na przykład asteroida zmierzająca ku ziemi, zmienił położenie, to od razu było to widać. W przypadku działalności wywiadowczej sprawa była nieco bardziej skomplikowana. Porównywano poprzednie manewry wojskowe z aktualnymi, a także reakcje wojsk sąsiadujących państw. Komputery podnosiły alarm, kiedy znalazły coś odbiegającego od normy. Jak dotąd działania w rejonie wybrzeży Oceanu

251

Spokojnego nie spowodowały alarmu. Biuro Rozpoznawcze zarejestrowało eksplozję na lotnisku Zhuhai i to bez wątpienia zostało umieszczone w ogólnym obrazie wydarzeń. Nikt jednak nie wiedział, czemu przyporządkować ten wybuch, a tym bardziej, czy ma on jakikolwiek związek z wystrzeleniem rakiety.

Ilekcio Herbert przeglądał dotychczas zebrane dane na temat ruchów wojsk albo eksplozji w Charlestonie, Durbanie czy Tajpej, nie wynikało z tego nic, co mogłoby dotyczyć rakiety. Nie potrafił dostrzec żadnego związku.

A potem zadzwonił Paul Hood.

-

Cieszę się, że cię zastałem, Bob - powiedział szybko. - Mam nadzieję, że Mike ma jakiś sposób komunikowania się ze swoimi ludźmi?

-

Przez komunikaty tekstowe - odparł Herbert. - Wszyscy noszą...

-

Nie muszę tego wiedzieć - przerwał mu Hood. - Miejscowe łącza zakłócają sygnały komórki. Czy możesz przesłać mu wiadomość?

-

Tak - odpowiedział Herbert. Ponieważ wiadomości tekstowe zadowalały się węższym pasmem niż głosowe, zegarki pracowały na niższych częstotliwościach, niezakłócanych przez łączność satelitarną.

-

Napisz mu, że Tam Li ma tutaj ekipę strzegącą bezpieczeństwa silników startowych.

-

Lis pilnuje kurczaków?

-

Prawdopodobnie. Oddział właśnie wraca na swoje stanowiska. Jeżeli tak jest w istocie, to w porządku. Jeżeli zaś będą próbowali uciec z ośrodka, będziemy już wiedzieć, co jest grane. Mike powinien ich zatrzymać i zmusić do mówienia.

-

Przekażę mu - powiedział Herbert. - Czy masz opis tych ludzi?

-

Nie. Nie widziałem się z nimi.

-

Mówią po angielsku?

-

Wątpliwe - stwierdził Jood. - Niech Mike każe im narysować schemat. Jeśli będzie trzeba, to własną krwią.

-

Rozumiem - odpowiedział Herbert.

Hood rozłączył się, a Herbert zwrócił głowę w stronę monitora komputerowego.

Cienki, płaski ekran był umocowany na ramieniu przytwierdzonym do lewego podłokietnika jego wózka. Herbert uzyskał dostęp do sieci wiadomości tekstowych Rodgersa i przesłał mu naprędce skomponowany komunikat. Starał się jak najbardziej zredukować liczbę słów.

Pododdział Tam Li ma dostęp do silników startowych. Mogą uciec przed zapłonem.

Zatrzymać i przebadać.

powietrze rakiety, praktycznie własną, aby umocnić opozycję wobec Czou Szina - było to sensowne, ale niezbyt przekonujące. Poza tym po śmierci dyrektora wywiadu nie musiał kontynuować operacji. Jest jednak jeszcze ciekawsza opcja - oskarżenie Tajwanu o zniszczenie rakiety w odwecie za eksplozję w Tajpej. A kto lepiej odpowie na taki atak, jeśli nie Tam Li, który ma do dyspozycji całą armię patrolującą cieśninę?

Scenariusz ten szybko nabierał wagi. Wystarczył jeden telefon od kogoś, z kim miał często nieprzyjazne, ale obustronnie korzystne stosunki służbowe.

Wystarczyło tak niewiele.

Co nie znaczy jednak, że to było mało.

## ROZDZIAŁ 55

Xichang, Chiny Czwartek, 11.20

Mike Rodgers siedział w wynajętym samochodzie na polu porośniętym wysoką trawą, w odległości mniej więcej czterystu metrów od głównej bramy ośrodka lotów kosmicznych. Czarna, asfaltowa droga biegła po lewej stronie. Była to prosta, dwupasmowa szosa wytyczona w polu. Po prostu wylano asfalt na odcinku od punktu A do punktu B. Rodgers nie wyobrażał sobie, aby przeprowadzono jakiegokolwiek badania środowiska naturalnego, by ustrzec przed zagładą stworzenia żyjące obok, pod albo na samej drodze. Niedaleko parkowało kilka innych samochodów, a także motorowery i zaprzęgi konne. Najwyraźniej kilku zatwardziałychem entuzjastów lotów kosmicznych wiedziało o starcie rakiety i chciało być jego świadkami.

Złocista trawa sięgała prawie do bocznych okien niewielkiego samochodu. Od tej trawy Rodgersa zaczęły swędzić oczy. Żeby je przetrzeć, zdjął okulary słoneczne. Nie spieszył się z ich powtórnyim włożeniem. To mogło okazać się pomocne. Tarcie i mrużenie oczu w świetle słonecznego dnia sprawiało, że wyglądał jak ktoś, kto zerwał się z łóżka i przyjechał z daleka, aby zdążyć na czas startu rakiety. Potęgowało to wrażenie zwykłej nie-dbałości, które usiłował zachować stary szpieg. Zsunął się niżej w fotelu, co mogło świadczyć o niefrasobliwości, na wypadek gdyby przypatrywali

253

mu się wartownicy zza ogrodzenia albo z czterech śmigłowców, patrolujących granice ośrodka. Wzbiły się one w powietrze mniej więcej na godzinę przed planowanym startem, przypuszczalnie po to, aby powstrzymać nieuprawnione samoloty do wlatywania w przestrzeń powietrzną Xichang.

Rodgers sięgnął po butelkę leżącą obok niego. Było to chińskie ustępstwo na rzecz amerykańskiej wrażliwości, nagła kulturowa konieczność przyssania się do zawsze obecnej butelki z wodą. Rodgers kupił ją na lotnisku, nie wiedząc, jak bardzo może się nagrzać. W odróżnieniu od butelek w Stanach Zjednoczonych, ta była zrobiona ze szkła. Ktoś tam gdzieś w Chinach musiał mieć korzystny kontrakt na ich odzyskiwanie. Z tego, co Rodgers wiedział, producenci napełniali odzyskiwane butelki wodą z kranu. Przynajmniej taki miała smak.



Telefon z możliwością obsługi wiadomości tekstowych leżał obok niego, podłączony do gniazda zapalniczki. Rodgers czekał na wiadomości od swego oddziału.

To nie jest mój oddział, wbijał sobie w głowę. Zostali tylko wypożyczeni. On sam znalazł się już poza kręgiem wojskowym, padł ofiarą redukcji etatów. A jakże, pomyślał. To dlatego siedzisz teraz w środku pola w Chinach, czekając na sygnał od żołnierzy piechoty morskiej, którzy starają się ochronić raketę należącą do chińskiej armii. Zabawne, ale ten opis wcale nie dotyczył szpiega, tylko przedstawiciela prywatnego przedsiębiorstwa w dwudziestopierwszowiecznej Azji.

Właściwie Rodgers wcale nie chciał otrzymać wiadomości od żołnierzy. Wolał, żeby wszystko poszło zgodnie z planem, był już zmęczony swoim dawnym życiem. I nie chodziło o to, że wciąż przerzucano go z miejsca na miejsce, ale raczej z powodu stałego udziału w działaniach powstrzymujących, a nie zdążania prostą drogą do zwycięstwa. Po każdym nadmiernie agresywnym generale czy zbyt chciwym polityku, którego powstrzymał, pojawiał się następny i następny, który prosił się, by wskoczyć w żelazne buty.

Wtedy właśnie rozległ się sygnał telefonu. Popatrzył w dół. Przyszła wiadomość.

Wprowadził swój kod, aby ją odczytać. Natychmiast wyprostował się, gotów do działania. Popatrzył przez chwilę poza samochód, aby odświeżyć sobie obraz otoczenia. W ten sposób jego mózg otrzymywał szansę przetworzenia szczegółów.

Lata praktyki przekształciły jego podświadomość w narzędzie o ogromnych możliwościach.

Nie była to wiadomość od żołnierzy, ale od Boba Herberta. Rodgers przeczytał ją szybko, a potem jeszcze raz. Jeśli dobrze zrozumiał, na tere-254

nie ośrodka znajdowali się ludzie generała Tam Li, posiadający dostęp do silników startowych rakiety. Miał ich zatrzymać, w razie gdyby uciekali, i wy badać, co wiedzą.

Rodgers nie tracił czasu na odpowiedź, nie pytał o szczegóły. Herbert był świetny w zawieraniu w zwięzłych komunikatach wszystkich posiadanych informacji. Były generał założył, że centrum kontroli lotów nie może przesunąć terminu startu, plan Tam Li bowiem mógł mieć ograniczenia czasowe.

Włożył okulary przeciwsłoneczne i spojrzał przez główną bramę. Wiedział, dzięki zapoznaniu się z mapami, że nawet jeśli poszukiwani wydostaną się przez inną bramę, to i tak tędy prowadzi jedyna droga z ośrodka. Było wysoce prawdopodobne, że jeśli ktoś będzie tędy wyjeżdżał, będą to właśnie oni. Mimo iż wciąż samochody wjeżdżały na teren ośrodka, jak dotąd żaden jeszcze nie próbował go opuścić. Ci, co byli w środku, mieli jakąś pracę do wykonania albo po prostu przyglądali się startowi rakiety. Wiedział z doświadczenia, że takiego widowiska nie zapomina się przez długie lata.

Ciemnozielony samochód natychmiast zwrócił jego uwagę. Wyglądał jak mikrobus i zniknął w małym zagłębieniu drogi w odległości około półtora kilometra. Kiedy znowu się pojawił, Rodgers mógł z całą pewnością stwierdzić, że porusza się w pośpiechu. Spojrzał w lewo. Droga była zbyt szeroka, żeby dało się ją zastawić, nawet gdyby zaparkował w poprzek. Mikrobus po prostu by go ominął.

Jeżeli miał

ich dorwać, musiał znaleźć jakiś sposób, aby zmniejszyć jego prędkość.

Miał około trzydziestu sekund do chwili, kiedy mikrobus się z nim zrówna.

Wykorzystał tę chwilę do napisania wiadomości na telefonie komórkowym.

Zastanawiał się nad wyborem optymalnej opcji. Były tylko dwie. Jedna polegała na staranowaniu nadjeżdżającego mikrobusu. Nawet jeśli mały samochód nie zatrzyma uciekających, to w każdym razie znacznie zmniejszy ich prędkość. Jeśli jednak nie będą to ludzie Tam Li, a on skasuje samochód, i przypuszczalnie siebie też, będzie miał kłopot ze zmontowaniem drugiej pułapki.

Z tego względu drugi plan wydawał mu się bardziej atrakcyjny. Rodgers skończył

pisać wiadomość, ale nadal jej nie wysyłał. Włączył zapłon i wykręcił samochód tak, że stał tyłem do ośrodka. Potem odłączył wtyczkę telefonu komórkowego z gniazda, włożył do niego z powrotem zapalniczkę i wcisnął, aby się nagrzała. Następnie zdjął

zakrętkę z butelki, wyciągnął z kieszeni chustkę do nosa i wepchnął ją w szyjkę, zostawiając większość

255

materiału na zewnątrz. Potrzebny był wielki płomień. Kiedy zapalniczka wyskoczyła, przytknął ją do chusteczki, która szybko się zapaliła. Rodgers wyszedł z samochodu i pospieszył przez wysoką trawę na środek drogi. Pędzący mikrobus dzieliły od niego już tylko sekundy. Rodgers uniósł wysoko trzymaną w prawej ręce płonąca butelkę.

Jako „statua wolności” zamierzał się zabawić w oszukańczą grę z chińskimi żołnierzami.

Było to niezbyt eleganckie rozwiązanie, ale uważał, że nie robi nic złego. Fałszywy koktajl Mołotowa nie powinien uczynić wielkich szkód, ale spełnił swoją zasadniczą rolę - zwrócił uwagę jadących mikrobusem mężczyzn. Ujrzał ich zaskoczone i przerażone twarze, kiedy samochód był już bardzo blisko.

Nie zatrzymali się. Nawet nie skręcili. Dodali gazu. Mieli zamiar go przejechać, zanim zdąży ich zaatakować.

Rodgers cisnął swój pocisk prosto w nadjeżdżający mikrobus. Płonąca butelka uderzyła w przednią szybę i zamieniła ją w białą płachtę pokruszonego szkła.

Wstrząs i woda z butelki zgasiły płonąca chusteczkę. Pasażerowie mikrobusu musieli uznać się za szczęściarzy. Pojazd się nie zatrzymał. Rodgers odskoczył w wysoką trawę i stamtąd zobaczył, że ktoś siedzący na miejscu pasażera usiłuje wypchnąć roztrzaskaną szybę.

Dowiedział się tego, co chciał wiedzieć. Żołnierze chcieli jak najszybciej opuścić ośrodek.

Wrócił do samochodu i wcisnął pedał gazu do samej podłogi. Trawa i kurz trysnęły spod kół, kiedy przedzierał się na drogę. Teraz miał zamiar dorwać sukinsynów i zmusić ich do zatrzymania.

Ścigając uciekinierów, nacisnął przycisk na telefonie, aby wysłać do Herberta wiadomość, którą wcześniej napisał. Jej kopia została też przesłana dowódcy oddziału żołnierzy piechoty morskiej.

Tożsamość potwierdzona. Podjąłem pościg. Silniki startowe prawdopodobnym celem zamachu.

## ROZDZIAŁ 56

Xichang, Chiny Czwartek, 11.33

Premier Le Kwan Po z niepokojem wysiadł z samochodu i wszedł do centrum technicznego. Podczas krótkiego przejazdu z centrum dowodzenia otrzymał

wiadomość z biura służby ochrony, że jeden ze śmigłowców-256

ów krążących nad ośrodkiem dostrzegł coś, co wyglądało jak pościg na głównej drodze wyjazdowej. Wysłano na miejsce żandarmerię wojskową na motocyklach oraz przekazano tę informację do pobliskiego miasta Xichang. Kilku posterunkowych szykowało się do przejęcia obu pojazdów.

Telefon do wartowni przy głównej bramie potwierdził, że nikt nie wyjeżdżał tamtędy z ośrodka. Pozostałe bramy otwierały się na kartę, po wewnętrznej stronie stał patrol, ale nie było przy nich wartowni. Z nagrania z kamery służby bezpieczeństwa dowiedziano się, że ciemnozielony samochód wyjechał dziewięć minut wcześniej.

Karta użyta przy wyjściu była tymczasową przepustką wystawioną dla funkcjonariusza jednej z jednostek wartowniczych.

Tej samej, z którą premier przed chwilą miał spotkanie.

Złożonej z ludzi generała Tam Li.

Premier zadzwonił na stanowisko dowodzenia. Odliczanie zostało wstrzymane, co było upokarzającym opóźnieniem w przypadku startu, którym się tak chlubiono.

Ekipy techniczne wysłano na poszukiwanie materiałów wybuchowych w którymś z silników startowych. Le obawiał się, że bomba może być tak umieszczona, aby wybuchła bez względu na fazę startu. Skutek byłby ten sam: potężny opad radioaktywny wokół całego ośrodka.

Premier przede wszystkim musiał ustalić, co wiedzieli zbuntowani żołnierze. Po drugie, musiał zabrać stąd córkę. To dlatego nie posłał śmigłowca w pościg za żołnierzami. Śmigłowce powinny być użyte do ewakuacji.

Paul Hood i Anita czekali w holu centrum technicznego. Anita mówiła coś cicho, ale z wyraźną złością do Hooda, który chodził tam i z powrotem przed pulpitem strażniczki. Kiedy pojawił się premier, córka spojrzała na niego przeciągle. Zawsze dotąd rozjaśniała się na jego widok, ale nie teraz. Niewątpliwie zaskoczył ją niepokój malujący się na jego zwykle kamiennej twarzy.

Nie spytała, co się stało. Wiedziała, że powie jej, kiedy będzie trzeba. Hood wreszcie się zatrzymał.

-

Żołnierze, z którymi rozmawiałem, uciekli - powiedział premier. - Ktoś ich goni na drodze do Xichang. Czy może to być jeden z pana współpracowników?

-

Najprawdopodobniej.

-

Czy ma odpowiednie wyposażenie, aby ich zatrzymać?

-

Jeśli chodzi panu o broń palną, to bardzo wątpię.

-

Rzuciliśmy w pościg funkcjonariuszy z ośrodka oraz z miasta - poinformował go premier. - Ale to nam niewiele daje.

17-Wojna ortów

257

-

Za mało czasu? - domyślił się Hood.

-

Naukowcy jadą sprawdzać silniki startowe. Znają raketę, ale być może nie zdołają znaleźć i zneutralizować bomby.

Le zauważył, że jego córka drgnęła. Żałował, że ją ze sobą zabrał. Chciał wywieźć ją niezwłocznie jak najdalej od tego miejsca.

-

Może mógłbym w czymś pomóc - zaoferował się Hood.

-

Dobrze - odparł Le. Nie pytał o nic. W tej chwili nie obchodziło go to. Jego córka musi zostać ewakuowana za kilka minut. Nie ma czasu na zbędne rozmowy.

Hood gdzieś zadzwonił i mówił przez kilka sekund. Anita dyskretnie przetłumaczyła zakończenie rozmowy. Znowu była stuprocentową profesjonalistką. Na smutną ironię zakrawał fakt, że premier musiał się o nią najpierw przestraszyć, aby móc być z niej dumnym. Hood rozmawiał z kimś

o

imieniu Bob. Musiał się jak najszybciej spotkać z jakimś „zespołem”. Nadal rozmawiając przez telefon, Hood zwrócił się do premiera.

-

Potrzebny mi jakiś punkt orientacyjny koło silników startowych.

Le bezsilnie pokręcił głową.

-

Czy można, panie premierze? - spytała strażniczka.

-

Proszę mówić - polecił Le.

-

W północno-wschodnim rogu platformy startowej stoi potężny wspornik podtrzymujący - powiedziała. - Byłam tam. Jest pomalowany na czerwono i trudno go nie zauważyć.

Premier krótko kiwnął głową. Anita przetłumaczyła jej słowa Hoodowi. Amerykanin skończył rozmawiać, rozłączył się i zwrócił do Le.

-

Mam zamiar spotkać się tam z kilkoma ludźmi, tymi samymi, których wprowadził Mike Rodgers oznajmił. - Będę z nimi sam.

Nie było czasu na dyskusję. Le się zgodził. Polecił Anicie iść z Hoodem do samochodu i wyjaśnić

kierowcy, dokąd jechać.

-

A potem wracaj natychmiast - nakazał.

-

Tak, ojczy - potwierdziła.

Kiedy Anita i Hood oddalili się, premier podszedł do telefonu. Poprosił strażniczkę, żeby zostawiła go samego. Młoda kobieta wstała, ukloniła się i

wyszła na zewnątrz. Premier nie chciał, żeby wiedziała, że ma zamiar ewakuować córkę. Ta dziewczyna też była czyjąś córką, a on miał zamiar zostać z nią na miejscu. Ale Anita nie była żołnierzem ani politykiem. Dlatego zostanie wywieziona w bezpieczne miejsce.

Centrala ośrodka połączyła Le z dyrektorem ochrony, byłym żołnierzem Ludowo-Wyzwoleńczej Armii Chin. Premier powiedział mu, że chce zo-258

stać poinformowany, kiedy Hood i jego ludzie dotrą do platformy startowej!

Następnie polecił, aby jeden ze śmigłowców podstawiono koło centrum technicznego i pozostawiono do jego dyspozycji.

-

Przykro mi, panie premierze, ale nie możemy tego zrobić.

-

O czym pan mówi? Rozmawia pan z premierem...

-

Wiem, kim pan jest, panie premierze - przerwał mu dyrektor. - Ale te śmigłowce są nam potrzebne.

-

Do czego?! - huknął Le.

-

Do ewakuacji, kiedy tylko zlikwidujemy Amerykanina i jego sprzymierzeńców.

Szybciej od mikrobusu pędziły jedynie myśli w głowie Mike'a Rodgersa. Musiał znaleźć sposób, jak powstrzymać ucieczkę żołnierzy.

Wybita szyba trochę pomagała mu utrzymać dystans. Widoczność przez spękane szkło nie była zapewne najlepsza, a drobne odłamki skrzące się jak diamenty znaczyły drogę za autem. Na pewno część odłamków sypała się na kierowcę. Po części było to spowodowane próbami wypchnięcia resztek szyby przez siedzącego obok pasażera. Co kilka sekund Rodgers widział większy kawałek popękane szkła odpadający na drogę.

Jego atak przysporzył im kłopotów, ale nie zdołał zatrzymać mikrobusu. Musiał

spróbować czegoś innego. Pomyślał o skontaktowaniu się z Bobem Herbertem i wystrzeleniu pocisku z wyrzutni na Tajwanie, w Korei lub z pokładu jednego z okrętów podwodnych 7. Grupy, stacjonujących w japońskim porcie Jokosuka.

Odrzucił jednak ten pomysł, gdyż mógł spowodować nie tylko Ludowo-Wyzwoleńczą Armię Chin, ale także zbuntowanego generała. Tam Li zauważyłby nadlatującą głowicę, a to dałoby mu doskonały pretekst do zrobienia tego, co zaplanował. Byłoby trochę niezręcznie uratować raketę, ale przegrać wojnę. Poza tym nie wiedział, czy uderzenie raketowe zdołano by przeprowadzić przed dotarciem uciekinierów do miasta. Rodgers mógł też poprosić Herberta o satelitarny obraz drogi przed nimi. Być może znalazłoby się jakieś miejsce, gdzie mógłby pojechać na skrót i odrobić dystans do ściganego mikrobusu.

I wtedy dostał prezent od losu.

259

Kawałek stłuczonej szyby wraz z częścią ramy spadł pod koła mikrobusu po stronie kierowcy. Kiedy auto przetoczyło się po nim, tylna lewa opona pękła, powodując gwałtowny poślizg. Kawałki rozerwanej opony odleciały i samochód potoczył się dalej na obręczy, wyrzucając na boki snopy iskier. Kierowca opanował pojazd, ale nie mógł już utrzymać poprzedniej prędkości.

Rodgers szybko doganiał mikrobus. Wiedząc, że jadący nim ludzie mogą być uzbrojeni, starał się trzymać dokładnie za nimi. W końcu będą musieli się zatrzymać i albo zechcą zabrać jego samochód, aby kontynuować ucieczkę, albo powiedzą mu, w jaki sposób ma zostać zniszczona rakietą. Jeżeli zaatakują, Rodgers spróbuje powalić najbliższego i przechwyci jego broń. Nie był to idealny plan, ale zawsze lepszy niż nic. Poza tym nie byli dalej niż pięć kilometrów od ośrodka kosmicznego. Jeżeli rakietą eksploduje, znajdą się w strefie najsilniejszego skażenia promieniotwórczego.

Mikrobus zwolnił, Rodgers także, trzymając się nadal z tyłu. Nie chciał podjechać za blisko, bo wówczas miałby ograniczone pole manewru. Odsunął się nieco do tyłu i wtedy usłyszał dziwny dźwięk. Zerknął we wsteczne lusterko i ujrzał w polu widzenia trzech ludzi na motocyklach. Wszyscy byli umundurowani. Wydało mu się, że należeli do ochrony ośrodka lotów kosmicznych. Nie

wiedział tylko, po czyjej są stronie.

Jeżeli byli wrogami, to miał spory kłopot. Powinni spróbować wyprzedzić mikrobus i użyć ich jako tarcz osłaniających ucieczkę.

Rozległ się sygnał komórki. Dowódca zespołu żołnierzy piechoty morskiej przesłał mu wiadomość:

Grupa strażników w drodze, w celu udzielenia pomocy. Podać lokalizację bomby.

Spodziewamy się zbrojnego oporu.

Tam Li musiał mieć dodatkowych sprzymierzeńców w ośrodku, ludzi, którzy mieli przygotowaną dobrą drogę ucieczki albo byli zdecydowani zginąć za swojego dowódcę. To dało mu do myślenia. Ludzie nie oddają życia po to, by pomóc komuś przejąć władzę. Ludzie mogą iść na śmierć wyłącznie dla idei. Tam Li musiał mieć wizję Chin, która przemówiła do tych ludzi i prawdopodobnie nie tylko do nich.

Najczęściej wizje wojskowych watażków wszelkiej maści kończą się rzezią na potworną skalę.

Mikrobus pokonał jeszcze pół kilometra i w końcu się zatrzymał. Rodgers podjechał

z tyłu, a motocykliści stanęli rzędem za jego samochodem. Jego nowi sojusznicy nie mieli pojęcia, o co właściwie chodzi. Jeden z nich mówił coś przez radio, dwaj pozostali wyciągnęli z kabur pistolety. Pochyleni nisko nad kierownicami motocykli, czekali na instrukcje.

260

Trzeba było działać szybko. Rodgers otworzył drzwi auta, ale nie wysiadł. Zaczekał, by się upewnić, czy motocykliści nie zaczną do niego strzelać. Nie zrobili tego.

Powoli, trzymając ręce w górze, wychodził z samochodu tyłem do ochroniarzy.

Patrzył na mikrobus, widział czyjaś twarz we wstecznym lusterku. Musiał tylko wysiąść ze swojego auta i podejść do mikrobusu, po czym tak długo tłuc w tę twarz widoczną w lusterku, aż jej właściciel udzieli mu informacji, których tak bardzo potrzebował. Przynajmniej miał teraz kogoś, kto będzie tłumaczył.

Opuścił ręce i się odwrócił. Pokazał na migi, że ma zamiar podejść do mikrobusu.

Ochroniarz rozmawiający przez radio coś powiedział. Jeden z jego kolegów strzelił z pistoletu. Rodgers rzucił się na drogę. Druga tylna opona mikrobusu eksplodowała z głośnym hukiem. Ochroniarz znowu coś powiedział. Prawdopodobnie: „teraz na pewno dalej nie pojedą”.



Nie odpowiedzieli ogniem. Może czekali, aż ochroniarze lub Rodgers podejda im na odległość pewnego strzału. Uciekający żołnierze prawdopodobnie nie chcieli uszkodzić samochodu ani motocykli.

Nagle od strony miasta dobiegł nowy, jękliwy dźwięk. Poprzez lekką mgiełkę Rodgers ujrzał kilka wozów policyjnych, zbliżających się z migoczącymi kogutami.

Teraz ludzie z mikrobusu wysunęli broń przez okna i otworzyli ogień. Rodgers wskoczył z powrotem do samochodu, którego silnik nadal pracował. Zostawił

otwarte drzwi po stronie kierowcy i schyliwszy się, otworzył drzwi po stronie pasażera, aby dać dodatkową osłonę stojącym z tyłu ochroniarzom. Ukryli się za drzwiami i także zaczęli strzelać, zmuszając żołnierzy do cofnięcia się do mikrobusu.

Dwaj ochroniarze byli po stronie pasażera, jeden po stronie kierowcy.

To nie był dobry sposób na wydobycie informacji.

Rodgers wśliznął się za kierownicę i pochyliwszy nisko, ruszył w kierunku mikrobusu. Ochroniarze wciąż strzelali, skuleni za drzwiami, wystrzały zagłuszał

metaliczny dźwięk kul, dziurawiących blachę. Kiedy samochód z wypożyczalni dotknął tylnego zderzaka mikrobusu, Rodgers poprosił ochroniarzy o pistolet. Ten, który znajdował się po stronie kierowcy, nie miał dobrego pola ostrzału i bez oporów oddał pistolet. Rodgers strzelił kilka razy w szybę swego samochodu, potem odchylił

się w fotelu i wypchnął przednie okno nogami. Schowawszy broń za pasek, wyczołgał się na maskę samochodu, a stąd przedostał na dach mikrobusu. Poruszał

się cicho, dotykając dachu stopami i dłońmi. Zatrzymał się nad szoferką.

261

Wiedział, że strzelając przez dach, może zabić jednego lub kilku żołnierzy. Wiedział

też, że pozostali strzelą w dach. Dlatego pokazał gestem jednemu z ochroniarzy, by wstrzymał ogień. Wyciągnął broń, stanął tyłem do krawędzi dachu nad drzwiami od strony kierowcy i czekał, aż wysunie się ręka z pistoletem. Wtedy zeskoczył na ziemię i stanął z nim twarzą w twarz. Tylko kierowca mu zagrażał, pozostali nie strzelali, aby nie trafić siedzącego za kółkiem towarzysza.

Przycisnął rękę kierowcy do karoserii i przystawił mu pistolet do głowy.

-

Rzuć to!

Żołnierz prawdopodobnie nie miał pojęcia, co mówi Rodgers. Ale wypuścił pistolet, a inni przestali strzelać. Być może starali się wycelować w Rodgersa. Na szczęście boczna ścianka mikrobusu dawała mu pewną osłonę.

Ochroniarze zaczęli coś wykrzykiwać. Rodgers usłyszał łoskot, kiedy pozostali ludzie w mikrobusie rzucili broń na podłogę. Przesunął się w kierunku okna. Nie wypuszczał ręki kierowcy, lecz skrzył ją, trzymając za dłoń. Był to chwyt zwany kodogash. Ból nadgarstka gwarantował, że delikwent pójdzie tam, gdzie zostanie pokierowany. A Rodgers chciał teraz, żeby siedział i służył mu za tarczę.

Zajrzał przez okno do środka. Pasażerowie podnosili ręce do góry. Broń leżała na podłodze. Machnął pistoletem, polecając mężczyznom po stronie pasażera, żeby wyszli na zewnątrz. Posłuchali go, unosząc ręce jeszcze wyżej. Ochroniarze wyszli zza drzwi samochodu Rodgersa. Były generał puścił kierowcę i gestem kazał mu wysiąść przez drugie drzwi. Przerażony żołnierz wyskoczył z samochodu, kiedy z przodu zajechały wozy policyjne. Rodgers wsadził znów pistolet za pasek i poszedł

do swojego samochodu. Ze sterty papierów na tylnym siedzeniu wyciągnął kilka schematów. Sięgnął po komórkę. Rozwinął duży dokument na masce samochodu i skinął na ochroniarza, aby przyprowadził któregoś z jeńców.

Rodgers wskazał na schemat. Potem krzyknął „boom!” i rozwarł palce dłoni, symulując eksplozję. Następnie przesunął odwróconą do góry dłoń nad planem i powiedział:

-

Masz to rozumieć jako : „powiedz mi do cholery to, co chcę wiedzieć, bo inaczej dostaniesz po ryju!”

Ochroniarz zrozumiał. Zagadał do pojmanego, który wydał z siebie jakiś pomruk i pokazał palcem miejsce na schemacie.

-

O w mordę - jęknął Rodgers i chwycił za telefon.

262

## ROZDZIAŁ 58

Xichang, Chiny Czwartek, 11.49

Hood dotarł do wspornika przed komandosami. Wspornik był jedną z dwóch potężnych konstrukcji w kształcie odwróconej litery L, utrzymujących rakiety w pionie podczas uruchamiania silników startowych. Zapłon następował zwykle sześć do ośmiu sekund przed oderwaniem się od ziemi. Kiedy oba potężne silniki startowe uzyskiwały maksymalny ciąg, wsporniki osuwano na boki, a rakieta mogła wzbić się w powietrze. Wsporniki miały wielkość pełnowymiarowych kontenerów, wygiętych pod kątem, i obejmowały silniki startowe nad kołnierzami. Z przodu zamontowano wiązki

przewodów hydraulicznych, którymi tłoczono chłodziwo na platformę startową. Wsporniki były pokryte grubą, ceramiczną izolacją termiczną, aby zabezpieczyć ich zawartość przed zagotowaniem się i wybuchem podczas startu. Po lewej znajdowało się rusztowanie z osprzętem wielkości małego domku. Było odsunięte od położonej wyżej platformy startowej. Umocowano na nim różne monitory, kamery i inne urządzenia rejestrujące. Znajdowało się tam też kilka zapasowych generatorów, gotowych do użycia w przypadku awarii zasilania po zakończeniu odliczania i zapłonie. Kontrola lotów nie chciała być z głuchą i ślepą rakieta, z której wydobywają się płomienie.

Całość była chroniona masywną osłoną ogniową. Dzięki niej osprzęt i generatory nie ulegały stopieniu podczas startu, nie ochroniłaby jednak człowieka od dymu i wysokiej temperatury.

Żołnierze piechoty morskiej przybyli minutę później. Mieli na sobie fartuchy laboratoryjne i nadeszli z kilku kierunków. Chwilę potem wrócił samochód, którym wcześniej przyjechał Hood. Nie kryjąc zaskoczenia, Paul zobaczył, że wysiada z niego Anita. Machała w jego kierunku i krzyczała:

-

Nadchodzą posiłki dla ludzi Tam Li! Ojciec nas ostrzega...

Nagle nad ich głowami zatoczył krąg śmigłowiec.

-

Uciekaj! - krzyknął Hood, pokazując, aby odjechała. - Sami damy radę!

Zawahała się.

-

Zjeżdżaj! - krzyknął. Nie chciał mieć kolejnego kłopotu na głowie. Zwłaszcza w tej chwili.

Wsiadła do samochodu, ale nie odjechała. Kierowca zaparkował pod wielkim magazynem ze sprzętem.

263

Hood popatrzył na żołnierzy. Wskazał w górę i krzyknął:

-

To wrogowie!

Dowódca zespołu kiwnął głową i pokazał swoim ludziom, żeby się kryli. Zajęli pozycje za wielkimi zaworami, sterującymi dopływ chłodziwa do rakiety. System rur zabezpieczał silniki startowe i ich mechanizmy przed wpływem wysokiej temperatury podczas zapłonu. Zewnętrzne przewody rozpinano podczas startu.

Resztki płynu chłodzącego spływały po kadłubie i odparowywały, gdy rakieta unosiła się w powietrze.

Hood przykucnął za wspornikiem, dowódca oddziału pobiegł w jego kierunku.

Niewielki metalowy występ wspornika dawał Hoodowi jaką taką osłonę od góry.

Potężne przewody paliwowe, ułożone wzdłuż platformy, chroniły go z przodu. Na szczęście śmigłowiec nie mógł zejść niżej. Wirnik nie mieścił się między rurami i transformatorami.

Czekając na żołnierza, który śmiało przemykał się wzdłuż rur z chłodziwem, Hood poczuł złość na samego siebie. To nie była robota, do jakiej był przyzwyczajony. Nie miała nic wspólnego z klęską żywiołową czy atakiem terrorystycznym, w których uczestniczą przypadkowi ludzie. Hood sam wpakował się w tę kabałę. Wcześniej dwukrotnie brał udział w podobnej historii, raz na Bliskim Wschodzie, gdzie zaginał

oddział Centrum Szybkiego Reagowania, a potem w budynku ONZ, kiedy ratował

córkę z rąk porywaczy. W obu wypadkach miał osobiste powody, by brać udział w akcji. Ale nie tym razem. Był urzędnikiem, nie żołnierzem. Powinien siedzieć teraz w Białym Domu, popijać kawkę w klimatyzowanym gabinecie i oglądać w CNN

wyczyny jakichś szaleńców.

To idiotyczne, a co gorsza, zupełnie nieodpowiedzialne. Jego obecność może być tylko ciężarem i przeszkodą dla tych żołnierzy. To z jego powodu Anita ryzykowała życie.

Żołnierz był już obok niego, gotowy to działania.

Dokopiesz sobie później, powiedział w duchu Hood. Tak czy owak, był tutaj, w samym centrum wydarzeń.

-

Macie broń?

-

Tak - powiedział żołnierz, zrzucając fartuch laboratoryjny. Wyciągnął

półautomatycznego M-9 z kabury pod pachą. - Nie mają takiego zasięgu jak broń naszych wrogów. Musimy podejść blisko, żeby oddać skuteczny strzał. Ale mamy poważniejsze problemy.

-

A może być jeszcze gorzej?

-

Właśnie otrzymałem wiadomość od generała Rodgersa. Bomba jest w tym. -

Postukał we wspornik.

264

Hood zaklął.

-

Zgadzam się z panem - powiedział żołnierz.

Pociski odbiły się rykoszetem nad ich głowami. Żołnierz lekko popchnął Hooda w dół. Czując na sobie mocne dłonie chłopaka, Hood poczuł się stary.

-

Czy dowiedział się czegoś więcej? - spytał.

-

Nie na wiele się to przyda - odrzekł żołnierz. - Według tego, co generał

wycisnął z jeńca, bomba ma podwójne zabezpieczenie. Wybucho w chwili, gdy wspornik się odchyła albo kiedy zegar dojdzie do zera. Kiedy wybuchnie, wspornik zostanie zniszczony, rakieta przewróci się, a paliwo zapali od eksplozji.

-

Wychodzi na to samo.

-

Tak jest.

-

Za dziewięć minut? - spytał Hood, patrząc na zegarek.

-

Według mojego stopera mamy siedem minut - odparł młody człowiek z typową dla piechoty morskiej

niewzruszoną szczerością. - Kłopot polega na tym, że nawet gdybyśmy mieli narzędzia, nie wiem, czy dostalibyśmy się do bomby na czas.

Przebijanie się przez wspornik zajęłoby nam więcej czasu, niż mamy. Generał

Rodgers powiedział, że czeka w gotowości, aby nam pomóc, podobnie jak chińska ochrona. Niestety, wszyscy uzbrojeni ludzie są po stronie generała Tam Li.

-

Jakżeby inaczej - stwierdził gorzko Hood.

Wbudowali tę przeklętą bombę we wspornik, pomyślał. Inteligentne, chytre i dobrze zaplanowane.

Śmigłowce zaczęły ostrzelać, ale nie mogły osiągnąć ani Hooda, ani żołnierza. Poza występem widok ograniczała im wieża wyrzutni i wiązki rur. Hood zastanawiał się, jaka śmierć jest lepsza - od kuli czy w płomieniach. Było coś surrealistycznego w spokoju, z jakim zadał sobie to pytanie.

-

Przebić się - mruknął, powtarzając za żołnierzem.

-

Słucham?

Hood popatrzył za jego plecy. Nad nimi wznosiła się rakieta, silniki startowe wisiały tuż nad ich głowami. Ich dysze miały średnicę solidnego basenu pływackiego.

-

A może by to zrobić?

-

Co?

-

Oglądałem kiedyś jako mały chłopak starty statków kosmicznych Ge-mini i Apollo. Czasami rakiety pluły ogniem, ale nie startowały. Może teraz też tak zrobić?

-

Uruchomić silniki startowe i przepalić to żelastwo?

-

Tak. Można je odpalić bez odsuwania wsporników, porządnie je podsmażyć, a potem wyłączyć raketę.

-

Jeśli je osłabimy, rakietę się przewróci - zauważył żołnierz.

-

Co wcale nie musi spowodować zniszczenia ogniwa plutonowego - powiedział

Hood.

-

To prawda. A wysoka temperatura powinna zwęglić bombę.

-

Na to właśnie liczę.

-

To jest jakaś szansa.

-

Powiadom generała Rodgersa i przekaz to samo ekipie na stanowisku dowodzenia - polecił Hood. - Potem pomóż mi jakoś się stąd wydostać.

Żołnierz wprowadził wiadomość tekstową dla Rodgersa. Był spokojny i skupiony, chociaż kule odłupywały kawałki betonu o parę metrów nad nim, obsypując ich odłamkami. Hood tkwił w przysiadzie, po lewej stronie żołnierza i trochę z tyłu.

Dopiero teraz zauważył, że chłopak ustawił się prawie dokładnie między nim a śmigłowcem.

-

Generał Rodgers przekaza wiadomość przez telefon jednemu z naukowców znającemu angielski - poinformował żołnierz.

Hood kiwnął głową. Ścierpły mu nogi, ale nie śmiał się poruszyć. Popatrzył w prawo na samochód Anity, stojący koło żelazobetonowego magazynu ze sprzętem, niecałe trzysta metrów od nich. Nie mógł pojąć, dlaczego wciąż jeszcze tu była. Pomachał

ręką, pokazując, aby odjechała. Szyby auta były przyciemnione i nie mógł stwierdzić, czy zauważyła jego gesty.

Zegarek żołnierza zamigotał. Jego właściciel odczytał wiadomość.

-

Chińczycy zaakceptowali plan i rozpoczęli przyspieszone odliczanie.

-

To znaczy, że musimy stąd zjeżdżać w podskokach.

-

Potwierdzam. Zapłon nastąpi za trzy minuty.

Hood patrzył przed siebie, zastanawiając się, jak wydostać się z miejsca, gdzie się znajdowali. W każdym kierunku był do pokonania odcinek drogi w otwartym terenie.

Śmigłowce zeszyły niżej i zacieśniły szyk. Pociski nadlatywały pod innym kątem, ale wciąż nie sięgały pod występ.

-

Sądzi pan, że ci ze śmigłowców spodziewają się, co planuje ekipa startowa?

-

Wątpię. W przeciwnym wypadku odcięliby łączność - odpowiedział Hood.

Hood i jego partner, a także Anita znajdowali się w kiepskim położeniu. W ciągu dwóch minut znajdą się pod działaniem płonącego paliwa raketowego o temperaturze pięciu tysięcy stopni.

266

Hood czuł każdy oddech, każde uderzenie serca, nawet strużki potu na skroniach i pod pachami. Bał się. Pragnął, żeby to dalej trwało. Nie chciał, aby skomplikowana symfonia codzienności tak nagle się skończyła.

-

Coś ci przychodzi do głowy? - spytał żołnierza.

-



Tylko jedno, proszę pana. Samochód.

-

O nie, nie ma mowy. Nie będę prosił córki premiera, żeby pakowała się prosto pod ogień...

-

Auto zostało wielokrotnie trafione - przerwał mu żołnierz. - Jest opancerzone.

Cwany sukinsyn, pomyślał Hood, spoglądając na limuzynę. Chłopak miał rację.

Oczywiście, była dobrze opancerzona. Samochodem tym podróżował premier Chin.

Nagle silnik wozu zwiększył obroty i auto ruszyło w ich kierunku. Anita zapewne dowiedziała się od ojca, jaki jest plan działania. Hood był pewien, że premier kazał

jej natychmiast uciekać. Nie wątpił też, że wbrew temu poleceniu zamierzała spróbować ich wydostać.

Patrzył z obawą, jak kule krzeszą błyski na dachu i masce limuzyny. Pociski szczyrbiły metal, ale nie były w stanie go przebić. Na szybach pojawiły się białe rysy w miejscach, w których przyciemniana warstwa została zerwana. Jeden ze śmigłowców zszedł niżej. Najwyraźniej zamierzał zapolować na nich, gdy będą biec do samochodu.

Za nimi z zaworów rakiety z sykiem zaczęła unosić się para, gdy zaczęto pompować chłodziwo do grubych kapilar w metalowej powłoce.

Samochód, zwrócony ku nim prawą stroną, zatrzymał się około sześciu metrów od wspornika, w miejscu, gdzie rury z chłodziwem odchodziły od platformy. Drzwi się otworzyły.

-

Chodźcie! - krzyknęła Anita.

Żołnierz uniósł się i wyjrzał nad górną rurą z chłodziwem. Rozejrzał się i zaczął wstukiwać wiadomość.

-

Musimy dobiec do auta - powiedział Hood.

-

Nie przedostaniemy się przez otwartą przestrzeń - odparł żołnierz. - Proszę mi dać jeszcze chwilę.

-

Ci debile mogą trafić w raketę - zaniepokoił się Hood. - Strzelają bez ładu...

-

Nie zrobią tego. Eksplozja dosięgłaby także ich.

Miał rację. Śmigłowiec zawisł jeszcze niżej, pociski padały coraz bliżej. Hood poczuł

się głupio, kiedy obaj schronili się znowu za rurami. Żołnierz reagował na to, czego Hood nawet nie dostrzegał. Tak to bywa, kiedy ma 267

się głowę napakowaną wieloletnim doświadczeniem. Wiedza jest dobra, gdy siedzi się za biurkiem, w polu liczy się tylko instynkt i rozsądek.

Na szczęście nie roztrząsał długo swych słabości. Dźwięk pocisków uderzających o metal działał mu na nerwy. Żołnierz zakończył pisanie wiadomości i przesłał ją do pozostałych członków oddziału.

Nagle usłyszeli skoordynowaną palbę po drugiej stronie samochodu.

-

Czy śmigłowce weszły w zasięg pistoletów?

-

Nie, nie mogają już zejść niżej.

-

Więc do czego strzelają twoi koledzy?

-

Niech pan będzie gotowy do biegu - powiedział żołnierz i ukucnął z twarzą zwróconą w kierunku samochodu.

Hood odwrócił się i patrzył mu przez ramię na osłonę ogniową, przy której była przed chwilą zaparkowana limuzyna. Pociski trafiały w transformator, krzesząc snopy iskier, jeden za drugim, w to samo miejsce. Wreszcie jeden z nich przebił zbiornik paliwa, a drugi przeleciał na wylot. Gorące pociski podpaliły paliwo i spowodowały mały wybuch, w którego wyniku powstał gęsty dym.

-

Za mną - rzucił żołnierz.

Uniósł się i pobiegł zgarbiony wzdłuż rur, aż do miejsca, gdzie skręcały. Hood trzymał się tuż za nim.

Byli już bardzo blisko samochodu. Dym pokrywał coraz większy obszar. Żołnierz objął ramieniem Hooda i przycisnął go do siebie, osłaniając go własnym ciałem.

-

Na moją komendę biegniemy do wozu - powiedział.

Ostrzał przygasał z powodu zasłony dymnej pokrywającej platformę. Żołnierz krzyknął:

-

Teraz! - i pociągnął Hooda za sobą.

Dobiegli do auta. Kule dziurawiły gęstą chmurę dymu, kiedy przemierzali otwartą przestrzeń między dotychczasowym schronieniem a samochodem. Nie było tego więcej niż sześć, siedem metrów, ale każdy krok wydawał się całym półpięciem schodów. Dym i lęk pozbawił Hooda oddechu. Dym był naprawdę gęsty, kierowca zatrąbił, aby nie zgubili kierunku. Kiedy dotarli do wozu, żołnierz wepchnął Hooda do środka na skórzane siedzenie, a potem dosłownie zanurkował do środka.

-

Jedź! - krzyknął, odwracając się i zamykając drzwi.

-

Czy mamy jeszcze kogoś zabrać? - spytała Anita.

-

Nie. Kazałem moim towarzyszom biec do bunkra dowodzenia, kiedy już będziemy bezpieczni.

Hood popatrzył na młodego człowieka.

268

-

Dobrze się czujesz?

-

Nie jestem nawet draśnięty, proszę pana - oznajmił żołnierz.

Anita spojrzała na niego.

-

Pan nie jest naukowcem - stwierdziła.

Żołnierz schował broń do kabury. Nic nie odpowiedział. Wyrzwał przez okno na oddalającą się platformę startową.

-

Kim pan jest? - nie ustępowała.

-

To jest człowiek, który właśnie pomógł ocalić wasz ośrodek lotów kosmicznych i rząd, którym kieruje pani ojciec - uśmiechnął się Hood. -1 dziękujemy za wyciągnięcie nas z tarapatów.

Anita patrzyła na Hooda. Pociski wciąż były w samochód. W zależności od kąta uderzenia brzmiało to jak dzwon albo jak drapanie kocich pazurów. Limuzyna zjechała z asfaltu i pędziła przez pole, oddzielające platformę startową od centrum technicznego, trzęsąc się i podskakując na nierównościach. Wysokie, sztywne trawy szumiały, ocierając się o karoserię. Wszystkie te dźwięki, wszystkie myśli i niewypowiedziane pytania przestały istnieć w chwili, gdy uruchomiono silniki startowe. Rakieta była już ponad kilometr za nimi. Hood usłyszał głęboki wybuch, a potem samochód zaczął drżeć. Trzęsło się wszystko, od tablic rejestracyjnych po pasy bezpieczeństwa. Było to jak dzwonięcie zębami. Fala uderzeniowa rzuciła auto do przodu i wpadło ono w lekki poślizg. Niewidzialna pięść przetoczyła się nad dachem i zatrzęsała trawą rosnącą przed nimi. Powietrze też było rozedrgane, powiał gorący wiatr.

Hood i żołnierz się odwrócili. Śmigłowce rzuciły się do ucieczki, kiedy gęste kłęby białoszarego dymu pojawiły się pod rakieta. Dominowała ona nad płaską okolicą, wyraźnie odcinając się na tle pasma odległych gór. Szybko przesłoniły ją gęste kłęby dymu, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Dym spowijał wszystko, poza płomieniami wijącymi się w samym środku. Dogoniła ich druga fala gorącego powietrza. W samochodzie nagle zrobiło się duszno. Wnętrze wypełnił zapach stopionej gumy z uszczelek.

-

Jak stoimy z czasem? - spytała Anita.

-

Pyta pani, kiedy będzie wiadomo, że się udało? - odpowiedział pytaniem Hood.

-

Mamy dwadzieścia sekund do momentu, w którym powinien nastąpić start - poinformował żołnierz, spoglądając na zegarek.

Hoodowi zaimponował chłodny profesjonalizm, z jakim podał tę informację.

Przecież wiedział, że wkrótce okaże się, jak się sprawy mają. Jeżeli wspornik eksploduje, będzie to znaczyło, że się im nie udało.

269

Do świadomości Hooda dotarło, że mogą to być ostatnie chwile jego życia. Nawet jeśli wspornik zostanie zniszczony, a bomba razem z nim, rakietą może się przewrócić. Wówczas siła eksplozji będzie zależna od ilości paliwa pozostałego w zbiornikach. Umieranie jest do niczego. Ale jeszcze gorsza jest śmierć ze świadomością, że mimo wszystko Tam Li udało się zrealizować zamiary. Gdyby nawet premier go aresztował, wielu wpływowych członków rządu poparłoby generała. Zwłaszcza ci, którzy chcieli ostatecznej rozprawy z Tajwanem.

Wsporniki i rakietą ginęły w kłębach dymu. Po okolicy przetoczył się potężny ryk, kiedy silniki usiłowały unieść w górę ładunek.

-

Silniki pierwszego członu mają paliwa na jakieś piętnaście sekund pracy -

powiedział żołnierz. - Wyłączą się mniej więcej w tym samym czasie, kiedy prawdopodobnie powinna wybuchnąć bomba.

-

Prawdopodobnie? - spytała Anita.

-

Zamachowcy niczego by nie zyskali, gdyby bomba eksplodowała po zejściu rakiety z wyrzutni.

Hood tylko jednym uchem słuchał ich rozmowy. Ponownie zadziwiła go zdolność do chłodnego i trafnego rozumowania, którą wykazywał żołnierz, oraz jego umiejętność sprawnego kojarzenia faktów. Zarazem trochę go to zasmuciło. W odróżnieniu od członków oddziału taktycznego Striker, wchodzącego niegdyś w skład Centrum Szybkiego Reagowania, ten człowiek miał czas na przygotowanie się do akcji, a także na przeprowadzenie rozpoznania. Ta różnica działała na jego korzyść.

-

Pięć sekund - obwieścił żołnierz, spoglądając na zegarek.

Dym był teraz czarny i szary. Płonęło już nie tylko paliwo. Prawdopodobnie pożar strawił rury, za którymi niedawno się ukrywali. Tam, gdzie stał transformator, pojawił

się niewielki, żółtoczerwony rozbłysk. Prawdopodobnie wysoka temperatura zniszczyła wszystko, co znajdowało się za osłoną ogniową.

Samochód dalej przedzierał się przez pole. W środku było okropnie duszno i parno, ale nie odważyli się otworzyć okien. Co prawda wyglądało na to, że śmigłowce wyniosły się gdzieś na dobre, ale samochód stanowił dla nich jakąś ochronę przed odłamkami z rakiety.

Żołnierz opuścił rękę z zegarkiem.

-

Zero - powiedział.

Chwilę potem dudnienie ustało. Jedyne odgłosy pochodziły z samochodu, który pokonywał ostatnie metry pola. Dym rozchodził się powoli i tam, gdzie przebiło się światło słońca, widać było biały kadłub rakiety.

270

-

Do diabła - rzucił Hood.

Bomba nie wybuchła. Najwyraźniej powiodła się próba jej stopienia. Ale dym wydostawał się spoza płyty i nitów poszycia, znacząc drogę, jaką płomień pełził w górę opróżnionego silnika startowego. We wnętrzu trwał pożar, paliły się przewody, elektronika, wszystko, co mogły strawić płomienie, które szybko zbliżały się do drugiego członu rakiety. Ten człon był wypełniony paliwem.

## ROZDZIAŁ 59

Xichang, Chiny Czwartek, 12.02

Złać paliwo z drugiego członu!

Premier Le Kwan Po siedział przy pulpicie sterowniczym w centrali łączności centrum technicznego. Odmówił ewakuacji. Chciał doprowadzić wszystko do końca.

A poza tym jego córka wciąż była na terenie ośrodka.

Błyskawicznie postawiono w stan gotowości pięć zespołów. Premier miał na głowie słuchawki, przez które słyszał rozmowy prowadzone przez centrum dowodzenia.

Trwała dyskusja między dyrektorem projektu a kierownikiem ekipy startowej. Z

powodu skrócenia fazy odliczania technicy nie zdążyli wypompować całego paliwa z drugiego członu przed spalaniem węży paliwowych. Polecenie dyrektora było jednoznaczne, ale kierownik startu miał obiekcje. Na kolorowym monitorze wbudowanym w pulpit widać było płonąca raketę. Dwaj inżynierowie siedzieli po obu stronach premiera. Jeden z nich miał stałą łączność z wieżą

obserwacyjną, stojącą w pobliżu bramy głównej.

-

Panie dyrektorze, w środku zostało niewiele paliwa. Jeśli je wypuścimy, podsyci płomień i rakieta ulegnie całkowitemu zniszczeniu - twierdził kierownik startu.

-

Rdzeń plutonowy prawdopodobnie przetrwa w wysokiej temperaturze

-

powiedział dyrektor. - Ale przypuszczalnie nie przetrwa eksplozji, która nastąpi, gdy płomień dotrą do drugiego członu.

-

Nie widzę większej różnicy między „prawdopodobnie” a „przypuszczalnie” -

zauważył cierpko kierownik startu. - A spuszczenie paliwa na ziemię spowoduje ogromny pożar, trudny do opanowania.

-

Łatwiej opanować ogień niż opad radioaktywny - stwierdził dyrektor.

-

Spuścić paliwo, zanim płomień dotrą wyżej.

271

-

Tak jest, panie dyrektorze - potwierdził kierownik startu.

Le Kwan Po zdjął słuchawki, ale obserwował ekran monitora.

-

Gdzie jest moja córka? - spytał.

-

Bezpieczna. Właśnie zjeżdżają z pola.

-

Dziękuję.

Anita i jej towarzysze na razie byli bezpieczni. Premier przyglądał się czemuś, co wyglądało tak, jakby wrzątek wyciekał czterema otworami ze środkowej sekcji rakiety. Jeden z techników wyjaśnił, że to mieszanina nafty lotniczej i ciekłego tlenu.

Wyciek ginał w płomieniach u dołu rakiety. Ogień strzelił wysoko w górę, okrywając kadłub gorejącą zasłoną. Operator kamery zrobił zbliżenie na ładunek, pojemnik przypominający żelowy cukierek, umieszczony na szczycie drugiego członu rakiety.

Płomienie nie sięgały jeszcze tak wysoko, ale wstrętny, czarny dym z wylewanego paliwa kłębił się dokoła w lekkich podmuchach wiatru.

-

Już po niej! - krzyknął jeden z techników.

Le Kwan Po spostrzegł, że wierzchołek rakiety zaczął się przechylać. Kamerzysta pokazał teraz cały sześćdziesięciometrowy kadłub, który oddalał się od wieży startowej, chwiejąc się niepewnie jak dziecko stawiające pierwszy krok.

Najwyraźniej oba wsporniki uległy zniszczeniu. Rakieta runęła na lewo, prosto w nieprzeniknioną ścianę płomieni. Zbiorniki były już prawie puste, dlatego paliwo łało się tylko z tej strony, na którą się przewracała. Ogień buchnął ze zdwojoną siłą. Za chwilę promieniotwórczy ładunek miał znaleźć się w środku tego piekła.

Le Kwan Po wyczuwał ogromne napięcie obserwatorów tego śmiertelnego tańca.

Kiedy rakieta znikła im z oczu, w otaczającej ją chmurze smolistego dymu nastąpił wybuch, któremu towarzyszył oślepiający, biały błysk.

-

Co to było? - zapytał jeden z techników. - Ładunek nie powinien eksplodować w taki sposób.

-

Może to bomba? - spytał drugi mężczyzna.

Le Kwan Po milczał. Nie miał nic do powiedzenia. Patrzyli, jak chmura czarnego dymu staje się u podstawy jaśniejsza, nabierając barwy popiołu. Długie, szare warkocze wystrzeliły z wieży startowej i z przewróconej rakiety. Dym szybko rzedł, a płomienie opadły. Kamerzysta zrobił najazd. Sama rakieta nadal gineła w dymie i ogniu. Wszystkie otaczające ją elementy i budowle, za wyjątkiem szkieletu wieży startowej i osmalonej osłony ogniowej, uległy zniszczeniu.



-

Pękł zbiornik z chłodziwem - powiedział jeden z techników, nie kryjąc radości.

- To właśnie był ten błysk. Obłok pary wodnej.

272

-

Nic już nam nie grozi? - spytał Le Kwan Po.

-

Tak sędzę, panie premierze - potwierdził technik z lekkim ociąganiem, zerkając na ekran monitora. - Chłodziwo ma trzydziestosiedmioprocentową zawartość wody.

Z założenia powinno wyparowywać, żeby rakieta nie musiała unosić go ze sobą.

Wygląda na to, że w miejscu zetknięcia z ogniem woda stłumiła płomień.

-

Czy w mieszance paliwowej nie ma ropy?

-

Nie, panie premierze - zaprzeczył technik. - Tylko wodór i tlen.

Lekki wiatr z wolna rozganiał dym. Teraz widać już było wrak rakiety, leżący na pogorzeliisku. Pierwszy człon leżał na platformie startowej. Drugi człon i ładunek odłączyły się i upadły osobno na asfalt. Ładunek wyglądał na nieuszkodzony.

Amerykanie wykonali kawał dobrej roboty.

Le Kwan Po podziękował technikom za gościnność i wyszedł z bunkra. Betonowymi schodami wspiął się do holu głównego. Strażniczka stała w drzwiach i obserwowała wydarzenia przez lornetkę. Odwróciła się w jego stronę.

-

Panie premierze, z radością pragnę panu zakomunikować, że pańska córka wróciła bezpiecznie - powiedziała. - Czy można powiedzieć, że operacja zakończyła się sukcesem?

-

To trochę niezwykle nazywać sukcesem całkowite zniszczenie naszej rakiety, ale w tym wypadku faktycznie może tak pani powiedzieć - przyznał premier.

Jak dotąd śmiertelnie poważna strażniczka uśmiechnęła się i wróciła za pulpit. Le Kwan Po wyszedł na zewnątrz. Południowe słońce nadal przesłaniały pasma dymu. Z

oddali rozległy się syreny wozów strażackich, jadących w stronę platformy startowej.

Widział to tylko przez chwilę, bo zaraz wszystko zniknęło, kiedy zobaczył córkę wysiadającą z samochodu. Anita podbiegła i rzuciła mu się na szyję.

-

Myślę, że miałaś pięć lub sześć lat - powiedział premier.

-

Pięć lub sześć?

-

Tak, kiedy ostatnio do mnie biegłaś.

Głos mu się lekko łamał, a po policzkach pociekły mu łzy.

Anita uśmiechnęła się czule.

-

Powinieneś się cieszyć, że masz taką samodzielną córkę.

-

Nie tylko się cieszę. Jestem z ciebie dumny. Bardzo, bardzo dumny.

Le wyzwolił się z uścisku córki, kiedy ujrzał Hooda z jakimś nieznanym.

Mężczyźni odeszli dość daleko, aby uszanować prywatność premiera 18 -Wojna ortów

273

i jego córki. Na to jednak będzie czas później. Teraz chciał z nimi porozmawiać.

-

Panie Hood - zwrócił się bezpośrednio do Amerykanina, kalecząc niemiłosiernie język angielski. -

Pragnę podziękować panu i pańskim współpracownikom za wszystko, czego dokonaliście.

-

Mieliśmy po prostu dużo szczęścia, panie premierze - odparł Hood.

-

Szczęściu trzeba umieć pomagać - zauważył premier.

-

Być może - zgodził się Hood. - Mam jednak wrażenie, że najbardziej pomogło nam chłodziwo.

-

Rury zostały osłabione, ponieważ pan Hood i jego przyjaciel schowali się za nimi, a ludzie Tam Li do nich strzelali - wyjaśniła Anita.

-

No proszę - powiedział Le. - Nic nie dzieje się przypadkowo.

Anita przetłumaczyła słowa premiera. Jej ojciec przyglądał się skośno-okiemu towarzyszowi Hooda. Był to młody chłopak, ubrudzony i mokry od potu, ale w jego oczach widać było siłę i zdecydowanie. Właśnie wpatrywał się w swój telefon komórkowy.

-

Chciałbym teraz poznać drugiego bohatera - powiedział premier.

-

To jeden ze współpracowników generała Rodgersa - przedstawił go Hood.

Młody człowiek podniósł wzrok, kiedy premier podał mu rękę.

-

Dziękuję za to, czego pan dziś dokonał.

-

Cieszę się, że mogłem pomóc, panie premierze - odpowiedział żołnierz po chińsku.

-

Czy wolno mi spytać, jak się pan nazywa?

-

Mam na imię Kim - uśmiechnął się młodzieniec.

-

Ale nie jest pan Chińczykiem. Czyżby pochodził pan z Korei? - zastanawiał się premier.

-

Nie, panie premierze. Jestem Amerykaninem - odpowiedział żołnierz, unosząc telefon. -  
Przepraszam, ale właśnie otrzymałem wiadomość, że któryś z moich współpracowników został lekko ranny podczas ostrzału ze śmigłowców. Chciałbym się z nim zobaczyć.

-

Mój kierowca zawiezie pana - powiedział Le Kwan Po. - Jeszcze raz dziękuję.

-

To dla mnie wielki zaszczyt poznać pana, panie premierze - odpowiedział  
młodzieniec.

Anita kończyła tłumaczyć rozmowę Hoodowi, a Le odwrócił się i ujrzał dygnitarzy, wychodzących z bunkra obserwacyjnego. Zadawali pytania w różnych językach.

Anita wyszła im naprzeciw, starając się uspokoić 274

zdeenerwowanych gości. Kilku z nich wskazywało na jej ojca, a zwłaszcza na wyraz jego twarzy. Zastanawiali się, czemu się uśmiecha.

Le ruszył w stronę bunkra krokiem bez nadmiernego pośpiechu. Przeprósł bardzo uprzejmie, że nie będzie mógł w tej chwili odpowiedzieć na pytania gości. Musi natychmiast skontaktować się z prezydentem i ministrem obrony. Pierwszego trzeba zapoznać z sytuacją. Drugiemu polecić, aby upewnił się, że wszelkie plany generała Tam Li zostały powstrzymane, a on sam niezwłocznie stanie przed sądem. Obaj zapewne otrzymali już informacje własnymi kanałami, ale Le chciał naświetlić im problem ze swojego punktu widzenia. To miało być jego polityczne trofeum w nagrodę za to, że doprowadził sprawę do końca.

Wszedł do pokoju łączności i poprosił techników, aby zostawili go samego. Wyszli bez słowa, zamykając za sobą drzwi. Premier usiadł i wybrał pierwszy numer.

Nieudane wystrzelenie satelity telekomunikacyjnego bez wątplenia było porażką, ale w porównaniu do korzyści, jakie w efekcie odniósł cały kraj, nie była to cena zbyt wygórowana. Udało się

powstrzymać generała od zrealizowania planu, z którym premier nawet się jeszcze nie zapoznał. O wiele istotniejsze było jednak to, że udało się to osiągnąć dzięki nawiązaniu dwustronnej współpracy między państwami, uważanymi do niedawna za wrogów. W ten sposób uczyniono krok w kierunku światowego pokoju.

I to miało ogromne znaczenie dla premiera, a zarazem w zupełności wystarczało każdemu ojcu, by wywołać uśmiech na jego twarzy.

## ROZDZIAŁ 60

Zhuhai, Chiny Czwartek, 12.18

Z wielką przykrością, ale także z głębokim przekonaniem generał Tam Li wysłał do wszystkich jednostek sygnał odwołujący akcję. Wystarczyło wprowadzić hasło na jego komputerze, wklepać rozkaz, wysłać go do dowódców lotnictwa i marynarki, znajdujących się w bazie. Głównodowodzący obu rodzajów broni wydali rozkazy oddziałom w polu i w innych bazach, z których wyruszyły okręty i wystartowały samoloty.

Tam Li dowiedział się o niepowodzeniu od dowódcy jednej z jednostek powietrznodesantowych. Generał nie przewidział, że ktoś z jego oddziału może zostać schwytany podczas ucieczki z ośrodka lotów kosmicznych.

275

Sądził, że będzie już za mało czasu na dotarcie do bomby. Popełnił błąd. Przed opuszczeniem terenu ośrodka dowódca jednostki powietrznodesantowej zauważył, że silniki startowe rakiety zostały uruchomione przed czasem i prawdopodobnie stopiły bombę, uniemożliwiając jej eksplozję.

Bardzo sprytny manewr. Desperacki, ale skuteczny.

Generał wyłączył komputer, wstał i wyjrzał przez okno na morze. To miał być moment jego triumfu. Zamiast wznieść się ku słońcu, jak samoloty, które właśnie odwołał, spadł na powierzchnię ziemi. W interesie narodu nie leżało kontynuowanie ataku na siły tajwańskie. Nie teraz. Bez wybuchu rakiety nie zdołaliby przekonać Pekinu, że Tajwan zamierzał wykorzystać zdradziecki czyn Czou Szina.

Skoro jeden z oddziałów służby bezpieczeństwa wyjawiał otrzymane rozkazy, nie mógł przekonać Pekinu, że to Czou Szin jest odpowiedzialny za zamach. To dlatego skorzystał z usług konstruktora bomb, który pracował dla Czou Szina. Tam Li nie chciał pokonać wroga, chciał uczynić go również winnym. Wszystko zależało od następujących po sobie wydarzeń. W końcu militarystycznie nastawiony Pekin zdecydowałby, że jest tylko jedno wyjście: złamanie oporu Tajwanu. Dzięki zwiększeniu dochodów i bardziej eksponowanemu stanowisku Tam Li mógłby zmienić Chiny w największą, najzasobniejszą potęgę finansową na Dalekim Wschodzie. Nawet Japonia, ze swym rosnącym długiem, nie byłaby w stanie z nimi konkurować. Część zysków trzeba by przeznaczyć na modernizację i rozbudowę wojska. Część pieniędzy trafiłaby do Tam Li i jego współpracowników. Mając nieprzebrane zasoby siły roboczej i surowce, Chiny stałyby się światowym supermocarstwem już za jego życia. W przeciwieństwie do innych planów proces ten miał przebiegać bez większych

konfliktów i przy niewielkim rozlewie krwi.

Jakże wyraźna była wizja, jakże bliska jej realizacja. Sam plan nie miał wad, był wręcz doskonały.

A teraz wszystko stracone.

Tam Li nie mógł pogodzić się z tym faktem. Pracował nad tym od ponad roku.

Myślał tylko o jednym, manewrując konfliktem z Czou Szinem, umieszczając swoich ludzi w ośrodku lotów kosmicznych, czując, że sukces jest coraz bliżej. W odległej wizji przyszłości widział swoją broń w gablocie wystawowej. Były to pistolety, które towarzyszyły mu przez całą karierę wojskową. Myślał nawet o użyciu jednego z nich teraz, aby uniknąć przesłuchań i procesu. Nie zdecydował się jednak na to, nie z tchórzostwa, lecz dla zasady. Nadal wierzył w to, że przeznaczeniem Chin jest

domina-276  
cja nad światem. Kiedy jego przodkowie stosowali materiały wybuchowe, reszta świata walczyła na dzidy lub oblewała się wrzącym olejem. Chiny musiały odzyskać przewagę.

Ale jeszcze nie dziś. I nie z generałem Tam Li na czele.

Nie odwracał się od okna, patrzył w dal. W przyszłość. Nie ruszył się mimo gwałtownego pukania w drzwi. Drzwi nie były zamknięte na klucz. Po chwili do gabinetu weszli jacyś ludzie. Stanęli za plecami generała i poprosili, aby poszedł z nimi.

Tam Li się odwrócił. Jednym z trzech mężczyzn stojących w ostrym słońcu był wiceadmirał, wybrany osobiście przez niego na szefa ochrony bazy. Jeszcze pół godziny temu niski, siwowłosa mężczyzna był jego sprzymierzeńcem.

-

Premier prosi pana o przybycie - powiedział wiceadmirał.

-

Tylko mnie?

-

Tak jest.

Oficer marynarki miał stanowczą twarz, ale jego oczy wyrażały niepokój i smutek.

Wiceadmirał wiedział, że Tam Li może powstrzymać śledztwo, biorąc całą winę na siebie. Naturalnie mógł też podzielić odpowiedzialność i pociągnąć za sobą innych.

Tam Li się uśmiechnął.

-

Nie ma żadnego powodu, aby chciał spotkać się z kimś jeszcze, prawda?

-

Tego nie wiem - odparł wiceadmirał.

-

Kto będzie dowodził bazą? - spytał Tam Li.

-

Oficjalnie nic to pana nie obchodzi. Został pan pozbawiony dowództwa.

-

A nieoficjalnie? - naciskał Tam Li, nie ruszając się z miejsca.

Smutek na twarzy wiceadmirała wskazywał, że zrozumiał sugestię generała. Może być twardy i ryzykować, że generał powie o nim w śledztwie. Albo może złamać zasady dotyczące aresztowania i powiedzieć generałowi to, co chciał usłyszeć, wówczas jednak straciłby szacunek w oczach swoich towarzyszy ze służby bezpieczeństwa.

-

Proszę z nami, panie generale - powtórzył.

Tam Li był zadowolony. Wiceadmirał pokazał, że ma charakter. Potrafił zaryzykować swoją przyszłość, byle nie stracić autorytetu dowódcy. Być może spodziewał się, że generał go nie wyda. Dzięki niemu nie zginie przynajmniej idea wielkich Chin. Jeżeli nawet sam nie podejmie się przeprowadzenia podobnej operacji, może zainspiruje do tego kogoś innego.

277

Tam Li wyszedł między dwoma oficerami. Przodem szedł wiceadmirał. Przemierzyli korytarze obiektu, którym generał jeszcze przed chwilą dowodził. Generał trzymał

się prosto. Został pobity, ale nie pokonany. Nikt mu nie zasalutował w drodze do śmigłowca. Większość nie miała pewnie pojęcia, co się stało. Przypuszczalnie sądzili, że to z powodu samolotu Czou Szina, albo brali to za efekt rozgrywek na wyższych szczeblach władzy. Bez względu na to, co

sobie naprawdę myśleli oficerowie jego sztabu, postąpili tak, jak większość ludzi w przypadku jakiegokolwiek afery. Trzymali się od niej jak najdalej.

Mao wiedział, że zwycięscy rewolucjoniści mieli nieugiętych przyjaciół, ale przegrani rewolucjoniści poddawani byli bezlitosnej kwarantannie. Nie takiego zakończenia spodziewał się Tam Li, postanowił więc przyjąć całą winę na siebie.

Zasiądzie na ławie oskarżonych i opowie o tym, co chciał zrobić i dlaczego. W kraju, w którym żyje ponad miliard ludzi, ktoś go usłyszy. Ktoś podejmie się tego, co on zapoczątkował.

A może tego, co zapoczątkowali inni ludzie, pomyślał, uśmiechając się z dumą. Miał

na myśli tych odważnych przodków, którzy podobnie jak on używali materiałów wybuchowych, aby zaznaczyć obecność Chin na świecie.

## ROZDZIAŁ 61

Pekin, Chiny Piątek, 10.00

Państwowe gazety i stacje telewizyjne podały tylko krótkie wzmianki o zniszczeniu chińskiej rakiety. Donosiły, że w Xichang wydarzył się wypadek w związku z

„zastosowaniem zagranicznej technologii”, ale nie rozwinęły tematu.

Jakże to typowe dla Chin, pomyślał Hood. Każda porażka była łatwa do ukrycia i złagodzenia, ponieważ każdy krok naprzód był nieśmiały, niepewny, niemal wstydlivy. Nawet gdyby Tam Li dopiął swego i doprowadził do konfrontacji z Tajwanem, nawet gdyby otrzymał nagły awans, oznaczający poważny wzrost znaczenia, i tak mógłby nie osiągnąć celu, do którego zmierzał. Po całych stuleciach wojen i wstrząsów społeczno-politycznych, naród uległ rozpadowi. Zmiany byłyby powolne i spowodowane napływem zagranicznych inwestycji, rozpowszechnieniem nowych technologii w zapadłych wsiach i w górach, ślimaczym tempem poprawy

edukacji i jakości życia. Chiny prawdopodobnie nie ulegną radykalnym zmianom za życia Hooda.

Zastanawiał się, czy sprawdziłoby się to także w wypadku Anity.

Córka premiera przybyła do ambasady, aby się z nim pożegnać. Bywała tutaj już wcześniej, na oficjalnych przyjęciach, ale nigdy sama, bez ojca. Hood ujrzał ją na dole w bibliotece. Stała pośrodku pomieszczenia. Prezentowała się bardzo nobliwie, w czarnej spódnicy i białej bluzce. Odwróciła się, kiedy wszedł do środka. Jej twarz rozjaśnił szczery, radosny uśmiech.

-

Jakże miło mi to widzieć - powiedział na powitanie.

-



Co takiego?

-

Pani uśmiech - wyjaśnił.

-

Ach tak... - szepnęła nieśmiało, ale zaraz się opanowała i przybrała obojętny wyraz twarzy. - Czy tak lepiej?

-

Niepotrzebnie to pani zrobiła. Podobało mi się tak, jak było przedtem -  
oznajmił.

Ruszył wzdłuż wysokich regałów, których półki były wypełnione oprawnymi w skórę tomami, a nawet zwojami umieszczonymi w próżniowych pojemnikach.

-

Tak zapewne wygląda pani wyobrażenie raju.

-

Gdybym wierzyła w raj, to tak - zgodziła się, patrząc na niego uważnie.

Zastanowił się, czy przypadkiem nie strzelił jakiejś gafy. W końcu ryzykowała życie, żeby go uratować. - Ojciec przeprasza, ale nie mógł przyjechać.

-

Zapewne będzie miał dzisiaj pracowity dzień. - Hood pokiwał głową.

-

Prawie nie spał tej nocy - poinformowała go Anita. - Ale była to korzystna bezsenność, o ile w ogóle może istnieć coś takiego. W każdym razie nabrał takiego wigoru, jakiego nie widziałam od wielu lat.

-

Przypuszczam, że wkrótce odbędzie się proces - zauważył Hood.

-

Mają być przesłuchania, ale raczej przy drzwiach zamkniętych. Ojciec nie ma zamiaru udostępniać Tam Li trybuny do głoszenia swoich idei.

-

To zrozumiałe.

-

Tak pan myśli? - spytała Anita. - Oczekiwałabym raczej, że będzie pan bronił wolności wypowiedzi.

-

Nie sądzę, aby urzędnikowi państwowemu wolno było usprawiedliwiać kłamstwa, które wypowiadał, oraz morderstwa, które kazał popełnić, aby popchnąć kraj do bezlitosnej i niesprawiedliwej wojny - wyjaśnił Hood.

-

To miło, że się zgadzamy - uśmiechnęła się Anita.

279

-

Gdybyśmy mieli więcej czasu, moglibyśmy się przekonać, że zgadzamy się także w większości innych spraw - stwierdził Hood.

-

Przy okazji: ojciec prosił mnie, abym panu powiedziała, że próbował wczoraj podziękować generałowi Rodgersowi i jego współpracownikom. Niestety, wygląda na to, że się rozplnęli w powietrzu.

-

Mike wyleciał natychmiast samolotem Lufthansy - wyjaśnił Hood.

-

Dzwonił do mnie i mówił, że musi natychmiast omówić w Stanach jakieś sprawy związane z ubezpieczeniem.

-

Rozumiem, a inni? Ci młodzi mężczyźni i kobiety?

-

Przypuszczam, że wrócili do swoich zajęć.

-

W ośrodku lotów kosmicznych?

-

Nie wiem - odparł Hood. - Nie miałem nawet czasu z nimi porozmawiać. Tym razem Anita nie kontynuowała przesłuchania. Zapewne zorientowała się, że dzięki zaufaniu można zyskać o wiele więcej niż naciskając.

-

Bardzo lubię twórczość Washingtona Irvinga - zmieniła temat. - Udało mu się sportretować prawdziwych Amerykanów, a nie szowinistycznych, militarystycznych ideologów.

-

A jaka jest pani definicja „prawdziwego Amerykanina?”

-

Surowy, ale wrażliwy naiwniak - powiedziała. - Pan właśnie taki jest.

-

Czy to dobrze? - spytał Hood. Nie był pewien, czy może uznać to za komplement.

-

Bardzo dobrze. Naiwność oznacza czyste sumienie - odpowiedziała.

-

Jest pan otwarty i wrażliwy na świat. Surowość czyni pana bardziej wybrednym. Pozwala zagnieździć się tylko tym ideom, które są tego warte.

-

Jest takie miejsce na świecie, gdzie autor mógłby znaleźć szerszy kontekst dla swoich przemyśleń - zacytował Hood.

-

Przebudzenie z długiego snu i oczekiwanie, że świat będzie taki sam

-

podjęła natychmiast.

Hood miał zamiar podążać właśnie tym tropem. Szybka i świadcząca o doskonałej orientacji odpowiedź Anity zbiła go z tropu i spowodowała nagłą pustkę w głowie.

Nie mając nic więcej do dodania, ograniczył się do lekkiego uśmiechu, będącego wyrazem szczerego podziwu.

-

Chiny izolowały się przez wiele, wiele lat - mówiła. - Ale my wcale nie oczekiwaliśmy, że świat będzie stał w miejscu. Chcieliśmy uczyć się na cudzych błędach. Ojciec mówił mi zawsze, że nasza cywilizacja jest jeszcze dość młoda, a tworzą ją istoty, którym bliżej do jaskini niż do raju. Uważa też, że jeśli będziemy usiłowali za szybko iść do przodu, możemy popełnić straszliwe błędy. Ma rację.

Niech pan spojrzy na to, co stało się

280

wczoraj. Nasza gorączkowa pogoń za najnowszymi technologiami, dążenie do zrównania się poziomem nauki z najbardziej rozwiniętymi krajami omal nie doprowadziły do katastrofy.

-

Wcale nie miałem na myśli Chin - wyjaśnił.

Znieruchomiała na moment, a potem jej twarz pokryła się rumieńcem. Teraz ona nie wiedziała, co powiedzieć.

-

Przepraszam, nie chciałem pani zawstydzić.

-

A ja myślę, że tak - powiedziała ze wzburzeniem.

-

Ależ skąd, nieprawda - zapewnił. - Usłyszała pani grzmot. Usłyszała pani odgłosy gry w krótkie kręgle, ale nie zawahała się pani nawet przez chwilę. Wtrąciła się pani w rozgrywkę. Uratowała mi pani życie.

Wzburzenie Anity nieco opadło.

-

Sądziłam, że pan uważa...

-

Że jestem brodaczem z obolałymi kolanami?

-

Że żyję w politycznym, naukowym i kulturowym kokonie. - Uśmiechnęła się.

-

Pani Anito, nie sądzę, abym kiedykolwiek użył tylu mądrych słów w jednym zdaniu.

-

Jest pan bardzo skromny, a to kolejna z pańskich cech, która mi się podoba.

Ale w jednej sprawie całkowicie się pan pomylił.

-

Doprawdy?

-

Dziwni ludzie w powieści Irvinga Rip Van Winkle nie grają w krótkie kręgle, tylko w kręgle klasyczne - oznajmiła.

Hood uśmiechnął się najskromniej, jak umiał.

-

Mam pewien pomysł. Jeśli zrobi sobie pani tydzień lub dwa wolnego, proszę przyjechać do Ameryki. Wskoczylibyśmy do Hudson Valley, gdzie pracował

Washington Irving, zobaczylibyśmy, czy nie leżą tam gdzieś w okolicy jakieś kręgle, dowolnego rodzaju.

-

Bardzo chętnie - powiedziała.

-

Obiecuję, że nie będzie fajerwerków - przyrzekł Hood.

-

Czemu nie? Fajerwerki bywają bardzo piękne.

-

W takim razie powinna pani przyjechać do Ameryki czwartego lipca - poradził Hood.

-

Nie mówiłam o pirotechnikach - rzuciła Anita przez ramię, wychodząc z pokoju.

Teraz Hood spiekł raka. Nie poszedł za nią, wolał poczekać. Nie wiedział, co ma odpowiedzieć. I o to jej zapewne chodziło. Mimo to specjalnie się nie przejął. W

końcu mówiła, że idealny Amerykanin jest naiwny.

281

Spojrzał na zegarek i stwierdził, że już jest spóźniony. Czekał na niego samochód, by zawieźć go na lotnisko. Podobnie jak Rodgers, miał lecieć zwykłym, pasażerskim samolotem.

Praca dla rządu miała swoją dobrą stronę. Była nią biurokracja. W przeciwieństwie do prywatnego przedsiębiorstwa, sprawozdawczość nie musiała być prowadzona na bieżąco. To było naprawdę wspaniałe. Mógł sobie pozwolić na wygodny fotel i kilka filmów na DVD, zanim zasiądzie do pisania raportu dla prezydenta.

## ROZDZIAŁ 62

Waszyngton Piątek, 10.22

fBlelefon od generała Carew nie zaskoczył generała Carrie. Treść rozmowy była jednak całkowicie niezgodna z jej przewidywaniami. Podejrzewała, że nie będzie to nic dobrego, skoro zadzwonił na jej prywatny, bezpieczny telefon komórkowy, zamiast na linię służbową. W Centrum nie pozostanie żaden ślad po tej rozmowie, bo nie była rejestrowana.

-

Wygrał - powiedział Carew zawiedzionym głosem. - Ale nie to mnie najbardziej martwi. - Generał Carew miał na myśli Paula Hooda, a przede wszystkim samego prezydenta. - Rozładował sytuację z pomocą jednego z pani ludzi oraz pani oddziału specjalnego. Hood stworzył doraźną grupę

wywiadowczą, która składała się z jego dawnej ekipy, działającej na cudzy koszt. Czy pani rozumie, o czym mówię?

-

Niezupełnie - przyznała Carrie.

-

Prezydent ma teraz osobistego specjalistę do rozwiązywania sytuacji kryzysowych o nieograniczonych uprawnieniach. Osobnik ten nie dysponuje żadnym podległym mi personelem i, o ile zdołamy objąć kontrolaję wydatki, nigdy nie będzie takowym dysponował. Jak więc sobie radzi? Bardzo dobrze, powiem nawet błyskotliwie - załatwia sprawę cudzymi rękami. Żeruje na pani Centrum, na Unexusie, a nawet na tych cholernych Chińczykach.

-

Panie generale, z całym szacunkiem, sędzę, że pańska reakcja jest niewspółmierna do sytuacji - wtrąciła Carrie. - Nasi ludzie, którzy znaleźli się w Xichang, mieli swobodę działania, w zależności od rozwoju wypadków. Generał

Rodgers posłał ich na pomoc Paulowi Hoodowi, który znajdował się w centrum wydarzeń...

282

-

Zgodnie z raportem Paula Hooda, który właśnie przeczytałem, sygnał SOS

przekazał pani pracownik, Bob Herbert.

-

Istotnie, uczynił to - przytaknęła Carrie. - Chce pan powiedzieć, że powinniśmy zostawić Hooda bez wsparcia?

-

Najważniejsze było wykonanie zadania - burknął Carew.

-

Wydaje mi się, że zostało wykonane. Czytałam ten sam raport. Wygląda na to, że zapobiegliśmy atakowi na Tajwan.

-

To tylko przypuszczenia.

-

Tajpej zgłaszało dużą aktywność chińskich sił zbrojnych w tym rejonie.

-

Która została przerwana przez dowództwo w Zhuhai - dokończył Carew. - Nie wiemy, co planowali. Temu właśnie ma służyć wywiad, Morgan. A teraz straciliśmy cztery źródła. Pani działający w tajemnicy żołnierze piechoty morskiej zostali wysłani do Chin w tajemnicy. Ich zadaniem było zabezpieczenie satelity przed zniszczeniem. Informacje od pana Herberta powinny trafiać do dowódcy tego zespołu, aby ułatwić mu wybór sposobu przeprowadzenia akcji, a nie do Paula Hooda.

Carew z prawdziwym wstrętem wydusił z siebie to nazwisko. Carrie zrozumiała, dlaczego starał się nie wypowiadać go wcześniej.

-

Żołnierze byli w tym samym miejscu co Hood - powiedziała. - A informacje ze źródeł chińskich uzyskał generał Rodgers.

-

Nie rozumie mnie pani - powiedział ostrym tonem Carew. - Żołnierze zostali wciągnięci w operację, którą kierował Paul Hood. Pan Hood został zwolniony ze stanowiska, bo nigdy nie działał zgodnie z zatwierdzonym scenariuszem. Pod jego kierownictwem Centrum funkcjonowało na kumpelskich zasadach, w imię rzekomych interesów międzynarodowych i sojuszy, stosując cywilne metody postępowania podczas operacji wojskowych. Jego metody kosztowały nas życie wielu żołnierzy.

-

Paul Hood nie należy do moich ulubieńców, ale uczciwość nakazuje mi powiedzieć, że zapobiegł wielu kryzysom międzynarodowym - stwierdziła Carrie.

-

Dokonał tego Mike Rodgers. Dokonali tego pułkownik Brett August, podpułkownik Charlie Squires. To oni byli w centrum wydarzeń, musieli improwizować, aby wydostać się z tarapatów, w jakie wepchnął ich Paul Hood. Nasi chłopcy mieli służyć w obronie Stanów Zjednoczonych. Zamiast tego oddawali życie, broniąc Indii, Japonii i Rosji. Nie jesteśmy światową policją, Morgan.

Nie mogła nie zgodzić się z tym stwierdzeniem. Wiele lat przed powstaniem Departamentu Bezpieczeństwa Wewnętrznego, zajmującego się 283

rozwiązywaniem wewnątrz krajowych sytuacji kryzysowych, zadanie to było jednym z priorytetów Centrum Szybkiego Reagowania.



-

W Xichang Hood po raz kolejny poszedł na żywioł - stwierdził Carew. - Z

nikim się nie konsultował, nie otrzymał żadnych wytycznych. I wciągnął w to pani podwładnych. Prasa i prezydent skupiają się na zyskach. Pieją o ratowaniu życia, o tworzeniu międzynarodowych więzi. Ja liczę straty. Nie obchodzi mnie rakietą, mam gdzieś premiera Chin i nie przejmowałbym się drobną szarpaniną w Cieśninie Tajwańskiej. Chyba wolałbym, żeby do niej doszło.

-

Żeby doszło do bitwy na morzu i w powietrzu, w której bylibyśmy zobowiązani wziąć udział? - zdziwiła się Carrie.

-

To trwałoby zbyt krótko, abyśmy musieli się fatygować - odparł Carew. -

Czytałem charakterystykę generała Tam Li. To postępowy, czar-norynkowy biznesmen, zwolennik kapitalizmu. Pozbył się twardogłowe-go komunisty Czou Szina, który na pewno nie był naszym przyjacielem. Prawdopodobnie to on spowodował eksplozję na statku w Charlestonie i w nocnym klubie w Tajpej. Być może Tam Li powinien być następnym premierem. Wygląda na to, że moglibyśmy się z nim dogadać.

Generał Carrie starała się dociec, do czego zmierza Carew. Taka tyrada musiała mieć jakiś cel.

-

Nie mnie jednak oceniać straty polityczne - mówił dalej przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów. - Jestem przekonany, że chińskie służby bezpieczeństwa przeglądają nagrania z ośrodka, aby rozpoznać tożsamość członków pani oddziału. Jedyne co mnie martwi, to konieczność wycofania czworga doskonale wyszkolonych agentów wywiadu.

Nie wiedziała, co na to odpowiedzieć, ale rozumiała, o co mu chodzi. Zespół został

spalony w obronie interesów chińskich, dotyczących satelity zbudowanego przez europejskie konsorcjum. Stany Zjednoczone nic na tym nie zyskiwały.

-

Oto rezultat tej operacji - ciągnął Carew, już nieco łagodniejszym głosem. -

Dążę do tego, aby Centrum Szybkiego Reagowania rozrosło się i zaczęło działać skuteczniej. Wie pani o tym i akceptuje moje zamiary. W przeciwnym razie byłaby pani nadal szefową wywiadu wojskowego. Ale nie mogę zapewnić pani odpowiedniego finansowania, skoro pani pracownicy

działają na cudzą korzyść. Paul Hood uzależnił Centrum od jednego człowieka - od siebie. To się musi skończyć.

Oczywiście organizacja powinna mieć jak najlepsze stosunki z innymi agencjami wywiadu, pod warunkiem że to nie naraża na niepowodzenie wykonywanych aktów-284

alnie zadań, polegających na zapobieganiu kryzysom godzącym w nasz kraj.

-

Rozumiem - przytaknęła Carrie.

-

Nie chodzi o mnie czy o panią. Chodzi o mundur, jaki oboje nosimy, i płynące z tego faktu zobowiązania wobec kraju, którego mamy bronić.

-

To także rozumiem.

-

Życzę sobie, aby pan Herbert został zwolniony z zajmowanego stanowiska.

Carrie była zaskoczona tym żądaniem.

-

Ależ, panie przewodniczący, uważam, że potrafię go przekonać...

-

Właśnie o to chodzi, prawda? - przerwał jej Carew. - Nie może sobie pani pozwolić na posiadanie ludzi, których trzeba przekonywać. Rozmawiałem już z nowym szefem wywiadu wojskowego. Może sobie pani wziąć, kogo pani chce, na tymczasowego szefa wywiadu Centrum, do czasu, gdy znajdzie pani kogoś, kto najlepiej pani odpowiada.

Zdaniem Carrie przewodniczący nieco przesadził. Podzielała jednak jego wizję nowego Centrum. Chociaż więc mogła odmówić zwolnienia Herberta, uznała, że pokazówka, której ofiarą miał paść szef wywiadu, może okazać się korzystna.

Centrum nie mogło sobie pozwolić na zatrudnianie pracowników, których nie można było obdarzyć stuprocentowym zaufaniem. Nie można trzymać kogoś, kto działał na dwa fronty.

Obiecała, że zajmie się tą sprawą. Zadzwoiła do Liz Gordon, przede wszystkim po to, by poinformować ją o tym, co się wkrótce stanie, oraz by zasięgnąć rady, jak postąpić z Herbertem. Liz

znała go od wielu lat i przez ten czas sporządziła około dziesięciu profili psychologicznych tego człowieka. Wobec możliwości pojawienia się załamania psychicznego na skutek ciężkich przeżyć w Bejrucie, gdzie stracił żonę i nogi, konieczne były coroczne opinie psychologa.

-

Szczerze mówiąc, uważam, że już do tego dojrzał - powiedziała Liz. - Co nie znaczy, że pójdzie łatwo. Czy musi go pani zwalniać?

-

Tak, muszę - potwierdziła Carrie. - Co pani radzi?

-

Będzie się zachowywał tak, jak to ma w zwyczaju - powiedziała psycholog.

-

To znaczy?

-

Będzie bardzo rozgoryczony i uszczypliwy, ale niech pani nie stara się niczego łagodzić - poradziła Liz. - Ze względu na swoje kalectwo jest wyczulony na wszelkie ulgowe traktowanie i szczerze tego nie znosi.

-

W porządku.

285

-

Czy będę mogła przyjść do pani, kiedy już załatwi pani tę sprawę?

-

Naturalnie, powiedzmy o jedenastej.

Liz podziękowała i Carrie odłożyła słuchawkę. Poleciała Bugsowi, żeby wezwał

Herberta. Uznała, że nie będzie mu potrzebna eskorta dwóch ochroniarzy. Jego dymisja nie miała odbyć się w ten sposób.

Wyglądało na to, że po raz pierwszy od pojawienia się Carrie w Centrum Szybkiego Reagowania Bob Herbert był zupełnie spokojny. Po zakończeniu operacji rozmawiali ze sobą tylko przez chwilę,

a Herbert był chyba zadowolony z przebiegu tej rozmowy. Teraz poprosiła go o zamknięcie za sobą drzwi.

-

Sam na sam przed obiadem, to nie może oznaczać niczego dobrego -  
powiedział.

-

Czemu pan tak uważa?

-

Za granicą nic się nie dzieje. Czytałem już raporty. A więc chodzi o coś na miejscu - stwierdził Herbert. - W waszyngtońskim systemie politycznym wieści rozchodzą się nocą, decyzje podejmowane są po ciemku, a doręczane są wcześniej rano. W wypadku najwyższych urzędników oznacza to tuż po dziesiątej. - Zerknął na zegarek. - Jest wpół do jedenastej. Najwyraźniej to sprawa niecierpiąca zwłoki. Poza tym Paul Hood zadzwonił do mnie do domu. Prezydent jest zadowolony, ale Kolegium Szefów Połączonych Sztabów nie podoba się sposób, w jaki sprawa została załatwiona, a zwłaszcza narażenie tajnych agentów na rozpoznanie. Ktoś musi być kozłem ofiarnym.

Ta wyczerpująca i dokładna analiza zaimponowała Carrie i spowodowała, że znowu zaczęła się zastanawiać nad tym, jak powinna postąpić.

-

Nie jestem zadowolona z wyboru priorytetów dokonanego przez pański wydział, a także z kierunku, w którym rozwinęła się operacja w Chinach -  
powiedziała.

-

Czy mieliśmy pozwolić na to, aby rakieta eksplodowała, a siły tajwańskie zostały starte na proch, kiedy my będziemy zajmować się gromadzeniem materiałów wywiadowczych? - spytał Herbert.

-

Celem akcji była ochrona ładunku, tymczasem uległ on zniszczeniu -

stwierdziła z naciskiem. - Sytuacja na Tajwanie to wyłącznie przypuszczenia oparte na informacjach z drugiej ręki. Co więcej, członkowie oddziału oddelegowanego przez Centrum są spaleni.

-

To i tak nieźle - zauważył Herbert. - Do tej pory nasze specjalne oddziały taktyczne zwykle wracały w trumnach.

286

Carrie nic nie odpowiedziała.

-

Kiedy mam złożyć rezygnację?

-

To nie będzie konieczne - odrzekła.

Po raz pierwszy Herbert wyglądał na zaskoczonego.

-

Co to znaczy? Czy mnie pani wyrzuca?

-

Bardzo niechętnie - przyznała Carrie.

-

O kurwa... wyrzuca mnie pani?! - krzyknął. - Biorę po tyłku za tych żołnierzy, żeby się pani nie dostało, tak?

-

Bierze pan po tyłku, bo pośredniczył pan w przekazywaniu im rozkazów przez ludzi z zewnątrz - powiedziała Carrie. - Działał pan jednokierunkowo, nie dbając o długofalowe skutki.

-

Gdybym tego nie zrobił, cały oddział usmażyłby się wraz z naszymi dwoma kolegami! - wrzasnął Herbert.

-

Nie pan miał o tym decydować - odparła.

-

A kto!

-

Jeśli pan sobie życzy, przypomnę panu fragment zakresu pańskich obowiązków. - Carrie mówiła spokojnym głosem. - Dyrektor wywiadu nie wydaje rozkazów z wyjątkiem sytuacji, gdy bezpośrednio dotyczą one gromadzenia informacji. Ponieważ ani generał Rodgers, ani pan Hood nie mieli uprawnień do dowodzenia oddziałem, powinien pan zwrócić się do Plummera lub do mnie.

-

Nie mogę w to uwierzyć.

-

Mnie to także nie cieszy, nie mogę jednak tolerować nieodpowiedzialnych dyrektorów.

-

Dobrze. Obiecuję, że więcej tego nie zrobię.

-

Wiem o tym - powiedziała z przekonaniem.

Zrozumiał, co to oznacza.

-

Niech się pani wypcha - warknął, odwrócił się i otworzył drzwi, ale zatrzymał

się w progu. - Jeśli wyśle pani po mnie ochronę, to się naprawdę wkurzę - ostrzegł, nie odwracając głowy.

-

Nie chcemy, aby w taki sposób kończył pan pracę w Centrum - powiedziała Carrie. - Może pan wyjść, kiedy uzna pan za stosowne.

-

Do południa mnie tu nie będzie - rzucił Herbert i wytoczył się przez drzwi.

Generał Carrie było trochę przykro, że rozmowa przybrała taki obrót, że nie udało się tego uniknąć. Zwolnienie ze stanowiska zawsze jest upokarzające, ale Herbert na pewno otrzyma jakąś inną propozycję pracy. A pracownicy Centrum zapamiętają sobie, że należy przestrzegać hierarchii.

Nacisnęła przycisk interkomu.

-

Bugs, poproś Darrella, żeby tu przyszedł, i skontaktuj mnie z generałem Selbym z wywiadu wojskowego. Powiedz też Lowellowi Coffeyowi, że chcę się z nim spotkać za godzinę. I jeszcze jedno, połącz mnie z Liz.

-

Tak jest, generale.

Przede wszystkim trzeba było znaleźć zastępstwo za Boba Herberta i powiadomić Darrella McCaskeya, że będzie pracował z nowym człowiekiem. Przypuszczała, że z McCaskeyem nie będzie problemów. W odróżnieniu od Herberta dawny agent FBI był typem zawodowca grającego dla drużyny. Jeśli chodzi o Coffeya, chciała się upewnić, czy Centrum posiada jakiegokolwiek prawne zobowiązania wobec Boba Herberta. Zależało jej, aby dla wszystkich było jasne, że jego zwolnienie spowodowane jest poważnym naruszeniem zasad, a nie kalectwem. Nie sądziła, aby spróbował wykorzystać to przeciwko Centrum, ale ludzie w złości często bywają nieprzewidywalni.

Odezwał się Bugs:

-

Liz Gordon na drugiej linii.

-

Dziękuję. - Sięgnęła po słuchawkę i nacisnęła przycisk. - Liz, czy możemy przenieść naszą rozmowę?

-

Oczywiście. No i jak poszło?

-

Mniej więcej tak, jak pani mówiła. Nie był zachwycony.

-

Jest pamiętliwy i długo chowa urazę. Między innymi z tego czerpie napęd do działania - powiedziała Liz.

-

Czy miała pani do mnie jakąś pilną sprawę? - spytała Carrie.

Liz się zawahała.

-

Nie, nic pilnego.

-

Świetnie. W takim razie spotkamy się po południu, jeśli to pani odpowiada.

-

Oczywiście.

W głosie psycholog pobrzmiewała jakaś dziwna rezerwa. Zwykle Liz była bardzo bezpośrednia. Ale Carrie nie mogła przejmować się takimi drobiazgami. Była dowódcą i miała zadanie do wypełnienia.

Ciążyła na niej większa odpowiedzialność niż na kimkolwiek innym.

Przewodniczący Carew miał rację. Chodziło o bezpieczeństwo kraju.

To było najważniejsze.

288

## ROZDZIAŁ 63

Waszyngton Piątek, 10.43

Liz Gordon siedziała sama w swoim gabinecie. Drzwi były zamknięte, Jpomieszczenie wypełniał szum wentylatorów - jednego nad jej głową, drugiego w komputerze.

Maszyny oddychały lżej od niej.

Co się, do cholery, dzieje, pytała samą siebie.

Znała odpowiedź. General Carrie przyciągała jej uwagę i poruszyła jej wyobraźnię.

Liz będzie brakować Herberta. To fascynujący człowiek i dobry współpracownik. Ale stanowczość Carrie wobec jego niesubordynacji wywarła na niej ogromne wrażenie.

Dodało jej to otuchy i odwagi.

Choć wiedziała, że zachowuje się jak pensjonarka, nie potrafiła nic poradzić na to, że zadurzyła się



w tej kobiecie. Nie bardzo wiedziała, co ma z tym zrobić.

Chciała przedyskutować z panią generał wpływ wyrzucenia Herberta na innych pracowników, ale tak naprawdę chciała się z nią spotkać, żeby jeszcze raz sprawdzić się w jej obecności, zarówno fizycznie, jak emocjonalnie. Aby się przekonać, czy może pracować z Carrie, czy potrafi się skoncentrować. Poza tym miała nadzieję, że jej skromna osoba zaintryguje panią generał, a może nawet poruszy w niej coś więcej.

Może i dobrze, że spotkanie zostało odłożone. Dawało to Liz więcej czasu, żeby się wewnętrznie pozbierać.

Ale jak? Założyć lepiej dobraną maskę? W środku i tak pozostanie taka sama: wzburzona i spragniona, przerażona i pełna nadziei.

Przypomniała sobie znowu Marthę Mackall. Z nią było inaczej. Liz lubiła ją, ale jej nie pożądała. Martha była bezczelna, nie silna. Chodziło jej zawsze o siebie. Dobro organizacji nie miało dla niej żadnego znaczenia, a dla Morgan Carrie było ono najważniejsze.

Powtórzyła w myślach jej nazwisko. Brzmiało mocno, odpowiednio do jej charakteru.

To nie styl dowodzenia najbardziej pociągał Liz Gordon, lecz umiejętność poświęcenia uwagi rozmówcy. Spędziła większą część z dwudziestu lat swej praktyki zawodowej na patrzeniu ludziom w oczy w celu stwierdzenia, jacy są. Ci, którzy nie mieli nic do ukrycia, patrzyli prosto w oczy. Ci, którzy chcieli się czymś podzielić, robili to z niezachwianą pewnością siebie, którą widać było w oczach.

19-Wojna orłów

289

Podczas tego krótkiego czasu, który spędziły razem, generał Carrie zawsze patrzyła na nią dumnie, odważnie, prosto w oczy. Liz nie sądziła, że wynika to z pewności siebie właściwej trzygwiazdkowemu generałom. Uważała, że wszystkie kobiety łączy coś, co wykracza poza faktyczną potrzebę chwili. Pogląd o nieskazitelnej, siostrzanej jedności między kobietami to mit. U wszystkich silne jest pożądanie i potrzeba miłości. Zwłaszcza wśród kobiet w wojskowych mundurach, które muszą przełamywać zasady tradycyjnego podziału ról i zachowań ze względu na płeć.

Podczas wojny muszą być tak samo agresywne jak mężczyźni. Podczas pokoju pracują ciężko, aby odzyskać łagodniejszą stronę osobowości.

Dzierżenie twardą ręką steru Centrum Szybkiego Reagowania przypominało służbę w warunkach wojennych. Generał Carrie powinna znaleźć chwilkę wolnego czasu, aby się nad tym zastanowić. Mąż, nawet czuły i oddany, mógł tego nie zrozumieć tak, jak druga kobieta.

Po prostu nie był w stanie. Inna kobieta bez żadnych wyjaśnień będzie wiedziała, co to jest proces regeneracji. Zwłaszcza jeśli sama była kiedyś w okopach.

Oczywiście, nie każda kobieta zdaje sobie sprawę, że potrzebuje opieki. Czasami trzeba ją tego nauczyć. Na tym polega cała subtelność sytuacji. Liz nie wiedziała, co myśli, rozumie i czuje generał Carrie.

Ale się dowie.

Próbowała skoncentrować się na pracy, ale drżące serce podchodziło jej pod gardło.

Sporządziła listę osób, które blisko współpracowały z Herbertem i mogą najsilniej odczuć jego zwolnienie. Bez wątpienia Darrell McCaskey. Ten akurat był

zawodowcem i powinien sobie z tym poradzić. Lowell Coffey, który nie zgadzał się z szefem wywiadu, ale go szanował oraz Ron Plummer, który uważał, że Herbert był

ostry i miał nieprzyjemny charakter. Ci trzej nie będą martwić się o Herberta, tylko o to, jak uniknąć jego losu. Zapewnienie sprawnego i skutecznego funkcjonowania Centrum podczas przekształceń - oto cel, o który chodziło generał Carrie, kiedy zwalniała Herberta.

Liz musi się mieć na baczności, żeby nie utrudnić osiągnięcia tego celu, bo wówczas sama straci posadę.

To było zarazem podniecające i przerażające, dodające otuchy i wytrącające z równowagi. Po raz pierwszy od długiego czasu galopujące serce pani psycholog przepełniał optymizm. Poczwała, że należy do grupy.

Żyje, nie umiera.

290

ROZDZIAŁ 64

Piątek, 15.48

Zycie jest do dupy - powiedział Herbert do swojej szklaneczki.

Bob Herbert i Mike Rodgers siedzieli przy małym, prostokątnym stoliku w barze Nieformalny, kiedy przyjechał Paul Hood. Knajpa znajdowała się poniżej poziomu ulicy w eleganckim hotelu Hay-Adams, niedaleko od Białego Domu. Najlepiej było się tam dostać na skróty przez park Lafayette'a. Hood przeszedł się piechotą, ciesząc się ciepłym, bezchmurnym popołudniem. Wydało mu się wręcz niezwykle, jak czyste jest tu powietrze po Pekinie czy nawet Xichang. A może po prostu był szczęśliwy, że udało mu się wrócić w jednym kawałku. Po drodze zadzwonił do dzieci, aby dowiedzieć się, co słychać. Ponadto skontaktował się z Glorią Lynch--Hyman, aby upewnić się, że wciąż są umówieni na jutro.

Dzieciaki czuły się świetnie. Randka była aktualna.

Żyje, nie umiera.

Po trudnym i niejasnym początku Hood był obecnie niemal całkowicie przytomny.

Nowy doradca do spraw rozwiązywania sytuacji kryzysowych spał do jedenastej.

Rozbudzony, choć wciąż ziewający, pojawił się w Białym Domu, gdzie miał

wyznaczone spotkanie z prezydentem Debenpor-tem. Hood przekazał już wcześniej ogólny raport sporządzony w samolocie - nie miał ochoty oglądać filmu z Benem Affleckiem - dlatego spotkanie w Gabinetce Ovalnym stało się dla głównodowodzącego okazją do złożenia mu gratulacji. Nawet szefowa kancelarii prezydenta, Lorraine Sanders, patrzyła na niego przychylnie.

Zwycięstwo sprawiło, że nietrudno było okazywać radość, Hood uśmiechał się więc radośnie. Grymas uśmiechu pomagał mu w maskowaniu ziewania.

Podszedł do niego nawet przewodniczący Kolegium Szefów Połączonych Sztabów, generał Raleigh Carew, i mocno uścisnął mu dłoń, zachowując kamienny wyraz twarzy. Przybył, by zobaczyć się z prezydentem, nie z Hoodem. To oznaczało koniec spotkania w Gabinetce Ovalnym.

Paul celowo zadzwonił do dzieci i odsłuchał pocztę głosową, a potem poszedł do nowego biura. Chociaż jego sekretarz miał zacząć pracę dopiero od poniedziałku, Hood chciał zaznajomić się z nowym miejscem pracy. Był zadowolony ze stanowiska i chciał być uczestnikiem wydarzeń, a nie pasażerem. Zadzwonił jednak Bob Herbert i poprosił go o spotkanie w Nieformalnym. Nie powiedział, o co chodzi, a Hood zgodził się wpaść.

Nie wiedział, że zamierzał też przyjść Rodgers. Teraz przysiadł się do nich, okupujących stół oddalony od baru. Po raz pierwszy od kilku miesięcy spotkali się towarzysko i czuli się z tym trochę dziwnie. Wcześniej widywali się regularnie, ale tematem rozmów były inne sprawy albo ich własna, pomyłona osobowość. Co nie znaczy, że było im ze sobą źle. Mimo dzielących ich różnic przeżyli razem niejedną wojnę. Udało im się przetrwać.

Bob Herbert zamilkł. Mięwał często humory i jego wypowiedź nie była niespodzianką. Jednak to, co powiedział chwilę później, było zupełnie nieoczekiwane.

-

Zostałem udupiony, Paul.

-

Co?

-

Pani generał wywaliła mnie z roboty!

-

Bez ostrzeżenia? - zdziwił się Hood.

-

Tak jest.

-

Za co?

-

Za to, że wam pomagałem - poskarżył się Herbert.

-

Nie mogę w to uwierzyć - zdziwił się Hood.

-

A ja mogę, jak najbardziej - stwierdził Rodgers.

Hood spojrzał na niego.

-

Centrum dowodzi teraz generał - wyjaśnił Rodgers. - Wojskowi kierują się zupełnie innymi zasadami niż cywile. Bob nie przestrzegał obowiązującej drogi służbowej i pani generał przykładowo go ukarała.

Mówił beznamiętnym tonem. Być może zadziałała jedynie wyobraźnia Hooda, ale wydawało mu się, że w wypowiedzi generała słyszy ukrytą krytykę jego sposobu zarządzania Centrum.

-

Zgadzasz się z tym? - spytał.

-

Teoretycznie tak - przyznał Rodgers. - W praktyce jednak dałbym człowiekowi ostrzeżenie.

-

Panowie, nie sprzecajmy się o to, czy moja egzekucja nastąpiła w wyniku czyjejś przesadnej reakcji - poprosił Herbert.

-

Przepraszam - mruknął Rodgers.

-

Nie szkodzi. - Herbert dokończył drinka. - Nieważne, co się stało. Ważne, że na drugi raz będę mądrzejszy. Nie dam się wplątać w coś, o czym powiedzą, że „wyniki liczą się mniej od samego przebiegu operacji”.

Hood i Rodgers się nie odzywali.

Podszedł kelner. Herbert poprosił o powtórkę, a Hood zamówił colę.

292

-

Papież Paul - mruknął Herbert. - Wiedziałeś, że tak cię nazywamy?

-

Tak.

-

Wszyscy uważaliśmy, że jesteś uczciwy, nie brudziś sobie rąk korupcją. -

Robert pokiwał głową. - Wykonałeś świetną robotę, stawiając na moralność. To rzadkość w kręgach rządowych.

Rodgers przepił do Hooda, który podziękował skinieniem głowy.

-

I co? Masz już coś na oku? - spytał Hood.

-

Może premier Le Kwan Po znajdzie dla mnie jakąś posadę.

-

Nie mów tak, nawet żartem - ostrzegł Rodgers, rozglądając się dookoła.

-

Dlaczego? Czy ten bar też przejęło wojsko? - spytał Herbert. Rodgers milczał, a Hood poczuł dreszcz. Dostali zamówione drinki

i Herbert rozsiadł się wygodniej.

-

Nie, Paul, nie wiem, co będzie dalej. Chyba poszukam sobie pracy w sektorze prywatnym.

-

Panuje tam jeszcze gorsza dyscyplina - stwierdził Rodgers. - Zwłaszcza wśród maklerów. Dlaczego nie założysz własnej grupy specjalistów?

-

A, konsulting. Metoda na zachowanie twarzy po wyrzuceniu z roboty

-

skomentował Herbert.

-

To nie musi tak wyglądać - zapewnił Hood. - Masz kapitalny życiorys, możesz związać się z jakąś

niezależną firmą. Ja sam znajdę dla ciebie zatrudnienie przy niektórych moich projektach.

-

Pocieszanie i litowanie się. Dzięki, koledzy, ale nie tego mi trzeba

-

powiedział Herbert.

-

A czego chcesz? - spytał Hood.

-

Żeby ta suka w zielonym mundurze przywróciła mnie na moje miejsce, gdzie służyłem ciężko, sumiennie i wiernie - odparł Herbert.

Koledzy milczeli. Podzielali jego pragnienie.

-

Jeśli chcesz, pogadam z prezydentem - zaproponował Hood.

-

Nie potrafiłeś ocalić własnego tyłka przed wyrzuceniem - zauważył Rodgers.

-

To co innego...

-

Cholera, przepraszam - powiedział Herbert. - Nie powinienem cię prosić, żebyś tu przychodził. Jestem wściekły.

-

To nic nowego - zauważył Hood.

Rodgers się uśmiechnął. Nawet Herbert zarechotał. Przez chwilę czuli się tak, jakby wróciły tamte dni. Trzej ludzie pogrążeni w ciągłym sporze, ale zgodni co do jednego: że ich niezdarne, zwariowane,

różniące się od siebie i teoretycznie niemogące ze sobą współpracować osobowości potrafią w efekcie dać coś unikalnego i ważnego.

To samo można powiedzieć o Adamsie, Jeffersonie i Franklinie, myślał Hood w rzadkiej chwili bezkrytycznej pobłażliwości. Nie mogli różnić się za bardzo od adwokata z Nowej Anglii, dyplomaty ze środkowoatlantyc-kiego wybrzeża i farmera z południa, którzy stworzyli nowy naród.

Zaczęli rozmawiać o starych czasach, o ludziach, którzy przyszli i odeszli, o zadaniach i problemach, o zwycięstwach i przegranych. Mimo wielu różnic jedno się nie zmieniało - zawsze mieli powody do dumy.

Hood rozkoszował się chwilą obecną. Prawdopodobnie nigdy już nie będzie lepiej niż teraz. Ilu jest na świecie takich szczęśliwców, którym udałooby się razem przeżyć tak wiele?

Mijały godziny. Kiedy przyszedł czas rozstania, długo ściskali sobie dłonie jak starzy dobrzy koledzy. Ale w powietrzu wisiało pytanie, kiedy i czy w ogóle skrzyżują się jeszcze ich drogi?

Kiedy Hood szedł przez park, w głowie wyświetlił mu się fragment filmu. Nie pamiętał jego tytułu. Oglądał go kiedyś z dziećmi w deszczowe popołudnie wiele lat temu. Młoda kobieta wyjeżdżała od ojca ze swoim narzeczonym. Jechali gdzieś bardzo daleko. Kiedy nadjechał pociąg, kobieta powiedziała ze łzami w oczach: „Bóg jeden wie, kiedy się zobaczymy”.

A jej ojciec odpowiedział łamiącym się głosem: „A więc zostawmy to w Jego rękach”.

Hood tak właśnie uważał, zmierzając do Białego Domu i ku przyszłości.

## PODZIĘKOWANIA

Za cenną pomoc pragniemy podziękować Martinowi H. Greenbergowi, Larry 'emu Segriffowi, Dertise Little, Johnowi Helfersowi, Brittiany Koren, Yictorii Bundonis Rovin, Robercie Pieczenik, Carlowi La Greca oraz naszemu redaktorowi, Tomowi Colganowi. Jednak największe podziękowania należą się naszym Czytelnikom, za udzielenie odpowiedzi na pytanie, jak udany jest ten oto owoc naszego wspólnego wysiłku.



